

Ania z Zielonego Wzgórza



LUCY MAUD MONTGOMERY

Ania z Zielonego Wzgórza

TŁUM. JACEK ILLG, TOMASZ ILLG

ROZDZIAŁ I ZASKOCZENIE PANI MAŁGORZATY LINDE

Małgorzata Linde mieszkała przy głównej drodze w Avonlea, w miejscu, gdzie opadała ona ku niewielkiej dolince otoczonej olchami i fuksjami, przeciętej strumykiem, który miał swoje źródło w lesie nieopodal dawnego domu Cuthbertów. Podobno w swym górnym biegu przez las był to wijący się, wartki strumień z mrocznymi rozlewiskami i kaskadami, ale zanim dotarł do domostwa państwa Linde, był już cichym, uregulowanym, małym strumykiem, bo nawet strumieniowi trudno byłoby przepłynąć przed drzwiami Małgorzaty Linde bez należytego szacunku dla jej przyzwoitości i dobrego wychowania — zapewne był świadomy, że Małgorzata siedzi przy oknie, bacznie obserwując wszystko wokół swego domu, poczynając od strumyków i dzieci, a jeśli tylko dostrzegłaby coś dziwnego albo nie na miejscu, nie spoczęłaby, dopóki nie odkryłaby, co się dzieje i z jakiego powodu.

Jest wielu ludzi zarówno w Avonlea, jak i poza nim, którzy potrafią uważnie obserwować sprawy sąsiadów, zaniedbując przy tym własne, lecz Małgorzata Linde była jedną z tych utalentowanych istot, które umieją zadbać o własne sprawy, mając jednocześnie czas na interesowanie się tym, co robią inni. Małgorzata Linde była świetną gospodynią, która zawsze dobrze wykonywała swoją pracę: organizowała kółko krawieckie, pomagała w prowadzeniu szkółki niedzielnej oraz była najsilniejszą podporą Towarzystwa Pomocy Kościołowi i Misjom Zagranicznym. A przy tym wszystkim znajdowała mnóstwo czasu, żeby godzinami siedzieć przy kuchennym oknie, robiąc na drutach bawełniane narzuty (zrobiła ich szesnaście, o czym gospodynie z Avonlea opowiadały z podziwem) i uważnie obserwowała główną drogę, która przecinała dolinkę i wila się w górę stromego, czerwonego wzgórza. Ponieważ Avonlea leżało na małym, trójkątnym półwyspie wrzynającym się w Zatokę Świętego Wawrzyńca, z obu stron oblanym wodą, każdy, kto wyjeżdżał z Avonlea lub do niego wjeżdżał, musiał pokonać to wzgórze i zmierzyć się z niewidocznym, acz wszechwidzącym okiem Małgorzaty.

Tak było również pewnego popołudnia na początku czerwca. Słońce wpadało przez okno, ciepłe i jasne; sad na zboczu poniżej domu rozkwitał różowo-białymi kwiatami, nad którymi brzęczała masa pszczoł. Tomasz Linde — potulny człowieczek, którego mieszkańcy Avonlea nazywali „mężem Małgorzaty Linde” — siał późne nasiona rzepy na polu na wzgórzu za stodołą. Mateusz Cuthbert również powinien był siał swoje na dużym polu przy strumieniu na Zielonym Wzgórzu. Małgorzata wiedziała, że powinien, ponieważ słyszała, jak dzień wcześniej mówił Peterowi Morrisonowi w sklepie Williama J. Blaira w Carmody, że zamierza zasiać nasiona rzepy następnego popołudnia. Peter oczywiście sam go o to zapytał, ponieważ Mateusz Cuthbert był znany z tego, że nigdy w życiu z własnej woli nie udzielał żadnych informacji na jakikolwiek temat.

Lecz oto Mateusz Cuthbert, o wpół do czwartej po południu, w dzień powszedni, kiedy wszyscy pracują, jechał sobie spokojnie wózkiem, pnąc się powoli na wzgórze. Co więcej, miał na sobie biały kołnierzyk i najlepsze ubranie, co było oczywistym dowodem, że wyjeżdża z Avonlea. A to, że wyjeżdżał bryczką zaprzęgoną w kasztankę, wskazywało, że wybierał się gdzieś dalej. Dokąd i w jakim celu — tego nikt nie wiedział.

Gdyby był to jakikolwiek inny mężczyzna w Avonlea, Małgorzata, zręcznie łącząc to i owo, mogłaby całkiem łatwo odpowiedzieć sobie na oba te pytania. Ale Mateusz tak rzadko wychodził z domu, że to, co go zaabsorbowało, musiało być pilne i niezwykle. Był ogromnie nieśmiałym człowiekiem i nie znosił przebywać wśród obcych lub w miejscach, w których musiałby z kimś rozmawiać. Mateusz w białym kołnierzyku, jadący bryczką stanowił niecodzienny widok. Małgorzata wyteźła cały swój umysł i wyobraźnię, ale żadne wytłumaczenie tego faktu nie przychodziło jej do głowy i przez to miała zepsute popołudnie.

— Po herbacie wstąpię na Zielone Wzgórze i dowiem się od Maryli, dokąd i po co pojechał Mateusz — podsumowała z godnością. — Zwykle nie wybiera się do miasta o tej porze roku. Gdyby skończyły mu się nasiona rzepy, nie ubrałby się i nie wziął bryczki tylko po to, żeby uzupełnić zapasy. Nie jechał aż tak szybko, by sądzić, że udaje się do lekarza. A jednak coś musiało się wydarzyć od wczorajszego wieczoru, co mogło go tak poruszyć. Nie znam ani minuty spokoju, dopóki nie dowiem się, co wyciągnęło Mateusza Cuthberta z Avonlea.

Po herbacie Małgorzata wyruszyła w drogę. Nie miała daleko — duży, przestronny, otoczony sadem dom, w którym mieszkali Cuthbertowie, znajdował się w odległości zaledwie pół kilometra od posiadłości państwa Linde. Należało jednak pokonać jeszcze długą aleję, która zwiększała ten dystans. Zakładając swoje domostwo, ojciec Mateusza Cuthberta, równie nieśmiały i milczący, jak jego syn, oddalił się na tyle, na ile mógł od swoich bliźnich, nie wycofując się jednak całkiem do lasu. Zielone Wzgórze zostało zbudowane na najdalszym krańcu jego posiadłości i stoi tam do dziś, ledwo widoczne z głównej drogi, wzdłuż której ulokowały się — uwzględniając aspekt towarzyski — wszystkie inne domy Avonlea. Małgorzata Linde nie rozumiała, jak można mieszkać na takim odludziu.

— To po prostu wegetacja, ot co — powiedziała sama do siebie, idąc trawiastą aleją otoczoną krzewami dzikiej róży. — Nic dziwnego, że Mateusz i Maryla są trochę dziwni, mieszkając tutaj sami. Drzewa nie są zbyt dobrym towarzystwem, choćby ich było nie wiem ile. Ja wolę patrzeć na ludzi. Ale Cuthbertowie wydają się zadowoleni. Przypuszczam, że przyzwyczaili się do tego. „Człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do tego, że wisi na stryczku”, jak powiedział pewien skazany na śmierć przez powieszenie Irlandczyk.

Po tych słowach pani Linde weszła na podwórze domu Cuthbertów. Było ono bardzo zielone i zadbane, otoczone z jednej strony wielkimi, patriarszymi wierzbami, a z drugiej zwykłymi topolami. Wokół nie było widać ani jednego patyka, ani kamienia, bo Małgorzata natychmiast by je zauważyła. Osobiście uważała, że Maryla zamiata to podwórkę równie często, jak swój dom. Można tu było jeść prosto z ziemi, nie obawiając się znalezienia choćby drobiny brudu.

Małgorzata zapukała energicznie do drzwi kuchni i — usłyszawszy zaproszenie — weszła do środka. Kuchnia na Zielonym Wzgórzu była przytulnym pomieszczeniem — albo raczej byłaby nim, gdyby nie owa przesadna czystość, która nadawała jej wygląd nieużywanego pomieszczenia. Jej okna wychodziły na wschód i na zachód — przez zachodnie, wychodzące na podwórze, wpadało łagodne czerwcowe słońce, zaś we wschodnim, z którego można było dostrzec kwitnące białe wiśnie w lewej części sadu i kołyszące się, smukłe brzozy w wąwozie nad potokiem, zieleniła się płatanina winorośli. Tutaj przesiadywała Maryla Cuthbert, zawsze nieco nieufna wobec słońca, które wydawało jej się zbyt roztańczone i nieodpowiedzialne jak na świat, który miał być traktowany poważnie. I tutaj siedziała teraz, robiąc na drutach, a stół za nią był nakryty do kolacji.

Zanim pani Linde zdążyła zamknąć za sobą drzwi, zanotowała w myślach wszystko, co znajdowało się na stole. Położono na nim trzy talerze, więc Maryla musiała się spodziewać, że ktoś przyjedzie z Mateuszem na herbatę; ale naczynia były codzienne i stały tam tylko konfitury z dzikich jabłek i jeden rodzaj ciasta, więc oczekiwane towarzystwo nie mogło być jakieś szczególne. A co z białym kołnierzykiem Mateusza i kasztanową klaczą? Małgorzata dostawała zawrotów głowy od tej niezwyklej tajemnicy, którą kryło ciche, pozbawione sekretów Zielone Wzgórze.

— Dobry wieczór, Małgorzato — przywitała ją energicznym tonem Maryla. — Piękny dziś wieczór, prawda? Może usiądziesz? Jak się mają wszyscy twoi domownicy?

Pomiędzy Marylą Cuthbert i Małgorzatą zawsze istniało coś, co z braku innego określenia można by nazwać przyjaźnią, pomimo — a może właśnie z powodu — różnic między nimi.

Maryla była wysoką, szczupłą kobietą o kanciastych, pozbawionych krągłości kształtach. Miała ciemne włosy splecione pasemkami siwizny, zawsze spięte w twardy węzeł, w który wetknięte były dwie druciane spinki. Wyglądała na kobietę o dość ciasnych horyzontach i surowych zasadach, którą zresztą była; jednak w kącikach jej ust igrało coś, co — gdyby było trochę bardziej rozwinięte — można by uznać za oznakę poczucia humoru.

— Wszyscy mamy się całkiem dobrze — odparła Małgorzata. — To ja martwiłam się o ciebie, gdy zobaczyłam, że Mateusz dokądś wyjeżdża. Myślałam, że może jedzie do lekarza.

Usta Maryli drgnęły wymownie. Spodziewała się tej wizyty; wiedziała, że widok Mateusza odjeżdżającego w niewyjaśnionych okolicznościach będzie nie lada wyzwaniem dla ciekawości sąsiadki.

— Och, nie, czuję się całkiem dobrze, chociaż wczoraj bardzo bolała mnie głowa — przyznała. — Mateusz pojechał do Bright River. Adoptowaliśmy małego chłopca z sierocińca w Nowej Szkocji. Przyjedzie dziś wieczorem pociągiem.

Gdyby Maryla powiedziała, że Mateusz udał się do Bright River, by spotkać kangura z Australii, Małgorzata nie mogłaby być bardziej zdumiona. Przez pięć sekund była wręcz oniemiała. Nie do pomyślenia było, że Maryla stroi sobie z niej żarty, lecz pani Linde była niemal skłonna dopuścić taką możliwość.

— Mówisz poważnie, Marylo? — zapytała, odzyskawszy głos.

— Tak, oczywiście — odpowiedziała Maryla, jakby zabieranie chłopców z przytułków dla sierot w Nowej Szkocji nie było czymś absolutnie niespotykanym, lecz częścią zwykłej wiosennej codzienności na każdej dobrze zarządzanej farmie w Avonlea.

Małgorzata miała wrażenie, że doznała silnego wstrząsu psychicznego. Myślała wykrzyknikami. Chłopiec! Maryla i Mateusz Cuthbertowie adoptują chłopca! Z sierocińca! Świat z pewnością stanął na głowie! Po tym już nic jej nie zaskoczy! Nic!

— Co, u licha, przyszło ci do głowy? — spytała z dezaprobatą.

Zostało to zrobione bez pytania jej o radę i z konieczności musiało spotkać się z dezaprobatą.

— Cóż, myśleliśmy o tym od jakiegoś czasu — właściwie przez całą zimę — odparła Maryla. — Pani Alexandra Spencer była tu dzień przed Bożym Narodzeniem i powiedziała, że zamierza na wiosnę zabrać małą dziewczynkę z przytułku w Hopeton. Mieszka tam jej kuzynka, a pani Spencer odwiedziła to miejsce i wie o nim wszystko. Więc Mateusz i ja od tamtej pory ciągle o tym rozmawialiśmy. Pomyśleliśmy, że weźmiemy chłopca. Mateusz ma już sześćdziesiąt lat i nie jest tak żwawy jak kiedyś. Serce bardzo mu dokuca. Wiesz, jak szalenie trudno jest o najemną pomoc. Nigdy nie można nikogo znaleźć, poza tymi głupimi, niedojrzałymi, małymi francuskimi chłopcami. A zanim go czegoś nauczysz, on już wyjeżdża do przetwórni homarów albo do Stanów. Na początku Mateusz zasugerował jakiegoś miejscowego chłopaka. Powiedziałam jednak stanowczo „nie”. Mogą być w porządku — nie mówię, że nie są — ale ja nie uznaję jakichś Arabów rodem z londyńskiej ulicy. Powiedziałam: „Daj mi przynajmniej rodowitego mieszkańca”. Bez względu na to, kogo wybierzemy, zawsze będzie się to wiązać z jakimś ryzykiem. Ale będę spała spokojnie w nocy, jeśli dostaniemy rodowitego Kanadyjczyka. Więc w końcu zdecydowaliśmy się poprosić panią Spencer, żeby wybrała dla nas kogoś, kiedy pojedzie po swoją córeczkę. W zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się, że pojechała, więc wysłaliśmy jej wiadomość przez ludzi Richarda Spencera w Carmody, by przywiozła nam inteligentnego, odpowiedniego chłopca w wieku około dziesięciu lub jedenastu lat. Zdecydowaliśmy, że to będzie najlepszy wiek — chłopiec na tyle duży, żeby przydać się w pracach domowych i jeszcze na tyle młody, by można go było odpowiednio wyszkolić. Zamierzamy dać mu dobry dom i wykształcenie. Dostaliśmy dziś telegram od pani Alexandry Spencer — listonosz przyniósł nam go ze stacji — z informacją, że przyjeżdżają dziś popołudniu pociągiem o piątą trzydzieści. Mateusz pojechał więc do Bright River, by się z nimi spotkać. Pani Spencer go tam podrzuci. Oczywiście sama też przyjedzie na stację White Sands.

Małgorzata szczyliła się tym, że zawsze mówi to, co myśli. Nie inaczej zanosilo się i tym razem, więc postanowiła zareagować odpowiednio do tej niesamowitej wiadomości.

— Cóż, Marylo, powiem ci wprost, że moim zdaniem postępujesz bardzo głupio — ryzykownie, ot co. Nie wiesz, na co się porywasz. Sprowadzasz obce dziecko do swojego domu i nic o nim nie wiesz — ani jakie ma usposobienie, ani jakich miało rodziców, ani jak potoczą się jego losy. W zeszłym tygodniu czytałam w gazecie, że pewien mężczyzna wraz z żoną, mieszkający na zachód od wyspy, zabrali chłopca z sierocińca, a on w nocy podpalił dom. Zrobił to celowo, Marylo, ci ludzie omal nie spłonęli w swoich łóżkach. Znam też inny przypadek, kiedy adoptowany chłopiec wysysał zawartość jajek — nie mogli go tego oduczyć. Gdybyś poprosiła mnie o radę w tej sprawie — czego nie zrobiłaś, Marylo — powiedziałabym, żebyś na litość boską nie zwracała sobie głowy czymś takim!

Hiobowe pocieszenie najwyraźniej nie uraziło ani nie zaniepokoiło Maryli, która kontynuowała niezłomnie.

— Nie zaprzeczam, że możesz mieć rację, Małgorzato. Ja też biłam się z myślami. Ale Mateusz już się na to strasznie napalił. Widziałam to, więc uległam. Mateusz tak rzadko się na coś decyduje, że kiedy już to robi, zawsze czuję, że powinnam mu ulec. A jeśli chodzi o ryzyko, to jest ono prawie we wszystkim, co człowiek robi na tym świecie. Istnieje ryzyko związane z posiadaniem przez ludzi własnych dzieci — jeśli do tego dojdzie, nie zawsze kończy się dobrze. No i Nowa Szkocja leży blisko Wyspy. To nie tak, jakbyśmy sprowadzali go z Anglii czy Stanów Zjednoczonych. Chłopiec nie może zbyt różnić się od nas.

— Cóż, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze — powiedziała Małgorzata tonem, który wyraźnie wskazywał, że w to nie wierzy. — Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam, jeśli puści z dymem Zielone Wzgórze albo wrzuci strychninę do studni... Słyszałam o przypadku w Nowym Brunswiku, gdzie dziecko z przytułku dla sierot tak właśnie postąpiło i cała jego rodzina zmarła w strasznych męczarniach. Tylko że to była dziewczynka.

— Cóż, nie dostaniemy dziewczynki — powiedziała Maryla, jakby zatrucie studni było typowo dziewczęcym zajęciem i nie należało się go obawiać w przypadku chłopca.

— Nigdy nie chciałam wziąć dziewczynki na wychowanie. Dziwię się pani Spencer, że to robi. Ale przecież ona nie wahałaby się zaadoptować całego przytułku dla sierot, gdyby tylko wpadła na taki pomysł.

Pani Linde najchętniej została u Maryli, dopóki Mateusz nie wróci do domu z tą ich importowaną sierotą. Ale biorąc pod uwagę, że do tego czasu miną co najmniej dwie godziny, postanowiła pójść do Roberta Bella i przekazać mu nowinę. Z pewnością wywoła to sensację nieporównywalną z żadną inną, a Małgorzata bardzo lubiła wzbudzać sensacje. Wyszła więc z domu, ku uciesze Maryli, która poczuła, że jej wątpliwości i obawy odżywiają pod wpływem pesymizmu jej sąsiadki.

— To niebywale! — wykrzyknęła do siebie Małgorzata, gdy znalazła się z powrotem na drodze. — Naprawdę mam wrażenie, jakbym śniła. Cóż, przykro mi z powodu tego biednego młodzieńca. Mateusz i Maryla nie mają bladego pojęcia o dzieciach i na pewno oczekują, że ten chłopiec będzie mądrzejszy i bardziej doświadczony niż jego własny dziadek — jeżeli w ogóle kiedykolwiek miał dziadka, w co wątpię. To niesamowite — myśleć o dziecku na Zielonym Wzgórzu! Nigdy żadne dziecko się tam nie pojawiło, ponieważ Mateusz i Maryla byli już dorośli, gdy został zbudowany nowy dom — zresztą, gdy się na nich patrzy, trudno uwierzyć, że kiedykolwiek byli dziećmi. Za nic nie chciałam być na miejscu tej sieroty. Żal mi go, ot co.

ROZDZIAŁ II ZDZIWIENIE MATEUSZA CUTHBERTA

Mateusz Cuthbert i jego kasztanka bez trudu pokonali liczącą trzynaście kilometrów malowniczą drogę do Bright River. Biegła ona między przytulnymi zagrodami, gdzieniegdzie przecinając pachnący balsamicznie las jodłowy i parowy, w których kwitły dzikie śliwy. Powietrze było słodkie od woni sadów jabłoniowych, a łąki opadały łagodnie, niknąc w oddali na horyzoncie wśród perłowych i purpurowych mgieł, podczas gdy:

Małe ptaszki śpiewały,
jakby tylko ten dzień lata na to miały.

Mateusz cieszył się na swój sposób tą jazdą, z wyjątkiem chwil, gdy musiał klaniać się napotkanym kobietom, ponieważ na Wyspie Księcia Edwarda musisz klaniać się wszystkim kobietom — znajomym czy obcym — które spotykasz na drodze.

Mateusz bał się wszystkich kobiet, oprócz Maryli i pani Linde. Miał nieprzyjemne wrażenie, że te tajemnicze istoty po kryjomu się z niego śmieją. Być może miał rację, myśląc w ten sposób, ponieważ wyglądał dość osobliwie; był mężczyzną o niezgrabnej posturze i długich, popielatych włosach, sięgających jego zgarbionych pleców, oraz gęstej, ciemnej brodzie, którą nosił, odkąd skończył dwadzieścia lat. Istotnie, w wieku dwudziestu lat wyglądał tak samo jak w wieku lat sześćdziesięciu, choć wtedy nie miał jeszcze siwizny.

Kiedy dotarł do Bright River, nie było tam śladu żadnego pociągu. Pomyślał, że jest za wcześnie, więc przywiązał konia na dziedzińcu hoteliku o tej samej nazwie i poszedł na stację. Długi peron wydawał się opustoszały. Jediną żywą istotą w zasięgu wzroku była dziewczynka siedząca na stosie gontów¹ na samym końcu peronu.

Mateusz, upewniwszy się, że to dziewczynka, przeszedł obok niej tak szybko, jak to możliwe, nie spoglądając nawet w jej stronę. Gdyby to zrobił, z pewnością zauważyłby napięcie i oczekiwanie w jej postawie i wyrazie twarzy. Siedziała tam i czekała na coś lub kogoś, a ponieważ siedzenie i czekanie było jedyną rzeczą, jaką miała do roboty w tej chwili, skupiała na tym całą swą uwagę.

Mateusz spotkał zawiadowcę stacji, który zamykał kasę biletową, myśląc już o powrocie do domu na kolację, i zapytał go, czy wkrótce pojawi się pociąg, który miał przybyć o siedemnastej trzydzieści.

— Pociąg o siedemnastej trzydzieści przyjechał i odjechał pół godziny temu — odpowiedział energiczny urzędnik. — Ale wysiadła z niego pasażerka: mała dziewczynka. Siedzi tam, na gontach. Poprosiłem ją, żeby poszła do poczekalni, ale poinformowała mnie z powagą, że woli zostać na zewnątrz. „Tam jest więcej miejsca dla mojej wyobraźni”, rzekła. Oryginalny dzieciak, nie ma co.

— Nie spodziewam się dziewczynki — powiedział bezbarwnym głosem Mateusz. — Przyszedłem po chłopca. Powinien już tu być. Pani Spencer miała przywieźć go z Nowej Szkocji.

Zawiadowca zagwizdał.

— Chyba zaszła jakaś pomyłka — powiedział. — Pani Spencer wysiadła z pociągu z tą dziewczynką i oddała ją pod moją opiekę. Powiedziała, że pan i pańska siostra wzięliście ją na wychowanie z przytułku dla sierot, i że wkrótce po nią przyjedziecie. To wszystko, co wiem na ten temat, a nie mam tu więcej ukrytych sierot.

— Nie rozumiem — powiedział bezradnie Mateusz, żałując, że nie ma pod ręką Maryli, która wiedziałaby, co zrobić w tej sytuacji.

— Cóż, lepiej niech pan przepyta dziewczynkę — powiedział beztrząsco zawiadowca. — Śmiem twierdzić, że będzie w stanie to wyjaśnić: potrafi mówić, to pewne. Może nie mieli chłopca, o którego panu chodziło.

Odszedł żwawo, czując głód, a nieszczęsnemu Mateuszowi pozostało zrobić coś, co było dla niego trudniejsze niż pokonanie lwa w jego jaskini — podejść do dziewczynki, obcej dziewczynki, w dodatku sieroty, i zapytać ją, dlaczego nie jest chłopcem. Mateusz jęknął w duchu, gdy odwrócił się i ostrożnie zszedł z platformy, udając się w jej kierunku.

Przeglądała mu się, odkąd ją minął, i teraz też spoglądała na niego. Mateusz zaś nie patrzył na nią, lecz nawet gdyby odważył się to zrobić, nie widziałby, jak naprawdę wygląda. Przeciętny obserwator zobaczyłby zaś dziecko w wieku około jedenastu lat, ubrane w bardzo krótką, bardzo obcisłą i bardzo brzydką sukienkę z szarżółtego materiału. Dziewczynka miała na głowie wyblakły brązowy marynarski kapelusz, spod którego spływały na plecy dwa warkocze bardzo gęstych i zdecydowanie rudych włosów. Twarz dziewczynki

¹gont — deseczka uformowana w odpowiedni sposób, by łączyć się ściśle z innymi, układanymi obok tak, by nachodziły jedna na drugą; materiał do wykonywania pokryć dachowych. [przypis edytorski]

była drobna, blada i szczupła, a do tego pokryta masą piegów. Miała duże usta, podobnie jak oczy, które w zależności od oświetlenia i nastroju wyglądały na zielone albo szare.

Bystry obserwator zaś mógłby dostrzec, że jej podbródek był ostry i wydatny, duże oczy żywe i pełne energii, wyraziste usta pełne słodczy, a czoło wysokie, świadczące o znacznej inteligencji. Krótko mówiąc, nasz wnikliwy obserwator mógłby dojść do wniosku, że wewnątrz tej zabłąkanej istoty, której nieśmiały Mateusz Cuthbert tak niedorzecznie się bał, zamieszkiwała niezwykle dusza.

Mateuszowi oszczędzono jednak męki zagajenia rozmowy, bo gdy tylko dziewczynka zorientowała się, że do niej podchodzi, wstała, chwytając jedną chudą rączką obскую, staromodną torbę podróżną, drugą zaś wyciągnęła do niego.

— Przypuszczam, że pan Mateusz Cuthbert z Zielonego Wzgórza? — odezwała się wyjątkowo dźwięcznym i miłym głosem. — Bardzo się cieszę, że pana widzę. Zaczynałam się obawiać, że pan po mnie nie przyjedzie i wyobrażałam sobie przeszkody, które mogły stanąć panu na drodze. Wymyśliłam sobie, że jeśli nie przyjedzie pan po mnie dziś wieczór, pójdę ścieżką do tej wielkiej dzikiej wiśni na zakręcie i wdrapię się na nią, by spędzić tam noc. Nie bałabym się ani trochę. Byłoby cudownie spać wśród kwitnących wiśni w blasku księżyca, nie sądzi pan? Mogłabym sobie wyobrazić, że mieszkam w marmurowych komnatach, prawda? I byłabym spokojna, że przyjedzie pan po mnie jutro rano.

Mateusz niezręcznie ujął tę małą, chudą rączkę w swoje dłonie. Bez dłuższego namysłu zdecydował, co robić. Nie mógł powiedzieć temu dziecku o błyszczących oczach, że zaszła pomyłka. Zabierze ją do domu i pozwoli, żeby Maryla to zrobiła. Nie mógł jej zostawić w Bright River, bez względu na to, jaki błąd popełniono, więc wszystkie pytania i wyjaśnienia równie dobrze można było odłożyć do czasu, aż bezpiecznie wróci na Zielone Wzgórze.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział nieśmiało. — Chodź ze mną. Koń czeka na podwórzu. Daj mi swoją torbę.

— Och, mogę ją nieść — odpowiedziało wesoło dziecko. — Nie jest ciężka. Mam w niej wszystkie moje dobra doczesne, ale nie ważą one zbyt dużo. A jeśli nie jest noszona w określony sposób, rączka się wysuwa — więc lepiej ją zatrzymam, bo wiem, jak to zrobić. To bardzo stara torba. Och, bardzo się cieszę, że pan przyjechał, nawet jeśli byłoby miło spać na tej dzikiej wiśni. Musimy pokonać spory kawałek, prawda? Pani Spencer mówiła, że to trzynaście kilometrów. Świetnie się składa, bo uwielbiam jeździć. Och, to takie cudowne, że będę z wami mieszkać i w ogóle będę wasza. Nigdy do nikogo nie należałam tak naprawdę. A najgorszy był sierociniec. Spędziłam w nim tylko cztery miesiące, ale to wystarczyło. Przypuszczam, że nigdy nie był pan sierotą w przytułku, więc nie może pan zrozumieć, jak to jest. To gorsze niż cokolwiek, co można sobie wyobrazić. Pani Spencer powiedziała, że to niegodziwe, że tak mówię, ale ja nie chciałam być niegodziwa. Tak łatwo jest być niegodziwym, nie zdając sobie z tego sprawy, prawda? Ludzie z przytułku byli dla mnie dobrzy, ale tam jest tak mało miejsca na wyobraźnię. Co najwyżej można tylko snuć fantazje o innych sierotach. To było całkiem interesujące wyobrażać sobie różne rzeczy na ich temat. Na przykład, że śpiąca obok mnie dziewczynka była naprawdę córką jakiegoś księcia, wykradzioną rodzicom jako niemowlę przez okrutną pielęgniarkę, która zmarła, zanim zdążyła się do tego przyznać. Takie rzeczy wyobrażałam sobie w nocy, ponieważ w ciągu dnia nie miałam na to czasu. Chyba dlatego jestem taka strasznie chuda, bo jestem chuda, prawda? Sama skóra i kości! Ale uwielbiam wyobrażać sobie, że jestem ładna i pulchna, z dołeczkami w łokciach...

Dziewczynka zamilkła, po części dlatego, że brakowało jej tchu, a częściowo dlatego, że właśnie dotarli do bryczki. Nie odezwała się ani słowem, dopóki nie opuścili wioski i nie zjechali w dół stromego wzgórza. Droga tak głęboko wrzyną się tu w miękki grunt, że kwitnące dzikie wiśnie i smukłe białe brzozy, otaczające jej brzegi, znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów nad ich głowami.

Dziewczynka wyciągnęła rękę i odłamała gałąź dzikiej śliwy, która otarła się o bok powozu.

— Czyż to nie piękne? Co to drzewo, wychylające się znad krawędzi drogi, całe białe, niczym w koronkach, przywodzi panu na myśl? — zapytała.

— Nie mam pojęcia — odparł zgodnie z prawdą Mateusz.

— Oczywiście pannę młodą! Całą w bieli, z pięknym koronkowym welonem. Nigdy takiej nie widziałam, ale mogę sobie wyobrazić, jak by wyglądała. Nie spodziewam się, żebym kiedykolwiek była panną młodą. Jestem taka pospolita, że nikt nigdy nie będzie chciał się ze mną ożenić, chyba że jakiś zagraniczny misjonarz. Przypuszczam jednak, że zagraniczny misjonarz może nie być nikim szczególnym. Ale mam nadzieję, że pewnego dnia będę miała białą sukienkę. To mój najwyższy ideał ziemskiego szczęścia. Ja po prostu kocham ładne ubrania. I nigdy w życiu nie miałam ładnej sukienki, więc tym bardziej nie mogę się doczekać. Teraz mogę jedynie wyobrazić sobie, że jestem wspaniale ubrana. Dziś rano, kiedy wyszłam z sierocińca, było mi tak bardzo wstyd, bo musiałam założyć tę okropną, starą sukienkę. Wszystkie sieroty musiały je nosić. Zeszłej zimy kupiec z Hopeton podarował przytulкови trzysta metrów materiału. Niektórzy mówili, że to dlatego, że nie mógł go sprzedać, ale ja wolę wierzyć, że zrobił to z dobroci serca, prawda? Kiedy wsiedliśmy do pociągu, czułam, że każdy, kto na mnie spojrzy, ulituje się nade mną. Ale wyobraziłam sobie, że mam na sobie najpiękniejszą bladoniebieską, jedwabną sukienkę (bo kiedy coś sobie wyobrażamy, to myślimy o czymś najpiękniejszym), do tego wielki kapelusz przybrany kwiatami i zwiewnymi piórami, złoty zegarek, dziecięce rękawiczki i buty. Od razu poczułam się lepiej i z całych sił cieszyłam się podróżą na wyspę. Płynąc promem, nie byłam ani trochę chora. Pani Spencer też nie, choć zazwyczaj jej się to zdarza. Powiedziała, że nie miała czasu, żeby chorować, bo musiała nieustannie uważać, żebym nie wypadła za burtę. Stwierdziła też, że nigdy nie widziała tak ruchliwego dziecka. Ale jeśli to uchroniło ją przed chorobą morską, to chyba dobrze, że się tak kręciłam, prawda? I chciałam zobaczyć wszystko, co można było zobaczyć na tym statku, bo nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę miała jeszcze taką okazję... Och, jest tu o wiele więcej kwitnących drzew wiśniowych! Ta wyspa to kwitnący ogród. Już się w niej zakochałam i jestem szczęśliwa, że tu zamieszkam. Zawsze słyszałam, że Wyspa Księcia Edwarda to najładniejsze miejsce na świecie, i wyobrażałam sobie, że tu mieszkam, ale tak naprawdę nigdy nie spodziewałam się, że tak będzie. To wspaniale, gdy nasze marzenia się spełniają, prawda? Ależ te czerwone drogi są dziwne! Kiedy wsiedliśmy do pociągu w Charlottetown i ukazały się naszym oczom, zapytałam panią Spencer, dlaczego są czerwone, a ona odpowiedziała, że nie wie i żebym na litość boską o nic więcej nie pytała. Powiedziała, że zadałam jej już tysiąc pytań. Być może, ale jak można dowiedzieć się czegoś o różnych rzeczach, nie zadając pytań na ich temat? No i co sprawia, że te drogi są czerwone?

— Naprawdę nie wiem — powiedział Mateusz.

— A to tylko jedna z rzeczy, których trzeba się kiedyś dowiedzieć. Czyż to nie wspaniale, myśleć o wszystkich rzeczach, o których można się czegoś dowiedzieć? To sprawia, że cieszę się, że żyję: świat jest taki interesujący. Nie byłby taki nawet w połowie, gdybyśmy wiedzieli wszystko o wszystkim, zgodzi się pan ze mną? Nie byłoby wtedy miejsca na wyobraźnię. Ale czy ja nie mówię za dużo? Ludzie na ogół uważają, że jestem zbyt gadatliwa. Wolałby pan, żebym nic nie mówiła? Jeśli tak, to przestanę. Mogę przestać, kiedy tak postanowię, choć będzie to trudne.

Mateusz, ku własnemu zaskoczeniu, dobrze się bawił. Jak większość spokojnych osób, lubił gadatliwych ludzi, którzy byli gotowi sami mówić i nie oczekiwali od niego, że zabierze głos. Ale nigdy nie spodziewał się, że będzie go cieszyć towarzystwo małej dziewczynki. Kobiety były wystarczająco okropne, ale dziewczynki były jeszcze gorsze! Nie znosił ich. Nie znosił tego, w jaki nieśmiały sposób przechodziły obok niego, zerkając z ukosa, jakby się bały, że je poźre, jeśli tylko odważą się odezwać do niego choćby słowem. To był typ dobrze wychowanej dziewczynki z Avonlea. Ale ta piegowata istota była zupełnie inna i chociaż powolnemu Mateuszowi trudno było nadążyć za jej błyskawicznymi procesami myślowymi, doszedł do wniosku, że w pewnym sensie lubi jej paplaninę. Powiedział więc nieśmiało:

— Możesz mówić, ile chcesz. Nie mam nic przeciwko temu.

— Och, tak się cieszę. Wiem, że będziemy się dobrze dogadywać. To taka ulga móc rozmawiać, kiedy się chce i nie być przy tym pouczanym, że dzieci należy widzieć, a nie słyszeć. Mówiono mi to milion razy. Ludzie śmieją się ze mnie, bo używam wielkich słów. Ale jeśli mówisz o wielkich ideach, musisz używać wielkich słów, by je wyrazić, prawda?

— Wydaje się to rozsądne — zgodził się Mateusz.

— Pani Spencer powiedziała, że nie umiem trzymać języka za zębami. Ale to nieprawda. Kiedy tylko zamykam usta, mój język od razu jest za zębami. Pani Spencer mówiła, że wasza posiadłość nosi nazwę Zielone Wzgórze. Wypytywałam ją o nią. Powiedziała, że wokół rosną drzewa. Ucieszyłam się bardziej niż kiedykolwiek. Po prostu kocham drzewa! Wokół sierocińca nie było ich w ogóle, tylko kilka biednych, malutkich drzewek przy głównym wejściu, wspartych małymi, pobielonymi podpórkami. Te drzewa wyglądały jak sieroty. Chciało mi się płakać, gdy na nie patrzyłam. Mówiłam do nich: „Och, wy biedactwa! Gdybyście znalazły się w wielkim lesie, razem z innymi drzewami, mchami i czerwcowymi konwaliami porastającymi wasze korzenie, strumykiem nieopodal i ptakami śpiewającymi w waszych gałęziach, mogłybyście rosnąć, prawda? Ale tu, gdzie jesteście, nie ma takiej możliwości. Wiem dokładnie, jak się czujecie, małe drzewa”. Żał mi było zostawiać je za sobą dziś rano. Człowiek przywiązuje się do takich rzeczy, prawda? Czy w pobliżu Zielonego Wzgórza jest jakiś strumyk? Zapomniałam zapytać o to panią Spencer.

— Tak, jest jeden tuż pod domem.

— To fantastycznie. Zawsze marzyłam o tym, żeby mieszkać w pobliżu strumyka. Nigdy jednak nie spodziewałam się, że tak będzie. Marzenia nieczęsto się spełniają, prawda? Czy nie byłoby miło, gdyby się spełniały? Ale właśnie teraz czuję się prawie szczęśliwa. Nie mogę czuć się całkowicie szczęśliwa, ponieważ... jak by pan nazwał ten kolor?

To mówiąc, machnęła jednym ze swoich długich, błyszczących warkoczów przed oczami mężczyzny. Mateusz nie zwykł decydować o odcieniach dziewczęcych warkoczów, ale w tym przypadku nie mogło być większych wątpliwości.

— Jest rudy, czyż nie? — powiedział.

Dziewczyna odrzuciła warkocz do tyłu z głębokim westchnieniem, które zdawało się przenikać całe jej ciało i wyrażać wszystkie smutki świata.

— Tak, jest rudy — powiedziała zrezygnowana. — Teraz widzi pan, dlaczego nie mogę być w pełni szczęśliwa. Nikt nie może być szczęśliwy, mając rude włosy. Nie przeszkadzają mi piegi, zielone oczy ani moja waga. Wyobrażam sobie, że mam delikatną cerę barwy płatków róży i fiołkowe oczy, w których odbijają się gwiazdy. Ale nie mogę sobie wyobrazić tych rudych włosów w innym kolorze. Staram się jak mogę. Myślę sobie: „Teraz moje włosy są idealnie czarne, jak skrzydła kruka”. Ale wiem, że one są po prostu czerwone jak ogień i to łamie mi serce. To jest tragedią mojego życia. Czytałam kiedyś powieść o dziewczynce, która też przeżywała życiową tragedię z powodu włosów, ale one nie były rude, lecz w kolorze czystego złota, i opadały na jej alabastrowe czoło. Co to jest alabastrowe czoło? Nigdy nie mogłam się tego dowiedzieć. Może mi pan powiedzieć?

— Obawiam się, że nie mogę — odparł Mateusz, któremu zaczęło kręcić się w głowie. Czuł się tak, jak kiedyś w młodości, gdy inny chłopiec zwał go na karuzelę podczas pikniku.

— Cokolwiek to było, musiało oznaczać komplement, ponieważ dziewczynka była bosko piękna. Czy kiedykolwiek wyobrażał pan sobie, jakie to uczucie być bosko pięknym?

— Nie, nie wyobrażałem sobie — przyznał skromnie Mateusz.

— A ja często. Kim wolałby pan być, mając taki wybór: bosko pięknym, olśniewająco mądrym czy anielsko dobrym?

— Szczerze mówiąc, nie wiem.

— Ja też nie. Nigdy nie mogę się zdecydować. Ale to nie ma większego znaczenia, ponieważ jest mało prawdopodobne, że kiedykolwiek stanę przed takim wyborem. Pewne jest tylko, że nigdy nie będę anielsko dobra. Pani Spencer mówi, że... Och, panie Cuthbert! Och, panie Cuthbert! Och, panie Cuthbert!

Okrzyk, który wyrwał się z jej ust nie był komentarzem do tego, co powiedziała pani Spencer. Dziewczynka nie wypadła też z powozu, ani Mateusz nie uczynił nic zaskakującego. Po prostu pokonali zakręt na drodze i znaleźli się w Alei.

„Aleja”, nazywana tak przez mieszkańców Newbridge, była odcinkiem drogi o długości czterystu metrów, nad którym pochyły się ogromne, rozłożyste jabłonie, posadzone lata temu przez pewnego starego, ekscentrycznego farmera. Nad ich głowami rozpościerał się długi baldachim śnieżnobiałych, pachnących kwiatów. Poniżej konarów powietrze

Piękno

wypełniał purpurowy zmierzch, w oddali zaś, daleko przed nimi, lśniło niebo, malowane zachodzącym słońcem, niczym wspaniały witraż zamykający nawę katedry.

To piękno sprawiło, że dziewczynka na chwilę zamilkła. Odchyliła się do tyłu w powozie, spłotła dłonie na kolanach i uniosła z zachwytem twarz ku białej wspaniałości naturalnego sklepienia. Nawet gdy już zjechali z drogi i skierowali się w dół długiego zbocza do Newbridge, nie poruszyła się ani nie odezwała. Z malującym się na jej twarzy zachwytem wpatrywała się dalej w zachód słońca, a przed jej oczami przesuwali się cudowne wizje wyobraźni na tle płonącego nieba.

W całkowitej ciszy przejechali przez Newbridge, tętniące życiem małe miasteczko, w którym powitało ich szczekanie psów i okrzyki małych chłopców, a z wielu okien spoglądały na nich zaciekawione twarze. Przebyli już prawie pięć kilometrów, a dziewczynka wciąż milczała jak zakłeta. Widać było, że potrafi milczeć równie długo, jak mówić.

— Pewnie jesteś zmęczona i głodna — odważył się w końcu zagaic Mateusz, nie mogąc inaczej wytłumaczyć sobie jej otępienia. — Ale jesteśmy już blisko, zostały nam jeszcze tylko niespełna dwa kilometry.

Z głębokim westchnieniem dziewczynka wyrwała się z zadumy i spojrzała na niego rozmarzonym wzrokiem istoty, która bujała gdzieś daleko, w gwiazdnych przestworzach.

— Och, panie Cuthbert — wyszeptala — to miejsce, przez które jechaliśmy...

— Cóż, masz zapewne na myśli Aleję — odparł Mateusz po kilku chwilach głębszej refleksji. — To w istocie całkiem ładne miejsce.

— Ładne? Och, „ładne” nie wydaje się właściwym słowem. Ani nawet „piękne”. Oba są niewystarczające. To było coś cudownego. Ujrzałam na własne oczy pierwszą rzecz, której nie dałoby się ulepszyć wyobraźnią. — Położyła rękę na piersi. — Jadąc tą Aleją, poczułam tutaj dziwny, lecz przyjemny zarazem ból. Czy czuł pan kiedyś taki ból, panie Cuthbert?

— Nie, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek odczuwał coś takiego.

— A ja miewam go często, gdy widzę coś naprawdę pięknego. Ale nie powinienam nazywać tego cudnego miejsca Aleją. Taka nazwa nie ma żadnego znaczenia. Powinno się ono nazywać, niech pomyślę... Białą Drogą Rozkoszy. Czyż nie jest to ładna, pomysłowa nazwa? Kiedy nie podoba mi się czyjeś imię albo jakaś nazwa, zawsze wyobrażam sobie nowe i nimi się posługuję. W przytulku była dziewczyna, która nazywała się Hepziba Jenkins, ale ja zawsze wyobrażałam ją sobie jako Rosalię DeVere. Inni ludzie mogą nazywać to miejsce po swojemu, ale ja zawsze będę nazywać je Białą Drogą Rozkoszy. Czy naprawdę zostały nam jeszcze tylko dwa kilometry do domu? Cieszę się tym i martwię jednocześnie. Przykro mi, bo ta jazda była taka przyjemna, a ja zawsze żałuję, gdy kończą się przyjemne rzeczy. Wprawdzie zawsze może się zdarzyć coś jeszcze przyjemniejszego, ale nigdy nie można być tego pewnym. I często jest tak, że wcale nie okazuje się to przyjemniejsze. Takie jest w każdym razie moje doświadczenie. Ale cieszę się, że jadę do domu. Odkąd pamiętam, nigdy nie miałam prawdziwego domu. Na samą myśl o powrocie do prawdziwego domu znów czuję ten przyjemny ból. Och, czyż to nie piękne?!

Wjechali na wierzchołek wzgórza. Pod nimi znajdował się staw, wyglądający prawie jak rzeka, taki był długi i kręty. Pośrodku przecinał go mostek. Poniżej, aż do miejsca, gdzie bursztynowy pas piaszczystych wydmy odgradzał go od szafirowej zatoki morskiej, woda mieniła się wszelkimi barwami tęczy — fioletu, różu, szkarłatu, zieleni — w nieuchwytnych odcieniach, dla których nigdy nie znaleziono odpowiedniej nazwy. Powyżej mostku staw wciskał się pomiędzy jodły i klony, prześwitując pośród cieni rzucanych przez poruszające się gałęzie. Tu i ówdzie dzika śliwa wychylała się znad brzegu, niczym ubrana na białą młodą damę, która wspina się na palce, żeby dostrzec własne odbicie. Z bagien w pobliżu stawu dobiegał czysty, melancholijny chór żab.

Zza okrytego białym kwieciami jabłoniowego sadu na zboczu wylaniał się mały, szary domek. I choć nie było jeszcze całkiem ciemno, w jednym z okien świeciło się światło.

— To staw Barry’ego — wyjaśnił Mateusz.

— Ta nazwa też mi się nie podoba. Nazwę go... niech pomyślę... Jezioro Lśniących Wód. Tak, to właściwa nazwa. Wiem to z powodu dreszczyku emocji, jaki czuję, kiedy trafiam na nazwę, która według mnie idealnie pasuje. Czy kiedykolwiek coś przyprawia pana o dreszczyk emocji?

Mateusz zastanowił się przez chwilę.

— Tak, zdarzyło mi się to. Zawsze wywołuje we mnie dreszcze widok tych brzydkich białych larw, które wylażą z grządek ogórków. Nie cierpię ich wyglądu.

— Och, nie sądzę, że to dokładnie ten sam rodzaj dreszczyku. To niemożliwe! Raczej nie istnieje żaden związek między larwami a lśniącymi wodami. Ale dlaczego inni nazywają ten staw Stawem Barry'ego?

— Pewnie dlatego, że w tym małym domu mieszka pan Barry. Jego posiadłość nazywa się Sosnowe Wzgórze. Gdyby nie ten gęsty zagajnik za nim, można by stąd zobaczyć Zielone Wzgórze. Ale trzeba przejść przez mostek i pójść drogą, więc to prawie kilometr dalej.

— Czy pan Barry ma jakieś małe córeczki? No, może nie takie małe, mniej więcej mojego wzrostu.

— Ma córkę w wieku około jedenastu lat. Ma na imię Diana.

— Och! — westchnęła przeciągle dziewczynka. — Cóż za piękne imię!

— No cóż, ja tam nie wiem. Wydaje mi się, że jest w nim coś okropnie pogańskiego. Wolałabym, żeby nazywała się Jane lub Mary, albo jakoś tak zwyczajnie. Ale kiedy urodziła się Diana, mieszkał tam nauczyciel, którego poproszono o wybór imienia, i to on nazwał ją tak nazwał.

— Żałuję, że nie było takiego nauczyciela tam, gdzie ja się urodziłam. Jesteśmy na moście. Zamknę mocno oczy. Zawsze bałam się przechodzić przez most. Nie mogę przestać sobie wyobrażać, że gdy dotrzemy do środka, złoży się jak scyzoryk i nas zmiażdży. Więc zamykam oczy, ale zerkam spod przymkniętych powiek, kiedy myślę, że zbliżamy się do środka. Bo widzi pan, jeśli most by się złożył, chciałabym to zobaczyć... Ach, cóż za wesołe dudnienie! Zawsze lubiłam ten odgłos. Czy to nie wspaniałe, że jest na tym świecie tyle rzeczy, które można lubić? To już koniec. Teraz spojrzę za siebie. Dobranoc, drogie Jezioro Lśniących Wód. Zawsze mówię dobranoc rzeczom, które kocham, tak jak ludziom. Ta woda wygląda, jakby się do mnie uśmiechała.

Kiedy wjechali na kolejne wzgórze i minęli jeszcze jeden zakręt, Mateusz powiedział:

— Jesteśmy już całkiem blisko domu. To jest Zielone Wzgórze nad...

— Och, proszę nic nie mówić — przerwała mu dziewczynka, chwytając mężczyznę za lekko uniesioną rękę, i zamknęła oczy, żeby nie widzieć jego gestu. — Niech zgadnę. Jestem pewna, że zgadnę.

Otworzyła oczy i rozejrzała się. Znajdowali się na szczycie wzgórza. Słońce zaszło już jakiś czas temu, ale krajobraz był nadal wyraźny w łagodnym świetle. Na zachodzie wznosiła się ciemna iglica kościoła na tle nieba w kolorze nagietków. Poniżej znajdowała się niewielka dolina, a za nią długie, łagodnie wznoszące się zbocze, z rozrzuconymi wzdłuż niego gospodarstwami. Oczy dziecka przesunęły się łąpczywie od jednego z nich do drugiego. W końcu zatrzymały się na jednej z farm, położonej z dala od drogi, z kwitnącymi drzewami w półmroku otaczającego lasu. Nad nim, na nieskazitelnie czystym południowo-zachodnim niebie świeciła wielka, krystalicznie biała gwiazda, jak światło nadziei i obietnicy.

— To tam, prawda? — powiedziała, wskazując na farmę.

Mateusz popędził klacz.

— Zgadłaś! Ale myślę, że pani Spencer opisała to miejsce tak, byś mogła się domyślić.

— Nie, nie opisała. Naprawdę nie opisała. Wszystko, co powiedziała, mogło równie dobrze dotyczyć większości innych miejsc. Nie miałam pojęcia, jak ono wygląda. Ale gdy tylko je zobaczyłam, poczułam, że to mój dom. Och! Wydaje mi się, jakbym była we śnie. Moja ręka musi być sina od łokcia w górę, bo szczypałam się dziś tyle razy. Co chwilę ogarniało mnie okropne uczucie. Bałam się, że to tylko sen. Wtedy szczypałam się, żeby sprawdzić, czy to się dzieje naprawdę, aż nagle uświadomiłam sobie, że nawet jeśli to tylko sen, lepiej śnić tak długo, jak się da, więc przestałam się szczypać. Ale to wszystko jest prawdziwe i jesteśmy już prawie w domu.

Westchnęła zachwycona, po czym pogrążyła się w ciszy. Mateusz poruszył się niespokojnie. Cieszył się, że to Maryla, a nie on, będzie musiała powiedzieć tej sierocie, że jej wyśniony dom nie będzie należał do niej. Gdy przejeżdżali obok domu pani Linde, było już całkiem ciemno, ale nie na tyle, żeby Małgorzata nie widziała ich z okna, jak wjeżdżają długą aleją prowadzącą na Zielone Wzgórze.

Kiedy dotarli do domu, Mateusz poczuł dziwne drżenie, którego natury nie rozumiał. Nie myślał wówczas ani o Maryli, ani o sobie, ani o kłopotach, jakie przysporzy im przyjazd tej dziewczynki, tylko o tym, jak bardzo poczuje się ona rozczarowana. Na myśl o tym, że w jej oczach zgaśnie zachwyt i światło nadziei, poczuł nieprzyjemne ukłucie, jakby sam miał wziąć udział w popełnieniu tej zbrodni. To samo uczucie towarzyszyło mu, gdy musiał zabić jagnię, cielę lub inne niewinne, małe stworzenie.

Gdy wjechali na podwórze, było już niemal zupełnie ciemno, a wokół szeleściły liście topoli.

— Niech pan posłucha, jak drzewa rozmawiają przez sen — wyszeptała dziewczynka, kiedy Mateusz pomógł jej wysiąść z powozu. — Jakież one muszą mieć piękne sny!

A potem, ściskając mocno starą torbę, która zawierała wszystkie jej „dobra doczesne”, poszła za nim do domu.

ROZDZIAŁ III ZASKOCZENIE MARYLI CUTHBERT

Gdy Mateusz otworzył drzwi, Maryla ruszyła żwawo na jego spotkanie. Lecz kiedy spojrzała na dziwną, drobną postać w sztywnej, brzydkiej sukience, z długimi warkoczami rudych włosów i błyszczącymi oczami, zatrzymała się w osłupieniu.

— Mateuszu, kto to jest?! — wykrzyknęła. — Gdzie jest chłopiec?

— Nie było żadnego chłopca — powiedział nieśmiało Mateusz. — Była tylko ona.

Skinął na dziecko, przypominając sobie, że do tej pory nawet nie zapytał jej o imię.

— Żadnego chłopca? Przecież musiał być chłopiec — upierała się Maryla. — Wyśłaliśmy wiadomość do pani Spencer, żeby przywiozła chłopca.

— No, ale nie zrobiła tego. Przyjechała z nią właśnie ta dziewczynka. Tak powiedział zawiadowca stacji. Musiałem zabrać ją do domu. Nie mogłem jej tam zostawić, bez względu na to, gdzie i dlaczego nastąpiła pomyłka.

— Ależ to niemożliwe! — wykrzyknęła Maryla.

Podczas tej rozmowy dziecko milczało, przenosząc wzrok z jednej osoby na drugą, a z jej twarzy zniknęło całe ożywienie. Nagle chyba dotarło do niej znaczenie tego, co zostało powiedziane. Upuszczając swoją drogocenną torbę na dywan, zrobiła kilka kroków do przodu i zacisnęła dłonie.

— Nie chcecie mnie! — zawołała. — Nie chcecie mnie, bo nie jestem chłopcem! Mogłam się tego spodziewać. Nikt nigdy mnie nie chciał. Wiedziałam, że to wszystko było zbyt piękne, by trwać. Wiedziałam, bo tak naprawdę nikt mnie nie chciał. Och, co ja mam zrobić? Zamierzam zalać się łzami!

I tak się stało. Usiadła na krześle przy stole i chowając twarz w dłoniach, zaczęła rozpaczliwie płakać.

Maryla i Mateusz wymienili ponad piecem zakłopotane spojrzenia. Żadne z nich nie wiedziało, co ma powiedzieć ani zrobić. W końcu Maryla przerwała milczenie.

— Uspokój się, cicho, nie ma potrzeby tak płakać.

— A właśnie, że jest taka potrzeba!

Dziecko energicznie podniosło głowę, ukazując zalaną łzami twarz i drżące usta.

— Pani też by płakała, gdyby była pani sierotą i przybyła do miejsca, o którym myślała pani, że będzie jej domem, po czym okazało się, że pani tam nie chcą, bo nie jest pani chłopcem. Och, to jest najbardziej tragiczna rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła!

Na posępnej twarzy kobiety pojawiło się coś w rodzaju dawno niewidzianego, delikatnego uśmiechu.

— Nie płacz już. Nie zamierzamy wyrzucić cię na dwór w środku nocy. Będziesz musiała tu zostać, dopóki nie zbadamy tej sprawy. Jak masz na imię?

Dziewczynka zawałała się przez chwilę.

— Czy możecie nazywać mnie Kordelią? — spytała szybko.

— Nazywać cię Kordelią? Tak masz na imię?

— Nie, to nie jest dokładnie moje imię, ale chciałabym być tak nazywana. Kordelia to takie eleganckie imię.

— Nie rozumiem. Jeśli nie masz na imię Kordelia, to jak?

Rozczarowanie

Imię

— Anna Shirley — niechętnie wymamrotała właścicielka tego imienia — ale, proszę, niech pani nazywa mnie Kordelią. Dla pani nie ma większego znaczenia, jak będzie się pani do mnie zwracać, skoro zostanę tu tylko na chwilę, prawda? Anna to takie mało romantyczne imię!

— Romantyczne czy nie — odparła nieromantyczna Maryla — to naprawdę dobre i skromne imię. Nie powinnaś się go wstydzić.

— Och, wcale się go nie wstydzę — wyjaśniła dziewczynka — ale wolę Kordelię. Zawsze wyobrażałam sobie, że mam na imię Kordelia. Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że jestem Geraldine, ale teraz bardziej podoba mi się Kordelia. Ale jeśli chce pani nazywać mnie Anną, proszę przynajmniej nie zdrabniać go „Andziu”.

— A co to za różnica, jak się je zdrabnia? — zapytała Maryla, podnosząc do ust filiżankę z herbatą, z tym samym co przed chwilą, delikatnym uśmiechem.

— Och, ogromna! Tak brzmi o wiele ładniej. Kiedy słyszysz, jak ktoś wymawia twoje imię, możesz zobaczyć je w myślach, zupełnie jakby było wydrukowane. „Andzia” wygląda okropnie, za to „Ania” o wiele sympatyczniej. Jeśli tylko będzie pani nazywać mnie Anią, a nie Andzią, postaram się pogodzić z tym, że nie będę nazywana Kordelią.

— Dobrze więc, Aniu, czy możesz nam powiedzieć, jak doszło do tej pomyłki? Wysłaliśmy wiadomość do pani Spencer, żeby sprowadziła nam chłopca. Czy w przytułku nie było chłopców?

— Ależ było ich wielu! Lecz pani Spencer oświadczyła, że pragniecie państwo wziąć dziewczynkę w wieku około jedenastu lat. I wtedy dyrektorka sierocińca powiedziała, że ja się najlepiej nadaję. Nawet pani nie wie, jaka byłam zachwycona. Z radości nie mogłam spać całą noc. Och — dodała z wyrzutem, zwracając się do Mateusza — dlaczego nie powiedział mi pan na dworcu, że mnie nie chcecie i nie zostawił mnie pan tam? Gdybym nie ujrzała Białej Drogi Rozkoszy i Jeziora Lśniących Wód, może nie byłoby to dla mnie takie trudne.

— O czym ona mówi? — zapytała Maryla, wpatrując się ze zdumieniem w Mateusza.

— Ona... przypomina fragmenty rozmowy, którą odbyliśmy po drodze — odpowiedział pospiesznie Mateusz. — Zaprowadzę klacz do stajni, Marylo. Przygotuj herbatę.

— Czy pani Spencer zabrała z sierocińca kogoś oprócz ciebie? — spytała Maryla, kiedy Mateusz wyszedł.

— Wzięła dla siebie Lily Jones. Lily ma dopiero pięć lat, jest bardzo ładna i ma orzechowo brązowe włosy. Czy gdybym ja była bardzo ładna i miała orzechowo brązowe włosy, zatrzymałibyscie mnie?

— Nie. Chcemy chłopca do pomocy Mateuszowi na farmie. Dziewczynka byłaby dla nas nieprzydatna. Zdejmij kapelusz. Połóż go razem z twoją torbą na stole w holu.

Ania potulnie zdjęła kapelusz. Wkrótce wrócił Mateusz i wspólnie usiedli do kolacji. Ale dziewczynka nie mogła niczego przełknąć. Na próżno skubała chleb z masłem i dziobała konfiturę z dzikich jabłek z małego, szklanego naczynia stojącego przy jej talerzu. Jednak jedzenia nie ubywało.

— Nic nie jesz — powiedziała surowo Maryla, patrząc na nią tak, jakby dziewczynka zrobiła coś złego.

Ania westchnęła.

— Nie mogę. Jestem pogrążona w rozpacz. Czy można jeść, gdy jest się w otchłani rozpacz?

— Nigdy nie byłam w otchłani rozpacz, więc nie mogę nic na ten temat powiedzieć — odparła Maryla.

— Ach, nie była pani... A czy kiedykolwiek próbowała pani to sobie wyobrazić?

— Nie, nie próbowałam.

— W takim razie nie sądzę, żeby mogła pani zrozumieć, jak to jest. To bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne uczucie. Kiedy próbujesz jeść, w gardle pojawia się gruda i nie można nic przełknąć, nawet gdyby to był czekoladowy cukierek. Dwa lata temu jadłam taki cukierek i był po prostu pyszny. Od tamtej pory często śniły mi się czekoladowe cukierki, ale zawsze budzę się właśnie wtedy, gdy mam je zjeść. Mam nadzieję, że się nie obrażacie, że nie mogę nic zjeść. Wszystko jest bardzo pyszne, ale mimo to: nie jestem w stanie.

— Podejrzewam, że jest zmęczona — rzekł Mateusz, który nie odezwał się ani słowem od powrotu z obory. — Najlepiej położyć ją spać, Marylo.

Maryla zastanawiała się właśnie, gdzie umieścić Anię na noc. Przygotowała posłanie w pokoiku nad kuchnią dla oczekiwanego i upragnionego chłopca. Choć było tam czysto i schludnie, uznała, że umieszczenie tam dziewczynki byłoby nie na miejscu. Pokój gościnny w przypadku obcego dziecka z sierocińca nie wchodził w grę, pozostał więc jedynie pokój na wschodnim poddaszu. Maryla zapaliła świecę i poleciła Ani iść za nią na górę. Dziewczynka uczyniła to bez entuzjazmu, zabierając po drodze ze stolika w przedpokoju swój kapelusz i torbę z dywanika. Przedpokój był niewiarygodnie czysty, lecz mała izdebka na poddaszu, w której po chwili się znalazły, zdawała się jeszcze czystsza.

Maryla postawiła świecę na trójnożnym, narożnym stoliku i odsłoniła pościel.

— Masz chyba koszulę nocną? — zapytała.

Ania skinęła głową.

— Tak, mam nawet dwie. Uszyła mi je przełożona w sierocińcu. Są okropnie kuse. W sierocińcu nigdy na nic nie starcza materiału, więc wszystko jest kuse, przynajmniej w tak biednym sierocińcu jak nasz. Nienawidzę kusych koszul, ale można w nich śnić równie pięknie, jak w ślicznych, powłóczyстых sukniach z falbankami pod szyją: to przynajmniej jest jakaś pociecha.

— No dobrze, rozbieraj się jak najszybciej i kładź się do łóżka. Wróć za parę minut po świecę. Nie odważ się zostawić jej tobie do zgaszenia. Jeszcze puściłabyś dom z dymem.

Gdy Maryla wyszła, Ania z tęsknotą rozejrzała się dokoła. Bielone ściany były tak boleśnie nagie i puste, że pomyślała, iż muszą same cierpieć z powodu tej jałowości. Podłoga też była goła, nie licząc leżącej na środku okrągłej, plecionej maty, jakiej Ania nigdy wcześniej nie widziała. W jednym kącie stało łóżko — wysokie, staroświeckie, z czterema niskimi słupkami z ciemnego drewna. W drugim kącie znajdował się wspomniany narożny stolik, ozdobiony grubą, czerwoną, aksamitną poduszczyką do igieł — tak twardą, że stępiłaby czubek nawet najodważniejszej szpilki. Nad nim wisiało małe lustro. W połowie drogi między stolikiem a łóżkiem znajdowało się okno ze śnieżnobiałą, muslinową firanką, a naprzeciw niego stała umywalka. Całe pomieszczenie tchnęło sztywnością, której nie sposób opisać słowami, a która przeniknęła Anię dreszczem aż do szpiku kości. Łkając, pospiesznie zrzuciła ubranie, włożyła kusą koszulę i wskoczyła do łóżka, gdzie zagrzebała się twarzą w poduszkę i naciągnęła kołdrę na głowę. Gdy Maryla przyszła po światło, różne kuse części garderoby, rozrzucone w nieładzie na podłodze, oraz zmierzwiona pościel były jedynymi oznakami czyjeś obecności.

Kobieta skrupulatnie pozbiierała ubrania Ani, ułożyła je starannie na prostym, żółtym krześle, a potem wzięła świecę i podeszła do łóżka.

— Dobranoc — powiedziała nieco szorstko, choć nie bez życzliwości.

Błada twarz Ani i jej wielkie oczy natychmiast wychynęły spod kołdry.

— Jak może pani mówić, że to dobra noc, skoro wie pani, że to najgorsza noc w całym moim życiu? — odrzekła z wyrzutem.

Po czym znów zanurkowała pod kołdrę.

Maryla zeszła powoli do kuchni i zaczęła zmywać naczynia po kolacji. Mateusz palił fajkę — był to niechybny znak jego wzburzenia. Rzadko to robił, gdyż Maryla uznawała palenie za plugawy nawyk i sprzeciwiała się mu. Jednak w pewnych okolicznościach i porach czuł, że musi to zrobić — wtedy Maryla przymykała oko, rozumiejąc, że każdy mężczyzna musi w jakiś sposób dać upust swoich emocjom.

— Co za fatalne nieporozumienie! — odezwała się gniewnym tonem. — Oto, do czego prowadzi wysyłanie wiadomości, zamiast doręczenia jej osobiście. Ludzie Richarda Spencera musieli ją jakoś przekreślić. Jedno z nas będzie musiało jutro spotkać się z panią Spencer, to pewne. Ta dziewczyna powinna zostać odesłana do przytułku.

— Tak, sądzę, że tak — odparł niechętnie Mateusz.

— Sądzisz?! Nie jesteś tego pewien?

— Marylo, to naprawdę miła dziewczynka. Trochę szkoda odsyłać ją z powrotem, skoro tak bardzo chce tu zostać.

— Mateuszu Cuthbercie, chyba nie chcesz powiedzieć, że według ciebie powinniśmy ją zatrzymać?

Maryli była wstrząśnięta na samą myśl o tym, że jej spokojny dotąd brat chciałby postawić ich świat na głowie.

— Nie, nie... niezupełnie — zająknął się Mateusz, zapędzony w kozi róg. — Uważam, że nikt nie może tego od nas oczekiwać.

— Oczywiście, że nie. Na co by się nam ona przydała?

— Nie wiem, ale moglibyśmy dać jej dom, którego nigdy nie miała — powiedział niespodziewanie Mateusz.

— Mateuszu Cuthbercie, widzę jak na dłoni, że to dziecko cię oczarowało i że chcesz ją zatrzymać!

— No cóż, to naprawdę interesująca mała istota — upierał się mężczyzna. — Szkoda, że nie słyszałaś, jak rozprawiała w drodze ze stacji.

— Och, potrafi mówić bez końca. Od razu to zauważyłam. To nie działa na jej korzyść. Nie lubię dzieci, które mają tak wiele do powiedzenia. Nie chcę wychowywać dziewczynki z sierocińca, a gdybym nawet chciała, to nie wybrałabym akurat jej. Jest w niej coś, czego nie rozumiem. Nie, ona musi zostać odesłana tam, skąd przybyła.

— Mogłbym zatrudnić francuskiego chłopca do pomocy — powiedział Mateusz — a ona dotrzymywałaby ci towarzystwa.

— Nie potrzeba mi towarzystwa — odparła szorstko Maryla. — I nie zamierzam jej zatrzymać.

— No cóż, Marylo, zrobisz, jak zechcesz — powiedział Mateusz, wstając i odkładając fajkę. — Idę spać.

I Mateusz poszedł do łóżka. Marszcząc brwi z determinacją, na spoczynek udała się także Maryla, pochowawszy uprzednio umyte naczynia do kredensu. Na poddaszu zaś, we wschodniej części domu leżało samotne, bezdomne, spragnione miłości dziecko, które gorzki płacz ukołysał wreszcie do snu.

ROZDZIAŁ IV PORANEK NA ZIELONYM WZGÓRZU

Na dworze było już zupełnie jasno, kiedy Ania obudziła się i usiadła na łóżku, wpatrując się zdezorientowana w okno, które tonęło w powodzi radosnego słońca i za którym coś białego i pierzastego falowało na tle błękitnego nieba.

Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Najpierw przeniknął ją rozkoszny dreszcz, jak na wspomnienie czegoś bardzo przyjemnego; po chwili jednak powróciła okropna świadomość. To było cudowne Zielone Wzgórze, gdzie nie chcieli jej, bo nie była chłopcem!

Był piękny poranek, a na zewnątrz pod jej oknem rosła wiśnia w pełnym rozkwicie. Jednym susem znalazła się na podłodze. Podbiegła do okna i pchnęła je w górę — uniosło się ciężko i ze skrzypieniem, jakby nikt nie otwierał go przez długi czas, co zresztą było prawdą. Zaklinowało się w tej pozycji tak, że nie trzeba było go niczym podtrzymywać.

Ania opadła na kolana i wpatrywała się w czerwcowy poranek oczami błyszczącymi z zachwytu. Czyż tu nie jest pięknie? Czy to nie urocze miejsce? Przypuśćmy, że tak naprawdę nie zamierzała tu zostać! Wyobrażała sobie, że tak jest. Wyobrażnia miała tu pole do popisu.

Na dworze rosła ogromna czereśnia, tak blisko, że jej konary stukały o drewniane ściany budynku. Była tak gęsto obsypana kwiatami, że prawie nie było widać liści. Po obu stronach domu znajdował się duży sad, z jednej strony porastały go jabłonie, a z drugiej wiśnie obsypane kwieciami. Trawa pod drzewami była usiana mleczami. W ogrodzie poniżej domu krzaki bzu aż ugięły się pod ciężarem fioletowych kwiatów, których oszałamiająco słodki zapach, za sprawą porannego wietrzyku, czuć było w oknie Ani na poddaszu.

Poniżej ogrodu rozciągało się porośnięte koniczyną zielone pole, opadające do kłinki, w której płynął strumyk, a z poszycia wyrastały dziesiątki białych brzózek, wśród których toczyło się fascynujące życie paproci, mchów, przeróżnych ziół i rozmaitych leśnych stworzeń. Jeszcze dalej wznosiło się wzgórze, zielone i pierzaste od porastających je świerków i jodeł. Przez niewielką szczelinę wśród drzew prześwitywał szary dach małego domku, który Ania widziała po drugiej stronie Jeziora Lśniących Wód.

Po lewej stronie widać było solidne stodoły, a za nimi — w dole, poniżej zielonych, nisko nachylonych pól — rozpościerało się lśniące błękitem morze.

Kochające piękno oczy Ani chłoneły to wszystko łapczywie. Biedne dziecko, widziało w swoim życiu tak wiele brzydkich miejsc, zaś to było ucieleśnieniem jej wszystkich marzeń. Klęczała tak, zatracona w otaczającym ją pięknie, dopóki nie zaskoczyła jej czyjaś dłoń na ramieniu. Mała marzycielka nie słyszała, jak do pokoju weszła niepostrzeżenie Maryla.

— Najwyższy czas, żebyś się ubrała — powiedziała oschle.

Maryla naprawdę nie wiedziała, jak rozmawiać z dzieckiem, a jej niewiedza stwarzała niezręczną sytuację i sprawiała, że była szorstka właściwie wbrew własnej woli.

Ania wstała z głębokim westchnieniem.

— Och, czy to nie cudowne? — powiedziała, wskazując ręką cudowny świat za oknem.

— To duże drzewo — rzekła Maryla — i pięknie kwitnie, ale owoców daje niewiele, a przy tym są małe i robaczywe.

— Nie chodzi mi tylko o drzewo, oczywiście, że jest piękne, oszałamiająco piękne i kwitnie tak, jakby samo chciało podkreślić swoją urodę, ale mam na myśli wszystko: ogród, sad, strumyk i las, cały ten niezwykły świat. Czy w taki poranek nie czuje się pani tak, jakby kochała cały świat? I nawet tu słyszę śmiech strumyka. Czy kiedykolwiek pomyślała pani, jak wesołe są strumyki? Zawsze się śmieją. Nawet zimą słyszałam je pod lodem. Tak się cieszę, że w okolicy Zielonego Wzgórza płynie strumyk. Być może myśli pani, że nie ma to dla mnie znaczenia, skoro nie zamierza mnie pani zatrzymać, ale to nieprawda. Będę zawsze pamiętać, że na Zielonym Wzgórzu jest strumyk, choć nigdy więcej go nie zobaczę. Gdyby nie było strumyka, prześladowałoby mnie nieprzyjemne uczucie, że powinien tam być. Dziś rano nie jestem na dnie rozpaczy. Rano nigdy mi się to nie zdarza. Czyż to nie wspaniałe, że są poranki? Ale jest mi bardzo smutno. Wyobrażałam sobie, że naprawdę mnie wybraliście i że zostanę tu na zawsze. Było to dla mnie wielką pociechą. Ale najgorsze w wyobrażaniu sobie czegoś jest to, że przychodzi czas, kiedy trzeba wrócić z krainy marzeń do rzeczywistości, a to często boli.

— Lepiej się ubierz, zejdź na dół i nie przejmuj się swoimi wyobrażeniami — powiedziała Maryla, gdy tylko udało jej się wtrącić słowo. — Śniadanie już czeka. Umyj twarz i uczesz włosy. Zostaw uchylone okno i ułóż pościel w nogach łóżka, żeby się wywietrzyła. Zrób to szybko i starannie.

Ania najwyraźniej potrafiła być zaradna, bo po dziesięciu minutach była już na dole, schludnie ubrana i uczesana, z zaplecionymi włosami i umytą twarzą, a w jej duszy panowało miłe przekonanie, że spełniła wszystkie wymogi Maryli. W rzeczywistości jednak zapomniała złożyć pościel.

— Jestem bardzo głodna tego ranka — oznajmiła, siadając na wskazanym jej przez Marylę krześle. — Świat nie wydaje się już taki ponury jak zeszłej nocy. Cieszę się, że jest słoneczny poranek. Ale lubię też deszczowe poranki. Wszystkie rodzaje poranków są interesujące, nieprawdaz? Nie wiadomo, co się wydarzy w ciągu dnia i jest tyle możliwości dla wyobraźni. Ale to dobrze, że dziś nie pada, bo łatwiej jest być pogodnym i nie tracić ducha w słoneczny dzień. Czuję, że w taki dzień mogę sporo znieść. Łatwo jest czytać o czymś nieszczęściu i wyobrażać sobie, że bohaterstwo stawilibyśmy mu czoła, ale kiedy samemu się go doświadcza, nie jest to takie przyjemne, prawda?

— Na litość boską, przestań tyle gadać! — ofuknęła ją Maryla. — Mówisz za dużo jak na małą dziewczynkę.

Po tej uwadze Ania posłusznie zamknęła buzię i siedziała w milczeniu tak długo, że w końcu stało się to niezbyt naturalne i zaczęło denerwować Marylę. Mateusz również siedział cicho, co z kolei było całkiem naturalne, więc posiłek upłynął im w milczeniu.

W miarę jego trwania Ania stawiała się coraz bardziej zadumana. Jadła mechanicznie, wpatrując się wielkimi, niewidzącymi oczami w niebo za oknem. To sprawiło, że Maryla była bardziej nerwowa niż kiedykolwiek. Miała nieprzyjemne uczucie, że ciało tego dziwnego dziecka siedzi przy stole, ale jej duch znajduje się daleko, w jakiejś odległej krainie chmur, unoszony na skrzydłach wyobraźni. Kto chciałby mieć w domu taką istotę?

A jednak, o dziwo, Mateusz chciał ją zatrzymać! Maryla czuła, że dzisiejszego ranka pragnął tego równie mocno, jak poprzedniego wieczora, i że to się nie zmieni. Taką miał naturę. Kiedy coś sobie ubzdurał, trzymał się tego z zadziwiającym uporem i wytrwałością. Trwał więc w zaciętym milczeniu, dziesięć razy silniejszym i bardziej wymownym, niż gdyby gadał jak najęty.

Gdy posiłek dobiegł końca, Ania ocknęła się z zadumy i zaproponowała, że pozmywa naczynia.

— Potrafisz to robisz? — zapytała nieufnie Maryla.

— Całkiem dobrze. Chociaż jestem lepsza w opiece nad dziećmi. Mam w tym duże doświadczenie. Szkoda, że nie ma tu żadnego dziecka, którym mogłabym się zająć.

— A ja wcale tego nie żałuję. Nie wydaje mi się, żebym chciała mieć więcej dzieci pod opieką, niż mam obecnie. Ty jesteś wystarczającym problemem. Nie wiem, co z tobą zrobić. Mateusz to dziwak i zachowuje się niedorzecznie.

— A ja myślę, że jest przeziębiony — odparła Ania z wyrzutem. — Jest taki współczujący. Nie przeszkadzało mu, że dużo mówię, wydawał się to lubić. Kiedy tylko go zobaczyłam, poczułam, że jest pokrewną mi duszą.

— Oboje jesteście dość dziwni, jeśli to masz na myśli, mówiąc o pokrewnych duszach — westchnęła Maryla. — Tak, możesz pozmywać naczynia. Weź dużo gorącej wody, a po umyciu dobrze je wysusz. Mam wystarczająco dużo do zrobienia dziś rano, bo po południu będę musiała pojechać do White Sands i zobaczyć się z panią Spencer. Pojedziesz ze mną i ustalimy, co z tobą zrobić. Gdy skończysz zmywać, idź na górę i pościel łóżko.

Ania dość zręcznie zmyła naczynia, co nie uszło uwadze Maryli, która bacznie ją obserwowała. Później, już mniej sprawnie, pościeliła łóżko, gdyż nie była przyzwyczajona do układania pierzyny. Ale w końcu jakoś jej się udało. A potem Maryla, chcąc się jej pozbyć, powiedziała, że może wyjść na dwór i pobawić się aż do obiadu.

Ania podbiegła do drzwi z rozpromienioną twarzą i błyszczącymi oczami. Na samym progu zatrzymała się, obróciła, wróciła i usiadła przy stole, a jej wewnętrzne światło i blask w oczach zgasły tak skutecznie, jak płomień zdmuchniętej świecy.

— Co się stało tym razem? — zapytała Maryla.

— Nie odważę się wyjść — powiedziała Ania tonem męczennicy, która wyrzeka się wszystkich ziemskich radości. — Jeśli nie mogę tu zostać, to nie ma sensu, żebym pokochała Zielone Wzgórze. A jeśli pójdę tam i poznam te wszystkie drzewa, kwiaty, sad i strumyk, nie będę mogła przestać ich kochać. Już teraz jest mi wystarczająco ciężko, więc nie będę tego jeszcze bardziej utrudniać. Tak bardzo pragnę tam wyjść, wszystko zdaje się wołać do mnie: „Aniu, Aniu, wyjdź do nas! Aniu, Aniu, chcemy towarzysza zabaw”... ale lepiej nie. Nie ma sensu kochać rzeczy, jeśli trzeba się z nimi rozstać, prawda? A tak trudno jest powstrzymać się od kochania rzeczy. Właśnie dlatego tak się ucieszyłam, kiedy wyobraziłam sobie, że będę tu mieszkać. Pomyślałam, że będę miała tyle rzeczy do kochania i nic nie będzie mi w tym przeszkadzać. Ale ten krótki sen się skończył. A ja pogodziłam się już ze swoim losem, ale obawiam się, że gdy tylko wyjdę na dwór, cały żal i smutek powrócą. Czy może mi pani powiedzieć, jak się nazywa ten kwiat w doniczce na parapecie?

— To pelargonie.

— Och, nie chodzi mi o nazwę. Mam na myśli imię, jakie jej pani nadała. Nie nadała jej pani imienia? Czy mogę w takim razie sama ją jakoś nazwać? Czy dopóki jestem tutaj, mogę nazywać ją, dajmy na to, Bonny. Och, proszę, mogę?!

— Na miłość boską, nazywaj ją, jak chcesz, nic mnie to nie obchodzi. Ale jaki jest sens w nadawaniu imion pelargoniom?

— Lubię nadawać wszystkiemu imiona, nawet jeśli to są zwykłe pelargonie. To nadaje im bardziej ludzki wymiar. Skąd pani wie, czy nie rani to uczuć pelargonii, kiedy nazywa się ją pelargonią i niczym więcej? Myślę, że nie chciałaby pani, żeby przez cały czas nazywano panią wyłącznie kobietą. Tak, nazwę ją Bonny. Dziś rano nazwałam wiśnię za oknem mojej sypialni. Nazwałam ją Królowa Śniegu, bo była taka biała. Oczywiście, nie zawsze będzie kwitła, ale można sobie wyobrazić, że tak jest, prawda?

— Nigdy w życiu nie widziałam ani nie słyszałam nic podobnego — mruknęła Maryla, schodząc do piwnicy po ziemniaki. — Mateusz mówi, że ta dziewczyna jest inte-

resująca. Sama zastanawiam się, co u licha za chwilę powie. Myślę, że w końcu i mnie zaczaruje, tak jak jego. W spojrzeniu, które rzucił mi przed wyjściem, było wszystko, o czym myślał ubiegłej nocy. Chciałabym, żeby był jak inni mężczyźni i rozmawiał ze mną o wszystkim. Mogłabym mu wtedy odpowiedzieć i przemówić do rozsądku. A co można zrobić z mężczyzną, który tylko patrzy?

Ania pograżyła się znów w zadumie, trzymając podbródek w dłoniach i wpatrując się w niebo. Maryla zostawiła ją tam, dopóki wczesna kolacja nie znalazła się na stole.

— Mateuszu, popołudniu wezmę klacz i bryczkę, dobrze? — zapytała Maryla.

Mateusz skinął głową i spojrzał ze smutkiem na Anię. Maryla zauważyła to spojrzenie i rzekła ponuro:

— Pojadę do White Sands i załatwię tę sprawę. Zabiorę ze sobą Anię, a pani Spencer zapewne niezwłocznie odeśle ją do Nowej Szkocji. Przygotuję podwieczorek i zostawię ci herbatę na kominku. Będę w domu na czas, żeby wydoić krowy.

Mateusz wciąż milczał, a Maryla miała poczucie, że zmarnowała słowa i oddech. Nie ma nic bardziej irytującego niż mężczyzna, który nie chce się odezwać — chyba że to kobieta sobie tego nie życzy.

Mateusz w odpowiednim czasie zaprzął klacz do bryczki, a Maryla i Ania ruszyły w drogę. Mateusz otworzył przed nimi bramę na podwórze i gdy powoli przejeżdżały, rzekł, jak się zdawało, w powietrze:

— Mały Jerry Buote z Creek był tu dziś rano i powiedziałem, że zatrudnię go na lato.

Maryla nic nie odpowiedziała, ale smagnęła nieszczęsnego konia batem tak mocno, że tłusta klacz, nieprzyzwyczajona do takiego traktowania, pogalopowała z oburzeniem w dół. Maryla obejrzała się tylko raz, gdy bryczka podskakiwała na wybojach i zobaczyła swojego irytującego brata, który opierał się o bramę, spoglądając za nimi z tęsknotą.

ROZDZIAŁ V HISTORIA ANI

— Wie pani, mam zamiar cieszyć się tą przejażdżką — zwierzyła się Ania Maryli. — Dotychczasowe doświadczenie nauczyło mnie, że można się cieszyć ze wszystkiego, jeśli bardzo się tego pragnie. Dlatego nie będę myślała o tym, że muszę wrócić do sierocińca. Skupię się jedynie na samej drodze. O, proszę spojrzeć, jak wczesnie zakwitła dzika róża! Czy nie byłoby przyjemnie być dziką różą? Ach, gdyby róże umiały mówić! Jestem pewna, że opowiedziałyby nam niejedną wspaniałą historię. A czy kolor różowy nie jest najbardziej urzekającym kolorem na świecie? Uwielbiam kolor różowy, ale nie mogę go nosić. Ludzie o rudych włosach nie mogą się ubierać na różowo, nawet w wyobraźni. Czy zna pani kogoś, kto w młodości był rudy, a gdy dorósł, jego włosy zmieniły kolor?

— Nie przypominam sobie nikogo takiego — odpowiedziała bezlitośnie Maryla — i nie sądzę, by tak miało się stać w twoim przypadku.

Ania westchnęła.

— Cóż, kolejna nadzieja prysnęła. „Moje życie jest cmentarzem pogrzebanych nadziei”. Przeczytałam to zdanie w pewnej książce i powtarzam je sobie dla pociechy, gdy spotka mnie jakiś zawód.

— Nie widzę w tym nic pocieszającego — stwierdziła Maryla.

— Dlaczego, przecież to brzmi tak uroczo i romantycznie, jakbym była bohaterką jakiejś książki. Jestem bardzo czuła na romantyczne rzeczy, a „cmentarz pełen pogrzebanych nadziei” jest czymś tak romantycznym, jak tylko można sobie wyobrazić, zgodzi się pani ze mną? Cieszę się, że go mam. Czy będziemy przejeżdżać obok Jeziora Lśniących Wód?

— Nie jedziemy drogą przy stawie Barrych, jeśli to masz na myśli, mówiąc o Jeziorze Lśniących Wód. Pojedziemy drogą wzdłuż wybrzeża.

— Droga wzdłuż wybrzeża brzmi czarująco — rzekła marzycielsko Ania. — Kiedy tylko wypowiedziała pani te słowa, natychmiast zobaczyłam ją oczami wyobraźni. White Sands to też ładna nazwa, ale nie ładniejsza od Avonlea. Nazwa Avonlea brzmi przepięknie. Jest taka melodyjna. Jak daleko jest stąd do White Sands?

— Osiem kilometrów. Jeżeli więc masz zamiar mówić przez cały czas, możesz równie dobrze opowiedzieć mi o sobie.

— Och, to, co wiem o sobie, nie jest warte opowiadania — odparła skwapliwie Ania. — Gdyby tylko pozwoliła mi pani opowiedzieć o tym, co wyobrażam sobie na mój temat, zaręczam, że byłoby to o wiele ciekawsze.

— Nie, nie chcę słuchać żadnych bajek! Trzymaj się faktów i zacznij od początku. Gdzie się urodziłaś i ile masz lat?

— W marcu skończyłam jedenaście lat — westchnęła z rezygnacją Ania, ujawniając pierwszy fakt. — Urodziłam się w Bolingbroke w Nowej Szkocji. Mój ojciec nazywał się Walter Shirley i był nauczycielem w tamtejszej szkole średniej. Moja mama nazywała się Bertha Shirley. Bertha i Walter to ładne imiona, prawda? Tak się cieszę, że moi rodzice mieli piękne imiona. Jakaż by to była kompromitacja, mieć ojca o imieniu dajmy na to... Jedediah!

— Uważam, że nie ma znaczenia, jak człowiek ma na imię, jeżeli jest dobry i uczciwy — powiedziała Maryla, uważając, że to odpowiedni moment, by podzielić się z Anią jakimś cennym morałem.

— Czy ja wiem... — odparła Ania zamyślona. — Czytałam kiedyś w jakiejś książce, że róża nazwana inaczej pachniałaby wprawdzie równie słodko, ale ja nigdy w to nie uwierzę. Nie uwierzę, że róża byłaby równie piękna, gdyby została nazwana ostem albo śmierdzącą kapustą. Przypuszczam, że mój ojciec byłby dobrym człowiekiem nawet, gdyby miał na imię Jedediah, ale jestem pewna, że byłaby to dla niego udręka. Moja mama też była nauczycielką w szkole średniej, ale kiedy wyszła za mojego ojca, oczywiście zrezygnowała z pracy. Posiadanie męża to już wystarczający obowiązek. Pani Thomas mówiła, że moi rodzice byli parą dzieciaków, biednych jak kościelne myszy. Zamieszkali w maleńkim, żółtym domku w Bolingbroke. Nie widziałam nigdy tego domku, ale wyobrażałam go sobie tysiąc razy. Myślę, że okna w saloniku oplatał wiciokrzew, ganek otoczony był bzem, a w ogrodzie rosły konwalie. Tak... i muslinowe firanki w każdym oknie. Muslinowe firanki nadają każdemu domowi wyjątkową atmosferę. Pani Thomas stwierdziła, że jestem najbrzydszym dzieckiem, jakie znała: sama skóra i kości, no i wielkie oczy. Ale mama mówiła, że jestem najpiękniejsza. Wydaje mi się, że matka potrafi lepiej ocenić dziecko niż biedna gosposia, która przychodziła do nas sprzątać, prawda? Tak czy owak, cieszyłam się, że podobam się mojej mamie; gdybym ją rozczarowała, byłoby mi bardzo przykro, ponieważ nie żyła już potem długo. Umarła na febrę, kiedy miałam trzy miesiące. Bardzo chciałam, żeby żyła tak długo, by mogła zapamiętać, że nazywałam ją mamą. To musi być cudowne zwracać się do kogoś „mamo”, nie sądzi pani? Ojciec umarł cztery dni później, też na febrę. W ten sposób zostałam sierotą i, jak twierdziła pani Thomas, nikt nie wiedział, co ze mną zrobić. Widzi pani, już wtedy nikt mnie nie chciał. Taki już widać mój los... Moi rodzice przybyli do Bolingbroke z daleka i wszyscy wiedzieli, że nie mają żadnych żyjących krewnych. W końcu pani Thomas powiedziała, że mnie weźmie, chociaż jest uboga i ma męża pijaka. Karmiła mnie butelką. Ponoć ludzie, którzy po urodzeniu karmieni byli butelką, mają być lepsi od innych; czy wie pani, na czym to polega? Bo ile razy zrobiłam coś złego, pani Thomas pytała mnie, jak mogę być tak niedobrym dzieckiem, skoro ona wykarmiła mnie butelką. Pan i pani Thomas przeprowadzili się z Bolingbroke do Marysville, gdzie zabrali mnie ze sobą. Mieszkaliśmy z nimi do ósmego roku życia. Pomagałam opiekować się ich dziećmi. Czworo z nich było młodsze ode mnie i, niech mi pani wierzy, musiałam poświęcać im wiele czasu. Potem pan Thomas zginął pod kołami pociągu i jego matka zaproponowała, że weźmie do siebie panią Thomas wraz z dziećmi, ale mnie już nie chciała. No więc pani Thomas znów zaczęła łamać sobie głowę, co ze mną zrobić. Wtedy pojawiła się niejaka pani Hammond, która mieszkała nad rzeką. Gdy zobaczyła, że umiem opiekować się dziećmi, postanowiła wziąć mnie do siebie. Zamieszkaliśmy więc z nią i jej mężem w domku na niewielkiej polanie, pośród ciemnego, gęstego lasu. Było to bardzo odludne miejsce. Jestem pewna, że nie mogłabym tam żyć, gdybym nie miała bogatej wyobraźni. Pan Hammond pracował w tartaku, a jego żona wychowywała ośmioro dzieci. Trzykrotnie urodziła bliźnięta. Lubię dzieci, ale w umiarkowanych ilościach, a bliźniaki trzy razy pod rząd to już przesada. Powiedziałam to panu Hammerowi, kiedy urodziła się ostatnia para. Opieka nad nimi potwornie mnie męczyła. Mieszkaliśmy u państwa Hammondów przeszło dwa lata. Potem pan Hammond umarł, a jego żona nie mogła już sama zajmować się domem. Porozdawała dzieci swoim krewnym, a sama wyjechała do Stanów. Musiałam pójść do sierocińca w Hopetown, bo

Praca, Małżeństwo

nikt nie chciał mnie przygarnąć. Tam też nie chcieli mnie przyjąć: twierdzili, że mają za dużo dzieci. Musieli się jednak mną zająć. Spędziłam u nich cztery miesiące, zanim pojawiła się pani Spencer.

Ania skończyła z kolejnym westchnieniem, ale tym razem było to westchnienie ulgi. Najwyraźniej nie lubiła mówić o swoich życiowych doświadczeniach w świecie, który jej nie chciał.

— Czy kiedykolwiek chodziłaś do szkoły? — spytała Maryla, kierując powóz na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża.

— Niedługo. Chodziłam trochę w trakcie ostatniego roku pobytu u pani Thomas. Kiedy przeniosłyśmy się za rzekę, byliśmy za daleko od szkoły, żebym mogła chodzić tam w zimie. W lecie zaś były wakacje, mogłam więc uczęszczać do szkoły tylko wiosną i jesienią. Oczywiście uczyłam się, będąc w sierocińcu. Potrafię całkiem dobrze czytać i znam na pamięć sporo wierszy, na przykład *Bitwa pod Hobenlinden*², *Edynburg po bitwie pod Flodden*³ oraz *Bingen nad Renem*⁴, fragmenty *Pani Jeziora*⁵, prawie całe *Pory roku* Jamesa Thomsona⁶. Czy też uwielbia pani poezję, od której chodzą pani ciarki po skórze? W podręczniku do piątej klasy znajduje się utwór pod tytułem *Upadek Polski*, który takie uczucia wywołuje. Nie doszłam jeszcze wprawdzie do piątej klasy, ale starsze dziewczynki pożyczały mi swoje książki.

— Czy te kobiety, pani Thomas i pani Hammond, były dla ciebie dobre? — zapytała Maryla, spoglądając na Anię kątem oka.

— Ooooch — odparła Ania z wahaniem. Jej wrażliwą, małą buzię oblał nagle szkarłatny rumieniec zakłopotania. — Myślę, że się starały. Na pewno chciały być dla mnie miłe i dobre. A kiedy ludzie starają się być mili i dobrzy, nie można mieć im za złe, że nie zawsze im się to udaje. Przecież one same też nie miały lekkiego życia. Czyż to nie okropne mieć męża pijaka? A ile trzeba mieć cierpliwości do ośmiorga dzieci, w tym trzech par bliźniąt po kolei! Jestem jednak pewna, że chciały dla mnie jak najlepiej.

Ania pozwoliła sobie na chwilę niemego zachwyty nad drogą wzdłuż wybrzeża. Maryla też nie zadawała już więcej pytań. Trzymała lejce w roztargnieniu. W jej sercu powoli rodziło się głębokie współczucie i litość dla tego dziecka. Jakże ubogie, smutne i pozbawione miłości musiało być jej życie! Wypełnione ciężką pracą ponad siły, ubóstwem i samotnością. Maryla była na tyle inteligentna, że potrafiła czytać między wierszami i wydobyć prawdę z opowieści Ani.

Nic dziwnego, że dziewczynka była taka szczęśliwa wobec perspektywy zamieszkania w prawdziwym domu. Szkoda, że musi zostać odesłana. A co, gdyby Maryla uległa kaprysowi brata i zatrzymała ją u siebie? Mateusz na pewno by tego pragnął, a mała wydawała się miłym i pojętnym dzieckiem.

„Jest zbyt gadatliwa — myślała Maryla — ale można ją tego oduczyć. A zresztą w tym, co mówi, nie ma niczego wulgarnego ani pospolitego. Ładnie się wysławia. Widocznie jej rodzice byli ludźmi na poziomie”.

Wybrzeże w tym miejscu było zarośnięte, dzikie i puste. Po prawej stronie drogi rosły jodły, których nie zdołały złamać lata zmagania z podmuchami wiatru znad zatoki. Po lewej strome urwisko z czerwonego piaskowca opadało czasem tak blisko drogi, że klacz bardziej płochliwa od kasztanki mogłaby nie raz narazić na szwank nerwy pasażerów podróżujących powozem. U stóp klifów leżały sterty wypłukanych przez fale skał, tu i ówdzie błyszczały piaszczyste zatoczki, usiane lśnięcymi kamyczkami niby klejnotami

²*Bitwa pod Hobenlinden* (oryg. *The Battle of Hobenlinden*) — wiersz Thomasa Campbella (1777–1844) na temat stoczonej 3 grudnia 1800 r. bitwy, w której wojska rewolucyjnej Francji pokonały siły austriackie. [przypis edytorski]

³*Edynburg po bitwie pod Flodden* (oryg. *Edinburgh After Flodden*) — poemat historyczny Williama Edmondstouna Aytouna (1813–1865) z 1849 r., którego tematem jest sytuacja po klęsce Szkocji w bitwie z Anglikami pod Flodden 9 września 1513 r. [przypis edytorski]

⁴*Bingen nad Renem* (oryg. *Bingen on the Rhine*) — wiersz angielskiej poetki irlandzkiego pochodzenia Caroline Norton (1808–1877), wnuczki dramaturga Richarda Brinsleya Sheridana; utwór opowiada o żołnierzu francuskiej Legii Cudzoziemskiej, który umierając w dalekim Algierze wspomina rodzinne strony. [przypis edytorski]

⁵*Pani Jeziora* (oryg. *The Lady of the Lake*) — poemat narracyjny z 1810 r. szkockiego powieściopisarza i poety Waltera Scotta (1771–1832). [przypis edytorski]

⁶*Thomson, James* (1700–1748) — szkocki poeta, autor m.in. poematów *The Seasons* oraz *The Castle of Indolence*, a także słów *Rule, Britannia!*, popularnej pieśni. [przypis edytorski]

oceanu. Dalej rozpościerało się błękitne morze, a na niebie szybowwały mewy, których pióra połyskiwały srebrzyście w promieniach słońca.

— Czyż morze nie jest wspaniałe? — powiedziała Ania, budząc się z długiego snu na jawie. — Kiedyś, gdy mieszkałam w Marysville, pan Thomas wynajął wagon ekspresowy i zabrał nas wszystkich na całodniową wycieczkę nad morze, kilkanaście kilometrów stąd. Cieszyłam się każdą chwilą tego dnia, choć musiałam cały czas pilnować dzieci. Później wiele razy wspominałam to jak szczęśliwy sen. Ale to wybrzeże jest ładniejsze od tamtego w Marysville. Czyż te mewy nie są śliczne? Czy chciałaby pani być mewą? Ja bym chciała... oczywiście gdybym nie była dziewczynką. Jakie to musi być przyjemne, obudzić się o wschodzie słońca i żeglować tak przez cały dzień nad błękitną powierzchnią morza! A potem wracać na noc do swego gniazda. Och, mogę to sobie wyobrazić! A co to za duży dom przed nami?

— To hotel w White Sands. Prowadzi go niejaki pan Kirke, ale sezon jeszcze się nie zaczął. W lecie przyjeżdżają tu tłumy Amerykanów i zachwycają się tutejszym wybrzeżem.

— Obawiałam się, że to może być dom pani Spencer — powiedziała Ania żałośnie.
— Nie chcę się tam znaleźć, bo będzie to dla mnie koniec wszystkiego.

ROZDZIAŁ VI MARYŁA PODEJMUJE DECYZJĘ

Niebawem jednak dotarli na miejsce. Pani Spencer mieszkała w dużym, żółtym domu, nad zatoką White Sands. Kiedy otworzyła drzwi, na jej twarzy malowało się radosne zaskoczenie.

— Moje drogie! — zawołała. — Jesteście ostatnimi osobami, których bym się dzisiaj spodziewała, ale bardzo się cieszę na wasz widok. Czy sama wyprężnie pani konia? Jak się czujesz, Aniu?

— Dziękuję, tak dobrze, jak można się czuć w tych okolicznościach — odparła Ania bez cienia uśmiechu na twarzy. Wyglądała jak ktoś, na kogo spadło okropne nieszczęście.

— Jeśli można, zatrzymamy się u pani na jakiś czas, żeby dać odpocząć klaczce — oświadczyła Maryła. — Chociaż obiecałam Mateuszowi, że wrócę przed wieczorem. Pani Spencer, chodzi o to, że zaszło pewne nieporozumienie. Przyjechałam, by dowiedzieć się, kto za nie odpowiada. Mateusz i ja zwróciliśmy się do pani szwagra, żeby przekazał pani naszą prośbę o przywiezienie nam z sierocińca chłopca w wieku dziesięciu bądź jedenastu lat...

— Co też pani mówi, Marylo! — przerwała jej zdziwiona i nieco podenerwowana pani Spencer. — Robert przekazał mi przez swoją córkę Nancy wiadomość, że ma to być dziewczynka! Czy nie tak było, Floro Jane — zwróciła się do córki, która właśnie pojawiła się na schodach ganku.

— Ależ tak! Tak właśnie było, pani Cuthbert — przytaknęła Flora.

— Bardzo mi przykro, że tak się stało — powiedziała pani Spencer — ale nie poczuwam się w tym wypadku do winy. Zrobiłam, co mogłam i sądziłam, że postępuję zgodnie z pani instrukcjami. A swoją drogą, Nancy to strasznie lekkomyślna istota, nieraz musiałam skrócić ją za nieuwagę.

— Prawdą jest, że częściowo sami ponosimy winę za tę sytuację — przyznała Maryła zrezygnowanym głosem. — Powinniśmy byli sami do pani przyjechać, a nie przekazywać tak ważną informację przez pośredników. Tak czy owak, zaszło nieporozumienie i teraz trzeba pomyśleć, jak tę sprawę naprawić. Czy możemy odesłać małą z powrotem do sierocińca? Chyba ją tam przyjmą?

— Wydaje mi się, że tak — odparła pani Spencer po namyśle. — Ale może wcale nie trzeba będzie jej tam odsyłać. Wczoraj była u mnie pani Blewett i bardzo żałowała, że nie poprosiła mnie o przywiezienie z sierocińca dziewczynki do pomocy w domu. Jak pani wie, pani Blewett ma liczną rodzinę i trudno jej znaleźć odpowiednią osobę. Ania będzie dla niej doskonałym nabytkiem. To po prostu zrządzenie Opatrzności!

Maryła nie przypuszczała, żeby Opatrzność miała wiele wspólnego z tą sprawą. Nieoczekiwanie nadarzała się dobra okazja, by pozbyć się tej niechcianej sieroty, ale nie czuła z tego powodu do nikogo żadnej wdzięczności.

Sierota

Znała panią Blewett tylko z widzenia i zapamiętała ją jako małą kobietę o jędrzawej twarzy, bez grama zbędnej skóry na kościach. Słyszała na jej temat opinie, że jest „okropną pracownicą i fatalnie powozi”. Mówiono też o niej, że jest bardzo wymagającą gospodynią, która nie znosi lenistwa. Dziewczeta, które zwolniła ze służby, opowiadały przerażające historie o jej paskudnym charakterze i sknerstwie oraz o gromadzie dokuczliwych, pyskanych i kłótniowych dzieci. Maryla poczuła wyrzuty sumienia na myśl, że miałyby zostawić Anię na łaskę tej kobiety.

— Dobrze — powiedziała — wstąpię do niej i omówimy tę sprawę.

— A czy to czasem nie pani Blewett we własnej osobie nadchodzi w tę stronę, spadając nam jak z nieba? — wykrzyknęła pani Spencer, pospiesznie prowadząc gości z przedpokoju do salonu, gdzie owionął ich przejmujący chłód, jakby powietrze, wpadając do środka przez ciemnozielone, szczelnie zaciągnięte zasłony, straciło całe ciepło.

— Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Możemy od razu załatwić tę sprawę. Proszę usiąść w fotelu, panno Cuthbert, a ty, Aniu, siądź na otomanie, tylko się nie wierć. Czy mogę zabrać wasze kapelusze? Florciu, idź nastawić wodę na herbatę.

— Dzień dobry, pani Blewett! Właśnie mówiłyśmy o tym, jak to się świetnie składa, że panią widzimy. Pozwól panie, że przedstawię: pani Blewett, panna Cuthbert. Przepraszam was na chwilę. Zapomniałam powiedzieć Florze, żeby wyjęła rogaliki z pieca!

Pani Spencer wybiegła żwawo z saloniku, odsłoniwszy przedtem zasłony. Ania siedziała nieruchomo w milczeniu, wpatrując się jak zakłęta w panią Blewett.

Czy naprawdę oddadzą ją tej kobiecie o kościstej twarzy i surowym spojrzeniu? Poczuli, że coś ściska ją w gardle, a oczy zachodzą mgłą. Z obawą pomyślała, że nie zdoła powstrzymać łez, lecz wybawił ją z kłopotu powrót do pokoju rozpromienionej pani Spencer, gotowej podjąć się załatwienia każdej trudnej sprawy, dotyczącej ciała, umysłu bądź ducha.

— Pani Blewett, zaszło nieporozumienie co do tej dziewczynki — zwróciła się do pani Blewett. — Byłam przekonana, że państwo Cuthbert pragną wziąć z sierocińca dziewczynkę na wychowanie. Tak mi przekazano. Okazuje się jednak, że chodziło im o chłopca. Jeśli więc od wczoraj nie zmieniła pani swych zamiarów, myślę, że ta dziewczynka byłaby dla pani doskonałym rozwiązaniem.

Pani Blewett zmierzyła Anię przeszywającym spojrzeniem od stóp do głów.

— Ile masz lat i jak się nazywasz? — zapytała.

— Anna Shirley — odpowiedziało przerażone dziecko, nie mając odwagi poprosić, by nie nazywano ją Andzią. — Mam jedenaście lat.

— Hmm, nie wyglądasz na tyle. Straszne z ciebie chuchro. Ale jesteś żyłasta, a takie ponoć są najlepsze. Cóż, jeżeli cię wezmę, będziesz musiała się dobrze sprawować, być pracowita i posłuszna. Mam nadzieję, że uczciwie zapracujesz na swoje utrzymanie. No cóż, panno Cuthbert, sądzę, że mogłabym panią od niej uwolnić. Najmłodsze z moich dzieci jest bardzo krnąbrne i jestem ogromnie zmęczona zajmowaniem się nim. Jeśli pani chce, mogę od razu zabrać ją ze sobą do domu.

Maryla spojrzała na Anię i serce ścisnęło jej się z bólu na widok bladej twarzyczki i malującej się na niej cichej rozpacz — bezbronnej małej istoty, która po raz kolejny znalazła się w potrzasku, a dopiero co się z niego wyrwała. Maryla doznała nieprzyjemnego wrażenia, że jeśli nie zareaguje na to spojrzenie, będzie ją ono prześladować do końca życia. Co więcej, nie spodobała jej się ta cała pani Blewett. Oddać wrażliwe, uczuciowe dziecko takiej kobiecie? Nie, nie mogła wziąć na siebie odpowiedzialności za coś takiego!

— Cóż, sama nie wiem... — powiedziała powoli. — Nie twierdzę, że oboje z Mateuszem już podjęliśmy ostateczną decyzję, że nie chcemy jej zatrzymać. Prawdę mówiąc, Mateusz upiera się, żeby Ania została u nas. Przyjechałam tu, żeby wyjaśnić, jak doszło do tej pomyłki. Myślę, że będzie lepiej, jeżeli zabiorę ją z powrotem do domu i jeszcze raz omówię to z Mateuszem. Czuję, że nie powinnam o niczym decydować bez porozumienia z nim. Jeśli postanowimy, że jej nie zatrzymujemy, wyślemy ją do pani jutro wieczorem. Jeżeli tego nie zrobimy, będzie pani wiedziała, że Ania zostaje u nas. Czy to pani odpowiada, pani Blewett?

— Wygląda na to, że nie mam wyboru — odparła opryskliwie zapytana.

W trakcie tej mowy Maryli twarz Ani zmieniła się nie do poznania, jakby opromieniło ją wschodzące słońce. Najpierw zniknął z niej wyraz rozpacz, potem pojawił się

delikatny blask nadziei, a jej oczy rozbłyły jak jutrzienka. Dziewczynka była całkiem odmieniona; chwilę później, kiedy pani Spencer i pani Blewett wyszły z saloniku szukać jakiegoś przepisu kulinarnego, po który przysłała ta ostatnia, Ania zerwała się z miejsca i podbiegła do Maryli.

— Och, panno Cuthbert, czy pani naprawdę powiedziała, że może zatrzymacie mnie na Zielonym Wzgórzu? — wyszeptwała bez tchu, jakby bojąc się, że wypowiedzenie tych słów na głos mogłoby zburzyć nagle tę cudowną wizję. — Czy pani naprawdę to powiedziała? A może tylko to sobie wyobraziłam?

— Uważam, że byłoby lepiej, gdybyś nauczyła się kontrolować tę swoją wyobraźnię — powiedziała oschle Maryla — skoro nie potrafisz odróżnić realnej rzeczywistości od fantazji. Powiedziałam to, co usłyszałaś, i nic więcej. Nic nie jest jeszcze postanowione i być może ostatecznie pani Blewett cię zabierze. Z pewnością jej przydałabyś się bardziej niż mnie.

— Wolałabym wrócić do sierocińca, niż z nią mieszkać! — wybuchnęła Ania. — Ona wygląda jak... jak świder!

Maryla z trudem powstrzymała uśmiech, przekonana, że należy skarcić dziecko za takie słowa.

— Wstydziłabyś się, Aniu, mówić takie rzeczy o kobiecie, w dodatku obcej — rzekła surowo. — Wróć na swoje miejsce i siedź spokojnie. Nie odzywaj się bez potrzeby i zachowuj się jak dobrze wychowana dziewczynka.

— Jeśli tylko mnie zatrzymacie, postaram się zrobić wszystko, co tylko pani każe — oznajmiła Ania, posłusznie wracając na otomanę.

Gdy wieczorem wracały na Zielone Wzgórze, Mateusz wyszedł im na spotkanie. Maryla już z daleka dostrzegła, jak chodzi tam i z powrotem, i od razu odgadła przyczynę jego niepokoju. Przypuszczała, że ujrzy zadowolenie na twarzy brata, gdy ten zobaczy, że przywiozła Anię z powrotem. Nie opowiedziała mu jednak o tym, co się wydarzyło, dopóki nie zostali sami w obejściu przy dojeniu krów. Wtedy streściła mu pokrótce historię Ani i zrelacjonowała przebieg rozmowy z panią Spencer.

— Tej babie nie oddałbym nawet psa — rzucił Mateusz z niespotykaną u niego poręcznością.

— Mnie też się ona nie podoba — przyznała Maryla. — Jeśli jednak nie oddamy jej Ani, dziewczynka będzie musiała zamieszkać z nami na Zielonym Wzgórzu. Ponieważ odnoszę wrażenie, że chcesz ją zatrzymać, jestem skłonna na to przystać. Długo zastanawiałam się nad tym wszystkim, aż w końcu przyzwyczałam się do tej myśli. Czuję, że tak należy postąpić, że to nasz obowiązek. Co prawda nigdy nie wychowywałam dziecka, a w przypadku dziewczynki może to być jeszcze trudniejsze, ale postaram się zrobić, co w mojej mocy. A więc, Mateuszu, jeśli o mnie chodzi, Ania może zostać.

Twarz Mateusza rozjaśniła się.

— Wiedziałem, że tak postąpisz, Marylo — powiedział. — To taka interesująca istota.

— Lepiej, żebyś mógł powiedzieć, że to taka pożyteczna istota — mruknęła Maryla. — Mam nadzieję, że uda mi się ją na taką wychować. Tylko proszę, Mateuszu, nie kwestionuj moich metod wychowawczych. Być może stara panna niewiele wie o wychowaniu dzieci, ale stary kawaler wie na ten temat jeszcze mniej. Najlepiej więc będzie, jeśli mnie pozostawisz tę sprawę. Jeśli będę potrzebować pomocy, zwrócę się do ciebie.

— Oczywiście, Marylo, postąpisz wedle własnego uznania — zapewnił siostrę Mateusz. — Tylko, proszę cię, bądź dla niej dobra i łagodna na tyle, żeby jej nie zepsuć. Wydaje mi się, że Ania jest tego rodzaju dzieckiem, z którym można zrobić wszystko, jeśli tylko okaże się jej miłość.

Maryla prychnęła pogardliwie, aby wyrazić lekceważenie dla słów Mateusza, i ruszyła do spiżarni z wiadrami pełnymi mleka.

„Nie powiem jej jeszcze dziś wieczorem, że może zostać” — postanowiła, wlewając mleko do wirówek. — „Byłaby taka podekscytowana, że nie zmrużyłaby oka do rana. No, Marylo Cuthbert, nieźle się urządziła! Czy kiedykolwiek sądziłaś, że któregoś dnia weźmiesz na wychowanie osieroconą dziewczynkę? To zadziwiające! Lecz jeszcze dziwniejszy jest fakt, że za tą decyzją stoi Mateusz, który zawsze czuł śmiertelną trwogę na sam widok małych dziewczynek... W każdym razie podjęliśmy się trudnego zadania i Bóg jeden wie, co z tego wyniknie”.

ROZDZIAŁ VII MODLITWA ANI

Kiedy Maryla odprowadzała Anię do łóżka wieczorem, zwróciła się do niej surowym tonem:

— Wczoraj wieczorem zauważyłam, że rozbierając się, zostawiłaś ubrania rozrzucone na podłodze. To bardzo brzydkie przyzwyczajenie i absolutnie nie mam zamiaru czegoś takiego tolerować. Każdą rzecz powinnaś starannie poskładać. Nie potrzebuję tutaj dziewczynek, które nie dbają o porządek.

— Wczoraj wieczorem byłam tak przerażona, że nie myślałam o ubraniu — wyjaśniła Ania. — Dziś przed snem ładnie je poskładałam. W sierocińcu zawsze kazano nam tak robić, choć przyznam, że co drugi dzień zapominałam o tym, spiesząc się, by jak najprędzej znaleźć się w łóżku i móc wyobrazić sobie różne rzeczy.

— Będziesz musiała lepiej o tym pamiętać, jeżeli tu zostaniesz — upomniała ją Maryla. — No, teraz wygląda to dużo lepiej. Zmów pacierz i połóż się spać.

— Nigdy nie odmawiałam pacierza — przyznała Ania.

Maryla spojrzała na nią ze zdumieniem i przerażeniem jednocześnie.

— Dlaczego, Aniu? Co to znaczy? Czy nigdy nie uczono cię żadnych modlitw? Bóg zawsze pragnie widzieć modlące się dziewczynki. Aniu, czy ty wiesz w ogóle, kim jest Bóg?

— Bóg jest duchem: nieskończonym, wiecznym i niezmiennym w swym istnieniu, mądrości, mocy, świętości, sprawiedliwości, dobroci i prawdzie — wyrecytowała natychmiast Ania, bez zająknięcia.

Maryla uspokoiła się nieco.

— A więc coś jednak wiesz, dzięki Bogu. Nie jesteś całkowitą poganką. Gdzie się tego nauczyłaś?

— W szkółce niedzielnej w sierocińcu. Uczyli nas tam całego katechizmu. Bardzo to lubiłam. Jest coś wspaniałego w niektórych słowach tej księgi. „Nieskończony, wieczny i niezmienny”. Czyż to nie piękne? W tych wyrazach tkwi wielka siła, są jak potężny dźwięk organów. Nie można ich chyba nazwać poezją, ale brzmią bardzo podobnie, nie sądzi pani?

— Nie mówimy teraz o poezji, Aniu, tylko o modlitwie. Wiesz, że nieodmawianie codziennego pacierza jest wielkim grzechem? Przykro mi, ale muszę ci powiedzieć, że jesteś bardzo niedobłą dziewczynką.

— Jeśli się ma rude włosy, łatwiej jest być złą niż dobrą — odparła z wyrzutem Ania. — Ludzie, którzy nie mają rudych włosów, nie wiedzą, jaki to kłopot. Pani Thomas mówiła, że Bóg celowo obdarzył mnie rudymi włosami, i od tego czasu przestałam się Nim interesować. A poza tym wieczorami byłam zbyt zmęczona, żeby myśleć o jakichś modlitwach. Od ludzi, którzy muszą zajmować się bliźniakami, nie można oczekiwać odmawiania modlitw. Czy pani myśli, ale tak całkiem szczerze, że można?

Maryla postanowiła, że Ania powinna jak najszybciej rozpocząć naukę religii. Nie ma ani chwili czasu do stracenia.

— Aniu, jeśli chcesz mieszkać pod moim dachem, musisz się modlić.

— Ależ oczywiście, jeśli pani sobie tego życzy — zgodziła się z uśmiechem Ania. — Zrobię wszystko, żeby panią zadowolić. Tylko dzisiaj proszę mi powiedzieć, co mam mówić w tym wieczornym pacierzu. Kiedy będę już leżeć w łóżku, wymyślę sobie jakąś piękną modlitwę, którą będę codziennie odmawiać. Na pewno będzie to coś ciekawego.

— Musisz uklęknąć — powiedziała z zakłopotaniem Maryla.

Ania uklękła przy Maryli i spojrzała na nią poważnie.

— Czemu trzeba klękać do modlitwy? Gdybym naprawdę chciała się modlić, powiem pani, co bym zrobiła. Poszłabym sama na piękną, wielką łąkę albo do bardzo głębokiego lasu i wzniosłabym oczy ku błękitnemu niebu, które wyglądałoby tak, jakby ten błękit miał nie mieć końca. I to byłaby moja modlitwa. No, jestem gotowa. Co mam mówić?

Maryla była nadal zakłopotana. Początkowo miała zamiar nauczyć Anię codziennego dziecięcego pacierza „Aniele Boży, stróżu mój”, lecz jak już wcześniej zostało powiedziane, miewała przebliski poczucia humoru, a także spore wyczucie sytuacji oraz tego, co jest dla

Modlitwa

danej osoby właściwe. Nagle uświadomiła sobie, że naiwny pacierz, ułożony dla dzieci w białych nocnych koszulkach, sepleniących go u boku wzruszonych matek, zupełnie nie nadaje się dla tej małej, piegowatej istoty, która nic nie wie o miłości Bożej, ani też nie troszczyła się o nią zbyt, skoro nigdy nie doświadczyła miłości ze strony ludzi.

— Jesteś już na tyle duża, że możesz modlić się sama — powiedziała w końcu Maryla. — Po prostu podziękuj Bogu za otrzymane od Niego łaski i proś go pokornie, żeby spełnił twoje prośby.

— Dobrze, postaram się to zrobić najlepiej, jak umiem — obiecała Ania, kryjąc twarz na podolku Maryli. — Miłosierny Boże... tak mówi pastor w kościele, myślę więc, że w prywatnej modlitwie też można się tak do Niego zwracać, prawda? — Przerwała i podniosła głowę. — Miłosierny Boże, dziękuję ci za Jezioro Lśniących Wód, za Białą Drogę Rozkoszy, za Królową Śniegu i za Jutrzenkę. Jestem ci za to wszystko niezmiernie wdzięczna. I za wszystkie te łaski, którymi mnie obdarzyłeś i które sobie teraz przypominam. Jeśli chodzi o moje życzenia, to jest ich zbyt dużo, by je tutaj wymienić, więc ograniczę się do tych najważniejszych. Pozwól mi, proszę, zostać na Zielonym Wzgórzu i uczyni mnie piękną, gdy dorosnę. Z wyrazami szacunku, Ania Shirley. Czy tak będzie dobrze? — zapytała skwapliwie, wstając z kolan. — Gdybym miała trochę więcej czasu, mogłabym dobrać ładniejsze słowa.

Biedna Maryla była bliska omdlenia, przed którym uratowała ją świadomość tego, że nie chodziło o brak szacunku dla Stwórcy ze strony Ani, lecz o duchową ignorancję, która kryła się za tą dziwną modlitwą. Przykryła dziewczynkę kołdrą i obiecała sobie w duchu, że nazajutrz każe jej się nauczyć właściwego pacierza. Już miała wyjść z pokoiku ze świecą w rękę, kiedy Ania przywołała ją z powrotem.

— Właśnie sobie uświadomiłam, że powinnam na końcu powiedzieć „amen” zamiast „z wyrazami szacunku”. Tak mówi pastor w kościele. Zapomniałam o tym, ale wiedziałam, że pacierz trzeba jakoś zakończyć, stąd te wyrazy szacunku. Czy myśli pani, że Bogu sprawi to jakąś różnicę?

— Nie sądzę — odparła Maryla. — A teraz śpij już. Dobranoc!

— Dzisiaj mogę z czystym sumieniem życzyć pani dobrej nocy — powiedziała Ania, wtulając się w poduszki.

Maryla wróciła do kuchni, energicznym ruchem postawiła świecę na stole, po czym zwróciła się do Mateusza:

— Mateuszu Cuthbercie, najwyższy czas, żeby ktoś adoptował to dziecko i nauczył je czegoś. To niemal poganka! Dasz wiarę, że do dzisiejszego wieczora nigdy nie odmawiała pacierza? Jutro wyślę ją na plebanie po modlitewnik dla młodzieży. Zacznę ją też posyłać do szkoły niedzielnej, gdy tylko skompletujemy dla niej odpowiednią garderobę. Widzę, że będę miała pełne ręce roboty... Tak, tak, każdy musi mieć w życiu jakieś utrapienia. Do tej pory wiodłam spokojne życie, ale w końcu i dla mnie przyszły trudne czasy i będę musiała jakoś się z nimi uporać.

ROZDZIAŁ VIII ZACZYNA SIĘ WYCHOWANIE ANI

Z sobie tylko wiadomego powodu Maryla aż do następnego popołudnia nie powiedziała Ani, że zostaje na Zielonym Wzgórzu. Przed południem zleciła dziewczynce mnóstwo rozmaitych obowiązków i bacznie obserwowała, jak sobie z nimi radzi. Już po kilku godzinach wiedziała, że Ania jest bystra i posłuszna, szybko się uczy i jest chętna do pracy. Jej największą wadą była skłonność do wpadania w zadumę w trakcie wykonywanej czynności. Zapominała wtedy o wszystkim, także o tym, co miała do zrobienia i dopiero ostra reprimenda sprowadzała ją na ziemię.

Gdy Ania skończyła zmywanie naczyń po obiedzie, stanęła nagle przed Marylą z miną zdesperowanego człowieka, który gotów jest poznać najgorszą nawet prawdę. Jej drobna postać dygotała od stóp do głów, buzia była zarumieniona, jakby w gorączce, a oczy z powodu rozszerzonych źrenic wydawały się niemal czarne. Złożywszy dłonie, odezwała się błagalnym tonem:

— Och, panno Cuthbert, błagam panią, niech mi pani w końcu powie, czy odeślecie mnie do pani Blewett czy nie! Całe rano starałam się być cierpliwa, ale czuję, że dłużej już nie wytrzymam. To naprawdę okropne uczucie. Proszę mi wreszcie powiedzieć!

— Nie wyparzyłaś ścierki do naczyń, jak ci kazałam — odrzekła niewzruszenie Maryla. — Zrób to, zanim zaczniesz zadawać kolejne pytania.

Ania pobiegła spełnić polecenie, po czym wróciła do Maryli i utkwiała w niej błagalne spojrzenie.

— Cóż — zaczęła Maryla, nie znajdując powodu dla dalszego odwlekania odpowiedzi. — Chyba mogę ci już powiedzieć. Mój brat i ja postanowiliśmy cię zatrzymać, oczywiście pod warunkiem, że będziesz starać się być dobra i posłuszna. Ależ, dziecko... co się z tobą dzieje?

— Płaczę — odparła ze zdziwieniem dziewczynka. — Nie wiem, dlaczego. Cieszę się, jak tylko człowiek może się cieszyć! Ach, cieszę się to nie jest właściwe słowo. Cieszyłam się na widok białych kwiatów wiśni i Białej Alei Rozkoszy, ale to... to jest coś więcej. Jestem taka szczęśliwa! Postaram się być bardzo dobra. Domyślam się, że czeka mnie ciężka praca, gdyż pani Thomas często mi mówiła, że mam paskudny charakter. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. Czy może mi pani powiedzieć, dlaczego ja płaczę?

— Chyba dlatego, że jesteś bardzo przejęta — rzekła Maryla z dezaprobatą. — Usiądź na krześle i postaraj się uspokoić. Obawiam się, że łatwo wpadasz w skrajności, przechodząc od płaczu do śmiechu. Tak, zostaniesz u nas i postaramy się, żeby było ci z nami dobrze. Musisz chodzić do szkoły, ale dopiero od września, bo teraz zostały już tylko dwa tygodnie do wakacji.

— A... jak mam się do pani zwracać? — spytała Ania. — Czy mam mówić „panno Cuthbert”? A może mogłabym nazywać panią ciocią Marylą?

— Nie, nazywaj mnie po prostu Marylą. Prawie nikt nie mówi do mnie „panno Cuthbert”. Irytowałoby mnie to.

— Ale czy zwracanie się do pani po imieniu nie będzie lekceważące? — ośmieliła się zaprotestować Ania.

— Nie będzie w tym nic lekceważącego, jeżeli będziesz odnosić się do mnie z szacunkiem. Wszyscy w Avonlea, młodzi i starzy, nazywają mnie Marylą, za wyjątkiem pastora. On rzeczywiście zwraca się do mnie „panno Cuthbert”.

— Ale ja wolałabym jednak nazywać panią „ciocią Marylą” — nalegała Ania. — Nigdy nie miałam żadnej ciotki ani krewnej... nawet babci. Czułabym się wtedy tak, jakbyśmy byli rodziną. Czy mogę mówić „ciociu”?

— Nie, nie jestem twoją ciotką i nie lubię nadawać ludziom określeń, które ich nie dotyczą.

— Ale mogłybyśmy sobie wyobrazić, że pani nią jest.

— Jeśli chodzi o mnie, to niemożliwe — odparła oschle Maryla.

— Czy nigdy nie wyobrażała sobie pani rzeczy innymi, niż są one w rzeczywistości? — zapytała Ania z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

— Nie

— Och! — Ania głęboko westchnęła. — Panno... ach, Marylo, jak wiele tracisz!

— Nie sądzę, by wyobrażanie sobie rzeczy innymi, niż są w rzeczywistości, miało jakikolwiek sens — odpowiedziała Maryla. — Jeżeli Bóg stworzył nas w takim, a nie innym świecie, to nie powinniśmy wyobrażać sobie tego świata inaczej. A! Przypomniałam sobie o czymś. Idź do salonu, tylko nie pobrudź podłogi ani nie napuść tam much, i przynieś mi obrazek, który leży na kominku. Jest na nim modlitwa *Ojcze nasz*. Chciałabym, abyś dzisiaj po południu cały swój wolny czas poświęciła na to, by nauczyć się jej na pamięć. Nie będzie już więcej takich pacierzy, jakie usłyszałam wczoraj wieczorem.

— Przyznaję, że był trochę dziwny — odparła dziewczynka przepraszającym tonem — ale nie miałam przecież żadnego doświadczenia. Nie można wymagać od kogoś, kto modli się pierwszy raz w życiu, że będzie to robił jak należy, prawda? Kiedy leżałam już w łóżku, wymyśliłam wspaniałą modlitwę, tak jak ci obiecałam, Marylo. Jest prawie tak długa, jak ta, którą odmawia pastor, i równie poetycka. Ale, choć to brzmi niewiarygodnie, gdy obudziłam się rano, nie pamiętałam z niej ani słowa. I obawiam się, że nie będę już mogła wymyślić niczego równie pięknego. Z jakiegoś powodu rzeczy nie wydają się już takie piękne, gdy wymyślamy je ponownie. Zwróciłaś na to uwagę, Marylo?

— Aniu, chciałabym, żebyś to ty zwróciła na coś uwagę. Kiedy cię o coś proszę, musisz od razu wykonać moje polecenie, a nie stać i rozprawiać na ten temat. Idź więc i zrób to, o co prosiłam.

Ania natychmiast opuściła salon i wyszła do holu, ale długo nie wracała. Po dziesięciu minutach oczekiwania Maryla odłożyła robótkę i poszła za nią z gniewnym wyrazem twarzy. Zastała dziewczynkę stojącą nieruchomo przed obrazem wiszącym na ścianie między oknami. Jej oczy wydawały się rozgwieżdżone od marzeń. Białe i zielone promienie sączyły się przez liście jabłoni i dzikiego wina, oblewając skupioną, małą postać nieziemskim blaskiem.

— O czym myślisz, Aniu? — spytała ostro Maryla.

Dziewczynka ocknęła się z zadumy.

— O tym — odparła, wskazując obrazek, a raczej barwną reprodukcję obrazu Chrystus błogosławiący dzieci. — Właśnie wyobrażałam sobie, że jestem jednym z tych dzieci, o, tamtą dziewczynką w niebieskiej sukience, która stoi samotnie w kącie, jakby nie miała nikogo bliskiego, zupełnie jak ja... Wydaje się opuszczona i smutna, prawda? Myślę, że nie ma rodziców. Ale ona też chciała zostać pobłogosławiona, więc stanęła w kąciuku, mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy... prócz Niego. Jestem pewna, że wiem dokładnie, co czuła. Serce musiało jej walić, a ręce zrobiły się zimne, tak jak moje, gdy pytałam, czy mogę u was zostać. Bała się, że On może jej nie dostrzec. Ale pewnie dostrzegł, jak sądzisz? Próbowałam to sobie wszystko wyobrazić: jak podchodziła coraz bliżej i bliżej, aż znalazła się tuż przy Nim, a wtedy On spojrzał na nią, położył dłoń na jej włosach i och, jakież dreszcz radości ją przeszył! Szkoda, że artysta namalował Go takim smutnym. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale wszystkie Jego obrazy są takie. Ale ja nie wierzę, że naprawdę mógł wyglądać tak żałośnie, bo inaczej dzieci by się Go bały.

— Aniu — rzekła Maryla, zastanawiając się, dlaczego nie przerwała tego potoku słów znacznie wcześniej — nie powinnaś tak mówić. To niepobożne, wręcz bluźniercze.

Oczy Ani wyraziły bezgraniczne zdumienie.

— Ależ ja czułam się tak pobożnie, jak to tylko możliwe. Naprawdę nie chciałam być bluźniercza.

— Cóż, domyślałam się, że nie chciałaś, ale nie uchodzi wyrażać się w tak poufały sposób o takich rzeczach. I jeszcze jedno, Aniu: kiedy posyłam cię po coś, masz to przynieść natychmiast, a nie wpadać w zadumę i urojenia przed obrazkami. Zapamiętaj to sobie. Weź tę kartkę i chodź zaraz do kuchni. A teraz usiądź w kącie i naucz się tej modlitwy na pamięć.

Ania oparła kartkę o dzban pełen kwitnących gałązek jabłoni, które przyniosła, by ozdobić stół do obiadu. Maryla spojrzała na tę dekorację niezbyt przychylnym okiem, lecz nic nie powiedziała. Ania tymczasem podparła dłońmi brodę i przez kilka minut w milczeniu studiowała tekst z wielkim skupieniem.

— Podoba mi się to — ogłosiła w końcu. — Jest piękne. Słyszałam to już wcześniej — raz recytował to nadzorca w szkółce niedzielnej w przytułku. Ale wtedy mi się nie podobało. Miał taki piskliwy głos i modlił się tak żałośnie. Byłam pewna, że uważa modlitwę za przykry obowiązek. To nie jest poezja, ale sprawia, że czuję się tak samo, jak przy czytaniu wierszy. „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje”. To brzmi jak linia melodyczna. Och, tak się cieszę, że kazałaś mi się tego nauczyć, panno... Marylo.

— Cóż, ucz się i trzymaj język za zębami — ucięła Maryla.

Ania pochyliła wazon z kwiatami jabłoni na tyle blisko, by złożyć miękki pocałunek na różowym pąku, po czym przez kilka chwil znów pilnie się uczyła.

— Marylo — odezwała się nagle — czy myślisz, że będę miała kiedyś w Avonlea wyśnioną przyjaciółkę?

— Jaką przyjaciółkę?

— Wyśnioną, taką od serca, wiesz, prawdziwą pokrewną duszę, której mogłabym powierzyć najskrytsze tajemnice mojego jestestwa. Marzyłam o spotkaniu takiej przyjaciółki przez całe życie. Nigdy nie sądziłam, że to się uda, ale tyle moich najpiękniejszych snów spełniło się naraz, że może i ten się ziści. Myślisz, że to możliwe?

— Na Sosnowym Wzgórzu mieszka Diana Barry, jest mniej więcej w twoim wieku. To bardzo miła dziewczynka i być może będzie dla ciebie towarzyszką zabaw, kiedy wróci

do domu. W tej chwili przebywa u swojej ciotki w Carmody. Będziesz musiała jednak uważać na swoje zachowanie. Pani Barry jest bardzo wymagającą kobietą. Nie pozwoli Dianie bawić się z żadną dziewczynką, która nie jest grzeczna i dobrze wychowana.

Ania spojrzała na Marylę zza kwiatów jabłoni, a jej oczy zapłonęły zainteresowaniem.

— Jaka jest Diana? Jej włosy nie są rude, prawda? Och, mam nadzieję, że nie. Wystarczy, że ja mam rude, ale u wyśnionej przyjaciółki absolutnie bym tego nie zniosła.

— Diana to bardzo ładna dziewczynka. Ma czarne oczy i włosy oraz różowe policzki. Jest przy tym dobra i pojętna, a to są przymioty ważniejsze niż uroda.

Maryla lubowała się w morałach niemal tak jak Księżna w *Alicji w Krainie Czarów* i była święcie przekonana, że każdej uwadze skierowanej do wychowywanego dziecka musi towarzyszyć jakaś nauka.

Lecz Ania puściła tę uwagę mimo uszu, skupiając się jedynie na zachwycających możliwościach, jakie przed nią otwierała.

— Och, tak się cieszę, że jest ładna. Zaraz po byciu piękną, co w moim przypadku jest niemożliwe, najlepiej jest mieć piękną przyjaciółkę. Kiedy mieszkałam u pani Thomas, ona miała w salonie szafkę na książki ze szklanymi drzwiczkami. Nie było w niej żadnych książek; pani Thomas trzymała tam swoją najlepszą porcelanę i konfitury, kiedy akurat jakieś miała. Jedna z szyb była stłuczona. Pan Thomas rozbił ją pewnej nocy, gdy był nieco wstawiony. Ale druga szyba była cała i udawałam, że moje odbicie w niej to inna dziewczynka, która tam mieszka. Nazwałam ją Katie Maurice i byłyśmy ze sobą bardzo zżyte. Rozmawiałam z nią całymi godzinami, zwłaszcza w niedziele, i opowiadałam o wszystkim. Katie była pociechą i ukojeniem mojego życia. Udawałyśmy, że szafka jest zaczarowana i gdybym tylko знаła zaklęcie, mogłabym otworzyć drzwiczki i wejść prosto do pokoju, w którym mieszka Katie Maurice, zamiast na półki z konfiturami i porcelaną pani Thomas. Wtedy Katie Maurice wzięłaby mnie za rękę i wyprowadziła do cudownego miejsca, pełnego kwiatów, słońca i wrózek, i żyłybyśmy tam długo i szczęśliwie. Kiedy poszłam do pani Hammond, serce mi pękło, że muszę opuścić Katie Maurice. Ona też to strasznie przeżyła: wiem o tym, bo płakała, kiedy całowała mnie na pożegnanie przez szybę w szafce. U pani Hammond nie było szafki na książki. Ale kawałek w górę rzeki, niedaleko domu, była długa, zielona dolinka, w której mieszkało najpiękniejsze echo. Powtarzało każde słowo, nawet jeśli nie mówiło się głośno. Wyobraziłam więc sobie, że to dziewczynka o imieniu Violetta; byłyśmy wielkimi przyjaciółkami i kochałam ją prawie tak mocno jak Katie Maurice, nie całkiem, ale prawie. W noc przed wyjazdem do sierocińca pożegnałam się z Violettą, a to pożegnanie wróciło do mnie takim smutnym tonem. Tak się do niej przywiązałam, że nie miałam serca wyobrażać sobie przyjaciółki w sierocińcu, nawet gdyby było tam jakiekolwiek pole dla wyobraźni.

— Myślę, że to dobrze, że go nie było — rzekła Maryla sucho. — Nie pochwałam takich dziwactw. Zdaje się, że na wpół wierzysz we własne zmyślenia. Dobrze ci zrobi posiadanie prawdziwej, żywej przyjaciółki, która wybije ci te bzdury z głowy. Tylko niech pani Barry nie słyszy, jak opowiadasz o tych swoich Katie Maurice i Violettach, bo pomyśli, że kłamiesz.

— Och, nie powiem jej. Nie mogłabym o nich mówić każdemu, pamięć o nich jest zbyt święta. Ale chciałam, żebyś ty o nich wiedziała. O, spójrz, wielka pszczoła właśnie wyszła z kwiatu jabłoni. Pomyśl tylko, jakie to piękne miejsce do życia: w kwiecie jabłoni! Wyobraź sobie, że zasypiasz w środku, gdy wiatr nim kołysze. Myślę, że gdybym nie była człowiekiem, chciałabym być pszczołą i mieszkać wśród kwiatów.

— Wczoraj chciałaś być mewą — fuknęła Maryla. — Sądzę, że jesteś bardzo niestała w swoich pragnieniach. Kazałam ci się uczyć modlitwy, a nie gadać. Ale widzę, że nie potrafisz przestać mówić, jeśli tylko znajdziesz kogoś, kto chce słuchać. Idź więc do swojego pokoju i się ucz.

— Och, umiem już prawie całą modlitwę, brakuje mi tylko ostatniej linijki.

— Mniejsza o to, rób, co każę. Idź do pokoju, naucz się jej porządnie i zostań tam, aż zawołam cię, żebyś pomogła mi przygotować podwieczorek.

— Czy mogę wziąć ze sobą kwiaty jabłoni dla towarzystwa? — poprosiła Ania.

— Nie, nie chcę, żebyś zagrażała pokój kwiatami. W ogóle powinnaś była zostawić je na drzewie.

— Też tak przez chwilę myślałam — odrzekła Ania. — Czułam, że nie powinnam skracać ich pięknego życia; sama nie chciałabym zostać zerwana, gdybym była kwiatem jabłoni. Ale pokusa była nieodparta. Co ty robisz, gdy czujesz nieodpartą pokusę?

— Aniu, czy słyszałaś, jak kazałam ci iść do pokoju?

Ania westchnęła, weszła do pokoiku na wschodnim poddaszu i usiadła na krześle przy oknie.

— No, modlitwę już znam. Ostatniego zdania nauczyłam się, idąc po schodach. A teraz zacznę sobie wyobrażać różne rzeczy w tym pokoju, tak żeby zostały tu na zawsze. Podłogę pokrywa biały, aksamitny dywan usiany różowymi różami, a w oknach wiszą różowe, jedwabne zasłony. Ściany są obite złotym i srebrnym brokatem. Meble są z mahoni. Nigdy nie widziałam mahoni, ale nazwa brzmi tak luksusowo. Tu stoi szezlong udekorowany pięknymi, jedwabnymi poduszkami: różowymi, niebieskimi, czerwonymi i złotymi, a ja spoczywam na nim z wdziękiem. Widzę swoje odbicie w tym wspaniałym, wielkim lustrze wiszącym na ścianie. Jestem wysoka i posągowa, ubrana w suknię z powłóczystych, białych koronek, z perłowym krzyżem na piersi i perłami we włosach. Moje włosy mają barwę nocy, a skóra czystą białoskość kości słoniowej. Nazywam się lady Kordelia Fitzgerald. Nie, wcale nie... tego akurat nie jestem w stanie urzeczywistnić.

Podbiegła do małego lusterka i zajrzała w nie. Zobaczyła swoją własną piegowatą, pociągłą twarzyczkę i poważne, szare oczy.

— Jesteś tylko Anią z Zielonego Wzgórza — rzekła z powagą — i widzę cię dokładnie taką, jaka jesteś teraz, ilekroć próbuję sobie wyobrazić, że jestem lady Kordelią. Ale bycie Anią z Zielonego Wzgórza jest milion razy miłsze niż bycie Anią znikąd, prawda?

Pochyliła się, ucałowała czule swoje odbicie i podeszła do otwartego okna.

— Dzień dobry, kochana Królowo Śniegu. Dzień dobry, kochane brzozy w dolinie. I dzień dobry, szary domku na wzgórzu. Zastanawiam się, czy Diana zostanie moją wysnioną przyjaciółką. Mam nadzieję, że tak, i będę ją bardzo kochać. Ale nigdy nie wolno mi całkiem zapomnieć o Katie Maurice i Violetcie. Byłoby im bardzo przykro, a za żadne skarby nie chciałabym ranić czyichkolwiek uczuć, nawet dziewczynki z szafki czy tej, która odpowiada mi jako echo. Muszę o nich pamiętać i codziennie przysyłać im całusa.

Ania koniuszkami palców posłała dwa lekkie pocałunki ponad kwiatami wiśni, po czym, z brodą wspartą na dłoniach, wypłynęła luksusowym okrętem na ocean marzeń.

ROZDZIAŁ IX

PANI MAŁGORZATA LINDE JEST SŁUSZNE PRZERAŻONA

Ania mieszkała na Zielonym Wzgórzu już dwa tygodnie, zanim pani Linde przybyła, żeby ją ocenić. Oddając sprawiedliwość pani Małgorzacie, nie była to jej wina. Ciężki i nienaturalny o tej porze atak grypy uwięził tę pocziwą kobietę w domu tuż po jej ostatniej wizycie na Zielonym Wzgórzu. Pani Małgorzata rzadko chorowała i żywiła wyraźną pogardę dla ludzi, którzy to robili; ale grypa, jak twierdziła, była chorobą niepodobną do żadnej innej i mogła być rozumiana jedynie jako szczególne nawiedzenie Opatrzności. Gdy tylko lekarz pozwolił jej wystawić nogę za próg, pośpieszyła na Zielone Wzgórze, nie posiadając się z ciekawości, by poznać sierotę Mateusza i Maryli, o której w Avonlea krążyły już najrozmaitsze opowieści i przypuszczenia.

Ania dobrze wykorzystała każdą chwilę podczas tych dwóch tygodni. Znała już wszystkie drzewa i krzewy w obejściu. Odkryła, że poniżej sadu z jabłoniami zaczyna się dróżka biegnąca przez las; zbadała ją aż po sam koniec, zachwycając się jej kaprysami — strumykiem, mostkiem, gąszczem jodeł i łukami z dzikich wiśni, zakątkami porośniętymi paprocią i bocznymi ścieżkami wśród klonów i jarzębin.

Zaprzyjaźniła się ze źródłem w dolince — to cudowne, głębokie, krystalicznie czyste i lodowate źródło otoczone było gładkimi czerwonymi piaskowcami i obrośnięte wielkimi, przypominającymi palmy kępami paproci wodnej; a dalej znajdował się mostek, za który służyła kłoda przerzucona nad potokiem.

Ten mostek prowadził tańczące stopy Ani na zalesione wzgórze powyżej, gdzie pod gęsto rosnącymi strzelistymi jodłami i świerkami panował wieczny półmrok. Jedynymi kwiatami były tam miriady delikatnych konwalijek — tych najbardziej nieśmiałych

i najśodszych leśnych kwiatów — oraz kilka bladych, eterycznych śniedków baldaszkowatych, wyglądających jak duchy zeszłorocznych kwiatów. Pajęczyny lśniły między drzewami jak srebrne nici, a jodłowe gałęzie i igliwie zdawały się przemawiać przyjaznym głosem.

Wszystkie te zachwycające wyprawy odkrywcze odbywały się w krótkich chwilach wolnego, które Ania dostawała na zabawę, a potem swoimi opowieściami niemal zamęczała Mateusza i Marylę. Mateusz wcale nie narzekał — słuchał wszystkiego z niemym uśmiechem zadowolenia; Maryla zaś pozwalała na to „paplanie”, dopóki nie zorientowała się, że sama zaczyna się nim zbyt interesować — wtedy natychmiast uciszała Anię szorstkim poleceniem, by trzymała buzię na kłódkę.

Kiedy w obejściu pojawiła się pani Linde, Ania była w sady, błędząc na własne życzenie wśród bujnych traw skąpanych w czerwonych promieniach wieczornego słońca. Dzięki temu ta zacna dama miała wyśmienitą okazję, by szczegółowo opowiedzieć o swojej chorobie, opisując każdy atak bólu i uderzenie tętna z tak wyraźnym zadowoleniem, że Maryla pomyślała, iż nawet grypa musi mieć swoje dobre strony. Kiedy wszystkie szczegóły zostały wyczerpane, pani Małgorzata przeszła do właściwego powodu swojej wizyty.

— Słyszałam zaskakujące rzeczy o tobie i Mateuszu.

— Nie sądzę, żebyś była bardziej zaskoczona niż ja sama — odrzekła Maryla. — Teraz już powoli dochodzę do siebie.

— To straszne, że zaszła taka pomyłka — rzekła pani Linde ze współczuciem. — Nie mogliście jej odesłać?

— Przypuszczam, że mogliśmy, ale postanowiliśmy tego nie robić. Mateusz ją polubił. I muszę przyznać, że ja też — choć przyznaję, że ma swoje wady. Dom wydaje się już zupełnie innym miejscem. To naprawdę bystra mała istotka.

Maryla powiedziała więcej, niż zamierzała, ponieważ w wyrazie twarzy Małgorzaty wyczytała dezaprobatę.

— Wielką odpowiedzialność na siebie wzięłaś — rzekła ponuro sąsiadka — zwłaszcza że nigdy nie miałaś doświadczenia z dziećmi. Niewiele o niej wiesz, nie znasz jej prawdziwej natury i nie jesteś w stanie przewidzieć, co wyrośnie z takiego dziecka. Ale nie chcę cię zniechęcać, Marylo, możesz być tego pewna.

— Nie czuję się zniechęcona — brzmiała sucha odpowiedź Maryli. — Kiedy podejmę jakąś decyzję, to się jej trzymam. Przypuszczam, że chciałabyś poznać Anię. Zawołam ją.

Ania wbiegła po chwili, z twarzą rozpromienioną radością z przechadzki po sady; lecz zmieszana niespodziewaną obecnością obcej osoby, zatrzymała się niepewnie w progu. Doprawdy była osobliwym stworzonkiem w krótkiej, ciasnej sukience z barchanu, którą nosiła w sierocińcu. Wystawały spod niej chude nogi, które wydawały się nieproporcjonalnie długie. Piegów miała więcej i były bardziej widoczne niż kiedykolwiek. Wiatr rozczochrał jej włosy w jaskrawym nieładzie — nigdy nie wydawały się bardziej rude niż w tym momencie.

— No, na pewno nie wybrali cię za urodę, to pewne jak dwa razy dwa — wybrzmiał dobitnie komentarz pani Małgorzaty Linde. Kobieta należała do owych uroczych i popularnych osób, które szczytą się tym, że mówią to, co myślą, nie bojąc się niczego ani nikogo nie faworyzując. — Strasznie ona chuda i brzydka, Marylo. Podejdź tutaj, dziecko, niech ci się przyjrzę. Na Boga, czy widział kto kiedy tyle piegów? I włosy rude jak marchewka! Chodź no tutaj, mówię.

Ania „podeszła”, ale niezupełnie tak, jak spodziewała się pani Małgorzata. Jednym susem przemierzyła kuchnię i stanęła przed nią z twarzą purpurową z gniewu i drżącymi wargami, dygocząc od stóp do głów.

— Nienawidzę pani! — krzyknęła zduszonym głosem, tupiąc nogą. — Nienawidzę pani, nienawidzę, nienawidzę! — za każdym razem tupiała coraz mocniej. — Jak pani śmie nazywać mnie chudą i brzydką! Jak pani nie wstyd mówić, że jestem piegowata i rudowłosa? Jest pani nieuprzejmą, ordynarną i bezduszną kobietą!

— Aniu! — zawołała skonsternowana Maryla.

Dziewczynka nie cofnęła się jednak o krok, tylko stała naprzeciwko pani Małgorzaty z podniesioną głową, gniewnym spojrzeniem i zaciśniętymi pięściami. Całe jej ciało kipiało z oburzenia.

— Jak pani śmie mówić o mnie w ten sposób! — powtórzyła z zawziętością. — A co gdyby pani usłyszała pod swoim adresem, że jest niezgrabna i tłusta, i że prawdopodobnie nie ma za grosz wyobraźni? Nie obchodzi mnie, czy mówiąc to, ranię pani uczucia! Przeciwnie, chcę je zranić i mam nadzieję, że mi się to udało. Zraniła mnie pani bardziej niż ktokolwiek inny, nawet pijany mąż pani Thomas. I nigdy pani tego nie wybaczę, nigdy, przenigdy!

Po tej tyradzie tupnęła nogą raz i drugi.

— Czy ktokolwiek widział kiedy podobne zachowanie? — zawołała z oburzeniem pani Małgorzata.

— Aniu, idź do swojego pokoju i poczekaj tam na mnie — powiedziała Maryla, z najwyższym trudem odzyskując panowanie nad sobą.

Ania wybuchnęła płaczem i trzasnąwszy drzwiami, jak wicher pomknęła po schodach. Stłumiony odgłos na poddaszu sugerował, że drzwi jej pokoju zostały zatrzęsnięte z równym impetem, jak te na dole.

— No, no, nie zazdroszczę ci wychowywania kogoś takiego — oświadczyła z ironią pani Linde.

Maryla otworzyła usta, by ją przeprosić, wyrazić jakieś ubolewanie i dezaprobatę dla zachowania dziewczynki, lecz to, co powiedziała, zdumiało nawet ją samą.

— Nie powinnaś była drwić z jej wyglądu, Małgorzato.

— Marylo Cuthbert, nie chcesz chyba powiedzieć, że pochwalasz tego typu skandaliczne dzikie zachowanie, którego byliśmy świadkami — oburzyła się pani Linde.

— Nie — odparła po namyśle Maryla — wcale nie mam zamiaru jej usprawiedliwiać. Ania zachowała się niegrzecznie i otrzyma ode mnie surową nauczkę. Lecz musimy wziąć pod uwagę pewne okoliczności. Nikt nie wpoił jej właściwych manier. A ty potraktowałaś ją stanowczo zbyt ostro, powiedziałabym nawet — okrutnie.

Maryla — ponownie dziwiąc się samej sobie — nie mogła powstrzymać się od tej ostatniej uwagi. Pani Linde wstała, a na jej twarzy malowała się urażona duma i godność.

— Cóż, widzę, że będę musiała mocno liczyć się ze słowami, zanim cokolwiek powiem, skoro uczucia jakiejś sieroty, wziętej nie wiadomo skąd, aż tyle dla ciebie znaczą. Och, nie, nie gniewam się. Za bardzo mi cię żal, żebym się na ciebie pogniewała. Będziesz mieć mnóstwo problemów z tym dzieckiem. Nie sądzę, żebyś chciała posłuchać mojej rady, choć — jak zapewne pamiętasz — wychowałam dziesięcioro dzieci, a dwoje pocho-
wałam, ale na twoim miejscu dałabym jej solidną nauczkę, o której sama wspomniałaś, nawet przy użyciu brzozonej różgi. Moim zdaniem, byłaby to najlepsza lekcja dla takiej pannicy. Widać, że jej charakter jest równie ognisty jak jej włosy. No, dobranoc, Marylo! Mam nadzieję, że będziesz odwiedzać mnie równie często jak do tej pory. Ty jednak nie możesz oczekiwać ode mnie, że zjawię się ponownie u was, na Zielonym Wzgórzu, skoro zostałam tu tak potraktowana. Nigdy w życiu nie spotkało mnie nic podobnego!

Gdy tylko Małgorzata wypadła z impetem z domu Cuthbertów — o ile otyła kobieta, która idąc, kołysze się na boki jak kaczka, może wypaść skądkolwiek z impetem — Maryla z surową miną ruszyła po schodach na poddasze.

Wchodząc po schodach, zastanawiała się, jak powinna postąpić. Była zakłopotana, ale i przerażona tym, co niedawno rozegrało się na jej oczach. Jaka szkoda, że Ania urządziła taką scenę — i to właśnie Małgorzacie! Nagle Maryla z przykrością uświadomiła sobie, że po tym zajściu odczuwała raczej upokorzenie niż przykrość związaną z odkryciem u swojej wychowanki tak poważnej wady charakteru. W jaki sposób powinna ją ukarać? „Dobra rada” w postaci użycia w tym celu brzozonej różgi, której zbawiennego działania doświadczyły na sobie wszystkie dzieci pani Linde, jakoś do Maryli nie przemawiała. Nie mogłaby wychłostać dziecka. Musiał istnieć jakiś inny rodzaj sankcji, który uświadomiłby Ani rozmiary jej winy.

Maryla zastała Anię leżącą w łóżku i gorzko płaczącą, z twarzą ukrytą w poduszce. Dziewczynka była nieświadoma tego, że zabłoconymi podeszwami butów pobrudziła narzutę na łóżku.

— Aniu — przemówiła Maryla niezbyt surowym tonem.

Odpowiedziała jej cisza.

— Aniu! — powtórzyła nieco ostrzej — natychmiast wstań z łóżka i posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia.

Dziewczynka zsunęła się z łóżka i usiadła sztywno na krześle stojącym obok. Jej opuchnięta twarz zalana była łzami. Wbiła wzrok w podłogę.

— Nie ma co, Aniu, ładnie się zachowałeś! Nie wstyd ci?

— Ta kobieta nie miała prawa mówić, że jestem ruda i brzydka — odpowiedziała Ania wymijająco.

— A ty nie miałaś prawa wpadać w furię i odzywać się do niej w taki sposób. Wstydziałam się za ciebie i czułam się zażenowana. Chciałam, żebyś była grzeczna i uprzejma wobec pani Linde, a ty przyniosłaś mi taki wstyd. Właściwie nie bardzo rozumiem, dlaczego tak się przejęłaś jej słowami, że jesteś ruda i brzydka. Przecież sama nieraz to mówiłaś.

— Ale to nie to samo. Jest przecież wielka różnica między tym, kiedy człowiek sam o sobie mówi takie rzeczy, a kiedy słyszy je od innych — jęknęła Ania. — Można wiedzieć, jak się wygląda, a jednocześnie w głębi duszy mieć nadzieję, że ludzie widzą cię inaczej. Marylo, pewnie myślisz, że mam paskudny charakter, ale nie mogłam się opanować. Kiedy pani Linde powiedziała to wszystko, poczułam, że muszę jej odpowiedzieć.

— No i piękną urządziłaś scenę! Pani Linde będzie miała co opowiadać. A że będzie opowiadać, to rzecz pewna. Wszyscy wokół dowiedzą się, co zaszło. Wielka szkoda, że straciłaś panowanie nad sobą.

— A jakbyś ty się czuła, Marylo, gdyby ktoś powiedział ci prosto w twarz, że jesteś chuda i brzydka? — broniła się Ania.

Nagle w pamięci Maryli odżyło dawne wspomnienie. Była małą dziewczynką, gdy pewnego razu usłyszała, jak któraś z jej ciotek mówi do drugiej: „Szkoda, że to takie brzydkie, śniade stworzenie”. Maryla kończyła już pięćdziesiątkę i dopiero teraz pamięć o tym zdarzeniu przestała być dla niej bolesna.

— Nie twierdzę, że pani Linde zachowała się właściwie, zwracając się do ciebie w taki sposób — przyznała Maryla łagodniejszym tonem. — Małgorzata jest zbyt szczera. Ale to cię w żadnym razie nie usprawiedliwia. Miałas do czynienia z osobą starszą, nieznajomą, która w dodatku była moim gościem, i choćby dlatego powinnaś była okazać jej szacunek. A ty zachowałeś się niegrzecznie i zuchwale. Dlatego musisz do niej pójść, przeprosić za swoje zachowanie i prosić o wybaczenie.

— Nie mogę tego zrobić — odparła Ania ponuro. — Możesz ukarać mnie w inny sposób: zamknąć mnie w ciemnym, wilgotnym lochu, pełnym węży i jaszczurek, dawać mi tylko chleb i wodę... i nie będę się skarżyć. Ale nie możesz wymagać ode mnie, żebym przeprosiła panią Linde.

— Nie mam w zwyczaju zamykać ludzi w ciemnym, wilgotnym lochu — rzekła Maryla z sarkazmem w głosie — zwłaszcza, że w Avonlea trudno byłoby go znaleźć. Ale powinnaś przeprosić panią Linde, i musisz to zrobić, bo jeśli odmówisz, zostaniesz w swoim pokoju tak długo, dopóki nie oświadczysz mi, że jesteś gotowa to zrobić.

— W takim razie zostanę tu na zawsze — oznajmiła Ania grobowym głosem — bo nie mogę szczerze powiedzieć pani Linde, że jest mi przykro z powodu mojego zachowania. Jak mogłabym jej to powiedzieć? Przecież wcale nie jest mi przykro. Martwi mnie to, sprawiłam przykrość tobie, ale bardzo się cieszę, że powiedziałam pani Linde to, co czuję. Sprawilo mi to wielką satysfakcję, więc nie mogłabym powiedzieć, że odczuwam z tego powodu jakąś przykrość czy żal. Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić.

— Może jutro rano twoja wyobraźnia będzie bardziej skłonna do kompromisów — oznajmiła Maryla, szykując się do wyjścia. — Masz całą noc, żeby zastanowić się nad swoim postępowaniem i zmienić zdanie. Obiecałaś, że jeśli pozwolę ci zostać na Zielonym Wzgórzu, będziesz sprawować się jak najlepiej, ale dziś popołudniu dowiodłaś, że zapomniałaś o tej obietnicy — rzuciła Maryla na odchodnym.

Zeszła do kuchni, zatroskana i zirytowana. Była zła i na Anię, i na siebie. Ilekroć bowiem stawiała jej przed oczami Małgorzata z osłupiałym wyrazem twarzy, wargi zaczynały jej drgać i miała wielką ochotę serdecznie się roześmiać.

ROZDZIAŁ IX PRZEPROSINY ANI

Tego wieczoru Maryla nie powiedziała Mateuszowi o tym, co zaszło; lecz kiedy nazajutrz rano Ania trwała w swoim uporze, nie mając zamiaru przeprosić pani Małgorzaty, musiała jakoś wytłumaczyć bratu, dlaczego dziewczynka nie zeszła na śniadanie. Opowiedziała więc o całym wydarzeniu, starając się podkreślić niestosowność zachowania Ani.

— Dobrze się stało, że Małgorzata Linde usłyszała kilka słów prawdy o sobie. To nieznośna plotkara, która zawsze wtyka nos w nie swoje sprawy — stwierdził Mateusz.

— Mateuszu Cuthbercie, zadziwiasz mnie, doprawdy! Przecież Ania zachowała się skandalicznie, a ty bierzesz ją w obronę! Może jeszcze powiesz, że w ogóle nie powinniśmy jej ukarać?

— No, może... niezupełnie — wyjąkał Mateusz. — Myślę, że powinniśmy ją ukarać... tak trochę. Ale nie bądź dla niej zbyt surowa, Marylo. Pamiętaj, że tego dziecka nikt nie nauczył zasad dobrego wychowania. Ale... dasz jej chyba coś do jedzenia?

— Czy kiedykolwiek widziałeś, żebym głodem uczyła ludzi dobrych manier? — obruszyła się Maryla. — Będzie regularnie dostawać posiłki. Ja sama będę jej zanosić jedzenie na górę. Ale zostanie tam, dopóki nie zgodzi się przeprosić Małgorzaty. I nie ma tu o czym dyskutować, Mateuszu.

Śniadanie, obiad i kolacja zostały zjedzone w milczeniu, bo Ania nadal trwała niezłomnie przy swoim postanowieniu. Za każdym razem, gdy Maryla zanosila jej do pokoju tacę pełną jedzenia, potrawy wracały niemal nietknięte. Mateusz z troską przypatrywał się wieczorem zawartości odniesionych do kuchni talerzy, zastanawiając się, czy Ania cokolwiek zjadła.

Wieczorem, gdy Maryla wyszła z domu, żeby przyprowadzić krowy z pastwiska do obory, Mateusz, który obserwował ją, krzątając się po gospodarstwie, tylko na to czekał. Wśliznął się do domu niczym włamywacz i zakradł na górę. Na ogół krążył tylko pomiędzy kuchnią i swoją skromną sypialnią; rzadko zaglądał do salonu — właściwie tylko wtedy, gdy do Cuthbertów przychodził w odwiedziny pastor. Nie był na piętrze własnego domu od czterech lat, kiedy to pomagał Maryli tapetować pokój gościnny.

Przemierzył na palcach korytarz i przez kilka minut stał pod drzwiami pokoiku Ani, zanim wreszcie odważył się zapukać. Uchylił drzwi i zajrzał do środka. Ania siedziała na żółtym krześle przy oknie i tęsknie wpatrywała się w ogród. Wydała się Mateuszowi taka drobna i nieszczęśliwa, że serce ścisnęło mu się z żalu. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi i cichutko podszedł do dziewczynki.

— Aniu — wyszeptał, jakby obawiając się, że ktoś go usłyszy. — Jak się masz?

Ania uśmiechnęła się blade.

— Bardzo dobrze. Wyobrażam sobie wiele różnych rzeczy i dzięki temu szybciej mijają mi czas. Oczywiście czuję się trochę samotna, ale może jakoś przywyknę.

Znowu się uśmiechnęła, śmiało spoglądając w przyszłość i wyobrażając sobie długie lata samotnego więzienia, które — jak sądziła — ją czekały.

Mateusz uznał wreszcie, że należy szybko powiedzieć to, co zamierzał, gdyż Maryla mogła nadejść w każdej chwili.

— Słuchaj, Aniu, czy nie sądzisz, że lepiej byłoby zrobić to, czego oczekuje od ciebie Maryla, i zakończyć całą tę sprawę? Chyba wiesz dobrze, że prędzej czy później będziesz musiała to zrobić, bo Maryla jest bardzo stanowczą kobietą, Aniu, bardzo stanowczą. Zrób to i miejmy już całą tę sprawę za sobą.

— Mateuszu, czy mówisz o tym, że powinnam przeprosić panią Linde?

— Tak, właśnie o tym — potwierdził skwapliwie Mateusz. — Trzeba po prostu załagodzić tę sytuację. To właśnie chciałem powiedzieć i o to chciałem cię prosić.

— Myślę, że mogłabym to zrobić, Mateuszu, jeśli tak bardzo ci na tym zależy — powiedziała Ania z namysłem. — Teraz mogłabym powiedzieć jej, że jest mi przykro i że żałuję, bo tak jest naprawdę. Wczoraj czułam się zupełnie inaczej i nie żałowałam ani trochę. Byłam wściekła. Budziłam się w nocy trzy razy i za każdym razem byłam równie wściekła. Ale dziś rano mi przeszło. Minęła mi cała złość i tylko czułam się wyczerpana. Poza tym wstydziałam się za siebie. Lecz nie potrafiłabym przyznać się do tego pani

Linde. To by mnie upokorzyło. Dlatego uznałam, że wolę zostać tu do końca życia, niż ją przeprosić. Ale... dla ciebie, Mateuszu, zrobiłabym wszystko, więc jeśli naprawdę tego chcesz...

— Ależ oczywiście... A poza tym na dole jest bardzo pusto bez ciebie. Idź więc i załatw to. Jesteś dzielną dziewczynką.

— No dobrze — odparła Ania z rezygnacją. — Kiedy Maryla wróci, powiem jej, że żałuję tego, co się stało.

— Dobrze, Aniu. Tylko nie mów jej, że z tobą rozmawiałem. Pomyśli sobie, że się wtrącam, a obiecałem jej tego nie robić.

— Nie wydarłaby ze mnie tej tajemnicy nawet dzikimi końmi — oświadczyła uroczyście Ania. — A swoją drogą, czy dzikie konie potrafiłyby wyrzeć komuś jakąkolwiek tajemnicę?

Mateusz odszedł, zdziwiony, że tak łatwo mu poszło. Pospieszył na najdalszy koniec pastwiska, by Maryli nie przyszło do głowy, że był na górze i rozmawiał z Anią. Maryla zaś po powrocie z pastwiska została mile zaskoczona, słysząc głośnie wołanie z góry: „Marylo!”.

— Cóż takiego?

— Żałuję, że tak się zachowałam wobec pani Linde i że byłam dla niej niegrzeczna. Chciałabym pójść i przeprosić ją za to.

— Bardzo dobrze zrobisz — stwierdziła rzeczowo Maryla, nie dając po sobie poznać, jak jej ulżyło. Nieustannie bowiem zastanawiała się, co robi, jeśli Ania nie ustąpi. — Pójdę z tobą do niej, jak tylko wydoję krowy.

Niebawem Maryla i Ania ruszyły w drogę — pierwsza wyprostowana i triumfująca, druga przygnębiona, ze spuszczoną głową. Jednak mniej więcej w połowie drogi przygnębienie Ani rozwiało się jak za sprawą czarodziejskiej różdżki. Uniosła głowę i sprężystym krokiem szła naprzód, ze wzrokiem utkwionym w zachodzącym słońcu. Wydawała się być w podejrzanym dobrym nastroju, tłumiąc w sobie jakieś podekscytowanie. Maryla z niezadowolaniem obserwowała tę zmianę. Dziewczynka nie wyglądała na skruszoną pokutnicę, jaką pragnęła przedstawić urażonej Małgorzacie.

— O czym myślisz, Aniu? — zapytała.

— O tym, co mam powiedzieć pani Linde — odparła w zadumie dziewczynka.

Taka odpowiedź powinna być dla Maryli zadowalająca. Ona jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że karząc dziewczynkę w ten sposób, nie osiągnęła takiego skutku, jaki sobie zaplanowała. Ania wyglądała promiennie i radośnie.

Wyglądała tak aż do momentu, gdy znalazły się przed obliczem pani Linde, która siedziała przy kuchennym oknie, jak zwykle zajęta ręcznymi robótkami. Z twarzy Ani natychmiast zniknęła wszelka radość; emanował z niej za to głęboki żal i smutek. Zanim z jej ust padło choćby jedno słowo, dziewczynka runęła na kolana przed zaskoczoną tym panią Małgorzatą i w błagalnym geście uniosła ku niej splecione dłonie.

— Ach, pani Linde, jest mi tak niewypowiedzianie przykro — rzekła drżącym głosem. — Nigdy nie będę umiała w pełni wyrazić słowami mojego żalu, nawet gdyby przyszło mi użyć wszystkich słów ze słownika. Musi pani mój żal sobie wyobrazić. Zachowałam się wobec pani niegrzecznie i okryłam hańbą moich drogich opiekunów, Marylę i Mateusza, którzy pozwolili mi zostać na Zielonym Wzgórzu, chociaż nie jestem chłopcem. Jestem okropną, niewdzięczną dziewczyną, zasługującą na karę i wydalenie z domu takich przyzwoitych ludzi. Postąpiłam bardzo źle, unosząc się dlatego, że pani powiedziała mi prawdę. Mam rude włosy, jestem piegowata, chuda i brzydka. To, co ja pani powiedziałam, też było prawdą, ale nie powinnam była tego mówić. Och, pani Linde, niech mi pani wybaczy. Jeśli mi pani odmówi, będzie to największą tragedią mego życia. Skaże pani biedną sierotę na życie w wiecznym smutku. Czy jest pani na to gotowa, nawet jeśli ta sierota ma okropne usposobienie? Jestem przekonana, że nie. Błagam, pani Linde, proszę powiedzieć, że mi pani wybacza!

Ania złożyła dłonie, spuściła głowę i czekała na wyrok.

Nie można było wątpić w szczerość jej przeprosin — tchnęło nią każde wypowiedziane słowo. W każdym razie zarówno Maryla, jak i Małgorzata były o tym przekonane. A jednak pierwsza z nich zrozumiała także — i to ją szalenie zirytowało — że Ania odczuwa radość z przeżywanego upokorzenia i upaja się wręcz jej wzniosłością. Czy tak miała wyglądać kara, którą z dumą wymyśliła, a którą Ania obróciła w swego rodzaju zabawę?

Małgorzata Linde, w gruncie rzeczy kobieta dobroniuszna, lecz nieszczególnie bystra, nie zdołała tego zauważyć. Uznała, że przeprosiny Ani były bardzo skrupulatne i przyjęła je z wielką radością. W jej duszy stopniał wszelki gniew, a z jej życzliwego serca zniknęła cała dotychczasowa niechęć do dziewczynki.

— Dobrze już, dobrze, dziecko, wstań! — rzekła serdecznie. — Ależ oczywiście, że ci wybaczam. Może istotnie powiedziałam ci wtedy trochę za dużo. Ale zawsze mówię to, co myślę. A ty nie powinnaś brać sobie tego wszystkiego do serca. Nie można zaprzeczyć, że twoje włosy są okropnie rude; ale kiedyś chodziłam do szkoły z dziewczynką, której włosy były równie czerwone jak twoje, a gdy dorosła, ściemniały i nabrały pięknego, kasztanowego koloru. Nie zdziwiłabym się więc wcale, gdyby to samo przytrafiło się i tobie.

— Och, pani Linde! — Ania wzięła głęboki oddech i wstała z kolan. — Dała mi pani nadzieję. Będę pani za to dożywotnie wdzięczna. Zniosłabym wszystko, bylebym tylko mogła się przekonać, że gdy dorosnę, moje włosy staną się kasztanowe! Jeśli się ma piękne, kasztanowe włosy, o wiele łatwiej być grzecznym, nie sądzi pani? Czy mogłabym teraz pójść do ogrodu i usiąść na tej ławce pod jabłonią, gdy będziecie gawędzić z Marylą? Tam jest o wiele większe pole do wyobraźni.

— Naturalnie, dziecko, biegnij! A jeśli masz ochotę, możesz zrobić sobie bukiet z tych białych czerwcowych lilii, które rosną tam w rogu.

Kiedy za Anią zamknęły się drzwi, pani Linde wstała, by zapalić lampę.

— To istotnie niezwykle stworzenie. Usiądź na tym krześle, Marylo, jest wygodniejsze. Tamto trzymam dla chłopaka, który pomaga nam w gospodarstwie. Zaraz, zaraz, o czym to ja chciałam... A więc tak, to niewątpliwie dziwne dziecko, ale ma w sobie coś ujmującego. Już się wam nie dziwię, że ją zatrzymaliście. Może wyrośnie z niej coś dobrego. Wyraża się wprawdzie w niezwykle sposób, używając jakichś dziwacznych, górnolotnych zwrotów. Ale pewnie niedługo jej to przejdzie, gdy będzie przebywać z cywilizowanymi, kulturalnymi ludźmi. Zdaje się, że jest też trochę wybuchowa, łatwo traci panowanie nad sobą. Na pociechę powiem ci jednak, że dziecko, które szybko wybucha, szybko też się uspokaja i nigdy nie bywa przebiegłe ani kłamliwe. Niech nas Bóg broni przed przebiegłymi dziećmi! Słowem, Marylo, polubiłam tę małą i uważam, żeście nieźle trafili.

Kiedy Maryla wyszła od Małgorzaty, Ania wyłoniła się z ciemnego, pachnącego kwiatami sadu z naręczem białych narcyzów.

— Ładnie przeprosiłam panią Linde, prawda? — spytała z dumą. — Uznałam, że jeśli muszę to zrobić, powinienam wypaść jak najlepiej.

— Tak, dobrze się spisałaś — przyznała Maryla. Ku swemu zdziwieniu przyłapała się na tym, że myśląc o tej scenie, zbiera jej się na śmiech. Miała też niejasne, całkiem absurdalne wrażenie, że powinna skarcić Anię za tak udane przeprosiny. Uspokoila sumienie, mówiąc surowo:

— Aniu, mam nadzieję, że nie będziesz miała zbyt wielu okazji do takich przeprosin. I że od dziś będziesz trzymać swój temperament na wodzy.

— Nie byłoby to takie trudne, gdyby ludzie nie dokuczali mi z powodu mojego wyglądu — westchnęła Ania. — Wszystko inne mało mnie obchodzi, lecz moje rude włosy tak bardzo mnie denerwują, że wpadam w straszny gniew, ilekroć słyszę jakieś docinki na ich temat. Czy wierzysz w to, że kiedy dorosnę, moje włosy staną się kasztanowe?

— Nie powinnaś tak bardzo skupiać się na swoim wyglądzie. To niestety świadczy o tym, że jesteś bardzo próżna.

— Jak mogę być próżna, skoro jestem taka brzydka? — zaprotestowała dziewczynka. — Uwielbiam piękno i cierpię, gdy patrzę w lustro i widzę swoją brzydotę. To sprawia, że czuję ogromny smutek: tak samo jak wtedy, gdy patrzę na coś brzydkiego. Żal mi tego, bo nie jest piękne.

— „Piękny jest ten, kto czyni piękno” — zacytowała Maryla.

— Nieraz już to słyszałam, ale nie zgadzam się z tym — stwierdziła Ania sceptycznie, z rozkoszą wachając swe narcyzy. — Czyż te kwiaty nie są śliczne? To bardzo miłe ze strony pani Linde, że pozwoliła mi je zerwać. Nie mam już do niej żalu. Kiedy się kogoś przeprosi i uzyska przebaczenie, ogarnia go cudowne uczucie lekkości. Prawda, że gwiazdy

świecą dziś wyjątkowo jasno? Gdybyś miała mieszkać na gwieździe, którą byś wybrała? Ja tę wielką i jasną, świecącą nad tamtym ciemnym wzgórzem.

— Aniu, zamilknij wreszcie! — przerwała jej Maryla, zmęczona podążaniem za tokiem myśli dziewczynki.

Ania milczała, dopóki nie skreśliły w aleję prowadzącą do domu. Powitał je tam figlarny wietrzyk nasycony intensywnym zapachem wilgotnych od rosy paproci. W głębi zacienionego sadu spomiędzy drzew prześwitywało wesołe światło płynące z kuchni na Zielonym Wzgórzu.

Ania nagle przytuliła się do Maryli i wsunęła rękę w spracowaną dłoń kobiety.

— Cudownie jest wracać do domu, wiedząc, że to mój dom — rzekła. — Pokochałam już Zielone Wzgórze, choć wcześniej żadnego miejsca nie kochałam. Żadne inne nie wydawało mi się nigdy moim domem. Och, Marylo, jestem taka szczęśliwa! Czuję, że teraz mogłabym się pomodlić bez najmniejszego wysiłku.

Dotyk drobnej rączki dziecka w jej własnej dłoni sprawił, że w sercu Maryli rozlało się przyjemne ciepło. Być może była to fala macierzyńskich uczuć, których nigdy wcześniej nie zaznała. Niezwykłe wzruszenie, jakiego doznała w tej chwili, było tak żywe, a przy tym nieznane, że wprawiło ją w zakłopotanie. By jak najszybciej odzyskać równowagę, wygłosiła krótką przemowę:

— Bądź dobra, Aniu, a zawsze będziesz szczęśliwa. A odmawianie modlitwy nigdy nie powinno sprawiać ci wysiłku.

— Modlenie się i odmawianie modlitwy to dla mnie dwie różne rzeczy — powiedziała Ania w zamyśleniu. — A teraz wyobrażę sobie, że jestem wiatrem, który wieje w koronach tamtych drzew. Kiedy się zmęczę drzewami, pokolyszę tymi paprociami... Potem uniosę się nad ogrodem pani Linde i zaproszę do tańca jej kwiaty... aż wreszcie jednym wielkim podmuchem znajdę się na polu koniczyzny... skąd popłynę nad Jezioro Lśniących Wód, marszcząc jego powierzchnię i tworząc na niej małe, kędzierzawe fale... Ach, ileż pola do wyobraźni daje wietrzyk! A teraz już będę cicho, Marylo.

— Dzięk Ci, Boże — sapnęła panna Cuthbert z głębokim westchnieniem ulgi.

ROZDZIAŁ X WRAŻENIA ZE SZKÓŁKI NIEDZIELNEJ

— No, jak ci się podobają? — dopytywała Maryla.

Ania stała w pokoiku na poddaszu i z ponurą miną przyglądała się trzem nowym sukienkom rozłożonym na łóżku. Jedna z nich była uszyta z materiału w drobną kratę koloru musztardowego, kupionego ubiegłego lata u wędrownego handlarza. Druga, także kraciasta, została uszyta z czarno-białej satyny z resztek materiałów sprzedawanych zimą po okazyjnej cenie. Trzecia zaś — z ciężkiej, sztywnej tkaniny w zimnym, pozbawionym życia kolorze szpitalnego błękitu — Maryla przywiozła ją w tym tygodniu ze sklepu w Carmody.

Maryla uszyła wszystkie trzy sukienki sama w jednakowy sposób: zwyczajna spódnica przyszyta do niczym niewyróżniającego się stanu, a do tego szalenie wąskie rękawy.

— Będę sobie wyobrażała, że mi się podobają — odrzekła Ania bez entuzjazmu.

— Nie chcę, żebyś to sobie wyobrażała — Maryla sprawiała wrażenie urażonej. — Widzę, że ci się nie podobają! Czego im brakuje? Czy nie są porządne, nowe i czyste?

— Są.

— Więc dlaczego ci się nie podobają?

— Bo nie są... ładne — przyznała z trudem dziewczynka.

— Ładne! — prychnęła Maryla. — Nie wysilałam się, żeby uszyć ci ładne sukienki. Nie pochwalam ulegania próżności. Aniu, mówię ci to wprost. Te sukienki są świeże, skromne i praktyczne, bez zbędnych dodatków. Mają ci służyć całe lato, bo innych nie dostaniesz. Tabaczkową i niebieską będziesz nosić do szkoły, do której pójdziesz od września, satynową zaś do kościoła i szkółki niedzielnej. Mam nadzieję, że będziesz o nie dbać i postarasz się ich nie zniszczyć. Uważam, że powinnaś być mi wdzięczna, że nie musisz już wkładać tych przyciasnych sukienek, w których przyjechałaś z sierocińca.

— Ależ ja jestem wdzięczna! — zapewniła Ania. — Lecz moja wdzięczność byłaby po stokroć większa, gdyby choć jedna z tych sukienek miała bufiaste rękawy. Takie rękawy są

teraz bardzo modne. Pocułabym dreszcz rozkoszy, mając na sobie sukienkę z bufiastymi rękawami.

— Cóż, będziesz musiała obejść się bez nich. Nie miałam dość materiału na bufiaste rękawy. Zresztą, uważam tę modę za śmieszną. Zdecydowanie wolę skromne, praktyczne...

— Jednak ja wołałabym wyglądać śmiesznie, gdyby tak samo prezentowały się inne dziewczynki, niż wyróżniać się skromnym, praktycznym ubraniem — stwierdziła żalobnym tonem Ania.

— Mniejsza o to. Powieś nowe sukienki w szafie i zajmij się przygotowaniem do lekcji w szkółce niedzielnej. Pan Bell przysłał mi podręcznik dla ciebie, jutro idziesz na pierwsze zajęcia — powiedziała Maryla, nadal urażona, i zeszła na dół.

Ania splotła dłonie i spojrzała krytycznie na rozłożone suknie.

— Miałam nadzieję, że choć jedna z nich będzie biała z bufiastymi rękawami — wyszeptała ze smutkiem. — Modliłam się nawet o to, ale sama nie wierzyłam w skuteczność tej prośby. Trudno, żeby Bóg znalazł czas na zajmowanie się sukienką dla biednej sieroty. Wiedziałam, że to zależy tylko od Maryli. Na szczęście, umiem sobie wyobrazić, że jedna z nich jest uszyta ze śnieżnobiałego muślinu i udekorowana koronkowymi falbankami, z trzema bufami na każdym rękawie.

Nazajutrz silny ból głowy nie pozwolił Maryli na odprowadzenie Ani do szkółki niedzielnej.

— Musisz pójść do pani Linde i poprosić ją o pomoc — rzekła do dziewczynki. — Ona dopilnuje, żebyś trafiła do właściwej klasy. Pamiętaj, żeby zachowywać się jak najlepiej. Po zajęciach zostań na kazaniu i poproś panią Linde, żeby wskazała ci naszą ławkę w kościele. Tu masz centa na tacę. Nie rozglądaj się wokoło i nie wierć w ławce. Po powrocie opowiesz mi, o czym było kazanie.

Ania wyruszyła w drogę w swej nowej, satynowej sukience, która — choć odpowiedniej długości i z całą pewnością nie za ciasna — swoim fasonem uwydatniała jej chudość. Na głowie miała mały, marynarski kapelusz bez żadnych ozdób, a jego niezwykła prostota była dla Ani kolejnym rozczarowaniem, gdyż w głębi duszy marzyły jej się wstążki i kwiatki. O te ostatnie postarała się sama, zanim jeszcze wyszła na główną drogę. W polowie drogi natknęła się na złotą obfitość jaskrów i wspaniałe, gęste krzaki dzikich róż. Natychmiast więc uplotła z nich wianek, którym ozdobiła nieszczęsny kapelusz. Nie wiadomo, jak oceniliby go inni ludzie, ale Ania była nim zachwycona i sprężystym krokiem kroczyła naprzód, z dumnie podniesioną głową, przystrojoną żółto-różowym wiankiem.

Pani Linde nie było już w domu. Niezrażona tym Ania sama przyszła do kościoła. W przedsionku spotkała całą gromadę dziewcząt, mniej lub bardziej elegancko ubranych w białe, błękitne i różowe sukienki. Spoglądały z ciekawością na nieznaną im osobkę w oryginalnym nakryciu głowy. Małe mieszkanki Avonlea słyszały już niejedną przedziwną historyjkę na temat Ani. Pani Linde opowiadała o jej porywczym temperamencie, zaś Jerry Buote, chłopiec wynajęty do pomocy w gospodarstwie na Zielonym Wzgórzu, przekonywał, że Ania ciągle mówi do siebie albo rozmawia z drzewami i kwiatami, jakby była nienormalna. Przyglądały się jej więc i szeptały między sobą, zasłaniając się książkami. Nikt nie wykonał w jej stronę żadnego przyjaznego gestu, ani w kościele, ani też w klasie panny Rogerson, gdzie później odbyła się lekcja.

Panna Rogerson była kobietą w średnim wieku, która uczyła w szkółce niedzielnej już dwadzieścia lat. Jej metoda nauczania polegała na tym, że odczytywała pytanie z podręcznika, patrząc jednocześnie z surową miną zza książki na uczennicę, którą miała zapytać. Bardzo często spoglądała na Anię, która — przygotowana przez Marylę — odpowiadała szybko i dobrze, choć można wątpić, czy rozumiała wszystkie pytania, a nawet własne odpowiedzi.

Nie bardzo podobała jej się panna Rogers, i w ogóle czuła się okropnie nieszczęśliwa; wszystkie dziewczęta w klasie miały sukienki z bufiastymi rękawami i Ania uważała, że bez bufiastych rękawów jej życie niewiele jest warte.

— No i jak ci się podobało w szkółce niedzielnej? — zapytała Maryla po powrocie Ani do domu.

— Ani trochę! Była okropna!

— Ależ, Aniu! — zawołała z wyrzutem Maryla.

Dziewczynka z głębokim westchnieniem opadła na bujany fotel, ucałowała jeden z kwiatów pelargonii, której nadała imię Bonny (Jutrzenka) i pomachała kwitnącej fuksji.

— Pewnie czuły się samotne, gdy mnie nie było — powiedziała. — A wracając do szkoły niedzielnej... Zachowywałam się odpowiednio, tak jak mi przykazałaś. Pani Linde nie było już w domu, więc poszłam sama. Weszłam do kościoła z gromadką innych dziewcząt i usiadłam w ławce przy oknie w kącie sali. Pan Bell odmówił okropnie długą modlitwę. Zanudziłabym się na śmierć, gdybym nie siedziała przy oknie, przez które mogłam dostrzec Jezioro Lśniących Wód, a spoglądając na nie, wyobrażałam sobie mnóstwo wspaniałych rzeczy.

— Nie powinnaś tak się zachowywać. Należało w skupieniu słuchać pana Bella.

— Ale on nie zwracał się do mnie — zaprotestowała Ania. — Przemawiał do Boga i sam nie wydawał się tym szczególnie zainteresowany. Chyba myślał, że Bóg i tak jest za daleko. Nad jeziorem pochyłał się rząd białych brzoź, a promienie słońca przenikały przez ich gałęzie i zagłębiały głęboko w wodę. Och, Marylo to było jak w pięknym śnie! Poczułam dreszcz rozkoszy i powtarzałam „Dzięki Ci, Boże!”.

— Czy aby nie za głośno? — zaniepokoiła się Maryla.

— O, nie... cichutko... Pan Bell wreszcie skończył i powiedziano mi, żebym poszła z innymi uczennicami do klasy panny Rogers. Oprócz mnie było tam jeszcze dziewięć dziewczynek. Wszystkie miały sukienki z bufiastymi rękawami. Próbowałam sobie wyobrazić, że moje też są bufiaste, ale nie mogłam. Dlaczego? Kiedy siedziałam w pokoiku na poddaszu, bez trudu mogłam to sobie wyobrazić, ale w obecności innych dziewczynek, które miały prawdziwe bufki⁷...

— Nie powinnaś myśleć w szkole o rękawach. Należało słuchać lekcji. Mam nadzieję, że wszystko umiałaś.

— O tak! I odpowiadałam na wiele pytań. Pani Rogers zadała mi ich całe mnóstwo. Wydało mi się to nie w porządku. Ja też chciałam ją zapytać o różne rzeczy, ale nie miałam odwagi, bo nie wydała mi się bratnią duszą... Potem każda dziewczynka recytowała jakąś przypowieść. Pani Rogers zapytała mnie, czy znam coś podobnego. Powiedziałam, że nie, ale mogę wyrecytować *Pies na grobie swego pana*. To wiersz z czytanki do trzeciej klasy. Nie jest to wprawdzie utwór ściśle religijny, ale ma w sobie tyle smutku, powagi i melancholii, że śmiało mógłby nim być. Panna Rogers powiedziała, że tego nie chce i kazała mi się nauczyć na przyszłą niedzielę dziewiętnastowiecznej przypowieści. Przeczytałam ją sobie w kościele po zajęciach i muszę przyznać, że jest wspaniała. Zwłaszcza dwa wersy, które zapamiętałam:

„Bezludnie, w dzikim tumultcie
Pierzchły zastępy wrogów!”.

Nie wiem, co oznaczają słowa „zastępy” i „tumult”, ale brzmią do głębi tragicznie. Nie mogę się doczekać następnej niedzieli, kiedy będę mogła zadeklamować cały ten tekst. Będę go sobie powtarzać przez cały tydzień... Potem poprosiłam panią Rogers, żeby wskazała mi wasze miejsce w kościele. Siedziałam tak spokojnie i cicho jak trusia. Tematem czytania był trzeci rozdział *Apokalipsy Świętego Jana*. Było to bardzo długie czytanie, zbyt długie. Gdybym to ja była pastorem, wybierałabym zawsze krótsze fragmenty. Kazanie też ciągnęło się bez końca. Duchowny chciał chyba dostosować jego długość do wcześniejszego czytania. Nie wydało mi się ono zbyt interesujące. Najgorsze jest to, że pastor nie ma ani trochę wyobraźni. Nie słuchałam go zbyt uważnie. Pozwoliłam moim myślom bujać w obłokach i wyobrażałam sobie różne rzeczy.

Maryla czuła się bezsilna. Czuła, że powinna surowo skarcić Anię za te uwagi. Lecz wiedziała doskonale, że część z nich — zwłaszcza ta dotycząca kazań pastora i modlitwy pana Bella — pokrywała się z poglądem, jaki wyrobiła sobie przez lata. Naturalnie nigdy by się do tego głośno nie przyznała. Odnosiła wrażenie, że jej własne niewypowiedziane krytyczne myśli przybrały nagle cielesny, oskarżycielski kształt i formę w postaci tej niepozornej, szczerzej do bólu, lekceważonej dotychczas ludzkiej drobiny.

⁷bufka — element kroju odzieży: marszczona, poszerzona górna część rękawa. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XII

UROCZYSTA PRZYSIĘGA

Dopiero w następny piątek Maryla dowiedziała się o kapeluszu przybranym kwiatami. Zaraz po powrocie od pani Linde wezwała Anię do siebie.

— Aniu, pani Linde powiedziała mi, że w zeszłą niedzielę przyszedł do kościoła w dziwnie przystrojonym kapeluszu. Co ci przyszło do głowy? Musiałś zrobić z siebie pośmiewisko!

— Wiem, że w różowym i żółtym nie jest mi do twarzy — zaczęła Ania.

— Nie do twarzy! Przecież każde kwiaty, niezależnie od ich koloru, wyglądałyby śmiesznie na twoim kapeluszu. Jesteś najbardziej nieznośnym dzieckiem na świecie!

— Nie rozumiem, dlaczego przystrajanie kapelusza kwiatami uchodzi za błazenadę, a przypinanie ich do sukienek już nie — oponowała Ania. — Dużo dziewczynek miało kwiaty przypięte do sukien. Co to za różnica?

Maryla wolła trzymać się konkretów i nie dać się wciągnąć w jałowe rozważania.

— Nie odpowiadaj mi w taki sposób. Zachowałeś się bardzo niemądrze. Nigdy więcej nie rób czegoś podobnego. Pani Linde powiedziała, że na twój widok omal nie zapadła się pod ziemię. Chciała ci powiedzieć, żebyś zdjęła te kwiaty, ale siedziała zbyt daleko, a potem było już za późno. Słyszała, jak inni mówili okropne rzeczy na ten temat. A przy tym ocenili, rzecz jasna, że to ja mam źle w głowie, skoro pozwoliłam ci wyjść z domu w takim stroju.

— Ach, jak mi przykro! — zawołała Ania ze łzami w oczach. — Nie miałam pojęcia, że będziesz się o to gniewała. Te róże i jaskry wydawały mi się takie śliczne, że uznałam, iż będą pięknie wyglądały na moim kapeluszu. Wiele dziewczynek miało sztuczne kwiaty przypięte do kapeluszy... Maryło, obawiam się, że będę dla was ciągłym utrapieniem. Może powinniście odesłać mnie z powrotem do sierocińca. To byłoby okropne i pewnie bym tego nie przeżyła. Prawdopodobnie zachorowałabym na gruźlicę, bo jestem taka chuda. Ale byłoby to lepsze niż świadomość, że jestem dla was taką udręką.

— Nonsens — powiedziała Maryla, zła na siebie, że doprowadziła dziewczynkę do płaczu. — Nie mam zamiaru odsyłać cię do sierocińca, o to możesz być spokojna. Chciałabym tylko, żebyś zachowywała się jak inne dziewczynki i nie narażała się na śmieszność. No, nie płacz już. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Diana Barry wróciła dziś do domu. Idę właśnie do nich, żeby pożyczyć od jej mamy wykroj na spódnicę. Jeśli chcesz, możesz iść ze mną i poznać Dianę.

Ania wstała ze splecionymi dłońmi; na jej policzkach błyszczały jeszcze ślady łez. Ściereczka, którą trzymała, niepostrzeżenie wypadła jej z rąk.

— Ach, Maryło, jestem przerażona! Teraz, gdy moje marzenie ma się spełnić, ogarnia mnie trwoga! A co, jeśli Diana mnie nie polubi? Byłoby to najtragiczniejsze rozczarowanie w moim życiu.

— Nie denerwuj się. I nie używaj takich wyszukanych wyrażeń. W ustach takiej małej dziewczynki brzmią one śmiesznie i nienaturalnie. Jestem pewna, że Diana cię polubi. Lecz ważniejsze jest, żebyś ty spodobała się jej matce. Jeżeli będzie miała do ciebie jakieś zastrzeżenia, to na nic się zda sympatia Diany. Jeśli słyszała, jak niegrzecznie zachowałeś się wobec pani Linde i o tym, jak paradowałeś do kościoła w ukwieconym kapeluszu, naprawdę nie wiem, co sobie o tobie pomyśli. Musisz być dla niej uprzejma, pokazać, że jesteś dobrze wychowana, i unikać tych swoich dziwacznych wyrażeń. Na miłość boską, czemu ty się trzęsiesz?

Ania rzeczywiście dygotała, a na jej bladej buzi widać było wyraźne napięcie.

— Och, Maryło, ty też byłabyś roztrzęsiona, gdybyś miała poznać swoją pierwszą przyjaciółkę od serca i obawiała się, że jej matka cię nie zaakceptuje — powiedziała, sięgając po kapelusz.

Ruszyły na Jabłoniowe Wzgórze, a potem na skróty przez mostek nad strumykiem i jodłowy zagajnik porastający zbocze. Maryla zapukała do kuchennych drzwi, które pani Barry natychmiast otworzyła. Była to wysoka, czarnooka i czarnowłosa kobieta o stanowczym wyrazie twarzy. Mówiono, że wychowuje swoje dzieci bardzo surowo.

— Jak się masz, Marylo? — powiedziała serdecznie. — Wejdz, proszę. A to pewnie ta dziewczynka, którą wzięliście na wychowanie?

— Tak, to Ania Shirley — odparła Maryla.

— Ania, nie Andzia — szepnęła dziewczynka, która, choć nadal podniecona i przejęta, pragnęła uniknąć ewentualnego nieporozumienia w kwestii swego imienia.

Pani Barry najwyraźniej nie dosłyszała lub nie zrozumiała tych słów, bo po prostu uściśniła dłonie gościom, zwracając się uprzejmie do Ani:

— Jak się masz?

— Dziękuję pani. Fizycznie mam się całkiem dobrze, ale duchowo jestem trochę rozbita — odparła Ania z powagą, po czym teatralnym szeptem zwróciła się do Maryli: — Chyba nie powiedziałam nic niewłaściwego?

Diana siedziała na sofie i czytała książkę, którą odłożyła na widok gości. Była bardzo ładną dziewczynką — podobnie jak matka miała czarne włosy i oczy, a po ojcu odziedziczyła różowe policzki i pogodny usposobienie.

— To moja córeczka Diana — rzekła pani Barry. — Diano, zabierz Anię do ogrodu i pokaż jej swoje kwiaty. Będzie to dla ciebie lepsze niż psucie wzroku nad książką. To dziecko zdecydowanie za dużo czyta — mówiła dalej, zwracając się do Maryli, kiedy dziewczynki wyszły z pokoju — ale nie mogę jej tego zabronić, bo ojciec zachęca ją do tego. Ciągłe ślęczy nad książkami. Cieszę się, że będzie miała towarzyszkę zabaw. Może zacznie spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu.

Ania i Diana stały w ogrodzie wypełnionym delikatnymi promieniami zachodzącego słońca, które od zachodu prześwitywało przez gałęzie ciemnych, starych sosen. Przyglądały się sobie nieśmiało ponad kępą wspaniałych żółtych lilii tygrysich.

Ogród państwa Barrych aż kipiał od rozmaitych kwiatów, które zachwyciłyby wrażliwą i subtelną Anię, gdyby nie przytłaczająca świadomość, że oto ważą się losy jej przyjacieli. Teren otaczały rozłożyste stare wierzby i wysokie jodły, pod którymi chowały się kwiaty nie lubiące nadmiaru słońca. Zadbane, proste ścieżki okolone muszelkami przecinały ogród na wszystkie strony niczym czerwone wstęgi, a na klombach kwitło, rozchylając swe pąki, całe mnóstwo rzadko spotykanych kwiatów. Rosły tam różowe dicentry w kształcie serc oraz wielkie, wspaniałe, karmazynowe piwonie, pachnące białe narcyzy o upajającej woni, krzaczaste róże o słodkim zapachu i kolczastych łodygach, różowe, błękitne i białe orliki oraz jasnofioletowe mydlnice; kępy mięty i piołunu oraz oryginalne trawy o pasiastych źdźbłach. Były tu także różne odmiany purpurowych storczyków, żonkile i całe mnóstwo koniczyny o delikatnych, białych, pierzastych kwiatach, zaś ogniste firletki ciskały swe płomienne lance ponad skromnymi, białymi kwiatami ślazów piżmowych. W tym ogrodzie słońce zdawało się trwać dłużej, pszczoły bzyczały, a wiatr, kuszony bezczynnością, szemrał i szeleścił wśród liści.

— Diano — zapytała wreszcie Ania, zniżając głos do szeptu i mocno zaciskając dłonie — czy myślisz, że mogłabyś mnie polubić... na tyle, by zostać moją przyjaciółką od serca?

Diana roześmiała się. Zawsze wybuchała śmiechem, zanim cokolwiek powiedziała.

— Myślę, że tak — odrzekła szczerze. — Bardzo się cieszę, że zamieszkałaś na Zielonym Wzgórzu. Miło jest mieć kogoś, z kim będzie można się bawić. Nie ma tu w sąsiedztwie żadnej dziewczynki, z którą mogłabym spędzać czas, a moje siostry są jeszcze za małe.

— Czy zaklinasz się, że będziesz moją przyjaciółką po wieczne czasy? — zapytała przejęta Ania.

Diana wydawała się przerażona.

— Ależ bardzo brzydko jest przeklinać! — powiedziała z wyrzutem.

— Ach nie, nie mam na myśli przeklinania, tylko zaklinanie.

— O zaklinaniu nie słyszałam — odparła niepewnie Diana.

— Wierz mi, to całkiem niewinne. Oznacza po prostu złożenie uroczystej przysięgi.

— A, skoro tak, to co innego — stwierdziła z ulgą Diana. — A jak to się robi?

— Podamy sobie ręce... o tak — zaczęła Ania z powagą. — Co prawda wszystko to powinno odbywać się nad wodą, ale możemy sobie wyobrazić, że ta ścieżka jest strumykiem. Ja pierwsza wypowiem przysięgę: „Uroczyste przysięgam, że dochowam wierności mojej najlepszej przyjaciółce, Dianie Barry, dopóki Słońce i Księżyc istnieć będą”. Teraz twoja kolej, tylko pamiętaj: wymów moje imię w miejsce twojego.

Diana powtórzyła słowa przysięgi, wybuchając śmiechem zarówno przed nią, jak i po niej. A potem dodała:

— Przedziwna z ciebie dziewczynka, Aniu. Już wcześniej słyszałam, że jesteś dziwna. Ale chyba cię bardzo polubię.

Gdy Maryla z Anią wyruszyły w drogę powrotną, Diana odprowadziła je aż do mostu. Dziewczynki szły razem, trzymając się za ręce, a kiedy się rozstawały, obiecały sobie, że spotkają się nazajutrz po południu.

— No i jak, odnalazłaś w Dianie bratnią duszę? — spytała Maryla, kierując się w stronę Zielonego Wzgórza.

— Och, tak — westchnęła Ania, nie wyczuwając sarkazmu w jej tonie. — Ach, Marylo, jestem w tej chwili najszczęśliwszą dziewczynką na Wyspie Księcia Edwarda! Zapewniam cię, że wieczorny pacierz zmówię z wielką chęcią. Diana i ja zbudujemy jutro domek do zabawy w brzozowym zagajniku pana Bella. Czy mogłabym wziąć te potłuczone kawałki porcelany, które leżą w drewni? Urodziny Diany są w lutym, moje w marcu. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Diana pożyczy mi książkę do czytania. Mówi, że jest piękna i niezwykle zajmująca. Pokaże mi też miejsca w lesie, gdzie rosną szachownice kamczackie⁸. Czy nie sądzisz, Marylo, że Diana ma niezwykle głębokie spojrzenie? Chciałabym i ja mieć takie... Diana nauczy mnie śpiewać piosenkę pod tytułem *Nelly z leszczynowego gaju*. Podaruje mi też obrazek do zawieszenia w moim pokoiku. Twierdzi, że jest prześliczny: przedstawia piękną damę w bładoniebieskiej jedwabnej sukni. Dostała go od handlarza maszynami do szycia. Chciałabym mieć cokolwiek, żeby jej się zrewanżować. Żałuję, że nie mam niczego, co mogłabym jej ofiarować. Jestem troszeczkę wyższa od niej, ale ona jest pulchniejsza. Mówi, że chciałaby być szczupła, bo wtedy wygląda się o wiele wdzięczniej, ale ja myślę, że Diana mówi tak, żeby mnie pocieszyć. Któregoś dnia pójdziemy nad morze zbierać muszelki. Postanowiłyśmy też nazwać źródelko przy kładce Źródłem Driad. Czyż to nie elegancka nazwa? Czytałam kiedyś o źródelku noszącym taką nazwę. O ile wiem, driada⁹ to rodzaj dorosłej wróżki.

— Obyś tylko nie zamęczyła Diany na śmierć swoim gadaniem — powiedziała Maryla. — Układając wasze plany, pamiętaj, że nie wolno ci się bezustannie bawić. Masz obowiązki, które są ważniejsze od zabawy i którymi musisz się zająć w pierwszej kolejności.

Kielich radości Ani był prawie pełen, a Mateusz wypełnił go po brzegi. Wrócił właśnie ze sklepu w Carmody i nieśmiało, błagalnie spoglądając na siostrę i nie zważając na jej karcący wzrok, wyjął z kieszeni małą torebkę, którą podał Ani.

— Słyszałam, jak mówiłaś kiedyś, że bardzo lubisz czekoladki — rzekł — więc kupiłem ci trochę.

Maryla prychnęła.

— Popsuje sobie zęby i żołądek. No, no, dziecko, nie rób takiej smętnej miny. Zjedz te czekoladki, skoro Mateusz kupił je dla ciebie. Wprawdzie lepiej by zrobił, gdyby kupił miętówki: są zdrowsze. Tylko nie zjedz wszystkich od razu, bo będzie ci niedobrze.

— Ach nie! — zawołała Ania szybko. — Nie mam takiego zamiaru. Codziennie wieczorem będę jadła tylko jedną czekoladkę. A czy mogę podzielić się nimi z Dianą? Pozostałe będą mi smakowały podwójnie, jeżeli połowę z nich oddam przyjaciółce. Tak się cieszę, że mogę jej coś dać.

Gdy dziewczynka poszła do swojego pokoju na poddaszu, Maryla oświadczyła:

— Trzeba przyznać, że Ania wcale nie jest skąpa. Ma wiele innych wad, ale tego nie można jej zarzucić. Cieszy mnie to, bo nie lubię skąpstwa u dzieci. Mój Boże, jest u nas dopiero od trzech tygodni, a wydaje się, jakby zawsze tu była. Nie wyobrażam już sobie tego domu bez niej. Tylko nie rób takiej przemądrzałej miny, Mateuszu, jakbyś chciał powiedzieć: „A nie mówiłem!”. Nie cierpię, kiedy robią to kobiety, ale u mężczyzn jest to wprost nie do zniesienia. Przyznaję otwarcie, że jestem zadowolona, iż zgodziłam się ją

Jedzenie, Przyjaźń

⁸szachownica kamczacka (*Fritillaria camtschatcensis*) — gatunek rośliny cebulowatej wywodzącej się z pln.-wsch. Azji (Japonii, Kamczatki) i pln.-zach. Ameryki Północnej, lubiącej stanowiska ocienione i wilgotne; najbardziej charakterystyczne są dla niej zebrane po kilka i zwieszające się lekko ku dołowi ze szczytu wyprostowanych pędów ciemnofioletowe, prawie czarne kwiaty. [przypis edytorski]

⁹driada (mit. gr.) — nimfa; boginka związana z drzewami. [przypis edytorski]

zatrzymać i przywiązuję się do niej coraz bardziej, ale nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego w związku z tym, Mateuszu Cuthbercie!

ROZDZIAŁ XIII

RADOŚĆ OCZEKIWANIA

„Już najwyższy czas, żeby Ania wróciła i dokończyła szycie” — powiedziała do siebie Maryla, spoglądając na zegarek. Było piękne, sierpniowe popołudnie, senne od upału. „Bawiła się z Dianą o całe pół godziny dłużej, niż jej pozwoliłam, a teraz siedzi na stosie drewna i gawędzi z Mateuszem. Trajkocze jak katarynka, choć wie doskonale, że czeka na nią robota. On zaś stoi jak słup i słucha. Nie widziałam dotąd tak urzeczonego dzieckiem mężczyzny. Im dziwniejsze rzeczy ona opowiada, tym bardziej on jest zachwycony”.

— Aniu, przyjdź tu w tej chwili, słyszysz?.

Maryla kilkakrotnie głośno zastukała w okno po zachodniej części domu. Słyszac to, Ania natychmiast przybiegła z podwórza, zarumieniona, z błyszczącymi oczami i rozwianymi włosami, które otaczały jej głowę złocistą aureolą.

— Och, Marylo! — zawołała bez tchu. — W przyszłym tygodniu szkółka niedzielna organizuje piknik na polu pana Andrews, nad Jeziolem Lśniących Wód. Pani Bell i pani Linde obiecały przygotować lody śmietankowe. Słyszysz, Marylo? Lody śmietankowe! Czy będę mogła tam pójść?

— Aniu, spójrz na zegar! O której miałas wrócić?

— O drugiej, ale... Czyż to nie wspaniała wiadomość... o tym pikniku? Marylo, błagam cię, czy mogę na niego pójść? Nigdy nie byłam na pikniku... Marzyłam o tym, ale...

— Kazałam ci wrócić o drugiej, a jest za piętnaście trzecia. Dlaczego mnie nie posłuchałaś?

— Zrobiłam to niechcący. Bardzo się starałam wrócić na czas, ale nie masz pojęcia, jak pięknie jest w Zaciszu Słowika. A wracając, musiałam opowiedzieć Mateuszowi o pikniku. On mnie tak chętnie słucha. Proszę, czy będę mogła pójść?

— Będziesz musiała nauczyć się opierać urokowi tego Zacisza Słowika, czy jak ty tam nazywasz to miejsce. Gdy proszę cię, żebyś wróciła o konkretnej porze, masz być punktualna, a nie pozwalać sobie na półgodzinne spóźnienie. I nie wolno ci się zatrzymywać po drodze na pogaduszki z żadnym życzliwym słuchaczem. Jeżeli chodzi o piknik, naturalnie, że będziesz mogła pójść. Należysz przecież do szkółki niedzielnej i nie widzę powodu, dla którego miałabym ci zabronić uczestnictwa w pikniku, na który idą wszystkie twoje koleżanki.

— Ale... — wyjąkała Ania — Diana powiedziała, że każdy musi przynieść koszyk z prowiantem. A ja przecież nie umiem gotować. I chociaż jakoś zniosę to, że pójdę tam w sukience bez bufiastych rękawów, czułabym się upokorzona, gdybym wybrała się na piknik bez koszyka. Odkąd usłyszałam o tym od Diany, ta myśl nie przestaje mnie dręczyć.

— Nie przejmuj się tym. Przygotuję ci koszyk, bądź spokojna.

— Kochana Marylo, jesteś dla mnie taka dobra! Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna!

Po tych słowach Ania rzuciła się Maryli na szyję i ucałowała jej ziemisty policzek. Po raz pierwszy w życiu dziecięce usta przyłgnęły dobrowolnie do jej twarzy. I znowu przejęło ją owo nieznane wcześniej uczucie słodczy. W głębi serca poczuła ogromną radość z powodu tej spontanicznej reakcji dziewczynki, ale mimo to odezwała się swoim zwykłym surowym tonem:

— No, no, już dość tych czułości. Wolalabym, żebyś słuchała moich poleceń. A co się tyczy gotowania, to zamierzam zacząć cię tego uczyć w najbliższych dniach. Ale jesteś taka roztrzepana, że czekałam, aż się trochę opamiętasz. Podczas gotowania trzeba być przytomnym i skupionym na potrawie, a nie bujać w obłokach.

— Nie lubię szyć patchworków¹⁰ — poskarżyła się Ania, wyjmując swoją robótkę z koszyka i z westchnieniem zasiadając nad stosiem czerwonych i białych łatek. — Być może przyjemnie jest szyć inne rzeczy, ale w robieniu patchworków nie ma żadnego pola do rozwinięcia wyobraźni. To pracowite zszywanie łatek zdaje się nie mieć końca. Wolałabym być Anią z Zielonego Wzgórza zszywającą patchworki, niż Anią znikąd, która tylko się bawi. Szkoda, że czas nie płynie mi równie szybko podczas szycia, jak w czasie zabawy z Dianą. Ach, Marylo, jak my się świetnie bawimy. Wprawdzie to ja muszę wymyślać wszystko, do czego potrzebna jest wyobraźnia, ale nie sprawia mi to trudności. Diana zaś jest perfekcyjna pod każdym innym względem. Znasz tę polankę za strumieniem, pomiędzy naszym gospodarstwem a posiadłością pana Barry'ego? Należy ona do pana Bella. W jej najdalszym zakątku rośnie mały brzoźowy zagajnik. Jest to najbardziej romantyczne miejsce, jakie znam. Tam urządziłyśmy z Dianą nasz dom do zabawy. Nazwałyśmy go Zacisze Słowika. Czy to nie poetycka nazwa? Wymyślenie jej zajęło mi sporo czasu. Nie spałam prawie całą noc. Przyszła mi do głowy tuż przed zaśnięciem. To było jak natchnienie. Diana była wniebowzięta, gdy ją usłyszała. Urządziłyśmy nasz domek bardzo ładnie. Musisz koniecznie przyjść go zobaczyć. Za siedzenia służą nam duże głazy porośnięte mchem, a deski ułożone między drzewami zastępują półki. Ustawiliśmy na nich nasze serwisy. Oczywiście to tylko skorupy porcelany, ale przecież można sobie wyobrazić, że są w całości. Wśród nich jest kawałek talerza z czerwonym wzorkiem i fragmentem złotego bluszczu. Coś pięknego! Trzymamy go w naszym saloniku, podobnie jak zjawiskowe Zwierciadło Wrózek. Diana znalazła je za kurnikiem, pomiędzy drzewami, na Jabłoniowym Wzgórzu. Kiedy się przez nie spojrzy, widać w nim zakłętą maleńkie tęcze, które jeszcze nie urosły. Mama Diany powiedziała, że jest to kawałeczek żyrandola z ich starej wiszącej lampy, my jednak wolimy sobie wyobrażać, że to wróżki zgubiły je pewnej nocy na balu, i nazwałyśmy je Zwierciadłem Wrózek. Mateusz obiecał zrobić nam stół. Mały, okrągły stół na polu państwa Barrych nazwałyśmy Wierzbową Sadzawką. Nazwę tę znalazłam w książce, którą pożyczyła mi Diana. Marylo, jakaż to była piękna książka! Jej bohaterka miała aż pięciu narzeczonych. Ja byłabym zadowolona, gdybym miała choćby jednego. A ty? Tamta kobieta była bardzo piękna i musiała wiele przejść. Szalenie łatwo mdlała. Chciałabym umieć tak mdleć na zawołanie. To takie romantyczne! Tylko że ja jestem na to chyba zbyt zdrowa, choć taka ze mnie chudзина. Ale wydaje mi się, że ostatnio trochę przytyłam. Codziennie rano oglądam swoje łokcie, żeby sprawdzić, czy nie pojawiły się w nich dołeczki. Diana dostanie nową sukienkę z krótkimi rękawami. Włoży ją na piknik. Ach, żeby tylko w środę była ładna pogoda! Chyba nie przeżyłabym tego, gdyby coś uniemożliwiło mi udział w pikniku. To znaczy, pewnie bym przeżyła, ale byłaby to moja życiowa tragedia. Gdybym później brała udział choćby w stu innych piknikach, nie miałyby one dla mnie znaczenia. Będziemy pływali łódkami po Jeziorze Lśniących Wód i jedli lody śmietankowe. Nigdy jeszcze nie jadłam lodów. Diana próbowała mi opisać, jak smakują, ale tego akurat chyba nie sposób sobie wyobrazić.

— Aniu, buzia ci się nie zamyka już od dziesięciu minut — przerwała jej Maryla. — Patrzałam na zegarek. A teraz sprawdź, czy potrafisz równie długo milczeć.

Nieoczekiwanie Ania nie odzywała się tak samo długo. Jednak przez resztę tygodnia mówiła, myślała i marzyła tylko o pikniku. W sobotę padał deszcz i Ania do tego stopnia zadreślała się myślą, że pogoda się nie poprawi i będzie padało aż do środy, że Maryla kazała jej uszyć dodatkowy patchwork z łatek dla uspokojenia nerwów.

W niedzielę po drodze z kościoła Ania przyznała się Maryli, że kiedy pastor ogłosił z ambony, iż w środę odbędzie się piknik, z przejęcia dostała dreszczy.

— Dosłownie ciarki przeszły mi po plecach. Dopiero jak to usłyszałam, dotarło do mnie, że piknik naprawdę się odbędzie.

— Za bardzo się wszystkim przejmujesz, Aniu — westchnęła Maryla. — Obawiam się, że z tego powodu doznasz w życiu wielu rozczarowań.

— Och, Marylo, przecież samo oczekiwanie na radosne wydarzenie to już połowa przyjemności — zawołała Ania. — I nawet gdyby ta rzecz miała się wcale nie wydarzyć,

¹⁰*patchwork* — technika szycia polegająca na łączeniu w większą całość małych kawałków materiału o podobnych geometrycznych kształtach (najczęściej kwadratowych a. trójkątnych), tworząc nowy wzór; tu: praca wykonana tą techniką. [przypis edytorski]

nic nie może cię pozbawić radości oczekiwania na nią. Pani Linde mówi: „Błogosławieni, którzy się niczego nie spodziewają, bo nie zaznają zawodu”. Ale moim zdaniem, gorzej jest na nic nie czekać, niż się czasem rozczarować.

Tej niedzieli przed wyjściem do kościoła Maryla jak zwykle zapięła na szyi broszkę z ametystami. Zawsze wkładała ją, idąc na nabożeństwo. Pozostawienie jej w domu równałoby się nieomal ze świętokradztwem — czymś równie karygodnym, jak zapomnienie książki do nabożeństwa czy dziesięciocentówki na tacę. Ta broszka była dla Maryli najcenniejszym przedmiotem, jaki posiadała. Jakiś wuj, żeglarz, podarował ją jej matce, ta z kolei przekazała rodzinną pamiątkę Maryli. Broszka była staromodna, miała owalny kształt. Zawierała kosmyk włosów matki Maryli, otoczony drobnymi ametystami¹¹. Maryla nie знаła się na drogich kamieniach na tyle, żeby należycie ocenić ich wartość. Uważała jednak, że są bardzo piękne i cieszyła się fioletowym blaskiem, jaki będą rzucić przy kołnierzyku jej brązowej, satynowej sukni, kiedy ją wreszcie na siebie włoży.

Kiedy Ania po raz pierwszy zobaczyła ów klejnot, podziwiała go z niesamowitym zachwytem.

— Ach, Marylo, ta broszka jest szalenie elegancka! Nie mam pojęcia, jak możesz myśleć o kazaniu, mając ją na szyi. Ja bym nie potrafiła! Uważam, że ametysty są przepiękne. Właśnie tak wyobrażałam sobie diamenty. Dawno temu, nim jeszcze zobaczyłam prawdziwe diamenty, czytałam o nich i zdawało mi się, że są to błyszczące, fioletowe kamienie. Pewnego razu zobaczyłam diament w pierścionku jakiejś damy i byłam tak rozczarowana na jego widok, że się rozplakałam. Rzeczywiście był bardzo ładny, ale nie wyglądał tak, jak go sobie wymarzyłam. Pozwolisz mi potrzymać przez chwilę tę broszkę? Czy nie sądzisz, że ametysty mogą być duszyczkami dobrych fiołków?

ROZDZIAŁ XIV WYZNANIE ANI

W poniedziałek wieczorem, dwa dni przed piknikiem, Maryla zeszła na dół ze swego pokoju wyraźnie zmartwiona.

— Aniu — zwróciła się do dziewczynki, która łuskała groszek na czystym stole i śpiewała piosenkę o Nelly z leszczynowego gaju. Robiła to z zapalem i wyczuciem, które dobrze świadczyły o talencie pedagogicznym Diany.

— Czy nie widziałas mojej ametystowej broszki? Wydaje mi się, że kiedy wróciliśmy wczoraj z kościoła, wpięłam ją w poduszeczkę do igieł, a teraz nie mogę jej znaleźć.

— Ja... widziałam ją dziś po południu... kiedy wybierałaś się na zebranie Towarzystwa Charytatywnego — odparła z ociąganiem Ania. — Przechodziłam przez pokój, zobaczyłam ją wpiętą w poduszeczkę i przystanęłam, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

— Czy ją ruszałaś? — zapytała surowo Maryla.

— Taaak — przyznała dziewczynka — wyjęłam ją i przypięłam na piersi, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądała.

— Nie powinnaś była tego robić. Dzieci nie powinny szperać w nie swoich rzeczach. W ogóle nie powinnaś wchodzić do mojego pokoju, nie mówiąc o dotykaniu przedmiotów, które do ciebie nie należą. Gdzie położyłaś tę broszkę?

— Odłożyłam ją na swoje miejsce. Miałam ją na sobie tylko przez chwilę. Nie chciałam zrobić niczego złego. Nie wiedziałam, że przymierzenie broszki to coś złego. Teraz jednak widzę, że postąpiłam niewłaściwie i obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobię. To chyba moja jedyna zaleta, że nie popełniam dwa razy tego samego błędu.

— Nie odłożyłaś jej na miejsce — rzekła Maryla. — Broszki nie ma tam, gdzie leżała. Pewnie wyniosłaś ją do ogrodu.

— Odłożyłam ją na pewno — odpowiedziała Ania szybko, przez co zabrzmiało to nieco zuchwale, a przynajmniej tak wydawało się Maryli. — Nie pamiętam tylko, czy wpięłam ją w poduszeczkę, czy położyłam na porcelanowej tacy. Nie mam jednak wątpliwości, że ją odłożyłam.

¹¹ametyst — kamień półszlachetny; fioletowa, przezroczysta odmiana kwarcu. [przypis edytorski]

— Pójdę do pokoju i jeszcze raz poszukam — powiedziała Maryla, nie chcąc oceniać dziewczynki zbyt pochopnie. — Jeśli ją odłożyłaś, broszka musi tam być; jeśli jej tam nie ma, będę wiedziała, że jej nie zostawiłaś. To wszystko.

Maryla wróciła do swego pokoju i przeszukała go dokładnie — nie tylko na komodzie, lecz we wszystkich kątach, gdzie mogła znajdować się biżuteria. Nie znalazła jej jednak, więc wróciła do kuchni.

— Aniu, broszka zniknęła. Sama przyznałaś, że byłaś ostatnią osobą, która miała ją w ręku. Co z nią zrobiłaś? Mów prawdę, ale to już! Czy zabrałaś ją do ogrodu i tam zgubiłaś?

— Nie, nie zgubiłam — oznajmiła Ania, patrząc z powagą w rozgniewaną twarz Maryli. — Nie zabrałam broszki z twojego pokoju. Mówię prawdę i nie wyprę się jej, choćby mieli mnie zaprowadzić na szafot¹². Choć nie jestem w stu procentach pewna, czym jest szafot. To wszystko, Marylo.

Ostatnie zdanie dziewczynka dodała, chcąc podkreślić swoją niewinność, ale Maryla odebrała je jako wyraz buntu.

— Myślę, że kłamiesz, Aniu — powiedziała ostrym tonem. — A nawet jestem tego pewna. Nie mów ani słowa więcej, jeśli nie zamierzasz powiedzieć mi prawdy. Idź do swojego pokoju i zostań tam, aż będziesz gotowa się przyznać.

— Czy mam zabrać ze sobą groszek? — zapytała Ania potulnie.

— Nie, sama skończę go łuskać. Zrób, co kazałam.

Kiedy Ania wyszła, Maryla, bardzo zirytowana, wróciła do swych wieczornych zajęć. Żał jej było drogocennej broszki, zwłaszcza że była to pamiątka rodzinna. A jeśli Ania ją zgubiła? A przy tym jeszcze robi taką niewinną minkę!

„Sama nie wiem, co bym wolała” — pomyślała Maryla, nerwowo łuskając groch. „Nie sądzę, by chciała ją ukraść. Pewnie chciała się nią pobawić, żeby dać upust swojej wyobraźni. Musiała ją zabrać, to jasne jak słońce, bo nikt po niej nie był w pokoju. Dopiero ja weszłam tam wieczorem, przed snem. A broszka zginęła, nie ma co do tego wątpliwości. Pewnie wzięła ją i zgubiła, a teraz nie chce się do tego przyznać z obawy przed czekającą ją nieuchronnie karą. Najgorsze jest to, że kłamie. To o wiele gorsze niż jej nieposkromiony charakter! Jakie to ogromne obciążenie, wychowywanie dziecka, któremu nie można ufać... Przebiegłość i skłonność do kłamstwa: oto jej wady, które martwią mnie bardziej niż utrata broszki. Gdyby jeszcze powiedziała prawdę, nie byłoby mi tak przykro”.

Tego wieczoru Maryla jeszcze po wielokroć wracała do swego pokoju, żeby poszukać zaginionej broszki, ale bez skutku. Wieczne odwiedziny w pokoiku na poddaszu też nie wniosły do całej sprawy nic nowego. Ania uparcie twierdziła, że nie wie nic na temat broszki, co tylko utwierdzało Marylę w przekonaniu, że jest zupełnie odwrotnie.

Rano opowiedziała wszystko Mateuszowi, który był zaskoczony i zasmucony tą historią, ale nie stracił zaufania do Ani. Przyznał jednak, że okoliczności działają na niekorzyść ich podopiecznej.

— Jesteś pewna, że broszka nie spadła za komodę? — zasugerował tylko.

— Odsunęłam ją, wyjęłam szuflady i zajrzałam w każdy zakamarek — odpowiedziała z przekonaniem Maryla. — Broszki nie ma! Ania wzięła ją, a co najgorsze kłamie. Taka jest gorzka prawda, Mateuszu Cuthbercie.

— No i co zamierzasz z tym zrobić? — zapytał Mateusz ze smutkiem, w głębi duszy zadowolony, że to Maryla, a nie on, musi się uporać z tym kłopotem. Tym razem nie widział potrzeby, żeby się wtrącać.

— Pozostanie zamknięta w swoim pokoju, dopóki się nie przyzna — powiedziała stanowczo Maryla, przypominając sobie, jak skuteczna okazała się ta metoda w przypadku przeprosin pani Linde. — Wtedy zobaczymy, co dalej. Może uda nam się odnaleźć tę broszkę, jeśli dziewczyna powie, gdzie ją zaniósła. Bez względu na wszystko, powinna zostać surowo ukarana.

— To ty będziesz musiała ją ukarać — odparł Mateusz, biorąc do ręki kapelusz. — Nie pozwoliłaś mi się wtrącać w wychowanie Ani.

¹²szafot — podium, na którym wykonywano publiczne egzekucje kary śmierci przez ścięcie (początkowo mieczem, później toporem, a od czasów rewolucji francuskiej gilotyną). [przypis edytorski]

Maryla poczuła się opuszczona przez wszystkich. Nie mogła nawet zwrócić się po radę do pani Linde. Powędrowała znów na poddasze, skąd wróciła w jeszcze gorszym nastroju. Ania stanowczo odmówiła przyznania się do winy. Uparcie twierdziła, że nie zabrała broszki. Widać było, że dziewczynka dużo płakała i Maryla poczuła, jak robi jej się przykro na widok zmienionej buzi Ani. Postanowiła jednak stłumić w sobie to współczucie.

— Możesz być pewna, że pozostaniesz w swoim pokoju, dopóki się nie przyznasz — oświadczyła surowo Maryla.

— Ale przecież jutro jest piknik! Chyba nie zatrzymasz mnie w domu? Po pikniku wrócę do pokoju i będę siedziała w zamknięciu, jak długo będziesz chciała.

— Nie pójdziesz ani na piknik, ani nigdzie indziej, dopóki nie powiesz prawdy.

— Ach, Marylo! — Ania wybuchnęła płaczem.

Ale Maryla wyszła z pokoju, zamknąwszy za sobą drzwi.

Środowy poranek wstał tak jasny i słoneczny, jakby zamówiony specjalnie na piknik. Wokół Zielonego Wzgórza krążyło mnóstwo rozśpiewanych ptaków. W ogrodzie pachniały upajająco białe lilie, których słodka woń wpadała do mieszkania drzwiami i oknami, rozpluwając się po pokojach, jakby niosły błogosławieństwo całemu domowi. Brzozy w dolinie kołysały się i powiewały ramionami w oczekiwaniu na słowa radosnego powitania, którymi każdego rana witała je Ania. Ale Ani nie było w oknie. Kiedy Maryla przyniosła jej śniadanie, zastała dziewczynkę siedzącą sztywno na łóżku. Była błąda, miała zaciśnięte usta i błyszczące oczy.

— Jestem gotowa przyznać się do wszystkiego.

— Nareszcie!

Maryla odstawiła tacę. Zastosowana przez nią metoda wychowawcza kolejny raz przyniosła pożądany skutek, lecz tym razem wcale jej to nie cieszyło.

— Słucham, co masz mi do powiedzenia?

— Wzięłam tę ametystową broszkę — powiedziała Ania, jakby recytowała wyuczoną kwestię. — Zabrałam ją, tak jak podejrzewałaś do mojego pokoju. Początkowo nie miałam zamiaru jej brać, ale kiedy przypięłam ją sobie do kołnierzyka, wydała mi się taka piękna, że nie mogłam oprzeć się pokusie. Pomyślałam sobie, jak wspaniale będzie zabrać ją do Zacisza Słowika i bawić się nią, udając lady Kordelię Fitzgerald. O wiele łatwiej przecież wyobrazić to sobie, mając na piersi broszkę z prawdziwymi ametystami! Diana i ja zrobiłyśmy sobie naszyjniki z jarzębiny, ale czy jarzębina może dorównać ametystom? Zabrałam więc broszkę. Myślałam, że zdążę ją odłożyć na miejsce, zanim wrócisz. Poszłam jednak okrężną drogą, żeby móc się nią dłużej nacieszyć. Przechodząc przez mostek nad Jeziorem Lśniących Wód, odpięłam broszkę, by jeszcze raz się jej przyjrzeć. Pięknie połyskiwała w słońcu! Lecz kiedy przechyliłam się przez poręcz, wysliznęła mi się z rąk i... widziałam, jak spadała coraz niżej, mieniając się purpurowo, na samo dno Jeziora Lśniących Wód. Lepiej już przyznać się do winy nie potrafię, Marylo!

Maryla czuła, że znów ogarnia ją gniew. Mało tego, że dziecko zabrało samowolnie i zgubiło jej drogocenną ametystową broszkę, która była w dodatku rodzinną pamiątką, to teraz siedzi i bez śladu żalu czy skruchy opowiada jej o tym wydarzeniu.

— Aniu, to okropne! — powiedziała, siłąc się na spokój. — Jesteś najbardziej niegodziwą dziewczynką, jakie znam.

— Pewnie masz rację — odparła Ania refleksyjnie. — I wiem, że zasłużyłam na karę. Czy możesz już teraz mi ją wyznaczyć? Chciałabym pójść na piknik, nie zaprzatając sobie głowy tą sprawą.

— Na piknik? Ja ci dam piknik! Nie pójdziesz na żaden piknik! To właśnie będzie twoja kara: i nie jest ona nawet w połowie tak surowa, jak na to zasługujesz!

— Nie pójdę na piknik?

Dziewczynka zerwała się na równe nogi i chwyciła Marylę za rękę.

— Przecież mi obiecałaś! Ja muszę pójść na ten piknik! Dlatego przyznałam się do winy! Ukarz mnie w jakikolwiek inny sposób, tylko nie tak! Marylo, pozwól mi tam pójść! Pomyśl o lodach, które tam będą. Kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze będę mogła spróbować lodów!

Maryla stanowczym gestem uwolniła się od uścisku Ani.

— Na nic się zdadzą twoje błagania, Aniu. Nie pójdziesz na piknik. To moja ostateczna decyzja. I ani słowa więcej!

Ania zrozumiała, że Maryla nic nie wzruszy. Załamała dłonie, krzyknęła przeraźliwie i padła na łóżko, szlochając i rzucając się w bezgranicznej rozpacz.

— Na miłość boską! — wzburzona Maryla przewróciła oczami i wyszła z pokoju. — To dziecko chyba oszalało! Żadne inne nie zachowywałoby się w ten sposób. A jeśli nie jest szalona, musi być zła do szpiku kości. Obawiam się, że Małgorzata od początku miała rację. Trudno, podjęłam się tej orki na ugorze i nie wycofam się z niej.

Poranek na Zielonym Wzgórzu upłynął w ponurej atmosferze. Maryla rzuciła się w wir pracy: szorowała podłogę na ganku i odkurzała półki w mleczarni, choć ani podłoga, ani półki nie wymagały czyszczenia. Potem zaczęła energicznie grabić podwórze.

Gdy obiad był gotowy, weszła na schody i zawołała Anię. Zza poręczy wyjrzała zapłakana buzia dziewczynki, która rzuciła jej tylko zrozpaczone spojrzenie.

— Chodź na obiad, Aniu!

— Nic nie zjem — odparła Ania, zanosząc się płaczem. — Niczego bym nie przełknęła. Mam złamane serce. I to ty, Marylo, mi je zламаłaś. Może kiedyś poczujesz wyrzuty sumienia z tego powodu. Ale ja ci wybaczam, pamiętaj o tym we właściwej chwili... Nie prosz, żebym coś zjadła, a już na pewno nie gotowane mięso z warzywami. To zbyt przyziemne i nieromantyczne potrawy, żeby jeść je, gdy jest się tak nieszczęśliwym.

Maryla wróciła do kuchni i cały swój żal i gniew wylała na Mateusza, który — rozdarty między poczuciem sprawiedliwości a bezgranicznym współczuciem dla Ani — również poczuł się na wskroś nieszczęśliwy.

— Pewnie nie powinna była wziąć tej broszki bez twojego pozwolenia, ani opowiadać o tym historii — przyznał Mateusz, mierząc posępnym wzrokiem porcję nieromantycznej wieprzowiny i warzyw. Widocznie on też uznawał te potrawy za nieodpowiednie w chwilach złamania. — Ale to jeszcze dziecko i... musisz przyznasz... niezwykle dziecko. Nie sądzisz, że pozbawienie jej możliwości udziału w pikniku, na który tak się cieszyła, to zbyt surowa kara?

— No wiesz, Mateuszu, zaskakujesz mnie, doprawdy! Moim zdaniem kara jest zbyt łagodna. Wydaje mi się, że Ania nie zdaje sobie sprawy, jak nikczemnie się zachowała. I to martwi mnie najbardziej. Gdyby rzeczywiście żałowała swego występkę, nie byłoby jeszcze tak źle. Ale widzę, że ty też nie zdajesz sobie chyba sprawy z tego, że zawsze szukasz dla niej wytłumaczenia.

— Przecież to jeszcze dziecko — powtórzył Mateusz. — Powinniśmy być dla niej bardziej wyrozumiali. Nikt jej nigdy nie wychowywał.

— Teraz ja ją wychowuję — odparła Maryla.

Riposta Maryli uciszyła brata, chociaż go nie przekonała. Posiłek zjedli w ponurym nastroju. W dobrym humorze był jedynie parobek, Jerry Buote, którego wesołe zachowanie Maryla uznała za wielce niestosowne.

Po umyciu naczyń, przygotowaniu ciasta i nakarmieniu drobiu Maryla przypomniała sobie, że kiedy w poniedziałek po południu, po powrocie z zebrania Towarzystwa Pomocy zdejmowała swój najładniejszy, czarny, koronkowy szal, zauważyła w nim dziurkę, którą teraz postanowiła zacerować.

Szal znajdował się w skrzyni w jej sypialni. Kiedy Maryla go wyjęła, promienie słońca przedarły się przez płataninę winorośli spływającej za oknem i padły na coś, co tkwiło w szalu, połyskując i migocząc fioletowym blaskiem. Maryla chwyciła ów przedmiot do ręki — była to jej ametystowa broszka zaczepiona o brzeg koronki.

— Dobry Boże! — zawołała zdumiona. — Co to wszystko znaczy? Moja broszka leży tu bezpiecznie, a ja byłam przekonana, że spoczywa gdzieś na dnie stawu Barrych. Dlaczego Ania powiedziała, że wzięła broszkę i ją zgubiła? Zaczynam wierzyć w to, że na Zielonym Wzgórzu dzieją się jakieś czary. Teraz przypominam sobie, że kiedy wróciłam ze spotkania w poniedziałek wieczorem, zdjęłam szal i odłożyłam go na chwilę na komodę. Może wtedy broszka się w niego wplątała, a potem schowałam je razem.

Z broszką w ręce Maryla popędziła na poddasze. Ania zdążyła się już wypłakać i smutna siedziała przy oknie.

— Aniu Shirley — rzekła do niej z powagą Maryla — przed chwilą znalazłam mo-

Kłamstwo, Dziecko

ją broszkę, wczepioną w czarny, koronkowy szal. Wytlumacz mi, co miała oznaczać ta historia, którą opowiedziałaś mi dziś rano?

— Przecież powiedziałaś mi, że nie wyjdę z pokoju, dopóki się nie przyznam — odparła Ania ze znużeniem. — Postanowiłam więc się przyznać, by móc pójść na piknik. Wymyśliłam tę historyjkę wieczorem, już leżąc w łóżku, starając się, żeby była interesująca. Powtarzałam ją sobie wielokrotnie, aby niczego nie zapomnieć. Ale ty i tak nie pozwoliłaś mi iść na ten piknik, więc mój trud okazał się daremny.

Maryla mimo woli roześmiała się, równocześnie poczuła jednak wyrzuty sumienia.

— Aniu, jesteś niesamowita! Myliłam się co do twojej winy. Teraz to widzę. Nie powinnam była wątpić w twoje słowa, zwłaszcza że wcześniej nigdy nie skłamałaś. A ty nie powinnaś była przyznawać się do czegoś, czego nie zrobiłaś. Postąpiłaś źle, ale to ja sama cię do tego zmusiłam. Wybacz mi, Aniu, a ja wybaczę tobie i nadal będziemy się przyjaźnić. A teraz szykuj się na piknik.

Ania zerwała się na równe nogi.

— Ach, Marylo, czy nie jest za późno?

— Ależ skąd, jest dopiero druga! Wszyscy pewnie jeszcze się zbierają i najwcześniej za godzinę zasiądą do podwieczorku. Umyj się, uczesz i włóż sukienkę z krzaciastej bawełny. A ja przygotuję ci koszyk z prowiantem. Mam w spiżarni mnóstwo wypieków. Powiem Jerry'emu, żeby zaprzął kasztankę i zawiozę cię na miejsce.

— Och, Marylo! — zawołała Ania, biegnąc do łazienki. — Przed pięcioma minutami byłam taka zrozpaczona, że żałowałam tego, iż się urodziłam, a teraz nie zamieniłabym się z aniołem!

Tego wieczoru, niezwykle szczęśliwa, choć potwornie zmęczona, Ania wróciła na Zielone Wzgórze w stanie uniesienia, którego nie sposób oddać słowami.

— Och, Marylo, bawiłyśmy się bosko... „Bosko” to nowe słowo, którego się dzisiaj nauczyłam od Mary Alice Bell. Prawda, że jest bardzo wymowne? Wszystko wspaniale się udało. Podwieczorek był pyszny, a potem pływaliśmy z panem Andrewsem łódką po Jeziorze Lśniących Wód. Wsiadałyśmy do niej szóstkami. Jane Andrews omal nie wypadła. Wychyliła się, żeby zerwać wodną lilię i gdyby nie jej ojciec, który w ostatniej chwili złapał ją za szarfę, wpadłaby do wody i pewnie by się utopiła. Szkoda, że mnie się coś takiego nie przytrafiło. Romantycznie byłoby prawie się utopić! Miałabym o czym opowiadać! A potem jedliśmy lody. Brak mi słów, żeby opisać ich śmietankowy smak, ale zapewniam cię, Marylo, że były pyszne.

Tego wieczoru Maryla opowiedziała o wszystkim Mateuszowi.

— Przyznaję, że popełniłam błąd — podsumowała szczerze — ale dostałam nauczkę. Kiedy przypomnę sobie to wyznanie Ani, wybucham śmiechem, choć pewnie nie powinnam się śmiać, bo powiedziała nieprawdę. Poza tym sama jestem za to kłamstwo odpowiedzialna. Naprawdę trudno mi czasem zrozumieć to dziecko. Ale mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży i Ania wyjdzie na ludzi. Jedno jest pewne: dopóki mieszka z nami, w naszym domu nigdy nie zapanuje nuda.

ROZDZIAŁ XV

BURZA W SZKOLNYM IMBRYCZKU

— Co za wspaniały dzień! — westchnęła Ania głęboko. — Czyż nie dobrze jest po prostu cieszyć się życiem w taki dzień jak dzisiaj? Żał mi ludzi, którzy się jeszcze nie urodzili, ponieważ go tracą. Oczywiście, mogą mieć inne dobre dni, ale tego jednego nigdy nie zazną. I czyż nie wspaniale jest iść do szkoły taką piękną drogą?

— O wiele milej niż traktem: tam jest tak piaszczysto i gorąco — odparła przytomnie Diana i zajrzała do swojego koszyka z drugim śniadaniem, obliczając w pamięci, jak podzielić trzy soczyste tarty z malinami między dziesięć dziewcząt, tak aby każda z nich otrzymała równą porcję.

Dziewczynki ze szkoły w Avonlea zawsze dzieliły się jedzeniem, a zjedzenie trzech tart malinowych w pojedynkę, czy nawet podzielenie się nimi tylko z najlepszą przyjaciółką, na zawsze napiętnowałoby taką osobę jako straszną sknerę. A jednak, gdy dzieliło się tarty na dziesięć osób, dostawało się akurat tyle, żeby rozdrażnić apetyt.

Droga, którą Ania i Diana szły do szkoły, była rzeczywiście urocza. Ania uważała, że spacerów z Dianą nie poprawiłaby nawet wyobraźnia. Chodzenie głównym traktem byłoby całkiem nieromantyczne, za to kroczyć Aleją Zakochanych, obok Jeziora Wierzb, przez Dolinę Fiołków i Brzozową Ścieżkę — to był szczyt romantyzmu.

Aleja Zakochanych zaczynała się poniżej sadu na Zielonym Wzgórzu i ciągnęła się w głąb lasu, aż do granicy farmy Cuthbertów. Tędy pędzono krowy na tylne pastwisko, a zimą zwożono drewno. Ania nadała jej nazwę Aleja Zakochanych, zanim minął miesiąc jej pobytu na Zielonym Wzgórzu.

— Nie żeby kochankowie naprawdę nią spacerowali — wyjaśniła Maryli — ale Diana i ja czytamy właśnie absolutnie zachwycającą książkę, w której jest Aleja Zakochanych. Więc my też chcemy ją mieć. Czyż to nie śliczna nazwa? Taka romantyczna! Kochanków możemy sobie tam po prostu wyobrazić. Lubię tę aleję, bo można tam myśleć na głos i nikt nie nazywa cię wariatką.

Ania, wyruszając rano sama, szła Aleją Zakochanych aż do strumienia. Tam spotykała Dianę i razem szły dalej pod liściastym sklepieniem klonów. „Klony to takie towarzyskie drzewa” — mawiała Ania — „zawsze szeleszczą i szepczą do siebie”. W końcu dochodziły do wiejskiego mostku. Tam opuszczały aleję, przechodziły przez pole na tyłach gospodarstwa pana Barry’ego i miały Jezioro Wierzb. Za nim leżała Dolina Fiołków — małe, zielone zagłębienie w cieniu wielkiego lasu pana Andrew Bella.

— Oczywiście teraz nie ma tam fiołków — Ania tłumaczyła Maryli — ale Diana mówi, że wiosną są ich miliony. Och, Marylo, czy nie możesz sobie ich po prostu wyobrazić? Aż mi zapiera dech w piersiach. Ja nazwałam ją Doliną Fiołków. Diana mówi, że nikt nie dorówna mi w wymyślaniu fantastycznych nazw. Miło jest być w czymś zdolnym, prawda? Ale to Diana nazwała Brzozową Ścieżkę. Zależało jej na tym, więc jej pozwoliłam, choć jestem pewna, że znalazłabym coś bardziej poetyckiego niż zwykła Brzozowa Ścieżka. Każdy może wymyślić taką nazwę. Ale to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie, Marylo.

I tak było w istocie. Inni, którzy przypadkiem na nią trafili, myśleli podobnie. Była to wąska, kręta ścieżka, przecinająca rozległe wzgórze prosto przez las pana Bella, gdzie światło było przesiewane przez tyle szmaragdowych filtrów, że stawało się nieskazitelne niczym serce diamentu. Na całej długości otaczały ją smukłe, młode brzozy o białych pniach i gibkich gałęziach; gęsto rosły tam paprocie, śniedki baldaszkowate, dzikie konwalie majowe oraz szkarłatne krzaki owoców rywiny. W powietrzu zawsze unosił się tu zachwycający, korzenny zapach, rozbrzmiewała muzyka ptaków, słysząc było szepty i śmiech leśnych wiatrów w koronach drzew. Od czasu do czasu, jeśli było się wystarczająco cicho — co w przypadku Ani i Diany zdarzało się niezwykle rzadko — można tu było zobaczyć królika przemykającego przez drogę. W dolinie ścieżka łączyła się z głównym traktem, skąd wystarczyło już tylko przejść przez porośnięty świerkami pagórek, by znaleźć się w szkole.

Szkola w Avonlea mieściła się w pobielanym budynku z nisko opadającym dachem i szerokimi oknami, wyposażonym wewnątrz w wygodne, solidne, staromodne ławki, których pulpity pokryte były inicjałami i znakami wykonanymi przez trzy pokolenia dzieci. Budynek stał w pewnym oddaleniu od drogi, a za nim rozciągał się ciemny, jodłowy las i płynął strumień, do którego dzieci wstawiały rano butelki z mlekiem, aby pozostały chłodne i świeże do obiadu.

Maryla odprowadzała wzrokiem Anię, idącą pierwszego września do szkoły, z wieloma skrytymi obawami w sercu. Ania była taką niezwykłą dziewczynką. Jak ułoży sobie relacje z innymi dziećmi? I jak, u licha, zdoła utrzymać język za zębami podczas lekcji?

Jednak sprawy potoczyły się lepiej, niż Maryla się spodziewała. Ania wróciła tego wieczoru w doskonałym nastroju.

— Myślę, że polubię tutejszą szkołę — stwierdziła. — Chociaż o nauczycielu nie mam najlepszego zdania. Cały czas podkręca wąsy i puszcza oko do Prissy Andrews. Prissy jest już dorosła, ma szesnaście lat i przygotowuje się do egzaminów wstępnych do seminarium Queen’s w Charlottetown. Tillie Boulter mówi, że nauczyciel na zabój się w niej zakochał. Prissy ma piękną cerę i brązowe, kręcone włosy, które upina tak elegancznie. Siedzi w długiej ławce z tyłu i on też tam siedzi przez większość czasu — twierdzi,

że objaśnia jej lekcje. Ale Ruby Gillis mówi, że widziała, jak nauczyciel napisał coś na jej tabliczce, a kiedy Prissy to przeczytała, spłoszyła jak burak i zaczęła chichotać; Ruby Gillis nie wierzy, że to miało coś wspólnego z lekcją.

— Aniu Shirley, nie pozwalam ci wyrażać się w ten sposób o nauczycielu — przerwała jej ostro Maryla. — Nie idziesz do szkoły, żeby krytykować pana Phillipsa. Sądzę, że on może cię czegoś nauczyć, a twoim obowiązkiem jest się uczyć. I chcę, żebyś od razu zrozumiała, że nie masz wracać do domu i opowiadać o nim plotek. Tego nie będę tolerować. Mam nadzieję, że byłaś grzeczna.

— Owszem, byłam — odparła Ania ze spokojem. — To nie było tak trudne, jak można by przypuszczać. Siedzę z Dianą. Nasza ławka jest tuż przy oknie i możemy patrzeć na Jezioro Lśniących Wód. W szkole jest mnóstwo miłych dziewcząt i w czasie obiadu bawiłyśmy się wymiennie. To wspaniale mieć tyle koleżanek. Ale oczywiście Dianę lubię najbardziej i zawsze będę ją uwielbiać. Jestem strasznie w tyle za innymi. Wszyscy przerabiają piątą część podręcznika, a ja jestem dopiero w czwartej. To trochę wstyd. Ale żadna z nich nie ma takiej wyobraźni jak ja i szybko to odkryłam. Miałymy dziś czytanie, geografii, historię Kanady i dyktando. Pan Phillips powiedział, że moja ortografia jest skandaliczna i podniósł moją tabliczkę, całą pokreśloną, żeby wszyscy widzieli. Było mi tak wstyd, Marylo. Mógł być bardziej uprzejmy dla nowej osoby. Ruby Gillis dała mi jabłko, a Sophia Sloane pożyczyła śliczną, różową kartkę z napisem: „Czy mogę cię odprowadzić do domu?”. Mam jej oddać jutro. Tillie Boulter pozwoliła mi nosić swój pierścionek z koralików przez całe popołudnie. Czy mogę wziąć kilka tych perełek ze starej poduszeczki do szpilek na strychu, żeby zrobić sobie pierścionek? Och, Marylo, Jane Andrews powiedziała mi, że Minnie MacPherson powiedziała jej, że słyszała, jak Prissy Andrews mówiła Sarze Gillis, że mam bardzo ładny nos. Marylo, to pierwszy komplement, jaki usłyszałam w życiu, i nie wyobrażasz sobie, jakie to dziwne uczucie. Marylo, czy naprawdę mam ładny nos? Wiem, że powiesz mi prawdę.

— Twój nos jest całkiem zwyczajny — rzuciła krótko Maryla. W głębi duszy uważała, że nos Ani jest wyjątkowo ładny, ale nie miała zamiaru jej tego mówić.

To było trzy tygodnie temu i do tej pory wszystko szło gładko. I oto w pewien rześki, wrześniowy poranek Ania i Diana szły wesoło Brzozową Ścieżką, jak przystało na dwie najszczęśliwsze dziewczynki w Avonlea.

— Myślę, że Gilbert Blythe będzie dziś w szkole — powiedziała Diana. — Przez całe lato był w odwiedzinach u kuzynów w Nowym Brunswiku i wrócił dopiero w sobotę wieczorem. On jest strasznie przystojny, Aniu. I okropnie dokucza dziewczętom. Po prostu zatruwa nam życie.

Głos Diany wskazywał na to, że raczej lubi, gdy jej życie jest zatruwane.

— Gilbert Blythe? — zapytała Ania. — Czy to nie jego imię jest wypisane na ścianie ganku razem z Julią Bell i wielkim napisem „WSZM” nad nimi?

— Tak — odrzekła Diana, potrząsając głową — ale jestem pewna, że on wcale tak bardzo nie lubi Julii Bell. Słyszałam, jak mówił, że uczył się tabliczki mnożenia na jej piegach.

— Och, nie mów mi o piegach — błagała Ania. — To nietaktowne, skoro mam ich tak wiele. Ale uważam, że wypisywanie takich uwag na ścianach o chłopcach i dziewczętach jest najgłupszą rzeczą pod słońcem. Chciałabym zobaczyć kogoś, kto odważyłby się wypisać moje imię obok jakiegoś chłopca. Oczywiście — dodała pośpiesznie — nikt by tego nie zrobił.

Ania westchnęła. Nie chciała, żeby jej imię tam widniało, ale świadomość, że takie niebezpieczeństwo jej nie grozi, była nieco upokarzająca.

— Głupstwa — powiedziała Diana, której czarne oczy i lśniące włosy zawróciły w głowach tylu chłopcom z Avonlea, że jej imię znajdowało się w połowie tych ogłoszeń. — To tylko żarty. I nie bądź taka pewna, że twoje imię nigdy się tam nie pojawi. Charlie Sloane strasznie na ciebie leci. Powiedział swojej matce... (wyobraź sobie, własnej matce!), że jesteś najzdolniejszą dziewczynką w szkole. To lepsze niż bycie ładną.

— Wcale nie — odparła Ania, broniąc jak lwica swojej kobiecości. — Ja wolałabym być ładna niż mądra. I nie cierpię Charliego Sloane’a ani innych chłopców z takimi wy-

lupiastymi oczami. Gdyby ktoś wypisał moje nazwisko obok jego, nigdy bym się z tego nie otrząsnęła, Diano Barry. Ale miło jest być najlepszą w klasie.

— Teraz będziesz miała Gilberta w klasie — zauważyła Diana — a on przywykł do bycia prymusem, zapewniam cię. Jest dopiero w czwartej części podręcznika, mimo że ma prawie czternaście lat. Cztery lata temu jego ojciec zachorował i musiał wyjechać do Alberty¹³ dla poratowania zdrowia, a Gilbert pojechał z nim. Byli tam trzy lata i Gilbert prawie nie chodził do szkoły, dopóki nie wrócili. Nie będzie ci już tak łatwo brylować w nauce, Aniu.

— Cieszę się — odparła szybko Ania. — Trudno być naprawdę dumną z wygrywania z małymi dziećmi, które mają dziewięć czy dziesięć lat. Wczoraj zostałam poproszona o przeliterowanie słowa „wzburzenie”. Josie Pye była pierwsza i... (wyobraź sobie!) zagłądała do książki. Pan Phillips tego nie zauważył, bo patrzył na Prissy Andrews, ale ja widziałam. Zmroziłam ją pogardliwym spojrzeniem, a ona zrobiła się czerwona jak burak i ostatecznie źle przeliterowała to słowo.

— Wszystkie dziewczyny z rodziny Pye to oszustki — stwierdziła z oburzeniem Diana, gdy przechodziły przez płot oddzielający ścieżkę od głównej drogi. — Wczoraj Gertie Pye bezczelnie postawiła swoją butelkę z mlekiem na moim miejscu w strumieniu. Słyszał ktoś o czymś takim? Teraz w ogóle się do niej nie odzywam.

Gdy pan Phillips siedział w głębi sali, przysłuchując się łacinie Prissy Andrews, Diana szepnęła do Ani:

— To jest Gilbert Blythe, siedzi po drugiej stronie przejścia, dokładnie naprzeciwko ciebie, Aniu. Spójrz na niego i powiedz, czy twoim zdaniem jest przystojny.

Ania spojrzała. Miała ku temu dobrą okazję, gdyż wspomniany Gilbert Blythe był pochłonięty dyskretnym przypinaniem długiego, żółtego warkocza Ruby Gillis, która siedziała przed nim, do oparcia jej ławki. Był wysokim chłopcem o brązowych, kręconych włosach, filuternych, piwnych oczach i ustach wykrzywionych w kpiącym uśmiechu. Po chwili Ruby Gillis zerwała się, by zanieść zadanie nauczycielowi i opadła z powrotem na miejsce ze stłumionym krzykiem, przekonana, że wyrwano jej włosy z cebulkami. Wszyscy spojrzeli na nią, a pan Phillips zmierzył ją tak surowym wzrokiem, że Ruby zaczęła płakać. Gilbert zdążył ukryć szpilkę i z najpoważniejszą miną na świecie studiował historię; lecz gdy zamieszanie ucichło, spojrzał na Anię i mrugnął do niej zawadiacko.

— Myślę, że twój Gilbert Blythe jest przystojny — wyznała Ania — ale uważam, że jest też bardzo zuchwały. To niegrzeczne mrugać do obcej dziewczyny.

Jednak dopiero po południu sprawy nabrały prawdziwych rumieńców.

Pan Phillips wyjaśniał w kąciku zadanie z algebry Prissy Andrews, a reszta uczniów robiła, co im się żywnie podobało: jedli zielone jabłka, szeptali, rysowali na tabliczkach i puszczali świerszcze uwiązane na sznurkach wzdłuż przejść między ławkami. Gilbert Blythe próbował zmusić Anię Shirley, by na niego spojrzała, lecz bezskutecznie, ponieważ Ania w tej chwili całkowicie zapomniała nie tylko o istnieniu Gilberta Blythe’a, ale i o każdym innym uczniu w szkole w Avonlea. Z brodą podpartą dłońmi i oczami utkwionymi w błękitnym skrawku Jeziora Lśniących Wód, widocznym w oknie wychodzącym na zachód, była gdzieś daleko, w cudownej krainie marzeń. Nie słyszała i nie widziała nic oprócz własnych fantastycznych wizji.

Gilbert Blythe nie był przyzwyczajony do tego, aby jego wysiłki mające na celu zwrócenie uwagi dziewczyny kończyły się porażką. Musiała na niego spojrzeć — ta rudowłosa Shirley o spiczastym podbródku i wielkich oczach, które nie przypominały oczu żadnej innej dziewczyny w Avonlea.

Gilbert wychylił się przez przejście, chwycił koniec długiego, rudego warkocza Ani, wyciągnął go na całą długość ramienia i syknął przenikliwym szeptem:

— Marchewka! Marchewka!

Wtedy Ania spojrzała na niego z furją. A potem zrobiła coś więcej. Zerwała się na równe nogi, a jej piękne marzenia w jednej chwili legły w gruzach. Rzuciła Gilbertowi jedno piorunujące spojrzenie, a gniewny blask jej oczu szybko utonął w równie gniewnych łzach.

— Ty wstrętny, okropny chłopcze! — wykrzyknęła z pasją. — Jak śmiesz!

¹³Alberty — jedna z prowincji w Kanadzie. [przypis edytorski]

I wtedy — TRZASK! Ania uderzyła swoją tabliczką w głowę Gilberta i rozbiła ją — tabliczkę, nie głowę — na dwie części.

Szkoła w Avonlea zawsze lubiła skandale. Ten był szczególnie atrakcyjny. Wszyscy wydali z siebie „och” w niemym zachwycie. Diana zamarła. Ruby Gillis, skłonna do hysterii, wybuchnęła płaczem, zaś Tommy Sloane pozwolił uciec swojemu zaprzęgowi świerszczy i przyglądał się całej scenie z otwartymi ustami.

Pan Phillips przeszedł wzdłuż ławek i położył ciężko dłoń na ramieniu Ani.

— Aniu Shirley, co to ma znaczyć? — zapytał gniewnie. Ania nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru przyznać przed całą szkołą, że nazwano ją „marchewką” — to przekraczało ludzkie pojęcie. Za to Gilbert odezwał się odważnie:

— To moja wina, panie Phillips. Dokuczałem jej.

Pan Phillips zignorował go jednak.

— Przykro mi widzieć u mojej uczennicy taki brak panowania nad sobą i tak mściwego ducha — przemówił z emfazą, jakby sam fakt bycia jego uczniem miał wykorzenić wszelkie złe namiętności z serc niedoskonałych śmiertelników. — Aniu, idź i stań na podium przed tablicą do końca popołudnia.

Ania wolałaby tysiąc razy chłostę niż tę karę, która raniła jej wrażliwą duszę niczym uderzenie bicia. Z białą, zaciętą twarzą wykonała polecenie. Pan Phillips wziął kredę i napisał na tablicy nad jej głową:

„Andzia Shirley ma bardzo zły charakter. Andzia Shirley musi nauczyć się panować nad swoim charakterem”, po czym przeczytał to głośno, tak aby nawet dzieci z najmłodszej klasy, które nie umiały czytać pisma odręcznego, zrozumiały, o co chodzi.

Ania stała tam do końca lekcji, razem z tym napisem. Nie płakała ani nie spuszczała głowy. Gniew wciąż mocno płonął w jej sercu i to on podtrzymywał ją przy życiu w tym upokorzeniu, którego doznała. Z pełnym urazy wzrokiem i policzkami czerwonymi z gniewu stawiała czoła zarówno współczującemu spojrzeniu Diany, jak i oburzonym gestom Charliego Sloane’a czy złośliwym uśmiechom Josie Pye. Natomiast na Gilberta Blythe’a nie chciała nawet spojrzeć. Już nigdy na niego nie spojrz! Nigdy się do niego nie odezwie!

Gdy lekcje dobiegły końca, Ania wymaszerowała z klasy z podniesioną wysoko rudą głową. Gilbert Blythe próbował zatrzymać ją przy zejściu z ganku.

— Aniu, strasznie mi przykro, że naśmiewałem się z twoich włosów — wyznał ze skruchą. — Naprawdę. Nie gniewaj się na mnie.

Ania minęła go pogardliwie, bez jednego spojrzenia czy choćby znaku, że go słyszy.

— Och, jak mogłaś, Aniu? — wyszeptała Diana, gdy szły drogą, na wpół z wyrzutem, na wpół z podziwem. Diana czuła, że ona nigdy nie oparłaby się prośbie Gilberta.

— Nigdy nie wybaczę Gilbertowi Blythe’owi — powiedziała stanowczo Ania. — A pan Phillips napisał moje imię „Andzia”, nie „Ania”. Miecz przeszył mą duszę, Diano.

Diana nie miała bladego pojęcia, co Ania ma na myśli, ale domyśliła się, że to musi być coś strasznego.

— Nie powinnaś przejmować się tym, że Gilbert naśmiewa się z twoich włosów — starała się ją uspokoić. — Przecież on drwi ze wszystkich dziewcząt. Z moich włosów też się śmieje, bo są takie czarne. Dziesiątki razy nazywał mnie „wroną”, za to nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby kogoś przeproszał.

— Jest wielka różnica między byciem nazwaną wroną a byciem nazwaną marchewką — odrzekła z godnością Ania. — Gilbert Blythe zranił moje uczucia w najgorszy z możliwych sposobów, Diano.

Być może sprawa rozeszłaby się po kościach, gdyby nie wydarzyło się nic więcej. Ale kiedy coś zaczyna się dziać, zwykle dzieje się dalej.

Uczniowie z Avonlea często spędzali przerwę obiadową na zbieraniu żywicy w świętym gaju pana Bella, położonym za wzgórzem i wielkim pastwiskiem. Stamtąd mogli obserwować dom Ebena Wrighta, gdzie stołował się nauczyciel. Gdy widzieli pana Phillipsa wychodzącego z domu, biegli do szkoły. Ale ponieważ ich droga była trzy razy dłuższa niż ta, którą szedł pan Wright, zazwyczaj docierali na miejsce zdyszani i zziębnięci jakieś trzy minuty za późno.

Następnego dnia pana Phillipsa ogarnął jeden z jego nagłych napadów reformatorstwa. Przed wyjściem na obiad oznajmił, że oczekuje, iż wszyscy uczniowie będą na swoich miejscach, kiedy wróci. Każdy, kto się spóźni, zostanie ukarany.

Wszyscy chłopcy i część dziewcząt poszli jak zwykle do gaju pana Bella, zamierzając zostać tam tylko tyle, by zbierać trochę żywicy do żucia. Ale świerkowe gaje są zwodnicze, a żółte grudki żywicy kuszące. Zbierali, marudzili i błędzili — i jak zwykle pierwszą rzeczą, która przypomniła im o upływie czasu, był okrzyk Jimmy'ego Glovera ze szczytu starego świerka: „Nauczyciel idzie!”.

Dziewczynki, które były pod drzewem, ruszyły pierwsze i zdołały dotrzeć do szkoły na czas, choć bez sekundy zapasu. Chłopcy, którzy musieli pośpiesznie schodzić z drzew, byli spóźnieni. Zaś Ania, która wcale nie zbierała żywicy, lecz błąkała się beztrząsco na odległym krańcu gaju, zanurzona po pas w paprociach, śpiewając cicho pod nosem, z wiankiem z dzikich lilii na włosach niczym jakieś leśne bóstwo, które za dom obrało sobie zacienione miejsca — wróciła jako ostatnia. Ania potrafiła jednak biegać jak sarenka; pobiegła więc, ile sił w nogach, co skończyło się niefortunnie tym, że dopadła chłopców przy drzwiach i została wciągnięta do sali wraz z nimi dokładnie w momencie, gdy pan Phillips wieszał kapelusz.

Krótki zryw reformatorski nauczyciela szybko minął. Nie chciał mu się karać tuzina uczniów. Trzeba było jednak zrobić coś, by dotrzymać słowa i wyjść z tej sytuacji z twarzą, rozejrział się więc za kozłem ofiarnym i znalazł go w Ani. Zdyszana dziewczynka właśnie opadła na miejsce, z zapomnianym wiankiem lilii wiszącym krzywo nad jednym uchem, co nadawało jej wyjątkowo rozwichrzony i zawadiacki wygląd.

— Aniu Shirley, skoro tak bardzo lubisz towarzystwo chłopców, dogodzimy twoim gustom dzisiejszego popołudnia — powiedział sarkastycznie. — Zdejmij te kwiaty z włosów i usiądź z Gilbertem Blythe'em.

Chłopcy zachichotali. Diana, błędąc z litości, zdjęła wianek z głowy Ani i ścisnęła jej dłoń. Ania wpatrywała się w nauczyciela jak skamieniała.

— Czy słyszałaś, co powiedziałem, Aniu? — zapytał surowo pan Phillips.

— Tak, proszę pana — odparła powoli Ania — ale nie sądziłam, że mówi pan poważnie.

— Zapewniam cię, że tak — wciąż z tą sarkastyczną intonacją, której wszystkie dzieci, a zwłaszcza Ania, nienawidziły. — Natychmiast wykonaj polecenie!

Przez moment Ania wyglądała, jakby chciała się sprzeciwić. Potem, zdając sobie sprawę, że nie ma wyjścia, wstała wyniośle, przeszła przez przejście, usiadła obok Gilberta Blythe'a i ukryła twarz w ramionach na pulpicie. Ruby Gillis, której udało się dostrzec jej twarz przed schowaniem, powiedziała innym uczniom wracającym do domu, że „naprawdę nigdy czegoś takiego nie widziałam — jej twarz była zupełnie biała, z takimi okropnymi, małymi, czerwonymi plamkami”.

Dla Ani był to koniec wszystkiego. Wystarczająco złe było już to, że wybrano ją do kary spośród tuzina równie winnych; jeszcze gorsze było wysłanie do ławki z chłopcem, ale to, że tym chłopcem był Gilbert Blythe, stanowiło obelgę nie do zniesienia. Ania czuła, że nie wytrzyma tego i nie ma sensu nawet próbować. Cała wrzała ze wstydu, gniewu i upokorzenia.

Początkowo inni uczniowie spoglądali, szeptali, chichotali i szturchali się łokciami. Ponieważ jednak Ania nie podnosiła głowy, a Gilbert rozwiązywał ułamki, jakby na niczym innym mu nie zależało, wkrótce wszyscy wrócili do swoich zadań i o Ani zapomniano. Gdy pan Phillips wywołał klasę historii, Ania powinna była wstać, lecz nawet się nie poruszyła. Pan Phillips, który przed wywołaniem klasy pisał wiersze „Do Priscilli”, wciąż myślał o tym, jak sobie poradzić z opornym rymem, i nawet nie zauważył jej nieobecności. Tymczasem Gilbert wyciągnął z ławki mały, różowy cukierek w kształcie serduszka ze złotym napisem „Jesteś słodka” i gdy nikt nie patrzył, wsunął go pod ramię Ani. Wtedy Ania wstała, wzięła różowe serce ostrożnie w dwa palce, rzuciła je na podłogę, rozdeptała piętą na miazgę, po czym wróciła do poprzedniej pozycji, nie racząc zaszczyścić Gilberta ani jednym spojrzeniem.

Gdy lekcje się skończyły, Ania podeszła do swojej ławki, ostentacyjnie wyjęła z niej wszystko — książki, blok do pisania, pióro i atrament, testament i arytmetykę — i ułożyła je starannie na swojej pękniętej tabliczce.

Kara, Szkoła, Krzywda,
Nauczyciel

— Po co zabierasz to wszystko do domu, Aniu? — spytała Diana, gdy tylko wyszły na drogę. Nie odważyła się zapytać o to wcześniej.

— Nie wracam już więcej do szkoły — oznajmiła Ania. Dianie z wrażenia aż zaparło dech i wpatrywała się w Anię, by przekonać się, czy jej przyjaciółka mówi poważnie.

— Maryla pozwoli ci zostać w domu? — zapytała.

— Będzie musiała — odparła Ania. — Nigdy więcej nie pójde do szkoły, w której uczy ten człowiek.

— Och, Aniu! — Diana wyglądała, jakby miała się rozplakać. — To naprawdę okropne z twojej strony. Co ja teraz pocznę? Pan Phillips każe mi usiąść z tą okropną Gertie Pye; wiem, że to robi, bo ona siedzi sama. Aniu, wróć, proszę.

— Diano, zrobiłabym dla ciebie niemal wszystko na świecie — powiedziała smutno Ania. — Dałabym się rozszarpać na kawałki, gdyby to mogło ci pomóc. Ale tego nie mogę zrobić, więc proszę, nie nalegaj. To rozdziera moją duszę.

— Pomyśl tylko o tej całej zabawie, która cię ominie — lamentowała Diana. — Będziemy budować śliczny nowy domek nad strumieniem. W przyszłym tygodniu mamy grać w piłkę, a ty nigdy nie grałaś w piłkę, Aniu. To bardzo ekscytujące. I nauczymy się nowej piosenki, Jane Andrews już ją ćwiczy; a Alice Andrews przyniesie w przyszłym tygodniu nową książkę Pansy i wszystkie będziemy czytać ją na głos, rozdział po rozdziale, nad strumieniem. A przecież ty tak uwielbiasz czytać na głos, Aniu.

Nic jednak nie zdołało poruszyć Ani. Podjęła decyzję. Nie pójdzie więcej do szkoły pana Phillipsa — powiedziała to Maryli po powrocie do domu.

— Głupstwa — ucięła Maryla.

— To wcale nie są głupstwa — odparła Ania, wpatrując się w nią poważnymi, pełnymi wyrzutu oczami. — Czy nie rozumiesz, Marylo? Zostałam znieważona.

— Znieważona, akurat! Jutro pójdziesz do szkoły jak zwykle.

— O, nie. — Ania delikatnie potrząsnęła głową. — Nie wracam, Marylo. Będę się uczyć w domu, będę tak grzeczna, jak tylko potrafię, i będę milczeć przez cały czas, jeśli to w ogóle możliwe. Ale do szkoły nie wrócę, zapewniam cię.

Maryla dostrzegła niezwykle upór malujący się na twarzyczce Ani. Zrozumiała, że przełamanie go będzie niezwykle trudne, ale mądrze postanowiła nie odzywać się więcej w tej chwili. „Pójde wieczorem do Małgorzaty i porozmawiam z nią o tym” — pomyślała. — „Nie ma sensu teraz przekonywać Ani. Jest zbyt rozemocjonowana, a wiem, że potrafi być okropnie uparta, gdy się na coś uprze. Z tego, co wywnioskowałam z jej opowieści, pan Phillips rzeczywiście przesadził, ale nigdy nie wolno mi się do tego przyznać. Muszę się poradzić Małgorzaty. Posłała do szkoły dziesięcioro dzieci i powinna się na tym znać. Poza tym pewnie słyszała już całą historię”.

Maryla zastała panią Linde dziergającą narzuty z charakterystycznym dla niej zapalem i pracowitością.

— Domyślasz się, w jakiej sprawie przyszedłam? — spytała Maryla nieco zawstydzona. Pani Małgorzata skinęła głową.

— Chodzi o awanturę Ani w szkole, jak mniemam — odrzekła. — Tillie Boulter wstąpiła do mnie w drodze ze szkoły i wszystko mi opowiedziała.

— Nie wiem, co z nią począć — westchnęła Maryla. — Zarzeka się, że nie wróci do szkoły. Nigdy nie widziałam tak wstrząśniętego dziecka. Spodziewałam się kłopotów, odkąd zaczęła chodzić do szkoły. Wiedziałam, że wszystko idzie zbyt gładko, by mogło trwać długo. Ona jest taka wrażliwa. Co byś mi poradziła, Małgorzato?

— Cóż, Marylo, skoro pytasz mnie o radę — zaczęła uprzejmie pani Linde, która wprost uwielbiała, gdy pytano ją o zdanie — to na początku po prostu bym jej ustąpiła, tak właśnie. Moim zdaniem pan Phillips zawinił. Naturalnie nie należy tego mówić dzieciom. I oczywiście słusznie ukarał ją wczoraj za wybuch złości. Ale dzisiaj było inaczej. Inni, którzy się spóźnili, powinni zostać ukarani tak samo jak Ania. No i nie pochwalam sadzania dziewcząt z chłopcami za karę. To nieskromne. Tillie Boulter była naprawdę oburzona. Przez cały czas trzymała stronę Ani i mówiła, że wszyscy uczniowie też. Ania wydaje się cieszyć u nich dużą popularnością. Nigdy bym nie pomyślała, że tak dobrze się wśród nich zaaklimatyzuje.

— Więc naprawdę uważasz, że lepiej pozwolić jej zostać w domu? — spytała zdziwiona Maryla.

— Tak. To znaczy, nie wspominałabym jej o szkole, dopóki sama nie poruszy tego tematu. Zaufaj mi, Marylo, ochłonie za tydzień lub dwa i sama będzie chciała wrócić. Gdybyś kazała jej to zrobić natychmiast, Bóg jeden raczy wiedzieć, jaki nowy pomysł wpadłby jej do głowy i narobiłaby jeszcze więcej kłopotów. Moim zdaniem, im mniej zamieszania, tym lepiej. Zresztą, niewiele straci, nie chodząc do szkoły. Pan Phillips wcale nie jest dobrym nauczycielem. Porządek, jaki utrzymuje, jest skandaliczny, za to zaniedbuje młodsze dzieci, poświęcając cały czas starszym uczniom, których przygotowuje do Queen's. Nie utrzymałby tej posady na kolejny rok, gdyby jego wuj nie był kuratorem, który wodzi pozostałych dwóch kuratorów za nos. Doprawdy, nie wiem, dokąd zmierza edukacja na tej wyspie.

Pani Linde potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć, że gdyby to ona stała na czele lokalnego systemu edukacji, sprawy potoczyłyby się znacznie lepiej.

Maryla posłuchała rady sąsiadki i ani słowem nie wspomniała Ani o powrocie do szkoły. Dziewczynka uczyła się do lekcji w domu, wywiązywała ze wszystkich obowiązków gospodarskich i bawiła się z Dianą w chłodne, purpurowe, jesienne wieczory. A gdy spotykała Gilberta Blythe'a na drodze lub w szkółce niedzielnej, mijała go z lodowatą pogardą, której nie był w stanie stopić jego szczerzy zamiar przeproszenia jej. Nawet wysiłki Diany jako rozjemczyni na nic się zdały. Ania najwyraźniej postanowiła nienawidzić Gilberta Blythe'a do końca życia.

Jednak równie mocno, jak nienawidziła Gilberta, kochała Dianę — całym swoim gorącym serduszkim, równie intensywnym w swoich sympatiach, jak i antypatiach. Pewnego wieczoru Maryla, wracając z sadu z koszem jabłek, zastała Anię siedzącą samotnie przy wschodnim oknie w zapadającym zmroku i zalaną gorzkimi łzami.

— Cóż się znowu stało, Aniu? — zapytała.

— Chodzi o Dianę — załkała teatralnie Ania. — Tak bardzo kocham Dianę, Marylo. Nie mogę bez niej żyć. Ale wiem doskonale, że gdy dorośniemy, Diana wyjdzie za mąż, odejdzie i mnie zostawi. Och, co ja wtedy pocznę? Nienawidzę jej przyszłego męża, nienawidzę go z całych sił. Wyobraziłam sobie to wszystko: ślub i całą resztę. Dianę ubraną w śnieżnobiałą suknię z welonem, wyglądającą tak pięknie i dostojnie jak królowa. I mnie jako druhenę, też w ślicznej sukni z bufiastymi rękawami, ale ze złamanym sercem skrytym pod nieszczerym uśmiechem na twarzy. A potem żegnanie się z Dianą... — W tym miejscu Ania załamała się całkowicie i zaszlochała jeszcze głośniej.

Maryla odwróciła się szybko, żeby ukryć grymas na twarzy, ale na nic się to zdało. Opadła na najbliższe krzesło i wybuchnęła tak serdecznym i niezwykłym dla niej śmiechem, że Mateusz, przechodzący przez podwórze, przystanął zdumiony. Kiedy ostatnio słyszał, żeby Maryla śmiała się w ten sposób?

— No, Aniu Shirley — powiedziała Maryla, gdy tylko zdołała wykrztusić słowo — jeśli musisz pożyczać sobie zmartwienia, to na litość boską, wybieraj te bardziej pod ręką. Trzeba ci przyznać, że wyobrażnię to ty masz, bez dwóch zdań!

ROZDZIAŁ XVI

TRAGICZNE SKUTKI PODWIECZORKU Z DIANĄ

Październik na Zielonym Wzgórzu był przepiękny. Brzozy w dolinie ozłociły się, niczym skąpane w promieniach słońca, klony za sadem przybrały barwę królewskiej purpury, dzikie czereśnie rosnące wzdłuż alei przywdziały najpiękniejsze odcienie czerwieni, brązu i zieleni, a pola wygrzewały się w jesiennym blasku.

Ania upajała się otaczającym ją światem barw.

— Och, Marylo! — wykrzyknęła pewnego sobotniego poranka, wpadając do domu tanecznym krokiem, z imponującym naręczem gałęzi. — Tak się cieszę, że żyję na świecie, w którym istnieje październik! To byłoby straszne, gdybyśmy po wrześniu przeskakiwali od razu do listopada, nieprawdaż? Spójrz na te gałęzie klonu. Czy nie przypominają cię o dreszcz zachwytu... o całą serię dreszczy? Zamierzam udekorować nimi mój pokój.

— Tylko śmieci naniesiesz — odburknęła Maryla, która miała niezbyt rozwinięty zmysł estetyczny. — Aniu, zdecydowanie za bardzo zagrucasz swój pokój rzeczami, które przynosisz z dworu. Sypialnie służą do spania.

— Och, i do marzenia też, Marylo! A wiesz, że o wiele lepiej marzy się w pokoju, w którym otaczają cię ładne przedmioty. Wstawię te gałęzie do starego niebieskiego wazonu i postawię na stole.

— Pilnuj tylko, żebyś nie narozrzuciła liści na schodach. Jadę dziś po południu na spotkanie Towarzystwa Charytatywnego w Carmody i pewnie nie wrócę przed zmrokiem. Będziesz musiała podać kolację Mateuszowi i Jerry'emu, więc zanim usiądziecie do stołu, nie zapomnij zaparzyć herbaty, tak jak to miało miejsce ostatnim razem.

— To było okropne z mojej strony, że zapomniałam — odparła przepraszająco Ania — ale tego popołudnia starałam się wymyślić nazwę dla Doliny Fiołków i to wyparło wszystko inne myśli z mojej głowy. Mateusz był taki dobry. W ogóle mnie nie skarcił. Sam zaparzył herbatę i powiedział, że równie dobrze możemy chwilę poczekać. A ja opowiedziałam mu cudowną bajkę, kiedy czekaliśmy, więc czas wcale mu się nie dłużył. To była piękna bajka, Marylo. Zapomniałam zakończenia, więc sama je wymyśliłam, a Mateusz powiedział, że nie poznałby, w którym miejscu zostało ono dopisane.

— Aniu, Mateusz uznałby, że wszystko jest w porządku, nawet gdybyś wpadła na pomysł, by podać obiad w środku nocy. Ale tym razem pilnuj się. I... doprawdy nie wiem, czy robię dobrze... może to sprawić, że będziesz jeszcze bardziej roztrzępana... ale pozwalam ci zaprosić Dianę, żeby spędziła z tobą popołudnie i została tutaj na podwieczorku.

— Och, Marylo! — Ania splotła dłonie. — Jakie to cudowne! Jednak potrafisz sobie coś wyobrazić, inaczej nigdy byś nie zrozumiała, jak bardzo o tym marzyłam. To będzie takie dorosłe. Nie bój się, nie zapomnę zaparzyć herbaty dla gościa. Och, Marylo, czy mogę użyć tego serwisu w pączki róż?

— Nie, skądże znowu! Serwis w różę! Cóż to za pomysły? Wiesz, że używam go tylko dla pastora albo członkiń Towarzystwa. Podasz stary, brązowy serwis. Ale za to możesz otworzyć mały żółty słoiczek konfitur z wiśni. I tak już czas go zużyć: zdaje mi się, że zaczyna fermentować. Możesz też ukroić keks i wyłożyć trochę herbatników oraz sucharków.

— Już widzę siebie, jak siedzę przy stole i nalewam herbatę — westchnęła Ania, zamykając oczy w ekstazie. — I pytam Dianę, czy słodzi! Wiem, że nie słodzi, ale oczywiście zapytam ją tak, jakbym o tym nie wiedziała. A potem będę ją namawiać na kolejny kawałek keksu i dokładkę konfitur. Och, Marylo, to cudowne uczucie, kiedy tylko o tym pomyślę. Czy mogę ją zaprowadzić do pokoju gościnnego, żeby zdjęła kapelusz, kiedy przyjdzie? A potem do salonu, żeby tam usiadła?

— Nie. Pokój dzienny wam wystarczy. Ale w szafce, na drugiej półce, stoi do połowy pełna butelka soku malinowego, który został po ostatnim przyjęciu w kościele. Ty i Diana możecie go wypić, jeśli chcecie, i zjeść do tego herbatniki po południu, bo przypuszczam, że Mateusz spóźni się na podwieczorek, skoro zawiózł ziemniaki na statek.

Ania popędziła do doliny, minęła Źródło Driad i wbiegła ścieżką wśród świerków na Sosnowe Wzgórze, by zaprosić Dianę. W rezultacie tuż po tym, jak Maryla wyjechała do Carmody, zjawiła się Diana, ubrana w swoją drugą najlepszą sukienkę, w której wyglądała dokładnie tak, jak wypada osobie zaproszonej na podwieczorek. Zazwyczaj wpadała do kuchni bez zapowiedzi; tym razem jednak zapukała uroczyście do drzwi frontowych. A gdy Ania, także ubrana w swoją drugą najlepszą sukienkę, równie uroczyście je otworzyła, obie dziewczynki uściśniły sobie dłonie z taką powagą, jakby nigdy wcześniej się nie widziały. Ta nienaturalna poza trwała, dopóki Diana nie została zaprowadzona do wschodniego skrzydła poddasza, żeby tam zdjąć kapelusz, a następnie przez dziesięć minut posiedziała w pokoju dziennym z grzecznie złączonymi stopami.

— Jak się miewa twoja matka? — spytała uprzejmie Ania, zupełnie jakby nie widziała tego ranka pani Barry zbierającej jabłka w doskonałym zdrowiu i humorze.

— Bardzo dobrze, dziękuję. Przypuszczam, że pan Cuthbert wozi dziś po południu ziemniaki do portu, zgadza się? — odparła Diana, która rano jechała wozem z Mateuszem do pana Harmona Andrews.

— Tak. Nasze zbiory ziemniaków są w tym roku wyjątkowo dobre. Mam nadzieję, że plony twojego ojca też się udały.

— Są całkiem przyzwoite, dziękuję. Czy zebraliście już dużo jabłek?

— Och, całe mnóstwo! — zawołała Ania, zapominając o powadze i zrywając się z miejsca. — Chodźmy do sadu, Diano, nazrywać tych słodkich, czerwonych jabłek. Maryla mówi, że możemy wziąć wszystkie, które zostały na drzewie. Maryla to bardzo szczodra kobieta. Powiedziała, że na podwieczorek możemy zjeść keks i konfitury z wiśni. Ale nie wypada mówić gościowi, co zostanie mu podane do jedzenia, więc nie powiem ci już, co zostawiła nam do picia. Powiem tylko, że zaczyna się na litery *S* i *M* i ma jaskrawoczerwony kolor. Uwielbiam czerwone napoje, a ty? Smakują dwa razy lepiej niż wszystkie pozostałe.

Sad z wielkimi konarami uginającymi się do samej ziemi pod ciężarem owoców okazał się tak zachwycający, że dziewczyny spędziły w nim niemal całe popołudnie. Siedziały w porośniętym trawą zakątku, gdzie mróz oszczędził jeszcze zieleni i gdzie operowało ciepłe, jesienne słońce, jadły jabłka i rozmawiały bez przerwy. Diana miała Ani wiele do opowiedzenia o tym, co dzieje się w szkole. Musiała siedzieć z Gertie Pye, czego nie znosiła, bo Gertie cały czas skrzypiała rysikiem, co mroziło Dianę krew w żyłach. Ruby Gillis „zamówiła” wszystkie swoje brodawki — słowo daję! — za pomocą magicznego kamyka, który dostała od starej Mary Joe z Potoku. Trzeba potrząść brodawki kamikiem, a potem wyrzucić go przez lewe ramię podczas nowiu księżyca, a wtedy brodawki znikną. Ktoś napisał imię Charliego Sloane’a razem z Em White na ścianie werandy i Em strasznie się o to rozłościła. Sam Boulter pyskował panu Phillipsowi na lekcji, za co pan Phillips przetrzepał mu skórę, a ojciec Sama przyszedł do szkoły i odgrażał się, że pan Phillips pożałuje, jeśli jeszcze raz tknie któreś z jego dzieci. Mattie Andrews miała nowy czerwony kapturek i niebieską chustę z frędzlami, a pyszniła się tym tak, że aż mdliło. Lizzie Wright nie odzywała się do Mamie Wilson, bo dorosła siostra Mamie odbiła adoratora dorosłej siostrze Lizzie. Wszyscy bardzo tęsknili za Anią i chcieli, żeby wróciła do szkoły, zaś Gilbert Blythe...

Ania nie chciała słuchać o Gilbercie Blythe. Zerwała się gwałtownie i zaproponowała, żeby wrócili do domu napić się soku malinowego.

Zajrzała na drugą półkę w spiżarni, ale nie było tam butelki z sokiem. Po krótkich poszukiwaniach znalazła ją schowaną głęboko na samej górze. Ania postawiła butelkę na tacy wraz ze szklanką i zaniósła na stół.

— Proszę, częstuj się, Diano — powiedziała uprzejmie. — Ja chyba na razie podziękuję. Nie czuję, żebym miała ochotę na sok malinowy po tych wszystkich jabłkach.

Diana nalała sobie pełną szklankę, z uznaniem przyjrzała się jaskrawoczerwonej barwie, a potem zaczęła powoli pić.

— Aniu, ten sok malinowy jest bardzo dobry — powiedziała. — Nie wiedziałam, że sok malinowy może być taki smaczny.

— Bardzo się cieszę, że ci smakuje. Pij, ile chcesz. Pobiegnę tylko do kuchni pogrzać w piecu. Na głowie osoby prowadzącej dom spoczywa tyle obowiązków, nieprawdaż?

Gdy Ania wróciła z kuchni, Diana piła już drugą szklankę soku, a zachęcona przez przyjaciółkę, nie stawiała również większego oporu przed wypiciem trzeciej. Szklanki były spore, a sok malinowy rzeczywiście musiał być bardzo dobry.

— Najlepiej, jaki piłam — stwierdziła Diana. — O wiele lepszy niż ten pani Linde, choć ona tak się nim chwali. Ten w ogóle nie smakuje jak jej sok.

— Myślę, że sok malinowy Maryli musi być o wiele lepszy niż sok pani Linde — rzekła lojalnie Ania. — Maryla jest wspaniałą gospodynią. Próbuje mnie nauczyć gotować, ale zapewniam cię, Diano, to ciężka praca. W gotowaniu jest tak mało pola dla wyobraźni. Trzeba po prostu trzymać się przepisów. Kiedy ostatnio piekłam ciasto, zapomniałam dodać mąki. Wymyślałam wtedy najpiękniejszą historię o tobie i o mnie, Diano. Wyobraziłam sobie, że zachorowałam na ospę i wszyscy cię opuścili, ale ja z odwagą podeszłam do twojego łóżka i uratowałam cię. A potem sama zachorowałam i umarłam, i pochowano mnie pod tymi topolami na cmentarzu, a ty posadziłaś różę na moim grobie i podlewałaś ją łzami; i nigdy, przenigdy nie zapomniałaś przyjaciółki ze swojej młodości, która poświęciła dla ciebie życie. Och, Diano, to była taka wzruszająca opowieść! Gdy mieszałam ciasto, łzy strumieniami płynęły mi po policzkach. Ale zapomniałam o mące i ciasto okazało się żalosną porażką. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak niezbędna w pieczeniu jest mąka. Maryla była bardzo zła i wcale jej się nie dziwię. Jestem dla niej wielkim utrapieniem. Strasznie się wstydziła za ubiegłotygodniowy sos do puddingu. We

wtorek mieliśmy na obiad pudding ze śliwek i została nam połowa puddingu oraz pełny dzbanek sosu. Maryla powiedziała, że to wystarczy na kolejny obiad, kazała mi odstawić pudding na półkę w spiżarni i przykryć go. Naprawdę chciałam to zrobić, Diano, ale kiedy tam weszłam, wyobraziłam sobie, że jestem zakonnicą (oczywiście jestem protestantką, ale wyobrażałam sobie, że jestem katoliczką), która zasłania twarz welonem, aby w klasztorным odosobnieniu pogrzebać złamane serce, i zapomniałam o przykryciu sosu. Przypomniłam sobie o tym rano i pobiegłam do spiżarni. Diano, wyobraź sobie moje przerażenie, gdy ujrzałam mysz utopioną w tym sosie! Wyjęłam ją łyżką, wyrzuciłam na dwór, a potem trzykrotnie umyłam łyżkę. Maryla w tym czasie doła krowę i zamierzałam ją zapytać, gdy wróci, czy oddać sos świnom. Ale kiedy weszła, wyobrażałam sobie, że jestem zimową wrózką, która idzie przez las i maluje drzewa na czerwono albo żółto, zależnie od tego, jakie chcą być, więc w ogóle nie pomyślałam już o sosie, a Maryla wysłała mnie po jabłka. No i tego ranka przyjechali państwo Chester Ross ze Spencervale. Wiesz, to bardzo eleganccy ludzie, zwłaszcza pani Chester Ross. Gdy Maryla mnie zawołała, obiad był już gotowy i wszyscy siedzieli przy stole. Staralam się być tak uprzejma i dystygowana, jak tylko umiałam, bo chciałam, by pani Chester Ross pomyślała, że jestem dobrze wychowaną młodą damą, nawet jeśli nie jestem ładna. Wszystko szło dobrze, dopóki nie zobaczyłam Maryli niosącej pudding w jednej ręce i dzbanek z podgrzanym sosem w drugiej. Diano, to był upiorny moment! Wszystko mi się przypomniało, więc po prostu wstałam i krzyknęłam: „Marylo, nie wolno używać tego sosu! Utopiła się w nim mysz! Zapomniałam ci wcześniej powiedzieć!”. Och, Diano, nigdy nie zapomnę tej strasznej chwili, choćbym żyła sto lat! Pani Chester Ross spojrzała na mnie bez słowa, a ja myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu. Ona jest taką idealną gospodynią, wyobraź sobie, co musiała o nas pomyśleć! Maryla zrobiła się czerwona jak burak, ale nie powiedziała wtedy ani słowa. Po prostu wyniosła sos i pudding, a zamiast tego przyniosła konfitury truskawkowe. Nawet mnie nimi poczęstowała, ale nie mogłam przełknąć ani kęsa. To było jak sypanie żaru na głowę. Kiedy pani Chester Ross odjechała, Maryla dała mi okropną burę. Diano, co ci jest?

Diana wstała bardzo niepewnie, po czym usiadła z powrotem, chwytając się za głowę.

— Jestem... jestem strasznie chora — powiedziała nieco bełkotliwie. — Muszę... muszę natychmiast pójść do domu.

— Och, nawet o tym nie myśl, żeby wrócić do domu bez podwieczorku! — zawołała zrozpaczona Ania. — Zaraz wszystko podam, już wstawiam herbatę.

— Muszę iść do domu — powtórzyła Diana z głupkowskim uśmiechem, ale z uporem.

— Zjedz chociaż coś — błagała Ania. — Pozwól, że nałożę ci kawałek keksu i trochę konfitur wiśniowych. Połóż się na chwilę na kanapie, a od razu poczujesz się lepiej. Gdzie cię boli?

— Muszę iść do domu — rzekła Diana i to było wszystko, co miała do powiedzenia. Ania błagała ją na próżno.

— Nigdy nie słyszałam, żeby gość wychodził bez podwieczorku — lamentowała. — Och, Diano, myślisz, że to może być ospa? Jeśli tak, będę się o ciebie troszczyć, możesz na mnie liczyć. Nigdy cię nie opuszczę. Ale tak bardzo chciałabym, żebyś została na herbatę. Co ci dolega?

— Kręci mi się w głowie — stwierdziła Diana.

I rzeczywiście, szła bardzo chwiejnym krokiem. Ania, ze łzami zawodu w oczach, podała jej kapelusz i odprowadziła aż do plotu państwa Barrych. A potem przez całą drogę powrotną na Zielone Wzgórze płakała. W domu ze smutkiem odstawiła resztę soku malinowego do spiżarni i przygotowała herbatę dla Mateusza i Jerry'ego, ale nie sprawiało jej to już za grosz radości.

Następnego dnia była niedziela, a ponieważ od świtu do zmierzchu lał rześisty deszcz, Ania nie ruszyła się z Zielonego Wzgórza. W poniedziałek po południu Maryla wysłała ją z jakąś sprawą do pani Linde. Wkrótce Ania wróciła pędem aleją, ze łzami spływającymi po policzkach. Wpadła do kuchni i z rozpaczą osunęła się na kanapę.

— Aniu, cóż to znowu się stało? — spytała Maryla z mieszaniną zdegustowania i niepokoju. — Mam nadzieję, że nie byłaś znowu opryskliwa wobec pani Linde.

Odpowiedzią był tylko gwałtowniejszy i głośniejszy szloch.

— Aniu Shirley, kiedy zadaję ci pytanie, oczekuję odpowiedzi. Usiądź natychmiast i powiedz mi, dlaczego płaczesz.

Ania usiadła; wyglądała jak uosobienie greckiej tragedii.

— Pani Linde była dziś u pani Barry, która jest w strasznym stanie! — jęknęła. — Mówi, że w sobotę upiłam Dianę i odesłałam ją do domu w skandalicznym stanie. I uważa, że muszę być na wskroś złą, niegodziwą dziewczyną, dlatego nigdy więcej, przenigdy nie pozwoli Dianie się ze mną bawić. Och, Marylo, przepełnia mnie bezmiar cierpienia!

Maryla wpatrywała się w nią w osłupieniu.

— Upiłaś Dianę? — wykrztusiła, gdy odzyskała głos. — Aniu, czy ty oszalałaś, czy pani Barry? Co ty jej u licha dałaś?

— Nic, tylko sok malinowy — szlochała Ania. — Nigdy bym nie pomyślała, że sokiem malinowym można się upić, Marylo... nawet jeśli ktoś wypije trzy duże szklanki, tak jak Diana. Och, to brzmi jak... jak... mąż pani Thomas! Ale ja wcale nie chciałam jej upić.

— Upić, też coś! — prychnęła Maryla i pomaszerowała do spiżarni w pokoju dziennym.

Na półce stała butelka, którą natychmiast rozpoznała — w środku znajdowało się trzyletnie wino porzeczkowe domowej roboty, z którego Maryla słyszeła w Avonlea, choć niektóre z bardziej surowych osób, w tym pani Barry, mocno ją za to potępiały. W tej samej chwili Maryla przypomniała sobie, że butelkę z sokiem malinowym zniosła do piwnicy, zamiast zostawić ją w spiżarni, jak powiedziała Ani.

Wróciła do kuchni z butelką wina w dłoni. Mięśnie jej twarzy zadrgały mimowolnie.

— Aniu, ty naprawdę masz talent do wpadania w tarapaty. Dałaś Dianie wino porzeczkowe zamiast soku malinowego. Sama nie poczułaś różnicy?

— W ogóle go nie próbowałam — odparła Ania. — Myślałam, że to sok. Chciałam być taka... taka... gościnna. Diana strasznie się rozchorowała i musiała iść do domu. Pani Barry powiedziała pani Linde, że była kompletnie pijana. Kiedy matka spytała ją, co się stało, tylko zaśmiała się głupkowato, a potem zasnęła i spała przez wiele godzin. Matka poczuła od niej alkohol i zorientowała się, że jest pijana. Przez cały wczorajszy dzień strasznie bolała ją głowa. Pani Barry jest oburzona! Nigdy nie uwierzy, że nie zrobiłam tego celowo.

— Myślę, że powinna raczej ukarać Dianę za to, że była tak nieumiarkowana, by wypić trzy szklanki czegokolwiek — rzekła krótko Maryla. — Przecież po trzech takich dużych szklankach zrobiłoby jej się niedobrze, nawet gdyby to był tylko sok. Cóż, ta historia będzie niezłą pożywką dla tych, którzy potępiali mnie za wino porzeczkowe, choć nie robiłam go już od trzech lat, odkąd dowiedziałam się, że pastor tego nie pochwała. Trzymałam tę butelkę tylko na wypadek choroby. Już, już, dziecko, nie płacz. Przecież to nie była twoja wina, choć przykro mi, że tak wyszło.

— Muszę płakać — powiedziała Ania. — Serce mi pękło. Gwiazdy na swych szlakach zmówiły się przeciwko mnie, Marylo. Diana i ja rozstałyśmy się na zawsze. Och, Marylo, nawet mi się nie śniło, że tak to się skończy, gdy po raz pierwszy przysięgałyśmy sobie wieczną przyjaźń!

— Nie bądź niemądra, Aniu. Pani Barry zmieni zdanie, gdy dowie się, że nie jesteś winna. Pewnie myśli, że zrobiłaś to dla głupiego żartu czy coś w tym rodzaju. Najlepiej idź tam wieczorem i opowiedz jej, jak było.

— Odwaga mnie opuszcza na samą myśl o spojrzeniu w twarz obrażonej matki Diany — westchnęła Ania. — Chciałabym, żebyś ty poszła, Marylo. Jesteś taka dystygowana. Pewnie ciebie posłucha prędzej niż mnie.

— Dobrze, pójdę — odrzekła Maryla, która uznała, że tak będzie rozsądniej. — Już nie płacz, Aniu. Wszystko będzie dobrze.

Maryla zmieniła zdanie co do tego, że wszystko będzie dobrze, zanim jeszcze wróciła z Sosnowego Wzgórza. Ania wypatrywała jej powrotu i wybiegła do drzwi werandy.

— Och, Marylo, widzę po twojej twarzy, że to na nic — rzekła żałośnie. — Pani Barry mi nie wybaczy?

— Pani Barry! — parsknęła Maryla. — Ze wszystkich nierozsądnych kobiet, jakie spotkałam, ona jest najgorsza! Powiedziałam jej, że to pomyłka i że nie jesteś winna, ale ona mi nie uwierzyła. Do tego wypomniała mi moje wino porzeczkowe i to, jak

zawsze mówiłam, że nikomu nie może zaszkodzić. Powiedziałam jej prosto w oczy, że wina porzeczkowego nie pije się trzy szklanki na raz, a gdyby moje dziecko było tak łakome, to otrzeźwiłabym je solidnym laniem!

Maryla wpadła do kuchni mocno wzburzona, zostawiając za sobą na werandzie bardzo nieszczęśliwą małą istotę. Po chwili Ania wyszła bez nakrycia głowy w chłodny jesien-ny zmierzch. Zdecydowanym krokiem ruszyła przez pole uschniętej koniczyny, a potem kładką i w górę przez świerkowy gaj, oświetlany bliskim księżycem wiszącym nisko nad zachodnim lasem. Pani Barry, usłyszawszy nieśmiałe pukanie, otworzyła drzwi i ujrzała na progu postać o pobladłych wargach i błagalnym spojrzeniu.

Jej twarz skamieniała. Pani Barry była kobietą o silnych uprzedzeniach, a jej gniew był zimny i zawzięty — taki, który najtrudniej przezwyciężyć. Oddając jej sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, iż pani Barry naprawdę wierzyła, że Ania upiła Dianę z czystej złośliwości i szczerze chciała chronić córkę przed wpływem takiego dziecka.

— Czego chcesz? — zapytała sztywno.

Ania splotła dłonie.

— Och, pani Barry, proszę mi wybaczyć. Nie chciałam... odurzyć Diany. Jakże mogłabym? Niech pani sobie wyobrazi, że jest pani biedną sierotą, którą adoptowali dobrzy ludzie, i ma pani tylko jedną serdeczną przyjaciółkę na całym świecie. Czy myśli pani, że odurzyłabym ją celowo? Myślałam, że to tylko sok malinowy. Byłam święcie przekonana, że to sok. Och, proszę powiedzieć, że pozwoli mi pani dalej przyjaźnić się z Dianą. Jeżeli pani tego nie robi, przesłoni pani całe moje życie ciemną chmurą nieszczęścia.

Ta przemowa, która w mgnieniu oka zmięczyłaby serce pani Linde, tylko rozdrażniła panią Barry. Kobieta podejrzliwie odnosiła się do górnolotnych słów Ani i jej dramatycznych gestów; wydawało jej się, że dziecko sobie z niej drwi. Powiedziała więc zimno i okrutnie:

— Nie sądzę, żebyś była odpowiednim towarzystwem dla Diany. Lepiej idź do domu i zacznij się zachowywać porządnie.

Ani zadrżały usta.

— Czy pozwoli mi pani zobaczyć się z Dianą choć ten jeden raz, żeby się pożegnać? — spytała błagalnie.

— Diana pojechała z ojcem do Carmody — odrzekła pani Barry, po czym weszła do domu i zamknęła drzwi.

Ania wróciła na Zielone Wzgórze zrozpaczona, ale pogodzona z losem.

— Moja ostatnia nadzieja przepadła — powiedziała Maryli. — Poszłam do pani Barry, a ona potraktowała mnie bardzo niegrzecznie. Marylo, nie wydaje mi się, żeby ona była dobrze wychowaną kobietą. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się modlić, choć nie mam wielkiej nadziei, że to pomoże. Marylo, nie wierzę, żeby Pan Bóg mógł wiele wskórać z tak upartą osobą jak pani Barry.

— Aniu, nie powinnaś tak mówić — skarciła ją Maryla, starając się opanować chęć wybuchnięcia śmiechem, która (musiała to przyznać z trwogą) stawała się niepokonowana. I rzeczywiście, kiedy wieczorem opowiedziała wszystko Mateuszowi, śmiała się serdecznie z utrapień Ani.

Ale gdy przed pójściem spać wślizgnęła się na wschodnią część poddasza i zobaczyła, że Ania zasnęła splakana, na jej twarzy pojawił się wyraz niezwyklej łagodności.

— Biedna mała istotka — szepnęła, odgarniając lok włosów z zapłakanej buzi dziecka. A potem pochyliła się i ucałowała rozpalony policzek na poduszce.

ROZDZIAŁ XVII NOWY CEL W ŻYCIU

Następnego popołudnia Ania, pochylona nad swoją robótką przy kuchennym oknie, zerknęła przypadkiem na dwór i ujrzała Dianę, która stała przy Źródle Driady, dając jej tajemnicze znaki. W mgnieniu oka Ania wypadła z domu i popędziła do doliny, a w jej pełnych wyrazu oczach malowało się zdumienie pomieszane z nadzieją. Ta ostatnia zgasła jednak, gdy tylko Ania dostrzegła przygnębioną minę Diany.

— Twoja mama mi nie wybaczyła? — wykrztusiła.

Diana potrząsnęła głową żałośnie.

— Nie, Aniu, powiedziała, że nigdy więcej nie wolno mi się z tobą spotykać. Płakałam i szlochałam, przekonywałam ją, że to nie twoja wina, ale na nic się to zdało. Tak strasznie długo musiałam ją prosić, żeby pozwoliła mi zejść i się pożegnać. Mogę tu zostać tylko dziesięć minut, a ona odmierza czas z zegarkiem w ręce.

— Dziesięć minut to bardzo mało, by pożegnać się na wieki — rzekła Ania ze łzami w oczach. — Och, Diano, czy obiecasz mi uroczyście, że nigdy nie zapomnisz mnie, przyjaciółki ze swej młodości, bez względu na to, jacy drożsi przyjaciele będą cię otaczać w przyszłości?

— Obiecuję — zaszlochała Diana — i nigdy nie będę mieć innej serdecznej przyjaciółki... nawet nie chcę mieć. Nikogo nie mogłabym kochać tak jak ciebie.

— Och, Diano! — zawołała Ania, splatając dłonie. — Czy ty naprawdę mnie kochasz?

— No pewnie! Nie wiedziałas o tym?

— Nie. — Ania odetchnęła głęboko. — Myślałam, że mnie lubisz, to oczywiste, ale nigdy nie miałam krzty nadziei, że darzysz mnie miłością. Och, Diano, nie sądziłam, że ktokolwiek mógłby mnie pokochać. Nikt mnie nie kochał, odkąd sięgam pamięcią. Ach, to cudowne! To jak promień światła, który na zawsze będzie rozświecał mroki ścieżki, która oddziela mnie od ciebie, Diano. Powiedz to jeszcze raz!

— Kocham cię nad życie, Aniu — odrzekła odważnie Diana — i zawsze będę, możesz być tego pewna.

— I ja zawsze będę kochać ciebie, Diano — powiedziała Ania, uroczyście wyciągając rękę. — W kolejnych latach pamięć o tobie będzie świecić jak gwiazda nad moim samotnym życiem: tak jak w tej ostatniej historii, którą razem czytałyśmy. Diano, czy dasz mi na pożegnanie pukiel swoich kruczoczarnych włosów, żebym mogła go zachować na wieczną pamiątkę?

— Masz czym go uciąć? — spytała przytomnie Diana, ocierając łzy, które pod wpływem przejmującego tonu Ani znów zaczęły płynąć.

— Tak. Na szczęście mam w kieszeni fartuszka nożyczki do gałganków — odparła Ania. Z powagą odciął jeden z loków Diany. — Żegnaj, ukochana przyjaciółko. Od tej pory musimy być sobie obce, choć żyjemy obok siebie. Ale moje serce na zawsze pozostanie ci wierne.

Ania stała i patrzyła, jak Diana znika jej z oczu, żałośnie machając ręką za każdym razem, gdy jej przyjaciółka odwracała się za siebie. Potem wróciła do domu, czując chwilowe pocieszenie tym romantycznym pożegnaniem.

— To koniec — oznajmiła Maryli. — Nigdy nie będę miała innej przyjaciółki. Jest mi teraz gorzej niż kiedykolwiek, bo nie mam już Katie Maurice ani Violetty. A nawet gdybym je miała, to nie byłoby to samo. Te wymyślone dziewczynki przestają wystarczać, gdy pozna się prawdziwą przyjaciółkę. Diana i ja przeżyłyśmy takie wzruszające pożegnanie przy źródle. Na zawsze pozostanie ono w mojej pamięci. Używałam najbardziej patetycznych słów, jakie przyszły mi do głowy, i mówiłam do niej „ty”, „ciebie” i „tobie” w taki staromodny sposób. To brzmi o wiele bardziej romantycznie. Diana dała mi kosmyk swoich włosów; zamierzam zaszyć go w małym woreczku i nosić na szyi przez całe życie. Proszę, dopilnuj, by pochowano go ze mną, bo nie sądzę, żebym żyła zbyt długo. Może kiedy pani Barry zobaczy mnie, jak leżę zimna i martwa, poczuje wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiła, i pozwoli Dianie przyjść na mój pogrzeb.

— Nie sądzę, by groziła ci śmierć z rozpaczy, dopóki możesz mówić, Aniu — odrzekła bez współczucia Maryla.

W następny poniedziałek Ania zaskoczyła Marylę, schodząc na dół z koszykiem pełnym książek i wyrazem determinacji na ustach.

— Wracam do szkoły — oznajmiła. — To jedyne, co mi pozostało w życiu, skoro tak bezlitośnie odebrano mi moją przyjaciółkę. W szkole będę mogła na nią patrzeć i dumać o minionych czasach.

— Lepiej dumaj nad lekcjami i zadaniami — rzekła Maryla, ukrywając radość z takiego obrotu spraw. — Jeśli chcesz wrócić do szkoły, mam nadzieję, że już więcej nie usłyszymy o rozbijaniu tabliczek na czyjejs głowie i podobnych ekscesach. Zachowuj się porządnie i rób dokładnie to, co każe nauczyciel.

— Będę się starała być wzorową uczennicą — zgodziła się ze smutkiem Ania. — Nie spodziewam się, żeby to było szczególnie ciekawe. Pan Phillips mówił, że Minnie

Andrews jest wzorową uczennicą, a nie ma w niej iskry wyobraźni ani życia. Jest po prostu nudna i mało bystra, a do tego nie wygląda na taką, która dobrze się bawi. Ale czuję się tak przygnębiona, że może teraz przyjdzie mi to z łatwością. Pójdę naokoło drogą. Nie zniosłabym samotnego spaceru Brzozową Ścieżką. Płakałabym rzewnymi łzami.

Ania została powitana w szkole z otwartymi ramionami. Podczas zabaw bardzo brakowało jej wyobraźni, jej głosu przy śpiewaniu i umiejętności dramatycznych w trakcie wspólnego czytania książek w porze obiadowej. Ruby Gillis wręczyła jej trzy niebieskie śliwki, kiedy studiowali *Nowy Testament*; Ella May MacPherson dała jej z kolei ogromny żółty bratek wycięty z okładki katalogu z kwiatami — był to rodzaj dekoracji biurka bardzo ceniony w szkole w Avonlea. Sophia Sloane zaproponowała, że nauczy ją robić na drutach elegancki wzór koronki, idealnej do obszycia fartuszków. Katie Boulter podała jej flakonik po perfumach na wodę do zmywania tabliczki, a Julia Bell przepisała starannie na kawałku różowego papieru o ząbkowanych brzegach następujący wierszyk:

DLA ANI:

Kiedy mrok wieczorny kurtynę opuści i przypnie ją gwiazdą na niebie,
Pamiętaj, że masz przyjaciółkę, gdy los ją rzuci z dala od ciebie.

— Tak miło jest być docenianą — westchnęła wieczorem urzeczona Ania do Maryli. Jak się okazało, w szkole nie tylko dziewczęta ją doceniły. Gdy po przerwie obiadowej Ania wróciła na miejsce (pan Phillips kazał jej siedzieć z wzorową Minnie Andrews), znalazła na ławce wielkie, dorodne, rumiane jabłko. Chwyciła je, gotowa zatopić w nim zęby, gdy przypomniała sobie, że jedynym miejscem w Avonlea, gdzie rosną takie jabłka, jest stary sad Blythe'ów po drugiej stronie Jeziora Lśniących Wód. Ania upuściła owoc, jakby to był rozżarzony węgiel, i ostentacyjnie wytarła palce w chusteczkę. Jabłko leżało nietknięte na ławce aż do następnego ranka, kiedy mały Timothy Andrews, który zamiatał szkołę i rozpałał w piecu, przywłaszczył je sobie jako należny mu przywilej. Rysik Charliego Sloane'a, wspaniale ozdobiony paskami czerwonego i żółtego papieru (kosztował dwa centy, podczas gdy zwykle rysiki tylko jeden cent), który przysłał jej po południu, spotkał się z lepszym przyjęciem. Ania raczyła go przyjęciem i nagrodziła darczyńcę uśmiechem, który natychmiast wyniósł zadurzonego młodzieńca pod niebiosa, sprawiając jednocześnie, że Charlie zrobił tak okropne błędy w dyktandzie, iż pan Phillips kazał mu zostać po lekcjach i pisać wszystko od nowa.

Ale tak jak:

gdy w Cezara tryumfie wystawnym
brakło popiersia z Brutusa nazwiskiem,

tak rzucający się w oczy brak jakiegokolwiek dowodu uznania ze strony Diany Barry, która siedziała z Gertie Pye, zatruwał mały triumf Ani.

— Myślę, że Diana mogłaby chociaż raz się do mnie uśmiechnąć — żaliła się wieczorem Maryli.

Jednak następnego ranka Ania otrzymała kunsztownie poskładany liścik wraz z małą paczuszką.

„Droga Aniu — brzmiał liścik — Mama mówi, że nie wolno mi się z Tobą spotykać ani rozmawiać nawet w szkole. To nie moja wina i nie gniewaj się na mnie, bo kocham Cię tak jak dawniej. Strasznie mi Ciebie brakuje, nie mam komu zwierzać się z moich sekretów, a Gertie Pye wcale nie lubię. Zrobiłam Ci jedną z tych nowych zakładek z czerwonej bibułki. Są teraz strasznie modne i tylko trzy dziewczynki w szkole potrafią je robić. Kiedy będziesz na nią patrzeć, pamiętaj o Twojej wiernej przyjaciółce, Dianie Barry”.

Ania przeczytała liścik, ucałowała zakładkę i natychmiast wysłała odpowiedź na drugą stronę klasy:

„Moja własna, najdroższa Dianol!

Oczywiście, że nie gniewam się na Ciebie, bo wiem, że musisz być posłuszna mamie. Nasze dusze mogą się porozumiewać ze sobą. Twój śliczny prezent zachowam na zawsze. Minnie Andrews jest bardzo sympatyczną dziewczynką — chociaż nie ma wyobraźni — ale kiedy było się serdeczną przyjaciółką Diany, trudno być przyjaciółką Minnie. Proszę, wybacz mi błędy, ponieważ moja ortografia nie jest jeszcze zbyt dobra, choć bardzo się poprawiła.

Twoja aż do śmierci Ania (lub Kordelia) Shirley.

P.S. Będę dziś spała z Twoim listem pod poduszką. A. lub K.S.”

Maryla, jak przystało na pesymistkę, spodziewała się kolejnych kłopotów, odkąd Ania zaczęła znów chodzić do szkoły. Jednak nic takiego się nie zdarzyło. Być może Ania przejęła nieco „wzorowego” ducha od Minnie Andrews; w każdym razie od tej pory układało jej się z panem Phillipsem całkiem dobrze. Rzuciła się w wir nauki całą sobą i postanowiła, że nie da się prześcignąć w żadnym przedmiocie Gilbertowi Blythe’owi. Rywalizacja między nimi stała się szybko widoczna; ze strony Gilberta była ona całkowicie przyjacielska, ale zdaje się, że nie można było powiedzieć tego samego o Ani, która wykazywała się niezbyt chwalebna zawziętością w chowaniu urazy. Była równie intensywna w nienawiści, jak i w miłości. Nie zniżyłaby się do przyznania, że zamierza rywalizować z Gilbertem, bo oznaczałoby to uznanie jego istnienia, które Ania uporczywie ignorowała; niemniej rywalizacja trwała, a laury zwycięstwa przechodziły z rąk do rąk. Raz Gilbert był najlepszy w ortografii, to znów Ania, dumnie zarzucając swoje rude warkocze, „zaginała” go trudnym słowem. Pewnego ranka Gilbert miał wszystkie zadania zrobione bezbłędnie i jego imię znalazło się na tablicy na liście wyróżnionych; następnego ranka Ania, która cały poprzedni wieczór zmagająca się z ułamkami dziesiętnymi, zajęła pierwsze miejsce. Któregoś strasznego dnia oboje mieli tyle samo punktów i zapisano ich imiona obok siebie. Było to niemal tak złe jak „uwaga na tablicy”, a zawstydzenie Ani było tak samo widoczne jak zadowolenie Gilberta. Podczas testów pisemnych na zakończenie każdego miesiąca napięcie stawalo się nie do zniesienia. W pierwszym miesiącu Gilbert wyprzedził ją o trzy punkty. W drugim Ania pobiła go o pięć. Ale jej triumf zepsuł fakt, że Gilbert pogratulował jej serdecznie przed całą klasą. O wiele słodsze byłoby dla niej, gdyby poczuł gorzkie porażki.

Pan Phillips może nie był najlepszy w swoim fachu, ale tak niezłomna i oddana nauce uczennica jak Ania zrobiłaby postępy przy każdym nauczycielu. Pod koniec semestru Ania i Gilbert otrzymali promocję do klasy piątej i mogli przystąpić do podstaw „wyższych nauk”, czyli łaciny, geometrii, francuskiego i algebry. Na geometrii Ania poznała swoje Waterloo.

— To coś strasznego, Marylo — jęczała. — Jestem pewna, że nigdy nie dojdę z tym do ładu. Tu w ogóle nie ma miejsca na wyobraźnię! Pan Phillips mówi, że jestem największym osłem, jakiego widział w tej dziedzinie. A Gil... to znaczy niektórzy inni są w tym tacy zdolni. Marylo, to szalenie upokarzające. Nawet Diana radzi sobie lepiej ode mnie. Ale nie mam nic przeciwko temu, by to ona mnie prześcignęła. Chociaż teraz spotykamy się jako obce sobie osoby, wciąż kocham ją żarliwą miłością. Czasem ogarnia mnie wielki smutek, gdy o niej myślę. Ale doprawdy, Marylo, w tak interesującym świecie nie można być smutnym zbyt długo, prawda?

ROZDZIAŁ XVIII

ANIA PRZYBYWA NA RATUNEK

Wszystkie wielkie sprawy łączą się z małymi. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że decyzja pewnego kanadyjskiego premiera o uwzględnieniu Wyspy Księcia Edwarda na trasie swojej kampanii politycznej nie ma najmniejszego związku z losami małej Ani Shirley z Zielonego Wzgórza. A jednak miała.

Premier przyjechał w styczniu, aby przemówić do swoich lojalnych zwolenników oraz tych przeciwników, którzy zdecydowali się pojawić na ogromnym zgromadzeniu ludowym w Charlottetown. Większość mieszkańców Avonlea stała po stronie premiera; toteż

w dzień spotkania niemal wszyscy mężczyźni i spora część kobiet udali się do odległego o niespełna pięćdziesiąt kilometrów miasta. Pani Małgorzata Linde również. Była mocno zaangażowana politycznie i żaden wiec nie mógł się odbyć bez niej, mimo iż sama należała do opozycji. Pojechała więc do miasta, zabierając męża — Tomasz miał się przydać w opiece nad koniem — oraz Marylę Cuthbert. Maryla sama po kryjomu interesowała się polityką, a że uznała, iż to może być jedyna okazja w życiu, by zobaczyć na żywo prawdziwego premiera, skwapliwie z niej skorzystała, zostawiając Anię i Mateusza na gospodarstwie aż do następnego dnia.

Podczas gdy Maryla i pani Małgorzata bawiły się wybornie na zgromadzeniu, Ania i Mateusz mieli przytulną kuchnię na Zielonym Wzgórzu tylko dla siebie. W staromodnym piecu typu Waterloo płonął jasny ogień, a na szybach skrzyły się błękitno-białe kryształki mrozu. Mateusz drzemał na kanapie nad egzemplarzem „Farmers’ Advocate”, zaś Ania siedziała przy stole i uczyła się z ogromnym zapalem, mimo rzucanych co rusz tęsknych spojrzeń w stronę półki z zegarem, gdzie leżała nowa książka, którą pożyczyła jej tego dnia Jane Andrews. Jane zapewniła ją, że lektura gwarantuje niezliczoną ilość dreszczy emocji (lub czegoś w tym rodzaju), więc palce aż świerzbiły Anię, by po nią sięgnąć. To oznaczałoby jednak triumf Gilberta Blythe’a następnego dnia. Ania odwróciła się więc plecami do zegara i starała się wyobrazić sobie, że półki tam nie ma.

— Mateuszu, czy kiedy chodziłeś do szkoły, uczyłeś się geometrii?

— No cóż, nie, nie uczyłem się — odrzekł Mateusz, wybudzając się z drzemki z lekkim drżeniem.

— Szkoda — westchnęła Ania — bo wtedy mógłbyś mi współczuć. Nie da się porządnie współczuć, jeśli samemu się przez to nie przeszło. Geometria kładzie się cieniem na całym moim życiu. Mateuszu, taki ze mnie osioł w tej dziedzinie.

— No, nie wiem — powiedział uspokajająco Mateusz. — Myślę, że we wszystkim radzisz sobie dobrze. Pan Phillips powiedział mi w zeszłym tygodniu w sklepie Blaira w Carmody, że jesteś najzdolniejszą uczennicą w szkole i robisz szybkie postępy. „Szybkie postępy”: tak dokładnie powiedział. Są tacy, co wygadują na Teddy’ego Phillipsa, że marny z niego nauczyciel, ale myślę, że zna się na rzeczy.

Mateusz uznałby, że każdy, kto chwali Anię, „zna się na rzeczy”.

— Jestem pewna, że szłoby mi lepiej, gdyby tylko nie zmieniał liter — skarżyła się Ania. — Nauczę się twierdzenia na pamięć, a potem on rysuje je na tablicy, wpisuje inne litery niż te w książce i wszystko mi się miesza. Nie sądzę, że nauczyciel powinien wykorzystywać taką niegodziwą przewagę, nieprawdą? Teraz uczymy się rolnictwa i w końcu dowiedziałam się, dlaczego drogi są czerwone. To wielka pociecha. Ciekawe, jak bawią się Maryla i pani Linde. Pani Linde mówi, że przez to, jak rządzą w Ottawie, Kanada schodzi na psy, i że to straszne ostrzeżenie dla wyborców. Twierdzi też, że gdyby kobietom pozwolono głosować, szybko doczekalibyśmy się błogosławionej zmiany. A na kogo ty głosujesz, Mateuszu?

— Na konserwatystów — odparł bez wahania Mateusz. Głosowanie na konserwatystów było częścią wyznania jego wiary.

— W takim razie ja też jestem konserwatystką — zdecydowała Ania. — Cieszę się, bo Gil... bo niektórzy chłopcy w szkole to liberałowie. Myślę, że pan Phillips też jest liberałem, ponieważ ojciec Prissy Andrews nim jest, a Ruby Gillis mówi, że kiedy mężczyzna zaleca się do kobiety, zawsze musi zgadzać się z jej matką w kwestii religii, a z ojcem w kwestii polityki. Czy to prawda, Mateuszu?

— Hmm, nie wiem — odparł Mateusz.

— Mateuszu, a czy ty się kiedyś zalecałeś?

— Chyba nie, nie sądzę, bym kiedykolwiek to robił — odrzekł Mateusz, któremu nigdy w życiu coś podobnego nie przyszło do głowy.

Ania zamyśliła się z podbródkiem opartym na dłoniach.

— To musi być całkiem interesujące, nie uważasz? Ruby Gillis mówi, że jak dorośnie, będzie miała mnóstwo adoratorów i wszyscy będą za nią szaleć. Ja jednak myślę, że to byłoby zbyt ekscytujące. Wołałabym mieć tylko jednego, ale przy zdrowych zmysłach. Ruby Gillis wie jednak sporo o tych sprawach, bo ma kilka starszych sióstr, a pani Linde mówi, że dziewczęta od Gillisów rozchodzą się jak świeże bułeczki. Pan Phillips chodzi do Prissy Andrews niemal co wieczór. Mówi, że po to, by pomagać jej w lekcjach, ale

Miranda Sloane też przygotowuje się do studiowania w seminarium Queen's i myślę, że potrzebowałaby pomocy o wiele bardziej niż Prissy, bo jest znacznie głupsza, a do niej pan Phillips nie chodzi wcale. Jest wiele rzeczy na tym świecie, których nie potrafię dobrze zrozumieć, Mateuszu.

— No cóż, ja sam nie jestem pewien, czy dobrze je wszystkie pojmuję — przyznał Mateusz.

— Muszę wracać do lekcji. Nie pozwolę sobie otworzyć tej nowej książki, dopóki nie skończę. Ale to straszna pokusa, Mateuszu. Nawet gdy odwracam się do niej plecami, widzę ją wyraźnie. Jane mówiła, że aż się rozchorowała od płaczu przy niej. Uwielbiam książki, które doprowadzają do łez. Ale chyba wyniosę ją do salonu, zamknę w szafce z konfiturami, a tobie dam klucz. Mateuszu, nie wolno ci go oddać, dopóki nie skończę lekcji, choćbym błagała cię na kolanach. Łatwo mówić: opieraj się pokusie, ale o wiele łatwiej się jej opierać, gdy nie ma się klucza. A potem skoczę do piwnicy po parę renet¹⁴. Mateuszu, zjadłbyś renetę?

— Nie wiem — odparł Mateusz, który renet nigdy nie jadał, ale znał słabość Ani do tych jabłek.

W chwili gdy Ania wynurzała się tryumfalnie z piwnicy z talerzem pełnym jabłek, usłyszała szybkie kroki na oblodzonym chodniku przed domem. W następnej sekundzie drzwi kuchni otworzyły się na oścież i do środka wpadła Diana Barry, blada i bez tchu, z szalem narzuconym pośpiesznie na głowę. Ania z zaskoczenia upuściła świecę i talerz; wszystko to z łoskotem potoczyło się po schodach do piwnicy. Następnego dnia Maryla znalazła je na dnie, leżące w roztopionym loju, i dziękowała Bogu, że dom nie stanął w płomieniach.

— Co się stało, Diano? — krzyknęła Ania. — Czy twoja mama w końcu ci wybaczyła?

— Aniu, chodź szybko! — błagała zdenerwowana Diana. — Minnie May jest strasznie chora... ma krup¹⁵. Tak mówi młoda Mary Joe... a rodzice Minnie są w mieście i nie ma kogo wysłać po doktora. Z Minnie May jest bardzo źle, a Mary Joe nie wie, co robić... Och, Aniu, tak się boję!

Mateusz bez słowa sięgnął po czapkę i płaszcz, minął Dianę i zniknął w ciemnościach podwórza.

— Poszedł zaprzęgnąć kasztankę, żeby pojechać do Carmody po lekarza — wyjaśniła Ania, wkładając w pośpiechu kaftan z kapturem. — Wiem to tak dobrze, jakby sam mi powiedział. Mateusz i ja jesteśmy takimi pokrewnymi duszami, że czytam w jego myślach bez słów.

— Nie wierzę, że znajdzie doktora w Carmody — zaszlochała Diana. — Wiem, że doktor Blair pojechał do miasta i pewnie doktor Spencer też. Mary Joe nigdy nie widziała nikogo z krupem, a pani Linde nie ma. Och, Aniu!

— Nie płacz, droga Di — pocieszyła ją Ania. — Wiem dokładnie, co robić przy krupie. Zapominasz, że pani Hammond trzy razy miała bliźnięta. Kiedy człowiek opiekuje się trzema parami bliźniąt, siłą rzeczy nabiera doświadczenia. Wszystkie regularnie miały krup. Poczekaj tylko, wezmę butelkę syropu z ipekakuany¹⁶, u was może nie być. Chodźmy już!

Dziewczynki wybiegły ramię w ramię, pędząc przez Aleję Zakochanych i dalej przez pole pokryte zmrożoną skorupą śniegu, bo zasy były zbyt głębokie, żeby iść skrótem przez las. Ania, choć szczerze współczuła Minnie May, nie była obojętna na romantyzm tej sytuacji i słodycz ponownego dzielenia jej z pokrewną duszą.

Noc była jasna i mroźna, utkana z hebanowych cieni i srebrzystych, śnieżnych stoków. Nad cichymi polami lśniły wielkie gwiazdy, tu i ówdzie stały ciemne, strzeliste świerki oprószone śniegiem, a wiatr świszczwał w ich gałęziach. Ania pomyślała, że to naprawdę

¹⁴reneta — odmiana kwaśnych, winnych jabłek. [przypis edytorski]

¹⁵krup — podgłośniowe zapalenie krtani; ostra infekcja wirusowa górnych dróg oddechowych, powodująca obrzęk krtani i tchawicy, występująca najczęściej u dzieci między 6. miesiącem a 6. rokiem życia. [przypis edytorski]

¹⁶ipekakuana (*Carapichea ipecacuanha*) — gatunek wiecznie zielonego półkrzewu z rodziny marzanowatych (Rubiaceae), występujący w Ameryce Południowej i Środkowej; preparaty z korzenia ipekakuany wzmagają czynność wydzielniczą w oskrzelach i działają wykrztuśnie, w większych dawkach wymiotnie, mają także właściwości antyseptyczne i tamujące krwawienie. [przypis edytorski]

zachwycające — biec pośród całej tej tajemniczości i piękna wraz z serdeczną przyjaciółką, z którą tak długo była w rozłące.

Trzyletnia Minnie May była rzeczywiście bardzo chora. Leżała na kanapie w kuchni, rozpalona i niespokojna, a jej chrapliwy oddech słyszać było w całym domu. Młoda Mary Joe, postawna, szerokolica Francuzka z Potoku, którą pani Barry wynajęła do opieki nad dziećmi, była bezradna i oszołomiona, zupełnie niezdolna, by myśleć, co robić, ani jak się do tego zabrać, gdyby już wpadła na jakiś pomysł.

Ania zabrała się do pracy sprawnie i fachowo.

— Minnie May ma krup, bez dwóch zdań. Jest z nią kiepsko, ale widywałam gorsze przypadki. Najpierw musimy mieć mnóstwo gorącej wody. Słowo daję, Diano, w czajniku nie ma więcej niż na jedną filiżankę! O, już napełniłam. Mary Joe, dołóż drewna do pieca. Nie chcę cię urazić, ale mogłaś o tym pomyśleć wcześniej, gdybyś miała choć odrobinę wyobraźni. Teraz ja rozbiórę Minnie May i położę ją do łóżka, a ty, Diano, spróbuj znaleźć jakieś miękkie, flanelowe szmatki. Najpierw podam jej dawkę ipekakuany.

Minnie May nie była zachwycona lekiem, lecz Ania nie na próżno wychowała trzy pary bliźniąt. Ipekakuana została podana — nie raz, lecz wielokrotnie podczas tej długiej, pełnej niepokoju nocy, kiedy dziewczynki cierpliwie walczyły o zdrowie małej pacjentki, a Mary Joe, chcąc szczerze pomóc, podtrzymywała huczący ogień i grzała więcej wody, niż potrzeba by było dla całego szpitala dziecięcego.

Była trzecia rano, kiedy Mateusz przyjechał z lekarzem — musiał jechać aż do Spencervale, by kogoś znaleźć. Jednak pilna potrzeba pomocy już minęła. Minnie May czuła się znacznie lepiej i smacznie spała.

— Byłam już bliska rozpaczy — wyjaśniała Ania. — Robiło się coraz gorzej, gorzej niż z bliźniakami Hammondów, nawet z ostatnią parą. Naprawdę myślałam, że się udusi. Podałam jej całą ipekakuaną z tej butelki, a gdy wlewałam ostatnią dawkę, powiedziałam do siebie (nie do Diany ani do Mary Joe, bo nie chciałam ich martwić bardziej, niż już były zmartwione, ale musiałam to powiedzieć do siebie, żeby ulżyć uczuciom): „To ostatnia, nikła nadzieja i lękam się, że jest ona płonna”. Ale po jakichś trzech minutach Minnie May odkrztusiła flegmę i od razu zaczęło się jej poprawiać. Musi pan sobie wyobrazić moją ulgę, panie doktorze, bo nie potrafię wyrazić jej słowami. Wie pan, są rzeczy, których nie da się opisać.

— Tak, wiem — przytaknął lekarz. Patrzył na Anię, jakby sam myślał o niej takie rzeczy, których nie da się opisać słowami. Później jednak wyraził je w rozmowie z państwem Barry.

— Ta mała, rudowłosa dziewczynka od Cuthbertów jest bystra jak mało kto. Mówię państwu, uratowała życie temu dziecku, bo gdy ją przyjechałam, byłoby już za późno. Ma umiejętności i przytomność umysłu wprost niesamowitą u dziecka w jej wieku. Nigdy nie widziałem takich oczu, jak u niej, kiedy wyjaśniała mi przebieg choroby.

Ania wróciła do domu w ten cudowny, oszroniony, zimowy poranek. Oczywiście miała ciężkie z braku snu, ale wciąż nieustraszenie opowiadała Mateuszowi, gdy pokonali wielkie białe pole i szli pod lśniącem, bajkowym łukiem klonów w Alei Zakochanych.

— Och, Mateuszu, czyż to nie wspaniały poranek? Świat wygląda jak coś, co Bóg sobie wymyślił dla własnej przyjemności, prawda? Te drzewa zdają się lekkie, jakbym mogła je zdmuchnąć jednym tchnieniem: puf! Tak się cieszę, że żyję na świecie, w którym bywają szron i mróz. I tak się cieszę, że pani Hammond miała jednak te trzy pary bliźniąt. Gdyby nie one, prawdopodobnie nie wiedziałabym, co robić z Minnie May. Naprawdę żałuję, że kiedykolwiek byłam zła na panią Hammond za te bliźniaki. Mateuszu, jakże jestem śpiąca. Nie mogę iść do szkoły. Wiem, że nie utrzymałabym otwartych oczu i wyszłabym na strasznie głupią. Ale żal mi zostawać w domu, bo Gil... niektórzy inni zajmą pierwsze miejsce w klasie, a potem tak trudno znów się tam wdrapać. Chociaż, oczywiście, im trudniej, tym większa satysfakcja, gdy się już uda, prawda?

— Jestem pewien, że sobie poradzisz — odparł Mateusz, spoglądając na bladą twarz Ani i cienie pod oczami. — Idź prosto do łóżka i wyśpij się porządnie. Ja zajmę się obowiązkami w domu.

Ania poszła więc spać. Spała tak długo i mocno, że było już jasne, biało-różowe zimowe popołudnie, gdy się obudziła i zeszła do kuchni, gdzie Maryla, która w międzyczasie wróciła do domu, siedziała i robiła na drutach.

— Och, czy widziałas premiera? — zawołała od progu Ania. — Jak on wyglądał, Marylo?

— No cóż, stanowiska premiera nie zdobył na pewno dzięki urodzie — odrzekła Maryla. — Co za nos miał ten człowiek! Ale przemawiać potrafi. Byłam dumna z tego, że jestem konserwatystką. Małgorzata Linde, jako zwolenniczka liberałów, oczywiście nie zostawiła na nim suchej nitki. Aniu, twój obiad czeka w piekarniku, i weź sobie ze spiżarni konfitur z niebieskich śliwek. Pewnie jesteś głodna. Mateusz opowiedział mi o zdarzeniach ostatniej nocy. Muszę przyznać, że miałaś szczęście, wiedząc, co robić. Ja sama nie miałabym pojęcia, bo nigdy nie widziałam na żywo przypadku krupu. No już, nie gadaj tyle, dopóki nie zjesz. Widzę, że aż cię rozpiera od chęci do rozmowy, ale to może poczekać.

Maryla miała Ani coś do zakomunikowania, ale zwlekała z tym, wiedząc, że ekscytacja odebrałaby dziewczynce apetyt. Dopiero gdy Ania skończyła swoją porcję śliwek, Maryla rzekła:

— Aniu, pani Barry była tu popołudniu. Chciała się z tobą zobaczyć, ale nie pozwoliłam cię obudzić. Stwierdziła, że uratowałaś życie Minnie May, i że bardzo żałuje tego, jak postąpiła w sprawie skandalu z winem porzeczkowym. Przyznała, że wie teraz, iż nie chciałaś upić Diany, i ma nadzieję, że jej wybaczysz i znów będziesz się przyjaźnić z jej córką. Możesz tam pójść dziś wieczorem, jeśli chcesz, bo Diana nie może wyjść z domu przez silne przeziębienie, którego nabawiła się w nocy. Tylko na litość boską, Aniu Shirley, nie eksploduj mi tu teraz z wrażenia!

Ostrzeżenie zdawało się niebezpieczne, zważywszy na to, jak rozpromieniona była Ania, kiedy zerwała się na równe nogi. Można było odnieść wrażenie, że niemal unosi się nad ziemią.

— Och, Marylo, czy mogę iść od razu... nie zmywając naczyń? Pozmywam, jak wrócę, ale w tej porywającej chwili nie jestem w stanie poświęcić mojej uwagi czemuś tak nieromantycznemu jak zmywanie!

— Dobrze, już dobrze, biegnij — przytaknęła pobłażliwie Maryla. — Aniu Shirley, czyś ty oszalała? Wracaj natychmiast i włoż coś na siebie! Równie dobrze mogłabym wołać do wiatru. Poleciała bez czapki i okrycia. Spójrz na nią, pędzi przez sad z rozwianymi włosami. Cud boski będzie, jeśli się nie zaziębi na śmierć.

Gdy Ania wracała do domu tanecznym krokiem, nad Avonlea zapadał fioletowy, zimowy zmierzch. Daleko na południowym zachodzie lśniła jak perła gwiazda wieczorna, a niebo nad białą krainą i ciemnymi świerkowymi parowami przybrało barwy bladego szkarłatu oraz eterycznego różu. Brzęk dzwonków sań, niosący się wśród ośnieżonych wzgórz, brzmiał w mroźnym powietrzu jak dzwonki elfów, ale nawet ich muzyka nie była tak słodka jak pieśń w sercu i na ustach Ani.

— Marylo, widzisz przed sobą osobę absolutnie szczęśliwą — oznajmiła. — Jestem bezkresnie szczęśliwa... tak, pomimo rudych włosów. W tej chwili moja dusza wzniosła się ponad rude włosy. Pani Barry ucałowała mnie, płakała i mówiła, że jest jej tak przykro, i że nie ma pojęcia, jak mi się kiedykolwiek odwzajemnić. Czułam się strasznie zażenowana, Marylo, ale powiedziałam, najuprzejmiej jak umiałam: „Nie żywię do pani urazy, pani Barry. Zapewniam panią raz na zawsze, że nie miałam zamiaru odurzyć Diany i odtąd okryję przeszłość płaszczem zapomnienia”. Czy to nie brzmiało zbyt dystyngowanie, Marylo? Miałam wrażenie, jakbym sypała żar z kominka na głowę pani Barry. Z Dianą spędziłyśmy cudowne popołudnie. Pokazała mi nowy wzór szydełkowy, którego nauczyła ją ciocia z Carmody. Nikt w Avonlea go nie zna, oprócz nas, i złożyłyśmy uroczystą przysięgę, że nigdy go nikomu nie wyjawimy. Diana dała mi piękną kartkę z wieńcem róż i wierszykiem:

Jeśli mnie kochasz, jak ja Kocham Ciebie,
Nic nas nie rozdzieli, aż spotkamy się w niebie.

Wieczór, Zima

— I to prawda, Marylo. Poprosimy pana Phillipsa, żeby znów pozwolił nam siedzieć razem w klasie, zaś Gertie Pye może usiąść obok Minnie Andrews. Zjadłyśmy wykwiwiny podwieczorek. Marylo, pani Barry wyjęła najlepszą porcelanę, zupełnie jak dla prawdziwego gościa. Nie masz pojęcia, jaki to był dreszcz emocji! Nikt nigdy wcześniej nie skorzystał ze względu na mnie ze swojej najlepszej zastawy. Był keks, ciasto biszkoptowe, pączki i dwa rodzaje konfitur. Pani Barry zapytała mnie, czy piję herbatę, i powiedziała: „Ojcie, może podasz Ani herbatniki?”. Bycie dorosłym musi być wspaniałe, skoro samo traktowanie kogoś tak, jakby był dorosły, jest takie miłe.

— Nie jestem tego taka pewna — westchnęła krótko Maryla.

— No, w każdym razie, gdy ja dorosnę — oświadczyła zdecydowanie Ania — będę zawsze rozmawiać z małymi dziewczynkami tak, jakby też były dorosłe, i nigdy nie będę się śmiać, gdy użyją trudnych słów. Z bolesnego doświadczenia wiem, jak to rani uczucia. Po herbatce robiłyśmy z Dianą irysy. Nie wyszły zbyt dobre, pewnie dlatego, że żadna z nas nigdy ich nie robiła. Diana zostawiła mnie przy mieszaniu, żeby posmarować talerze masłem, a ja się zagapiłam i przypaliłam masę. A potem, jak wystawiłyśmy je na ganek do ostygnięcia, kot przeszedł po jednym talerzu i trzeba było wyrzucić całą zawartość do kosza. Ale sama zabawa przy tym była przednia. Kiedy wychodziłam, pani Barry poprosiła, żebym zaglądała jak najczęściej, a Diana stała w oknie i przesyłała mi całusy, dopóki nie zaszłam do Alei Zakochanych. Zapewniam cię, Marylo, że czuję dziś potrzebę modlitwy i zamierzam wymyślić specjalną, zupełnie nową modlitwę na cześć tej okazji.

Dziecko, Obyczaje,
Dorosłość

ROZDZIAŁ XIX

KONCERT, KATASTROFA I WYZNANIE WINY

— Marylo, czy mogę pójść do Diany dosłownie na minutkę? — spytała Ania, wybiegając bez tchu ze swojej facjaty pewnego lutowego wieczoru.

— Nie rozumiem, po co chcesz się włóczyć w nocy — odrzekła Maryla. — Wracaliście z Dianą razem ze szkoły, potem stałyście na śniegu jeszcze przez pół godziny, a wasze języki meły bez przerwy: kłap-kłap. Więc nie sądzę, żebyś znalazła się w aż tak wielkiej potrzebie, by musieć zobaczyć ją znowu.

— Ale to ona chce mnie widzieć — błagała Ania. — Ma mi do powiedzenia coś bardzo ważnego.

— Skąd wiesz, że to coś ważnego?

— Bo właśnie dała mi sygnał ze swojego okna. Ustaliliśmy sposób porozumiewania się za pomocą świec i tektury. Stawiamy świecę na parapecie i robimy błyski, przesuwając przed nią tekturkę. Odpowiednia liczba błysków oznacza konkretną rzecz. To był mój pomysł, Marylo.

— Tego akurat jestem pewna — stwierdziła dobitnie Maryla. — A następną rzeczą będzie podpalenie firanek przez te wasze głupstwa.

— Och, Marylo, jesteście bardzo ostrożne. I to jest takie ciekawe! Dwa błyski znaczą: „Jesteś tam?”, trzy oznaczają „tak”, a cztery „nie”. Pięć błysków znaczy: „Przyjdź najszybciej jak możesz, bo muszę ci zdradzić coś ważnego”. Diana właśnie nadała pięć sygnałów i naprawdę usycham z ciekawości, cóż to takiego.

— No to nie musisz już dłużej cierpieć — powiedziała sarkastycznie Maryla. — Możesz iść, ale pamiętaj, że masz być z powrotem za równe dziesięć minut.

Ania pamiętała i wróciła o wyznaczonym czasie, choć pewnie żaden śmiertelnik nigdy nie zgadłby, ile kosztowało ją zmieszczenie dyskusji nad ważną nowiną Diany w ciągu dziesięciu minut. Ale przynajmniej dobrze je wykorzystała.

— Och, Marylo, wiesz, co się stało? Jutro są urodziny Diany, a jej mama pozwoliła Dianie zaprosić mnie po szkole do siebie na noc. Jej kuzyni przyjadą z Newbridge wielkimi saniami, żeby jutro wieczorem wybrać się do klubu dyskusyjnego na koncert w świetlicy. Chcą zabrać Dianę i mnie... oczywiście, jeśli się zgodzisz. Zgodzisz się, prawda, Marylo? Och, jestem taka podekscytowana!

— W takim razie możesz już ochłonać, bo nigdzie nie idziesz. Lepiej ci będzie w domu, we własnym łóżku. A co do tego koncertu, to same bzdury: małe dziewczynki nie powinny w ogóle włóczyć się po nocach w takie miejsca.

— Jestem pewna, że klub dyskusyjny to bardzo przyzwoita instytucja — nalegała Ania.

— Nie mówię, że tak nie jest. Ale nie zaczniesz mi tu biegać po koncertach i wracać po nocy. Ładne mi rzeczy dla dzieci. Dziwię się pani Barry, że puszcza Dianę.

— Ale to taka wyjątkowa okazja — lamentowała Ania, bliska łez. — Diana ma urodziny tylko raz w roku. Marylo, przyznasz, że urodziny nie są czymś powszednim, prawda? Prissy Andrews będzie recytować poemat *Godzina policyjna dzwonić dziś nie może*. Marylo, to taki pouczający, moralizatorski utwór. Jestem przekonana, że wysłuchanie go bardzo by mi pomogło. A chór zaśpiewa cztery śliczne, wzruszające pieśni, które są prawie tak dobre jak hymny. W wydarzeniu weźmie też udział pastor, który wygłosi przemowę. To prawie to samo co kazanie. Proszę, Marylo, czy mogę pójść?

— Aniu, słyszałaś, co powiedziałam, prawda? Zdejmij buty i idź do łóżka. Jest już po ósmej.

— Jeszcze tylko jedna rzecz, Marylo — rzekła Ania, wytaczając ostatnie działo. — Pani Barry powiedziała Dianie, że będziemy mogły spać w łóżku w pokoju gościnnym. Pomyśl, jaki to honor dla twojej małej Ani: położyć się w gościnnym łóżku!

— To honor, bez którego będziesz musiała się obejść. Idź do łóżka, Aniu, i nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

Gdy Ania, ze łzami spływającymi po policzkach, poszła na górę, Mateusz, który przez całą rozmowę zdawał się twardo spać na kanapie, otworzył oczy i powiedział stanowczo:

— Wiesz, Marylo, myślę, że powinnaś pozwolić Ani pójść na ten koncert.

— A ja myślę inaczej — odparowała Maryla. — Kto wychowuje to dziecko, Mateuszu, ty czy ja?

— No cóż, ty — przyznał Mateusz.

— To mi się nie wtrącaj.

— Ależ ja się nie wtrącam. Posiadanie własnego zdania nie oznacza wtrącania się. A moje zdanie jest takie, że powinnaś pozwolić Ani pójść.

— Pewnie uznałbyś, że powinnam pozwolić jej polecieć na Księżyc, gdyby tylko miała taką fantazję — brzmiała uprzejma riposta Maryli. — Mogłabym jej pozwolić przenocować u Diany, gdyby o to tylko chodziło. Ale nie pochwalam tego pomysłu z koncertem. Pójdzie tam, jeszcze się przeziębii, a do tego nabije sobie głowę głupstwami i emocjami. Przez tydzień będzie chodzić nieprzytomna. Znam charakter tego dziecka i wiem, co dla niego dobre, lepiej od ciebie, Mateuszu.

— Myślę, że powinnaś pozwolić Ani pójść na ten koncert — powtórzył nieugięcie Mateusz.

Wyklócanie się nie było jego mocną stroną, za to trzymanie się własnego zdania — owszem. Maryla westchnęła bezradnie i zamilkła. Następnego ranka, kiedy Ania zmywała naczynia w spiżarni, Mateusz zatrzymał się w drodze do stodoły, by ponownie zwrócić się do Maryli:

— Myślę, że powinnaś pozwolić Ani pójść.

Przez chwilę wzrok Maryli wyrażał rzeczy, których nie godzi się wypowiadać na głos. W końcu uległa nieuniknionemu i rzekła cierpko:

— No dobrze, niech idzie, skoro nic innego cię nie zadowoli.

Ania wypadła ze spiżarni z ociekającą ścierką w dłoni.

— Och, Marylo, Marylo, wymów te błogosławione słowa jeszcze raz!

— Myślę, że raz wystarczy. To sprawka Mateusza, więc ja umyвам od tego ręce. Jeśli nabawisz się zapalenia płuc od spania w obcym łóżku albo wracając z gorącej sali w środku nocy, nie wini mnie, tylko Mateusza. Aniu Shirley, zachłapiesz wodą całą podłogę! Nigdy nie widziałam tak nieuważnego dziecka.

— Och, Marylo, wiem, że wystawiam twoją cierpliwość na wielką próbę — powiedziała skruszona Ania. — Popelniam tyle błędów. Ale pomyśl o tych wszystkich błędach, których nie robię, choć mogłabym. Przyniosę piasek i wyszoruję te plamy, zanim pójde do szkoły. Och, Marylo, tak bardzo zależało mi na tym koncercie. Nigdy w życiu nie byłam na żadnym koncercie, a kiedy dziewczęta rozmawiają o nich w szkole, czuję się taka wyobcowana. Nie wiedziałas, jak ja się z tym czuję, ale Mateusz wiedział. Mateusz mnie rozumie, Marylo, a to takie miłe być rozumianym.

Ania była zbyt podekscytowana, by tego ranka błyszczeć na lekcjach. Gilbert Blythe „zagiął” ją w ortografii i zostawił daleko w tyle w liczeniu w pamięci. Upokorzenie Ani było jednak mniejsze niż zwykle ze względu na perspektywę koncertu i gościnnego łóżka. Cały dzień tak intensywnie rozmawiały o tym z Dianą, że gdyby ich nauczycielem był ktoś surowszy od pana Phillipsa, niechybnie czekałaby je sroga kara.

Ania czuła, że nie zniosłaby tego, gdyby miała nie pójść, bo w szkole nie mówiono o niczym innym. Klub dyskusyjny w Avonlea, który zbierał się co dwa tygodnie przez całą zimę, organizował wcześniej mniejsze, darmowe spotkania. Jednak to miało być wielkie wydarzenie z biletami po dziesięć centów, a dochód z ich sprzedaży przeznaczono na bibliotekę. Młodzież z Avonlea ćwiczyła od tygodni, a wszyscy uczniowie byli szczególnie zainteresowani, ponieważ ich starsze rodzeństwo miało wziąć udział w programie. Każdy w szkole powyżej dziewiątego roku życia planował pójść na koncert, z wyjątkiem Carrie Sloane, której ojciec podzielał zdanie Maryli na temat obecności małych dziewczynek na nocnych imprezach. Carrie Sloane przez całe popołudnie płakała nad gramatyką i czuła, że życie straciło sens.

Dla Ani prawdziwa ekscytacja zaczęła się wraz z końcem lekcji i rosła niczym *crescendo*¹⁷, aż osiągnęła szczyt absolutnej ekstazy podczas samego koncertu. Dziewczynki zjadły „idealnie wykwinny podwieczorek”, a potem nadeszło rozkoszne zajęcie — ubieranie się w pokoiku Diany na gorze. Diana uczesała Ani włosy z przodu w nowym stylu *pompadour*¹⁸, zaś Ania z typową dla siebie zręcznością zawiązała Dianie kokardy. Wypróbowały też przynajmniej pół tuzina sposobów upięcia włosów z tyłu. W końcu były gotowe, z płonącymi policzkami i oczami lśnącymi z emocji.

Co prawda Ania poczuła lekkie ukłucie żalu, gdy porównała swój zwykły, czarny beret i bezkształtny, szary płaszcz o ciasnych rękawach z zawadiacką futrzaną czapką Diany i jej zgrabnym żakietkiem. Przypomniała sobie jednak w samą porę, że ma wyobraźnię i może jej użyć.

Potem przyjechali kuzyni Diany — Murrayowie z Newbridge. Wszyscy stłoczyli się w wielkich saniach wyłożonych słomą i futrzanymi kocami. Ania napawała się jazdą do świetlicy, gdy mknęli po gładkich drogach, a śnieg chrupał pod płozami. Zachód słońca był wspaniały, a ośnieżone wzgórza i ciemnoniebieskie wody Zatoki Świętego Wawrzyńca zdawały się w tym blasku tworzyć obrzeże ogromnej czary z pereł i szafirów, wypełnionej winem i ogniem. Zewsząd dobiegało dzwonienie sań i odległy śmiech, brzmiały niczym figle leśnych elfów.

— Och, Diano — szepnęła Ania, ściskając rękę przyjaciółki pod futrem — czy to wszystko nie przypomina pięknego snu? Czy ja naprawdę wyglądam tak jak zwykle? Czuję się tak inaczej, że wydaje mi się, iż musi to być widać po mojej minie.

— Wyglądasz bardzo ładnie — powiedziała Diana, która właśnie otrzymała komplement od jednego z kuzynów i uznała, że powinna go podać dalej. — Masz prześliczne rumieńce.

Program tego wieczoru był dla co najmniej jednej słuchaczki na widowni serią „wstrząsów”, a jak Ania zapewniała Dianę, każdy kolejny był bardziej „wstrząsający” od poprzedniego. Gdy Prissy Andrews, ubrana w nową, różową, jedwabną bluzkę, ze sznurem pereł na gładkiej, białej szyi i prawdziwymi goździkami we włosach (plotka głosiła, że nauczyciel sprowadził je dla niej aż z miasta) „wspinała się po oślizgłej drabinie, ciemnej, bez promyka światła”, Ania drżała, odczuwając rozkoszne współczucie. Kiedy chór śpiewał pieśń o stokrotkach, Ania wpatrywała się w sufit, jakby był wymalowany w anioły. Gdy Sam Sloane tłumaczył i pokazywał, jak to chłop kwokę na jajach sadzał, Ania śmiała się tak, że ludzie siedzący obok też zaczęli się śmiać, bardziej z sympatii do niej niż ze śmieszności samego utworu, który w Avonlea był już nieco oklepany. A kiedy pan Phillips wygłosił mowę Marka Antoniusza nad ciałem Cezara najbardziej poruszającym głosem — zerkając na Prissy Andrews po każdym zdaniu — Ania poczuła, że mogłaby natychmiast zerwać się i wzniecić bunt, gdyby choć jeden rzymski obywatel wskazał jej drogę.

¹⁷*crescendo* (muz., z wł.: narastając, coraz głośniejszy) — stopniowe zwiększanie głośności i wzmacnianie dynamiki w utworze muzycznym. [przypis edytorski]

¹⁸*uczesanie w stylu pompadour* — typ uczesania, w którym włosy znad czoła są zaczesane wysoko do tyłu i zrolowane. [przypis edytorski]

Zima, Wieczór, Zabawa

Tylko jeden punkt programu nie zdołał jej zainteresować. Kiedy Gilbert Blythe recytował *Bingen nad Renem*, Ania wzięła książkę, którą Rhody Murray wypożyczyła z biblioteki, i czytała ją, dopóki nie skończył. A potem siedziała sztywno i nieruchomo, podczas gdy Diana klaskała tak mocno, aż zapiekły ją dłonie.

Była jedenasta, gdy wrócili do domu, syte wrażeń, ale z przedsmakiem słodkiej przyjemności, jaką było omówienie wszystkiego na gorąco. Wszyscy zdawali się spać, dom był pogrążony w ciszy i mroku. Ania z Dianą weszły na palcach do salonu, długiego wąskiego pokoju, z którego przechodziło się do pokoju gościnnego. Było tu przyjemnie ciepło, a pokój rozświetlały dogasające węgle w kominku.

— Rozbierzmy się tutaj — szepnęła Diana. — Jest tak miło i ciepło.

— Czyż to nie był zachwycający wieczór? — westchnęła urzeczona Ania. — To musi być wspaniale wyjść tam i recytować. Diano, myślisz, że nas kiedyś o to poproszą?

— Tak, oczywiście, kiedyś na pewno. Zawsze chcę, żeby starsi uczniowie recytowali. Gilbert Blythe robi to często, a jest tylko o dwa lata starszy od nas. Aniu, jak mogłaś udawać, że go nie słuchasz? Kiedy doszedł do linijki o tej „Innej, co siostrą nie jest”, patrzył prosto na ciebie.

— Diano — rzekła z godnością Ania — jesteś moją serdeczną przyjaciółką, ale nie mogę pozwolić, byś nawet ty mówiła do mnie o tej osobie. Jesteś gotowa do spania? Ścigajmy się, kto pierwszy wskoczy do łóżka!

Pomysł spodobał się Dianie. Dwie małe postacie w białych koszulach nocnych przemknęły przez długi salon, wpadły przez drzwi pokoju gościnnego i w tym samym momencie skoczyły na łóżko. Wtedy... coś poruszyło się pod nimi, rozległo się sapanie, a potem krzyk — i ktoś powiedział zduszonym głosem:

— Chryste Przenajświętszy!

Ania i Diana nie potrafiły dokładnie opisać, jak zeskoczyły z łóżka i wypadły z pokoju. Wiedziały tylko, że po szaleńczej ucieczce znalazły się na górze, drząc i stąpając na palcach.

— Kto to był... co to było? — szepnęła Ania, dzwoniąc zębami z zimna i strachu.

— To ciotka Józefina — wysapała Diana, dusząc się ze śmiechu. — Och, Aniu, to była ciotka Józefina, jakimś cudem się tam znalazła! Och, wiem, że będzie wściekła. To straszne... naprawdę straszne... ale czy kiedykolwiek przeżyłaś coś równie śmiesznego, Aniu?

— Kim jest ciotka Józefina?

— To ciotka taty, mieszka w Charlottetown. Jest strasznie stara, ma przynajmniej siedemdziesiąt lat i nie wierzę, żeby kiedykolwiek była małą dziewczynką. Spodziewaliśmy się jej odwiedzin, ale nie tak szybko. Jest strasznie sztywna i zasadnicza, i wiem, że będzie okropnie zła. No cóż, musimy spać z Minnie May... a nie masz pojęcia, jak ona kopie w nocy.

Panna Józefina Barry nie pojawiła się na wczesnym śniadaniu następnego ranka. Pani Barry uśmiechnęła się łagodnie do dziewczynek.

— Dobrze się bawiliście wczoraj? Próbowалам nie zasnąć, dopóki nie wróćcie, bo chciałam wam powiedzieć, że przyjechała ciotka Józefina i że będziecie musiały jednak spać na górze, ale byłam tak zmęczona, że usnęłam. Mam nadzieję, że nie obudziłyście cioci, Diano?

Diana zachowała dyskretnie milczenie, ale wymieniły z Anią porozumiewawcze, pełne winy uśmiechy nad stołem. Ania po śniadaniu pośpiesznie wróciła do domu i pozostawała w błogiej nieświadomości zamieszania w domu Barrych aż do późnego popołudnia, gdy poszła do pani Linde z posyłką od Maryli.

— A więc to ty i Diana prawie wystraszyłyście biedną pannę Barry na śmierć zeszłej nocy? — rzekła surowo pani Linde, choć w jej oku błysnął ogień rozbawienia. — Pani Barry była tu przed chwilą w drodze do Carmody. Jest tym naprawdę zmartwiona. Stara panna Barry była w fatalnym humorze, kiedy wstała rano: a humor Józefiny Barry to nie przelewki, tyle ci powiem. W ogóle nie chciała rozmawiać z Dianą.

— To nie była wina Diany — rzekła skruszona Ania — tylko moja. Ja zaproponowałam wyścig do łóżka.

— Wiedziałam! — zawołała pani Linde z tryumfem kogoś, kto trafnie odgadł zagadkę. — Wiedziałam, że ten pomysł zrodził się w twojej głowie. No, narobiłaś niezłego

bigosu, nie ma co. Stara panna Barry przyjechała na miesiąc, ale oświadczyła, że nie zostanie ani dnia dłużej i wraca do miasta jutro, choć to niedziela. Pojechałaby już dzisiaj, gdyby mieli ją jak odwiedzić. Obiecała opłacić Dianie lekcje muzyki przez kwartał, ale teraz zaparła się, że nie robi nic dla takiej chłopczycy. Ach, myślę, że mieli tam rano wesoło. Barrym musi być bardzo przykro. Stara panna Barry jest bogata i chcieli żyć z nią w zgodzie. Oczywiście pani Barry nie powiedziała mi tego wprost, ale dobrze znam się na ludzkiej naturze, to ci powiem.

— Jestem taką pechową dziewczyną — zasmuciła się Ania. — Zawsze sama wpadam w tarapaty i wciągam w nie moich najlepszych przyjaciół, ludzi, za których oddałabym krew z serca. Pani Linde, czy może mi pani powiedzieć, dlaczego tak jest?

— Bo jesteś zbyt nierozważna i impulsywna, dziecko, ot co. Nigdy się nie zatrzymasz, żeby pomyśleć: cokolwiek strzeli ci do głowy, robisz to lub mówisz bez chwili namysłu.

— Och, ale w tym właśnie cały urok! — zaprotestowała Ania. — Coś nagle rozbłyśnie w głowie, coś tak ekscytującego, że człowiek musi to z siebie wyrzucić. Jeśli zaczniesz się o tym myśleć, wszystko zaprzepaszczone. Czy nigdy pani tego nie czuła, pani Linde?

Nie, pani Linde nigdy tego nie czuła. Potrząsnęła tylko roztropnie głową.

— Aniu, musisz nauczyć się choć trochę myśleć. Przysłowie, którego potrzebujesz, to: „Dwa razy pomyśl, zanim skoczysz”... zwłaszcza do gościnnych łóżek.

Pani Linde zaśmiała się z własnego żartu, ale Ania pozostała zamyślona. Nie widziała nic śmiesznego w sytuacji, która w jej oczach była bardzo poważna. Po wyjściu od pani Linde ruszyła przez pola na Sosnowe Wzgórze. Diana przywitała ją w drzwiach kuchni.

— Twoja ciotka Józefina była bardzo zła, prawda? — szepnęła Ania.

— Tak — odparła Diana, tłumiąc chichot i zerkając z lękiem przez ramię na zamknięte drzwi salonu. — Mało nie tupała w wściekłości. Aniu, jak ona wymyślała! Powiedziała, że jestem najbardziej niegrzeczną dziewczyną, jaką zna, i że moi rodzice powinni się wstydić za to, jak mnie wychowali. Stwierdziła też, że nie zostanie ani dnia dłużej, i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Ale tacie i mamie jest bardzo przykro.

— Dlaczego nie powiedziałaś im, że to moja wina? — zapytała Ania.

— Czy ja wyglądam na kogoś, kto zrobiłby coś takiego? — odrzekła Diana ze słusznym oburzeniem. — Aniu Shirley, nie jestem skarżypytą, a zresztą byłam tak samo winna jak ty.

— W takim razie sama jej to powiem — rzuciła rezolutnie Ania.

Diana wytrzeszczyła oczy.

— Aniu Shirley, nie zrobisz tego! Przecież ona zje cię żywcem!

— Nie strasz mnie bardziej, niż już jestem wystraszona — poprosiła Ania. — Wolałabym stanąć przed wylotem armatniej lufy. Ale muszę to zrobić, Dianu. To była moja wina i muszę się przyznać. Na szczęście mam już wprawę w przyznawaniu się do winy.

— No cóż, ciotka Józefina jest w pokoju — powiedziała Diana. — Możesz tam wejść, jeśli chcesz. Ja bym się nie odważyła. I nie sądzę, żeby to coś pomogło.

Zachęcona w ten sposób Ania ruszyła wprost w paszczę lwa — podeszła zdecydowanie do drzwi salonu i lekko zapukała. Usłyszała ostre: „Wejść!”.

Panna Józefina Barry, chuda, sztywna i zasadnicza, robiła zawzięcie na drutach przy kominku, z wciąż nieukojonym gniewem i oczami ciskającymi gromy zza okularów w złotej oprawie. Obróciła się na krześle, spodziewając się ujrzeć Dianę, ale zamiast niej ujrzała bladą dziewczynkę, której wielkie oczy wypełniała mieszanina desperacji, odwagi i paraliżującego lęku.

— Kim jesteś? — zapytała bez ceremonii panna Józefina Barry.

— Jestem Ania z Zielonego Wzgórza — odpowiedziała drżącym głosem mała osobka, splatając dłonie w charakterystycznym geście. — I przyszłam się przyznać, jeśli pani pozwoli.

— Przyznać się do czego?

— Do tego, że wskoczenie do pani łóżka zeszłej nocy było wyłącznie moją winą. Ja to zaproponowałam. Diana nigdy by o czymś takim nie pomyślała, jestem pewna. To bardzo dobrze wychowana dziewczynka, panno Barry. Sama pani widzi, jak niesprawiedliwie ją pani oceniła.

— Doprawdy? Myślę, że Diana miała swój udział, przynajmniej w samym skoku. Takie zachowanie w porządnym domu!

— Ale myśmy się tylko bawiły — upierała się Ania. — Myślę, że powinna nam pani wybaczyć, skoro przeprosiliśmy. A w każdym razie proszę wybaczyć Dianie i pozwolić jej brać lekcje muzyki. Panno Barry, Dianie bardzo zależy na muzyce, a ja aż nazbyt dobrze wiem, co to znaczy pragnąć czegoś z całego serca i tego nie dostać. Jeśli musi być pani na kogoś zła, niech pani będzie zła na mnie. W moich wczesnych latach tak przywykłam do tego, że ludzie są na mnie źli, że zniosę to znacznie lepiej niż Diana.

W tym momencie srogość w oczach starszej pani nieco przygasła, a zastąpił ją błysk rozbawienia. Wciąż jednak mówiła surowo:

— Nie sądzę, aby fakt, że się bawiłyście, był jakimkolwiek usprawiedliwieniem. Małe dziewczynki nie pozwalały sobie na takie zabawy, kiedy ja byłam młoda. Nie masz pojęcia, co to znaczy zostać obudzonym z głębokiego snu po długiej i męczącej podróży przez dwie wielkie dziewczuchy spadające na ciebie z impetem.

— Nie wiem, ale potrafię to sobie wyobrazić — zapewniła ją Ania. — Jestem pewna, że to musiało być bardzo denerwujące. Ale jest też druga, nasza strona medalu. Panno Barry, czy ma pani wyobraźnię? Jeśli tak, niech pani postawi się na naszym miejscu. Nie wiedziałyśmy, że ktoś śpi w tym łóżku, i prawie umarłyśmy ze strachu. To było okropne uczucie. A do tego nie mogłyśmy spać w pokoju gościnnym, chociaż nam to obiecano. Przypuszczam, że pani przywykła do spania w gościnnych pokojach. Ale niech pani sobie wyobrazi, co by pani czuła, będąc małą sierotą, która nigdy wcześniej nie dostąpiła takiego zaszczytu.

Cała złość zdążyła już wyparować. Panna Barry wręcz się zaśmiała — a dźwięk ten sprawił, że Diana, czekająca w niemym niepokoju w kuchni, odetchnęła z ogromną ulgą.

— Obawiam się, że moja wyobraźnia nieco zardzewiała: tak dawno jej nie używałam — powiedziała starsza pani. — Przyszaj, że twoje prawo do współczucia jest równie silne jak moje. Wszystko zależy od punktu widzenia. Usiądź tutaj i opowiedz mi o sobie.

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę — rzekła stanowczo Ania. — Chciałabym, bo wydaje mi się pani interesującą damą i mogłaby pani nawet być moją pokrewną duszą, choć na taką pani nie wygląda. Ale moim obowiązkiem jest wrócić do panny Maryli Cuthbert. Panna Maryla Cuthbert jest bardzo dobrą kobietą, która podjęła się wychowania mnie na porządnego człowieka. Robi, co może, ale to bardzo mozolna praca. Nie wolno jej winić za to, że skoczyłam na łóżko. Ale zanim pójdę, bardzo chciałabym wiedzieć, czy wybaczy pani Dianie i zostanie w Avonlea tak długo, jak pani zamierzała.

— Myślę, że być może zostanę, jeśli od czasu do czasu przyjdiesz do mnie i ze mną pogawędzisz — powiedziała panna Barry.

Tego wieczoru panna Barry podarowała Dianie srebrną bransoletkę i ogłosiła starszym domownikom, że rozpakowała walizkę.

— Postanowiłam zostać tylko po to, by lepiej poznać tę Anię — powiedziała szczerze. — Ona mnie bawi, a w moim wieku spotkać zabawną osobę to rzadkość.

Jedynym komentarzem Maryli, kiedy usłyszała tę historię, było: „A nie mówiłam?”. Była to uwaga skierowana do Mateusza.

Panna Barry została cały miesiąc, a nawet dłużej. Była o wiele miłszym gościem niż zwykle, bo Ania wprowadziła ją w dobry humor. Zostały wiernymi przyjaciółkami.

Kiedy panna Barry wyjeżdżała, powiedziała:

— Pamiętaj, Aniu, kiedy przyjedziesz do miasta, masz mnie odwiedzić, a ja położę cię spać w moim najbardziej gościnnym ze wszystkich gościnnych łóżek.

— Panna Barry okazała się jednak pokrewną duszą — zwierzyła się Ania Maryli. — Nie pomyślałabyś tak, patrząc na nią, ale tak jest. Nie odkrywa się tego od razu, jak w przypadku Mateusza, ale po pewnym czasie to widać. Pokrewne dusze nie są tak rzadkie, jak kiedyś myślałam. To wspinałoby się dowiedzieć się, że jest ich tak wiele na świecie.

ROZDZIAŁ XX

NIEFORTUNNE SKUTKI WYBUJAŁEJ WYOBRAŹNI

Na Zielone Wzgórze znów zawitała wiosna — piękna, kapryśna i nieśmiała kanadyjska wiosna, przeciągająca się przez kwiecień i maj w korowodzie słodkich, świeżych i chłodnych dni, z różowymi zachodami słońca i cudami zmartwychwstania przyrody. Klony w Alei Zakochanych pokryły się czerwonymi pąkami, a małe, pozwijane paprocie zaczęły

Wiosna

wyzierać z ziemi wokół Źródła Driad. Daleko na nieużytkach, za posiadłością pana Silasa Sloane'a, zakwitły konwalie — różowe i białe gwiazdki słodczy, ukryte pod brązowymi liśćmi. Pewnego złotego popołudnia wszystkie dzieci ze szkoły zbierały je, wracając w jasnym, niosącym się echem zmierzchu z naręczami i koszami pełnymi kwiatowych łupów.

— Tak mi żal ludzi, którzy mieszkają w krajach, gdzie nie ma konwalii — mówiła Ania. — Diana twierdzi, że oni pewnie mają coś lepszego, ale czy może być coś lepszego niż konwalie, Marylo? I Diana mówi, że jeśli nie wiedzą, jak one wyglądają, to za nimi nie tęsknią. Ale myślę, że to najsmutniejsze ze wszystkiego. Marylo, to byłoby wręcz tragiczne, nie wiedzieć, jak wyglądają konwalie i nie tęsknić za nimi. Wiesz, za co ja je tak lubię? Myślę, że to dusze kwiatów, które umarły zeszłego lata, a to tutaj to ich niebo. Ale bawiliśmy się dziś cudownie, Marylo. Zjedliśmy podwieczorek w wielkiej, omszałej kotlinie przy starej studni — to taki romantyczny zakątek. Charlie Sloane wyzwał Arty'ego Gillisa, żeby przeskoczył przez studnię, i Arty to zrobił, bo nie chciał wyjść na tchórza. Nikt w szkole nie odmawia, gdy rzuca mu się wyzwanie. To teraz bardzo modne. Pan Phillips dał wszystkie konwalie, które znalazł, Prissy Andrews i słyszałam, jak mówił: „Słodczy dla słodkiej”. Wiem, że wziął to z książki, ale to dowodzi, że ma jakąś wyobraźnię. Mnie też oferowano kwiaty, ale odrzuciłam je z pogardą. Nie mogę ci zdradzić imienia tej osoby, bo przysięgałam, że nigdy nie przejdzie mi ono przez usta. Z konwalii uplotliśmy wieńce i przypięliśmy je do kapeluszy, a kiedy przyszedł czas powrotu, maszerowaliśmy drogą w procesji, dwójkami, z bukietami i wieńcami, śpiewając *Mój dom na wzgórzu*. Och, Marylo to było takie porywające! Cała rodzina pana Silasa Sloane'a wybiegła nas zobaczyć, a każdy, kogo spotkaliśmy na drodze, przystawał i gapił się na nas. Wywołaliśmy prawdziwą sensację.

— Wcale mnie to nie dziwi! Takie błazeństwa! — brzmiała odpowiedź Maryli.

Po konwaliach nadeszły fiołki i Dolina Fiołków okryła się purpurą. Ania, idąc tamtędy do szkoły, stąpała nabożnie, z uwielbieniem w oczach, jakby kroczyła po świętej ziemi.

— Jakoś tak jest — zwierzyła się Dianie — że kiedy tędy idę, nie obchodzi mnie, czy Gil... czy ktokolwiek inny wyprzedzi mnie w nauce. Ale gdy jestem w szkole, wszystko się zmienia i zależy mi na tym tak samo jak dawniej. Jest we mnie tyle różnych Ań. Czasem myślę, że właśnie dlatego sprawia mi tyle kłopotów. Gdybym była tylko tą jedną Anią, byłoby o wiele wygodniej, ale za to nawet w połowie nie tak interesująco.

Pewnego czerwcowego wieczoru, gdy sady znów zakwitły na różowo, żaby śpiewały srebrzyście i słodko na bagnach u brzegów Jeziora Lśniących Wód, a powietrze nasyciło się zapachem pól koniczyny i balsamicznych lasów jodłowych, Ania siedziała przy oknie na facjacie. Uczyla się, ale zrobiło się zbyt ciemno, by widzieć tekst w książce, zapadła więc w marzenia z szeroko otwartymi oczami, patrząc na gałęzie Królowej Śniegu, znów obsypanej puszystym kwieciem.

W samym pokoiku na poddaszu niewiele się zmieniło. Ściany były tak samo białe, poduszczyka do szpilek tak samo twarda, a żółte krzesła tak samo wyprostowane jak dawniej. A jednak charakter pokoju uległ zmianie. Kipiał nową, pełną życia osobowością, która zdawała się go przenikać, niezależnie od szkolnych książek, sukienek czy wstążek, a nawet od wyszczerbionego, niebieskiego wazonu pełnego kwiatów jabłoni, który stał na stole. Wyglądało to tak, jakby wszystkie sny i marzenia jego lokatorki przybrały widzialną, choć niematerialną formę i wyłożyły surowe wnętrze wspaniałą tkaniną z tęczy i blasku księżycy. Po chwili do pokoju weszła żwawym krokiem Maryla z kilkoma świeżo wyprasowanymi fartuszkami szkolnymi Ani. Powiesiła je na krzesło i usiadła z krótkim westchnieniem. Tego popołudnia znów cierpiała na migrenę i choć ból minął, czuła się słaba i „wyżęta”, jak zwykła to określać. Ania spojrzała na nią z oczami pełnymi współczucia.

— Marylo, naprawdę żałuję, że to nie ja miałam ten ból głowy zamiast ciebie. Zniosłabym go z radością dla twojego dobra.

— Myślę, że zrobiłaś swoje, zajmując się pracą i dając mi odpocząć — powiedziała Maryla. — Zdaje się, że nieźle sobie poradziłaś i zrobiłaś mniej błędów niż zwykle. Oczywiście krochmalenie chustek Mateusza nie było konieczne! No i większość ludzi, gdy wstawia placek do pieca, by go odgrzać na obiad, wyjmuje go potem i zjada, póki

Kwiaty

jest gorący, zamiast zostawiać go tam, by spiekł się na węgiel. Ale to najwyraźniej nie w twoim stylu.

Bóle głowy zawsze wprawiały Marylę w sarkastyczny nastrój.

— Och, tak mi przykro — rzekła skruszona Ania. — Ani razu nie pomyślałam o tym placku od momentu wstawienia go do pieca aż do teraz, choć czułam instynktownie, że czegoś na stole brakuje. Kiedy zostawiłaś mnie rano na gospodarstwie, powzięłam mocne postanowienie, żeby niczego sobie nie wyobrażać, lecz trzymać się faktów. Szło mi całkiem dobrze, dopóki nie włożyłam tego placka, a wtedy przyszła nieodparta pokusa, by wyobrazić sobie, że jestem zaczarowaną księżniczką uwięzioną w samotnej wieży, a na ratunek pędzi mi przystojny rycerz na koniu czarnym jak węgiel. I tak właśnie zapomniałam o placku. Nie wiedziałam, że wykrochmaliłam chustki. Prasując, przez cały czas starałam się wymyślić nazwę dla nowej wyspy, którą odkryłyśmy z Dianą w górze strumienia. Maryło, to miejsce w najwyższym stopniu zachwycające. Rosną tam dwa klony, a strumień opływa je dookoła. W końcu ołśniło mnie, że wspaniale byłoby nazwać ją Wyspą Wiktorii, bo odkryłyśmy ją w urodziny królowej¹⁹. Obie z Dianą jesteśmy bardzo lojalnymi poddanymi. Ale przykro mi z powodu placka i chustek. Chciałam być dziś wyjątkowo grzeczna, bo to rocznica. Maryło, czy pamiętasz, co wydarzyło się tego dnia rok temu?

— Nie, nie przypominam sobie niczego szczególnego.

— Och, Maryło, to był dzień, w którym przybyłam na Zielone Wzgórze! Nigdy go nie zapomnę. To był punkt zwrotny w moim życiu. Oczywiście dla ciebie to pewnie nie jest takie ważne. Jestem tu już rok i byłam przez ten czas tak szczęśliwa. Jasne, miałam swoje problemy, ale z problemów się wyrasta. Maryło, czy żałujesz, że pozwoliłaś mi zostać?

— Nie, nie mogę powiedzieć, żebym żałowała — odparła Maryla, która czasem zastanawiała się, jak w ogóle mogła żyć, zanim Ania pojawiła się na Zielonym Wzgórze. — Nie, zupełnie nie żałuję. Aniu, jeśli skończyłaś lekcje, chciałabym, żebyś poszła do pani Barry i zapytała, czy pożyczy mi wykroj fartuszka Diany.

— Och... jest... jest już za ciemno! — zawołała Ania.

— Za ciemno? Przecież to dopiero zmierzch. A Bóg jeden wie, że wystarczająco często biegałaś tam po omacku.

— Pójdę jutro wcześniej rano — poprosiła gorliwie Ania. — Wstanę o wschodzie słońca i pójdę, Maryło.

— Co ci znów strzeliło do głowy, Aniu Shirley? Potrzebuję tego wykroju wieczorem, żeby skroić twój nowy fartuch. Idź natychmiast i ruszaj się żwawo.

— W takim razie będę musiała iść drogą naokoło — powiedziała Ania, niechętnie sięgając po kapelusz.

— Iść drogą i marnować pół godziny? Akurat!

— Maryło, nie mogę iść przez Nawiedzony Las! — krzyknęła zrozpaczona Ania.

Maryla wytrzeszczyła oczy.

— Nawiedzony Las? Czyś ty zwariowała? Cóż to za cudo ten Nawiedzony Las?

— Chodzi o ten świerkowy gaj za strumieniem — szepnęła Ania.

— Duby smalone! Nigdzie nie ma czegoś takiego jak nawiedzony las. Kto ci nagadał takich bzdur?

— Nikt — wyznała Ania. — Diana i ja po prostu wyobraziłyśmy sobie, że ten las jest nawiedzony. Wszystkie miejsca tutaj są takie... zwyczajne. Wymyśliłyśmy to dla własnej rozrywki. Zaczęłyśmy w kwietniu. Maryło, nawiedzony las jest taki romantyczny! Wybrałyśmy gęsty las świerkowy, bo jest taki mroczny. Wyobraziłyśmy sobie najstraszniejsze rzeczy. Nad strumieniem o tej porze przechadza się Biała Dama, załamuje ręce i wydaje żalosne jęki. Ukazuje się zawsze przed czyjąś śmiercią w rodzinie. A róg przy Ustroniu Idalii nawiedza duch zamordowanego dziecka; skrada się za plecami i wkłada swoje zimne palce w twoją dłoń: o tak. Och, Maryło, na samą myśl o tym przechodzą mnie dreszcze! Jest jeszcze bezgłowy mężczyzna, który krąży po ścieżce, a spomiędzy gałęzi łypią na ciebie szkielety. Maryło, za nic w świecie nie poszłabym teraz po ciemku przez Nawiedzony Las. Byłabym pewna, że jakieś białe kształty wyciągną ręce spoza drzew i mnie porwą!

¹⁹urodziny królowej — Victoria Day, obchodzony 24 maja, w dzień urodzin brytyjskiej królowej Wiktorii (1819–1901), od 1845 r. na terenie Canada West (obecnego Ontario). Choć w 1867 r. Kanada stała się niezależnym państwem, jej związki historyczne z Koroną Brytyjską utrzymują się m.in. poprzez uchwalenie w 1901 r. dnia urodzin królowej świętem narodowym w całym kraju. [przypis edytorski]

Wyobraźnia, Słowo,
Tajemnica, Strach

— Czy kto słyszał coś podobnego! — wykrzyknęła Maryla, która słuchała tego z niemym zdumieniem. — Aniu Shirley, czy chcesz mi powiedzieć, że wierzysz w te wszystkie wierutne bzdury, które sama wymyśliłaś?

— Nie wierzę tak zupełnie — bąknęła Ania. — W każdym razie nie wierzę w nie w dzień. Ale po zmroku, Marylo, to co innego. Wtedy właśnie wychodzą upiory.

— Aniu, nie ma żadnych upiorów.

— Ależ są, Marylo! — zawołała gorliwie Ania. — Znam ludzi, którzy je widzieli. I to porządnych ludzi! Charlie Sloane mówi, że jego babcia widziała jego dziadka, jak zaganiał krowy do obory rok po tym, jak go pochowali. Wiesz przecież, że babcia Charliego nigdy by nie skłamała. To bardzo pobożna kobieta. A ojca pani Thomas goniło kiedyś w nocy ogniste jagnię z odciętą głową dyndającą na kawałku skóry! Mówił, że to był duch jego brata i ostrzeżenie, że on sam umrze w ciągu dziewięciu dni. Nie umarł wtedy, ale dwa lata później, więc sama widzisz, że to była prawda! A Ruby Gillis mówi...

— Aniu Shirley — przerwała jej stanowczo Maryla — nie chcę więcej słyszeć takich historii. Od początku miałam wątpliwości co do tej twojej wyobraźni, a jeśli takie mają być jej owoce, to ja na to nie pozwolę. Pójdiesz teraz prosto do Barrych, i to właśnie przez ten świerkowy gaj, na naukę i ku przestrodze. I żebyś mi nigdy więcej nie pisała słowa o żadnych nawiedzonych lasach.

Ania mogła błagać i płakać ile sił — co zresztą czyniła, bo jej przerażenie było autentyczne. Wyobraźnia poniosła ją tak daleko, że po zapadnięciu zmroku świerkowy zagajnik budził w niej śmiertelny lęk. Ale Maryla była nieubłagana. Zaprowadziła drżącą ze strachu, „widzącą duchy” dziewczynkę aż do źródła i nakazała jej iść prosto przez mostek w mroczne ostępy, pełne jęczących dam i bezgłowych widm.

— Marylo, jak możesz być tak okrutna? — szlochała Ania. — Co byś poczuła, gdyby coś białego naprawdę mnie porwało i skrzywdziło?

— Zaryzykuję — odparła bezlitośnie Maryla. — Wiesz, że zawsze dotrzymuję słowa. Wyleczę cię z wyobrażania sobie duchów w każdym kącie. Marsz!

Ania pomaszerowała. To znaczy, potykając się, przeszła przez kłodę służącą za mostek i z drżeniem wkroczyła na straszliwą, ciemną ścieżkę po drugiej stronie. Ania nigdy nie zapomniała tej drogi. Gorzko żałowała swobody, jaką dała swojej wyobraźni. Upiorne twory rodem z jej fantazji czaiły się w każdym cieniu, wyciągając zimne, kościste dłonie, by chwycić przerażoną dziewczynkę, która sama powołała je do życia. Białe płaty brzozywej kory, niesiony wiatrem z kotliny po brązowym poszyciu gaju, sprawił, że jej serce zamarło. Przeciągly jęk dwóch starych, splecionych ze sobą gałęzi wycisnął kropelki potu na jej czole. Lot nietoperzy w ciemnościach nad głową wydawał się szumem skrzydeł nieziemskich istot. Gdy dotarła do pola pana Williama Bella, gnała przez nie, jakby ścigała ją armia białych zjaw, i wpadła do kuchni Barrych tak pozbawiona tchu, że ledwie mogła wykrztusić prośbę o wykrój. Diany nie było w domu, nie miała więc pretekstu, żeby zostać dłużej. Musiała stawić czoła straszliwej drodze powrotnej. Ania pokonała ją z zamkniętymi oczami, wołąc zaryzykować rozbicie głowy o gałęzie niż ujrzeć „coś białego”. Gdy w końcu potknęła się o kłodę w strumieniu, wydała z siebie długie, drżące tchnienie ulgi.

— No i co, nic cię nie złapało? — spytała Maryla bez cienia współczucia.

— Och, Mar... Marylo — wykrztusiła, szcękając zębami Ania — od t-t-teraz z-z-zadowolę się t-t-tylko zwyczajnymi miejscami.

ROZDZIAŁ XXI

NOWE PODEJŚCIE DO SMAKÓW

— Mój Boże, na tym świecie nie ma nic, prócz spotkań i rozstań, jak mawia pani Linde — zauważyła z żalostí Ania, odkładając tabliczkę i książki na kuchenny stół w ostatni dzień czerwca i wycierając zaczerwienione oczy bardzo mokrą chusteczką. — Marylo, czy to nie był łut szczęścia, że wzięłam dziś do szkoły zapasową chusteczkę? Miałam przecucie, że będzie mi potrzebna.

— Nigdy nie przypuszczałam, że tak bardzo lubisz pana Phillipsa, że potrzebowałaś aż dwóch chusteczek do osuszenia łez tylko dlatego, że odchodzi — powiedziała Maryla.

— Nie sędzę, abym płakała dlatego, że aż tak bardzo go lubiłam — zastanowiła się Ania. — Płakałam po prostu dlatego, że płakały wszystkie inne dziewczęta. Zaczęła Ruby Gillis. Ruby zawsze powtarzała, że nienawidzi pana Phillipsa, ale gdy tylko wstał, by wygłosić pożegnalną mowę, wybuchnęła płaczem. Wtedy wszystkie dziewczęta zaczęły szlochać, jedna po drugiej. Próbowałam się trzymać, Marylo. Próbowałam przypomnieć sobie, jak pan Phillips kazał mi siedzieć z Gil... z pewnym chłopcem; i ten raz, gdy napisał moje imię na tablicy jako Andzia; i jak mówił, że jestem największym osłem z geometrii, jakiego widział, i śmiał się z mojej ortografii. Marylo, przypominałam sobie te wszystkie chwile, gdy był okropny i sarkastyczny, ale jakoś nie mogłam się powstrzymać, i po prostu też musiałam zapłakać. Jane Andrews od miesiąca powtarzała, jak to się będzie cieszyć z odejścia pana Phillipsa i zarzekała się, że nie uroni ani jednej łzy. I co? Płakała gorzej niż my wszystkie i musiała pożyczyć chusteczkę od brata (chłopcy oczywiście nie płakali), bo nie przyniosła własnej, nie spodziewając się, że będzie jej potrzebna. Och, Marylo, to było rozdzierające. Pan Phillips wygłosił taką piękną mowę, zaczynając od słów: „Nadszedł czas naszego rozstania”. To było niezwykle poruszające. On sam też miał łzy w oczach. Było mi strasznie przykro i żałowałam tych wszystkich sytuacji, w których rozmawiałam na lekcjach, rysowałam jego karykatury na tabliczce albo stroiłam sobie żarty z niego i Prissy. Mogę cię zapewnić, że żałowałam, iż nie byłam wzorową uczennicą jak Minnie Andrews. Ona nie miała nic na sumieniu. Dziewczęta płakały przez całą drogę powrotną do domu. Carrie Sloane co kilka minut powtarzała: „Nadszedł czas naszego rozstania” i to wystarczyło, byśmy znów wybuchły płaczem, ilekroć groziło nam, że odzyskamy dobry humor. Marylo, czuję ogromny smutek, ale chyba nie można tkwić w otchłani rozpacz, mając przed sobą dwa miesiące wakacji, prawda? Poza tym spotkałyśmy nowego pastora z żoną, gdy wracali ze stacji. Choć tak bardzo przeżywałam odejście pana Phillipsa, nie mogłam powstrzymać zainteresowania nowym pastorem. Jego żona jest bardzo ładna. Oczywiście nie jest to uroda iście królewska; przypuszczam, że pastorowi nie wypadłoby mieć królewsko pięknej żony, bo mógłby w ten sposób dawać zły przykład. Pani Linde mówi, że żona pastora z Newbridge daje bardzo zły przykład, bo ubiera się modnie. Żona naszego nowego pastora miała na sobie niebieski muślin z urokliwymi, bufiastymi rękawami i kapelusz przybrany różami. Jane Andrews stwierdziła, że bufiaste rękawy są zbyt światowe jak na żonę duchownego, ale ja nie pokusiłabym się o tak nieuprzejmą uwagę, bo wiem, co to znaczy tęsknić za bufiastymi rękawami. Poza tym ona jest żoną pastora od niedawna, więc należy jej to wybaczyć, czyż nie? Zamieszkają u pani Linde, dopóki plebania nie będzie gotowa.

Jeśli Marylą, gdy udawała się tego wieczoru do pani Linde, kierował jakikolwiek inny motyw niż ten oficjalny — zwrot krosien²⁰ hafciarskich pożyczonych poprzedniej zimy — była to niewinna słabość łącząca większość mieszkańców Avonlea. Wiele rzeczy pożyczonych od pani Linde, czasem bez nadziei na ich odzyskanie, wróciło tej nocy w ręce właścicielki. Nowy pastor, a co więcej — pastor z żoną, był w pełni uzasadnionym obiektem ciekawości w cichej, wiejskiej osadzie, gdzie sensacje zdarzały się rzadko.

Stary pan Bentley, pastor, któremu zdaniem Ani brakowało wyobraźni, był duszpasterzem w Avonlea przez osiemnaście lat. Przybył tu jako wdowiec i wdowcem pozostał, mimo że plotki regularnie, każdego roku w ciągu jego pobytu swatały go z tą czy inną kandydatką. W lutym ubiegłego roku zrezygnował z posady i wyjechał żegnany z żalem przez parafian, z których większość darzyła dobrego, starego pastora przywiązaniem zrodzonym w ciągu lat znajomości, pomimo jego braków krasomówczych. Od tego czasu kościół w Avonlea cieszył się różnorodnymi „rozrywkami religijnymi”, słuchając wielu rozmaitych kandydatów i zastępców, którzy przyjeżdżali niedziela po niedzieli, by wygłosić próbne kazania. Zyskiwali oni uznanie lub błędzili w oczach wiernych, ale pewna mała, rudowłosa dziewczynka, siedząca potulnie w kącie starej ławki Cuthbertów, również miała o nich swoje zdanie i szczegółowo omawiała je z Mateuszem, jako że Maryla z zasady odmawiała krytykowania duchownych w jakiegokolwiek formie.

— Mateuszu, nie sędzę, żeby pan Smith się do tego nadawał — zabrzmiało ostateczne podsumowanie Ani. — Pani Linde mówi, że sposób, w jaki głosi kazania, jest marny, ale ja myślę, że jego największą wadą było to samo, co u pana Bentleya: brak wyobraźni. Za

²⁰krosna — urządzenie do wytwarzania tkanin. [przypis edytorski]

to pana Terry'ego wyobrażenia zbyt ponosiła, zupełnie tak jak mnie w sprawie Nawiedzonego Lasu. Poza tym pani Linde twierdzi, że jego fundamenty teologiczne nie były zbyt solidne. Pan Gresham z kolei był bardzo dobrym i religijnym człowiekiem, ale opowiadał zbyt wiele zabawnych anegdot i sprawiał, że ludzie śmiali się w kościele; był niepoważny, a pastorowi przystoi przecież godność, prawda, Mateuszu? Pan Marshall zdecydowanie wydawał mi się interesujący, ale pani Linde mówiła, że nie jest żonaty ani nawet zaręczony (bo specjalnie o to pytała) i twierdzi, że w Avonlea nigdy nie sprawdziłby się młody, nieżonaty pastor, bo mógłby ożenić się z kimś z kongregacji, a to spowodowałoby kłopoty. Pani Linde jest bardzo dalekowzroczną kobietą, zgodzisz się, Mateuszu? Bardzo się cieszę, że wezwano pana Allana. Polubiłam go, bo jego kazanie było ciekawe, a modlił się tak, jakby naprawdę tego pragnął, a nie dlatego, że miał taki nawyk. Pani Linde mówi, że nie jest doskonała, ale dodaje, że chyba nie możemy oczekiwać doskonałego pastora za siedemset pięćdziesiąt dolarów rocznie. W każdym razie pod względem teologicznym pan Allan jest bez zarzutu, bo pani Linde przesłuchiwała go gruntownie ze wszystkich zagadnień wiary. Zna też rodzinę jego żony: to bardzo szanowani ludzie, a wszystkie kobiety u nich to świetne gospodynie. Pani Linde twierdzi, że zdrowa doktryna u mężczyzny i dobre prowadzenie domu u kobiety to idealne połączenie w rodzinie pastora.

Książd

Nowy pastor i jego żona byli młodą, sympatyczną parą, wciąż w trakcie miodowego miesiąca, pełną pięknego entuzjazmu dla wybranej drogi życiowej. Avonlea od początku otworzyło dla nich serca. Starzy i młodzi polubili szczerego, wesołego młodzieńca o pięknych ideałach oraz jasnowłosą, łagodną damę, która objęła rządy na plebanii. W pani Allan Ania zakochała się natychmiast i bez reszty. Odkryła w niej kolejną pokrewną duszę.

— Pani Allan jest po prostu urocza — oznajmiła pewnego niedzielnego popołudnia. — Przejęła naszą klasę i jest wspaniałą nauczycielką. Od razu powiedziała, że jej zdaniem to niesprawiedliwe, aby tylko nauczyciel zadawał pytania, a wiesz przecież, Marylo, że ja zawsze tak uważałam. Powiedziała, że możemy pytać ją, o co tylko chcemy, więc zadałam mnóstwo pytań. Jestem dobra w zadawaniu pytań.

— Wierzę ci na słowo — skwitowała dobitnie Maryla.

— Nikt inny o nic nie pytał, prócz Ruby Gillis, która chciała wiedzieć, czy tego lata odbędzie się piknik szkółki niedzielnej. Pomyślałam, że to niezbyt stosowne pytanie, bo nie miało żadnego związku z lekcją (a lekcja była o Danielu w jaskini lwów), ale pani Allan tylko uśmiechnęła się i odparła, że zapewne tak. Ona ma prześliczny uśmiech i takie cudowne dołeczki w policzkach. Marylo, chciałabym mieć dołeczki w policzkach. Nie jestem już ani w połowie tak chuda, jak wtedy, gdy tu przyjechałam, ale dołeczków wciąż nie mam. Gdybym je miała, może mogłabym wywierać na ludzi dobry wpływ. Pani Allan mówiła, że zawsze powinniśmy starać się wywierać dobry wpływ na innych. Tak pięknie o wszystkim opowiadała. Nigdy wcześniej nie myślałam, że religia może być taka radosna. Zawsze myślałam, że jest raczej melancholijna, ale ta, którą wyznaje pani Allan wcale taka nie jest i chętnie zostałabym katoliczką, gdybym mogła być taka jak ona. Nie chciałabym być taka jak pan Bell.

— To bardzo nieładnie tak mówić o panu Bellu — skarciła ją surowo Maryla. — Pan Bell to naprawdę dobry człowiek.

— Oczywiście, że jest dobry — zgodziła się Ania — ale nie zdaje się czerpać z tego żadnej pociechy. Gdybym ja mogła być dobra, tańczyłabym i śpiewała przez cały dzień z czystej radości. Przypuszczam, że pani Allan jest już za stara na tańce i śpiewy, no i oczywiście żonie pastora to nie przystoi. Ale czuję, że ona cieszy się z bycia chrześcijanką i że byłaby nią nawet wtedy, gdyby mogła dostać się do nieba bez tego.

— Sądzę, że musimy zaprosić państwa Allanów na herbatę któregoś dnia — powiedziała w zamyśleniu Maryla. — Byli już niemal wszędzie, tylko nie u nas. Niech no pomyślę... Przyszła środa byłaby w sam raz. Ale ani słowa Mateuszowi, bo gdy się dowie, że przyjdą, znajdzie jakikolwiek powód, żeby jego wtedy nie było. Do pana Bentleya tak przywykł, że już go nie onieśmielał, ale poznanie nowego pastora będzie dla niego trudne, a żona pastora przerazi go na śmierć.

— Będę milczeć jak grób — zapewniła Ania. — Marylo, czy pozwolisz mi upiec ciasto na tę okazję? Tak bardzo chciałabym zrobić coś dla pani Allan, a wiesz, że potrafię już upiec całkiem niezłe ciasto.

— Możesz zrobić tort przekładanec — zgodziła się Maryla.

W poniedziałek i we wtorek na Zielonym Wzgórzu trwały wielkie przygotowania. Zaproszenie pastora z żoną na herbatę było istotnym i poważnym przedsięwzięciem, a Maryla była zdeterminowana, żeby nie dać się przyćmić żadnej innej gospodyni w Avonlea. Ania drżała z ekscytacji i zachwytu. We wtorek o zmierzchu omówiła wszystko z Dianą, gdy siedziały na wielkich, czerwonych kamieniach przy Źródle Driad i robiły tęczę w wodzie za pomocą gałązek zanurzonych w żywicy jodłowej.

— Wszystko gotowe, Diano, oprócz mojego ciasta, które mam upiec rano, i domowych bułeczek, które Maryla przygotowuje tuż przed podwieczorkiem. Musisz wiedzieć, Diano, że Maryla i ja miałyśmy dwa bardzo pracowite dni. To taka odpowiedzialność, gościć rodzinę pastora na herbacie. Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś podobnego. Powinnaś zobaczyć naszą spiżarnię. To widok wart obejrzenia. Podamy kurczaka w galarecie i ozór na zimno. Będą też dwa rodzaje galaretek, czerwona i żółta, bita śmietana, tarta cytrynowa, ciasto z wiśniami, trzy rodzaje herbatników, keks i słynne konfitury z żółtych śliwek Maryli, które trzyma specjalnie dla pastorów, oraz babka piaskowa i mój tort przekładanec; do tego świeży chleb i czerstwy, na wypadek gdyby pastor cierpiał na dyspepsję²¹ i nie mógł jeść świeżego. Pani Linde mówi, że pastory miewają dyspepsję, ale nie sądzę, żeby pan Allan był pastorem na tyle długo, by zdążyło to na niego źle wpłynąć. Robi mi się zimno na samą myśl o moim torcie. Och, Diano, a co jeśli nie wyjdzie? Śniło mi się ostatnio, że gonili mnie straszny potwór z wielkim tortem zamiast głowy.

— Na pewno będzie pyszny — zapewniła Diana, która, jak przystało na przyjaciółkę, potrafiła pocieszyć i uspokoić. — Ten tort, który ostatnio zrobiłaś i którego kawałek jadłyśmy na drugie śniadanie w Zaciszu dwa tygodnie temu, był po prostu wyśmienity.

— Owszem, ale ciasta mają tę straszną przypadłość, że nie udają się właśnie wtedy, gdy najbardziej nam na tym zależy — westchnęła Ania, puszczając na wodę wyjątkowo mocno skąpaną w żywicy gałązkę. — Cóż, chyba muszę po prostu zaufać Opatrzności i pamiętać o dodaniu mąki. O, spójrz, Diano, jaka piękna tęczą! Myślisz, że driada wyjdzie, gdy już stąd pójdziemy, i weźmie ją sobie jako szal?

— Wiesz przecież, że nie ma czegoś takiego jak driady — powiedziała Diana. Mama Diany dowiedziała się o Nawiedzonym Lesie i była z tego powodu bardzo zła. W rezultacie Diana powstrzymała się od dalszego popuszczania wodzów fantazji i doszła do wniosku, że nie jest rozsądne pielęgnowanie wiary nawet w niewinne driady.

— Ale tak łatwo jest sobie wyobrazić, że istnieją — odparła Ania. — Co noc przed pójściem spać wyglądam przez okno i zastanawiam się, czy driada naprawdę tu siedzi, czesząc włosy nad lustrem wody. Czasami rano szukam jej śladów stóp pośród rosy. Ach, Diano, nie trać wiary w driadę!

Nadeszła środa rano. Ania wstała o wschodzie słońca, bo była zbyt podekscytowana, żeby spać. Przez to wieczorne pluskanie się w źródle nabawiła się silnego kataru, ale tego ranka nic poza ciężkim zapaleniem płuc nie mogło ostudzić jej zapału do spraw kulinarnych. Po śniadaniu przystąpiła do pieczenia ciasta. Gdy w końcu zamknęła za nim drzwiczki pieca, odetchnęła głęboko.

— Marylo, jestem pewna, że tym razem o niczym nie zapomniałam. Ale czy myślisz, że ciasto wyrośnie? Wyobraź sobie, że proszek do pieczenia może być zły. Wzięłam go z nowej puszk. A pani Linde mówi, że w dzisiejszych czasach nigdy nie można być pewnym jakości proszku do pieczenia, skoro wszyscy na nim oszukują. Pani Linde uważa, że rząd powinien się tym zająć, ale mówi też, że nigdy nie doczekamy dnia, w którym rząd konserwatystów to robi. Marylo, a co jeśli ciasto nie wyrośnie?

— Będziemy miały dość jedzenia i bez niego — odparła Maryla w charakterystyczny dla siebie, beznamiętny sposób.

Ciasto jednak wyrosło i wyszło z pieca lekkie i puszyste niczym złota piana. Ania, zarumieniona z zachwytu, przełożyła je warstwami rubinowej galaretki i oczami wyobraźni widziała już, jak pani Allan zajada się jej tortem, a być może nawet prosi o kolejny kawałek!

— Marylo, użyjesz oczywiście najlepszego serwisu do herbaty, prawda? — upewniła się. — Czy mogę udekorować stół paprociami i dzikimi różami?

²¹dyspepsja — niestrawność. [przypis edytorski]

— Myślę, że to nonsens — prychnęła Maryla. — Moim zdaniem liczą się potrawy, a nie jakieś blahe dekoracje.

— Pani Barry udekorowała stół — odparła Ania, która potrafiła być przebiegła jak wąż — a pastor prawil jej wyszukane komplementy. Powiedział, że to uczta zarówno dla oka, jak i dla podniebienia.

— No dobrze, rób, jak chcesz — ustąpiła Maryla, która nie chciała dać się prześcignąć pani Barry ani nikomu innemu. — Tylko pamiętaj, żeby zostawić dość miejsca na naczynia i jedzenie.

Ania dołożyła wszelkich starań, aby dekoracja była na tyle wspaniała, że przy niej ta u pani Barry wypadłaby błado. Mając pod dostatkiem róż i paproci oraz naturalny zmysł artystyczny, przygotowała stół tak pięknie, że gdy pastor i jego żona przy nim zasiedli, oboje zgodnym chórem zachwycili się jego urodą.

— To sprawka Ani — powiedziała Maryla, oddając surową sprawiedliwość Ani, która miała wrażenie, że aprobujący uśmiech pani Allan to szczęście tak wielkie, iż trudno uwierzyć, że mogło ją spotkać.

Mateusz też tam był, zwabiony na spotkanie w sposób znany jedynie Bogu i Ani. Był tak onieśmielony i zdenerwowany, że Maryla w rozpaczy chciała już z niego zrezygnować, lecz Ania zajęła się Mateuszem tak skutecznie, że teraz siedział przy stole w najlepszym ubraniu z białym kołnierzykiem i z zainteresowaniem rozmawiał z pastorem. Do pani Allan nie odezwał się ani słowem, ale tego można się było spodziewać.

Wszystko szło jak z płatka, dopóki nie podano tortu Ani. Pani Allan, skosztowawszy wcześniej imponującej liczby dań, odmówiła. Jednak Maryla, widząc rozczarowanie na twarzy Ani, rzekła z uśmiechem:

— Pani Allan, musi pani spróbować choćby kawałek tortu. Ania upiekła go specjalnie dla pani.

— W takim razie nie odmówię — zaśmiała się pani Allan, nakładając sobie spory trójkąt, podobnie jak zrobili to pastor i Maryla.

Pani Allan wzięła kęs i na jej twarzy odmalował się osobliwy wyraz; nie powiedziała jednak ani słowa i jadła dalej. Maryla dostrzegła tę minę i pospiesznie spróbowała ciasta.

— Aniu Shirley! — wykrzyknęła. — Coś ty, na litość boską, dodała do tego ciasta?

— Tylko to, co było w przepisie, Marylo! — zawołała przerażona Ania. — Czy coś jest z nim nie tak?

— Nie tak? To jest po prostu okropne. Panie Allan, proszę tego nie jeść. Aniu, skosztuj sama. Jakiego aromatu użyłaś?

— Wanilii — odparła Ania, czerwona ze wstydu po spróbowaniu ciasta. — Tylko wanilii. Och, Marylo, to musiał być proszek do pieczenia. Miałam podejrzenia co do tego pro...

— Proszek? Bzdury! Idź i przynieś mi buteleczkę wanilii, której użyłaś.

Ania pobiegła do spiżarni i wróciła z małą buteleczką, częściowo wypełnioną brązowym płynem, z żółtą etykietą: „Najlepsza Wanilia”. Maryla wzięła ją, odkorkowała i powąchała.

— Miłosierny Boże, Aniu, doprawiłaś to ciasto kroplami uśmierzającymi ból²². Rozbiłam butelkę z tym lekiem w ubiegłym tygodniu i przełożyłam to, co zostało, do pustej buteleczki po wanilii. Przypuszczam, że to częściowo moja wina: powinnam była cię ostrzec, ale na litość boską, dlaczego tego nie powąchałaś?

Ania zalała się łzami pod ciężarem tej podwójnej hańby.

— Nie mogłam... miałam taki katar! — i z tymi słowami uciekła do swojego pokoiku na poddaszu, gdzie rzuciła się na łóżko i płakała jak ktoś, kogo nie da się w żaden sposób pocieszyć.

Po chwili na schodach rozległy się lekkie kroki i ktoś wszedł do pokoju.

— Och, Marylo — szlochała Ania, nie podnosząc wzroku — jestem zhańbiona na wieki. Nigdy się z tego nie otrząsnę. To się wyda... w Avonlea takie rzeczy zawsze się wy-

²²doprawiłaś to ciasto kroplami uśmierzającymi ból — w oryginale środek leczniczy dodany pomyłkowo do ciasta to *anodyna*. Nazwą tą określano tzw. „krople Hoffmanna” (*Liquor anodinis Hoffmanni*), tj. mieszaninę spirytusu etylowego z tzw. eterem siarczanym (eteru dietylowego otrzymanego drogą dehydratacji alkoholu etylowego stężonym kwasem siarkowym) w proporcjach 3:1, zw. też w XIX wieku „wysokiem eteryczno-siarczanym”, podawanym przy napadach hysterii i omdleniach. [przypis edytorski]

dają. Diana zapyta mnie, jak wyszło ciasto, i będę musiała powiedzieć jej prawdę. Zawsze będę mnie wytykać palcami jako dziewczynę, która doprawiła tort kroplami uśmierzającymi ból. Gil... chłopcy w szkole nigdy nie przestaną się z tego śmiać. Marylo, jeżeli masz w sobie choćby iskrę chrześcijańskiej litości, nie każ mi teraz zejść na dół i pozmywać naczynia. Zrobię to, kiedy pastor i jego żona już wyjadą, ale nigdy więcej nie spojrzę pani Allan w twarz. Może pomyśli, że chciałam ją otruć. Pani Linde mówi, że знаła pewną sierotę, która próbowała otruć swoich dobrodziejów. Ale to lekarstwo nie jest trujące. Jest przeznaczone do użytku wewnętrznego... choć nie w ciastach. Nie powiesz tego pani Allan, Marylo?

— Może sama wstaniesz i jej to powiesz? — odezwał się wesoły głos.

Ania zerwała się i zobaczyła panią Allan, która stała przy łóżku i przyglądała się jej z rozbawieniem w oczach.

— Moja droga, nie wolno ci tak płakać — powiedziała, szczerze zaniepokojona tragiczną miną Ani. — Przecież to tylko zabawna pomyłka, która mogła zdarzyć się każdemu.

— O nie, tylko mnie mogło się to zdarzyć — odrzekła Ania żałośnie. — A tak bardzo starałam się, żeby to ciasto pani zasmakowało, pani Allan.

— Tak, wiem, kochanie. I zapewniam cię, że doceniam twoją dobroć i troskliwość tak samo, jak gdyby wszystko się udało. A teraz nie płacz już, tylko chodź ze mną i pokaż mi swój ogródek. Panna Cuthbert mówiła mi, że masz własny mały skrawek ziemi. Chcę go zobaczyć, bo bardzo interesuję się kwiatami.

Ania pozwoliła się wyprowadzić i pocieszyć, przekonana, że to musiała być naprawdę zasługa Opatrzności, iż pani Allan okazała się pokrewną duszą. Nie wspomniano już więcej o torcie z kroplami przeciwbólowymi, a gdy goście odjechali, Ania stwierdziła, że wieczór podobał jej się bardziej, niż można by przypuszczać po tym strasznym incydencie. Niemniej jednak głęboko westchnęła.

— Marylo, czyż to nie jest miłe, że jutro wstanie nowy dzień, w którym nie popełniło się jeszcze żadnych błędów?

— Gwarantuję ci, że popełnisz ich całe mnóstwo — odparła Maryla. — Aniu, nigdy nie widziałam nikogo tak zdolnego do robienia błędów jak ty.

— Tak, i dobrze o tym wiem — przyznała smutno Ania. — Ale czy zauważyłaś we mnie jedną pocieszającą rzecz, Marylo? Nigdy nie popełniam dwa razy tego samego błędu.

— Nie wiem, czy to wielka pociecha, skoro wciąż wymyślasz nowe.

— Marylo, nie rozumiesz? Musi istnieć skończona liczba błędów, jakie może popełnić jedna osoba, a kiedy dotrę do jej końca, będę miała to już za sobą. To bardzo krzepiąca myśl.

— Cóż, lepiej idź i daj to ciasto świniom — powiedziała Maryla. — Nie nadaje się do zjedzenia dla nikogo, nawet dla Jerry'ego Boute.

ROZDZIAŁ XXII

ANIA ZOSTAJE ZAPROSZONA NA HERBATĘ

— A z jakiegoż to powodu oczy wychodzą ci teraz z orbit? — spytała Maryla, gdy Ania wróciła z poczty. — Czyżbyś odkryła kolejną pokrewną duszę?

Podniecenie spowijało Anię niczym droga szata, lśniło w jej oczach i ożywiało każdy rys twarzy. Przebiegła tanecznym krokiem przez alejkę, niczym gnany wiatrem duszek, pośród miodowego blasku słońca i leniwych cieni sierpniowego wieczoru.

— Nie, Marylo, ale jak myślisz, co się stało? Zostałam zaproszona jutro popołudniu na herbatę na plebanie! Pani Allan zostawiła dla mnie list na poczcie. Tylko spojrz, Marylo. „Panna Ania Shirley, Zielone Wzgórze”. Pierwszy raz w życiu nazwano mnie „panną”. Co za dreszcz emocji mnie przeszył! Będę strzec tego listu na zawsze pośród moich najdroższych skarbów.

— Pani Allan mówiła, że zamierza zapraszać na herbatę po kolei wszystkie uczennice swojej klasy ze szkółki niedzielnej — rzekła Maryla, traktując to niezwykle wydarzenie z dużą rezerwą. — Nie musisz wpadać z tego powodu w taką gorączkę. Naucz się przyjmować rzeczy spokojnie, dziecko.

Gdyby Ania miała przyjmować rzeczy spokojnie, musiałaby zmienić swoją naturę.

Błądzenie

Uczucie

Tymczasem będąc cała z „ducha, ognia i rosy”, przeżywała radości i smutki życia z potrójną intensywnością. Maryla czuła to i była tym do pewnego stopnia zaniepokojona, gdyż zdawała sobie sprawę, że wzloty i upadki losu będą zapewne ciężarem dla tej impulsywnej duszy. Nie dopuszczała jednak do siebie myśli, że równie wielka zdolność do zachwyty może z nawiązką jej to zrekompensować. Dlatego Maryla uznała za swój obowiązek wpoić Ani spokojne i zrównoważone usposobienie — rzecz niemożliwą i obcą jej naturze tak, jak byłaby obca promieniowi słońca tańczącemu w płytkim strumieniu. Nie czyniła w tym kierunku większych postępów, do czego ze smutkiem musiała się sama przed sobą przyznać. Upadek jakiejś ważnej nadziei lub planu pogrążał Anię w „otchłani udręki”, ich spełnienie zaś wynosiło ją w rejony nieopisanej rozkoszy. Maryla zaczęła już niemal tracić nadzieję, że kiedykolwiek uda jej się ulepić z tej dzikuski wzorową dziewczynkę o skromnych manierach i sztywnym zachowaniu. Nie mogła też uwierzyć, że w rzeczywistości lubi Anię znacznie bardziej taką, jaka jest.

Ania położyła się tej nocy spać pogrążona w niemy nieszczęściu, albowiem Mateusz wspomniawszy, że wiatr wieje z północnego wschodu i obawia się, że jutro będzie deszczowy dzień. Szelest liści topoli wokół domu niepokoił ją — brzmiał tak dobitnie jak bębnienie kropel deszczu — zaś dobiegający z oddali głośny szum wód zatoki, którego innym razem słuchała z zachwytem, kochając jego niezwykle, przejmujący rytm, teraz zdawał się zwiastować sztorm i nieszczęście dla młodej panienki, której szczególnie zależało na pięknej pogodzie. Ania była niemal pewna, że poranek nigdy nie nadejdzie.

Ale wszystko ma swój koniec, nawet noce poprzedzające dzień, w którym jest się zaproszonym na herbatę na plebanii. Poranek, wbrew przewidywaniom Mateusza, okazał się piękny, a duch Ani poszybował na wyżyny.

— Och, Marylo, jest dziś we mnie coś, co sprawia, że po prostu kocham każdego, kogo widzę! — wykrzyknęła, zmywając naczynia po śniadaniu. — Nie masz pojęcia, jak dobrze się czuję! Czy nie byłoby miło, gdyby to uczucie mogło trwać wiecznie? Wierzę, że mogłabym być wzorowym dzieckiem, gdybym tylko codziennie była zapraszana gdzieś na herbatę. Ale Marylo, to także uroczysta okazja. Czuję taki niepokój. A co, jeśli nie będę umiała się zachować? Wiesz, że nigdy wcześniej nie piłam herbaty na plebanii i nie jestem pewna, czy znam wszystkie zasady etykiety, choć studiuję porady w dziale dobrych manier w „Family Herald”, odkąd tu przyjechałam. Tak się boję, że zrobię coś głupiego albo zapomnę o czymś, co powinnam uczynić. Czy jest w dobrym tonie poprosić o dokładkę, gdy coś nam wyjątkowo smakuje?

— Problem z tobą, Aniu, polega na tym, że za dużo myślisz o sobie. Powinnaś myśleć o pani Allan i o tym, co byłoby dla niej najmiłsze i najprzyjemniejsze — powiedziała Maryla, której wreszcie udało się sformułować bardzo trafną i treściwą poradę. Ania natychmiast to pojęła.

— Masz rację, Marylo. Postaram się w ogóle o sobie nie myśleć.

Ania najwyraźniej przetrwała wizytę na plebani bez żadnego istotnego naruszenia „etykiety”, gdyż wracała do domu o zmierzchu, pod wielkim, wysokim niebem, rozświetlonym smugami szafranowych i różowych chmur, w stanie błogostanu. Z radością opowiedziała o wszystkim, siedząc na wielkiej płycie z czerwonego piaskowca przy drzwiach kuchennych i opierając utrudzoną, kędzierzawą głowę na kolanach Maryli okrytych percalem.

Chłodny wiatr wiał nad rozległymi polami uprawnymi od strony porośniętych jodłami zachodnich wzgórz i świszcział pośród topoli. Pojedyncza jasna gwiazda zawisła nad sadem, a świetliki przemykały nad Aleją Zakochanych, wlatując i wylatując spomiędzy paproci i szeleszczących konarów. Ania obserwowała je w trakcie rozmowy i czuła, że wiatr, gwiazdy i świetliki splotły się razem w coś niewyraźalnie słodkiego i urzekającego.

— Och, Marylo, spędziłam naprawdę fantastyczny czas. Czuję, że nie żyłam na próżno i już zawsze będę tak czuć, nawet jeśli nigdy więcej nie zostanę zaproszona na herbatę na plebanii. Kiedy tam dotarłam, pani Allan przywitała mnie w drzwiach. Miała na sobie przepiękną sukienkę z bladoróżowej organdy, z mnóstwem falbanek i rękawami do łokci; wyglądała zupełnie jak serafin. Marylo, naprawdę myślę, że chciałabym zostać żoną pastora, kiedy dorosnę. Pastorowi nie przeszkadzałyby moje rude włosy, bo nie myślałby w ogóle o takich rzeczach. Ale wtedy oczywiście trzeba być z natury dobrym, a ja taka nigdy nie będę, więc przypuszczam, że nie ma sensu o tym myśleć. Niektórzy ludzie są

naturalnie dobrzy, a inni nie. Ja należę do tych drugich. Pani Linde mówi, że jestem pełna grzechu pierworodnego. Nieważne, jak bardzo staram się być dobra, nigdy nie odniosę w tym takiego sukcesu jak ci, którzy są dobrzy z natury. To pewnie tak jak z geometrią. Ale czy nie uważasz, że samo usilne staranie powinno się liczyć? Pani Allan należy do tych naturalnie dobrych ludzi. Kocham ją namiętnie. Wiesz, są tacy ludzie, jak Mateusz i pani Allan, których można pokochać od razu, bez żadnego wysiłku. Ale są też inni, jak pani Linde, których trzeba bardzo mocno starać się kochać. Wiesz, że powinno się ich kochać, bo tak dużo wiedzą i gorliwie pracują dla dobra kościoła, ale musisz sobie o tym cały czas przypominać, bo inaczej zapominasz. Na herbacie była jeszcze jedna dziewczynka, ze szkoły niedzielnej w Białych Piaskach. Nazywała się Lauretta Bradley i była bardzo miła. Niezupełnie pokrewna dusza, ale mimo to bardzo miła. Zjadłyśmy wykwintny podwieczorek i myślę, że całkiem dobrze przestrzegałam wszystkich zasad etykiety. Po herbacie pani Allan grała i śpiewała, a potem namówiła Laurettę i mnie, żebyśmy też zaśpiewały. Pani Allan mówi, że mam dobry głos i że od teraz powinnam śpiewać w chórze szkoły niedzielnej. Nie masz pojęcia, jak zadrżałam na samą myśl o tym. Bardzo pragnęłam śpiewać w chórze, tak jak Diana, ale bałam się, że to zaszczyt, na który nigdy nie zasłużę. Lauretta musiała wyjść wcześniej, bo dziś wieczorem w hotelu w Białych Piaskach jest wielki koncert i jej siostra ma na nim recytować. Powiedziała też, że Amerykanie z hotelu co dwa tygodnie dają koncert na rzecz szpitala w Charlottetown i proszą wielu ludzi z Białych Piasków o udział w recytacji. Lauretta wyraziła nadzieję, że pewnego dnia i ona zostanie o to poproszona. Patrzyłam na nią z nabożną czcią. Gdy już poszła, odbyłyśmy z panią Allan szczerą rozmowę. Opowiedziałam jej o wszystkim: o pani Thomas i bliźniakach, o Katie Maurice i Violetcie, o przyjeździe na Zielone Wzgórze i moich kłopotach z geometrią. Marylo, dasz wiarę, że pani Allan przyznała się, iż także była osłem z geometrii. Nie masz pojęcia, jak mnie to pocieszyło! Pani Linde przyszła na plebanie tuż przed moim wyjściem. Zdradziła, że kuratorzy zatrudnili nową nauczycielkę i jest to kobieta. Nazywa się panna Muriel Stacy. Czyż to nie romantyczne imię? Pani Linde mówi, że nigdy wcześniej nie mieli w Avonlea nauczycielki i uważa, że to niebezpieczna innowacja. Ale ja myślę, że to będzie wspaniale mieć panią nauczycielkę i naprawdę nie wiem, jak przeżyję te dwa tygodnie do rozpoczęcia szkoły. Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

ROZDZIAŁ XXIII

HONOR ANI WYSTAWIONY NA PRÓBĘ

Jak się okazało, Ania musiała przeżyć znacznie więcej niż dwa tygodnie. Minął już prawie miesiąc od przygody z tortem z krolami przeciwbólowymi, był więc najwyższy czas, żeby wpakowała się w jakieś nowe tarapaty. Drobne pomyłki — takie jak nieumyślne wylanie miski z wydojonym mlekiem do koszyka z kłębkami wełny w spiżarni, zamiast do wiadra dla świń, czy też upadek prosto z mostka do strumienia podczas radosnych seansów wyobraźni — w ogóle się nie liczyły.

Tydzień po podwieczorku na plebanii Diana Barry urządziła przyjęcie.

— Skromne, ale elitarne — zapewniała Marylę Ania. — Tylko dziewczęta z naszej klasy.

Bawiły się wybornie i nic złego nie wydarzyło się aż do momentu, kiedy dziewczynki wypily herbatę, po czym znalazły się w ogrodzie Barrych, nieco znużone gram i gotowe na każdą psotę, jaka mogłaby przyjść im do głowy. Przybrała ona niebawem postać „wyzwań”. Wyzwania były wówczas modną rozrywką wśród dzieci z Avonlea. Zaczęło się od chłopców, lecz wkrótce moda ta przeszła na dziewczęta. Spisanie wszystkich niedorzeczności, jakich dopuszczono się tego lata w Avonlea tylko dlatego, że sprawcy podjęli rzuconą im rękawicę, zajęłyby osobną książkę.

Najpierw Carrie Sloane wyzwala Ruby Gillis, by ta wspięła się na określoną wysokość ogromnej, starej wierzy, rosnącej przed frontowymi drzwiami. Ruby Gillis, choć śmiertelnie bała się tłustych, zielonych gąsienic, od których roilo się na drzewie, i bała się gniewu matki w razie porwania nowej, muślinowej sukienki, uczyniła to ze zwinnością, wprowadzając wspomnianą Carrie Sloane w konsternację. Następnie Josie Pye wyzwala Jane Andrews, by ta obskoczyła ogród na lewej nodze, ani razu się nie zatrzymując i nie

dotykając prawą stopą ziemi. Jane Andrews dzielnie podjęła próbę, lecz poddała się przy trzecim narożniku i musiała uznać swoją porażkę.

Josie okazywała swój triumf nieco bardziej ostentacyjnie, niż pozwalał na to dobry smak, więc Ania Shirley rzuciła jej wyzwanie, aby przeszła po górnej krawędzi płotu z desek, który od wschodu okalał ogród. Chodzenie po płotach wymagało większej zręczności, a także koncentracji głowy i stóp, niż mógłby przypuszczać ktoś, kto nigdy tego nie próbował. Jednak Josie Pye, choć brakowało jej pewnych cech zjednujących sympatię, posiadała przynajmniej naturalny, wrodzony i odpowiednio wyćwiczony talent do chodzenia po płotach. Josie przeszła po ogrodzeniu Barrych z lekkością i obojętnością, jakby chciała dowiedzieć, że tak błaha rzecz nie była nawet warta wyzwania. Jej wyczyn spotkał się z niechętnym podziwem — większość dziewcząt potrafiło to docenić, gdyż same nieraz uciertały podczas prób chodzenia po płotach. Josie zeszła z płotu rozpromieniona zwycięstwem i obdarzyła wyzywającym spojrzeniem Anię, która odrzuciła do tyłu swoje rude warkocze.

— Nie sądzę, by przejście po takim niskim płotku było czymś nadzwyczajnym — rzekła. — Znałam w Marysville dziewczynę, która potrafiła chodzić po kalenicy²³ dachu.

— Nie wierzę — ucięła krótko Josie. — Nie wierzę, by ktokolwiek potrafił chodzić po kalenicy. Ty na pewno byś tego nie potrafiła.

— Ja bym nie potrafiła? — uniosła się Ania.

— W takim razie rzucam ci wyzwanie — odrzekła hardo Josie. — Wyzygam cię, żebyś weszła tam i przeszła po kalenicy dachu nad kuchnią pana Barry'ego.

Ania pobladła, lecz było jasne, że ma tylko jedno wyjście. Ruszyła w stronę domu, gdzie o dach kuchni stała oparta drabina. Wszystkie dziewczęta z piątej klasy wydały z siebie okrzyk: „Och!”, częściowo z ekscytacji, a częściowo z przerażenia.

— Nie rób tego, Aniu — błagała Diana. — Spadniesz i się zabijesz. Nie zwracaj uwagi na Josie Pye. To nieuczciwe rzucać komuś tak niebezpieczne wyzwanie.

— Muszę to zrobić, Diano. Mój honor został wystawiony na próbę — odparła uroczyście Ania. — Przejdę po tej kalenicy albo zginę, próbując. Jeśli spotka mnie śmierć, otrzymasz mój pierścionek z perłowych koralików.

Ania wspięła się po drabinie pośród pełnej napięcia ciszy, dotarła do krawędzi dachu, złapała równowagę na tym niepewnym oparciu i zaczęła iść, czując zawroty głowy i mając tę nieprzyjemną świadomość, że znajduje się bardzo wysoko nad ziemią, a chodzenie po dachu to umiejętność, w której wyobraźnia niewiele pomaga. Niemniej zdołała zrobić kilka kroków, zanim nastąpiła katastrofa. W pewnym momencie zachwiała się, straciła równowagę i spadła, zsuwając się po rozgrzanym słońcem dachu, by z hukiem runąć w gęszcz dzikiego wina, które rosło poniżej. Wszystko to stało się, zanim przerażone dziewczęta na dole zdołały wydać z siebie wspólny, paniczny krzyk.

Gdyby Ania spadła z tej strony dachu, po której wchodziła, Diana prawdopodobnie od razu stałaby się dziedziczką pierścionka. Na szczęście Ania spadła na drugą stronę, gdzie dach ciągnął się nad werandą tak nisko nad ziemią, że upadek stamtąd okazał się znacznie mniej groźny. Niemniej jednak, kiedy Diana i reszta dziewcząt popędziły rozpaczliwie wokół domu — z wyjątkiem Ruby Gillis, która stanęła jak wryta i wpadła w histerię — znalazły Anię leżącą, bladą i bezwładną, pośród gęszczy stratowanego dzikiego wina.

— Aniu, czy ty żyjesz? — krzyknęła Diana, rzucając się na kolana obok przyjaciółki. — Och, Aniu, droga Aniu, powiedz choć jedno słowo, powiedz, czy żyjesz!

Ku ogromnej uldze wszystkich dziewcząt, a zwłaszcza Josie Pye, którą — mimo braku wyobraźni — nawiedziła straszna wizja przyszłości z piętnem dziewczyny, która doprowadziła do przedwczesnej i tragicznej śmierci koleżanki, Ania usiadła z wysiłkiem i odpowiedziała niepewnie:

— Nie, Diano, nie zginęłam, ale sądzę, że jestem nieprzytomna.

— Gdzie? — szlochała Carrie Sloane. — Och, gdzie, Aniu?

Zanim Ania zdążyła odpowiedzieć, na miejscu pojawiła się pani Barry. Na jej widok Ania próbowała zerwać się na równe nogi, lecz opadła z powrotem, wydając z siebie krótki, ostry okrzyk bólu.

²³kalenica — najwyżej położona linia dachu; miejsce, w którym zbiegają się połacie dachowe. [przypis edytorski]

— Co się stało? Gdzie się uderzyłaś? — zapytała pani Barry.

— W kostkę — wykrztusiła Ania. — Diano, proszę, znajdź twojego tatę i poproś, żeby zabrał mnie do domu. Sama nigdy tam nie dojdę i jestem pewna, że nie dam też rady skakać tak daleko na jednej nodze, skoro Jane nie potrafiła nawet obskoczyć ogrodu.

Maryla była właśnie w sadzie, gdzie zbierała do miski letnie jabłka, kiedy zobaczyła pana Barry'ego, jak idzie przez mostek i wspina się pod górę, z panią Barry u boku i całym korowodem dziewczynek ciągnącym się za nim. Na rękach niósł Anię, której głowa spoczywała bezwładnie na jego ramieniu.

W tej chwili Maryla doznała olśnienia. W nagłym ułkuciu strachu, który przeszył jej serce, uświadomiła sobie, kim stała się dla niej Ania. Wcześniej wiedziała, że lubi Anię — ba, że bardzo ją kocha. Ale teraz, biegnąc w dół zbocza, wiedziała, że Ania jest jej droższa niż cokolwiek innego na świecie.

— Panie Barry, co się stało? — wykrztusiła opanowana i roztropna zwykle kobieta, teraz błada i bardziej wstrząśnięta niż kiedykolwiek.

Ania sama odpowiedziała, unosząc głowę.

— Marylo, nie lękaj się. Chodziłam po kalenicy dachu i spadłam. Myślę, że skręciłam kostkę. Ale równie dobrze mogłam skręcić kark. Spójrzmy na jasną stronę życia.

— Pozwalając ci pójść na to przyjęcie, mogłam się spodziewać, że zrobisz sobie coś takiego — powiedziała Maryla, szorstko i zrzędliwie, żeby zamaskować ulgę. — Panie Barry, proszę ją wnieść tutaj i położyć na sofie. Miłosierny Boże, to dziecko zemdłało!

To była prawda. Zmożona bólem Ania doczekała się spełnienia kolejnego ze swoich życzeń. Zemdlała na dobre.

Mateusz, pośpiesznie wezwany z pola, został natychmiast wysłany po lekarza, który przybył w stosownym czasie i odkrył, że uraz jest poważniejszy, niż przypuszczali. Kostka Ani była złamana.

Tego wieczoru, kiedy Maryla weszła na poddasze, gdzie leżała błada dziewczynka, z łóżka dobiegł ją żalospny głos.

— Marylo, czy bardzo mnie żalujesz?

— To była wyłącznie twoja wina — odparła Maryla, zaciągając roletę i zapalając lampę.

— I właśnie dlatego powinnaś mnie żałować — rzekła Ania — bo właśnie świadomość, że to wszystko moja wina, sprawia, że jest mi ciężko. Gdybym mogła obwinić kogoś innego, czułabym się znacznie lepiej. Ale co ty byś zrobiła, Marylo, gdyby ktoś rzucił ci wyzwanie przejścia po kalenicy?

— Zostałabym na stałym, bezpiecznym gruncie i pozwoliłabym im wyzywać mnie do woli. Co za niedorzeczność! — skwitowała Maryla.

Ania westchnęła.

— Marylo, ależ ty masz silną wolę. Ja tak nie potrafię. Po prostu czułam, że nie zniosę pogardy Josie Pye. Triumfowałyby nade mną przez całe życie. Myślę, że zostałam już na tyle dotkliwie ukarana, że nie musisz się na mnie bardzo gniewać. Omdlenie wcale nie jest takie miłe, jak myślałam. A lekarz sprawił mi wiele bólu, składając kostkę. Nie będę mogła chodzić przez sześć lub siedem tygodni i ominie mnie spotkanie z nową nauczycielką. Zanim będę w stanie pójść do szkoły, ona nie będzie już nowa. I Gil... wszyscy w klasie mnie wyprzedzą. Oj, jestem nieszczęsną śmiertelniczką. Ale postaram się znieść to wszystko mężnie, jeśli tylko nie będziesz na mnie zła.

— No już dobrze, nie jestem zła — powiedziała Maryla. — Jesteś pechowym dzieckiem, co do tego nie ma wątpliwości; ale jak sama mówisz, to ty będziesz cierpieć. Proszę, spróbuj zjeść kolację.

— Czyż to nie jest szczęście, że mam taką wyobraźnię? — spytała Ania. — Myślę, że ona pomoże mi przejść przez to suchą stopą. Jak myślisz, Marylo, co robią ludzie ze złamanymi kośćmi, którzy nie mają wyobraźni?

W trakcie kolejnych siedmiu żmudnych tygodni Ania miała powody, by wielokrotnie dziękować Bogu za swoją wyobraźnię. Lecz nie musiała polegać wyłącznie na niej. Miała wielu gości i nie było dnia, żeby któraś z koleżanek ze szkoły nie wpadła z kwiatami czy książkami, by zdać relację ze wszystkich wydarzeń z młodzieńczego świata Avonlea.

— Marylo, wszyscy byli tacy dobrzy i uprzejmi — westchnęła szczęśliwa Ania w dniu, w którym po raz pierwszy mogła pokuśtykać na drugą stronę pokoju. — Leżenie w łóż-

ku nie jest zbyt przyjemne, ale ma swoją jasną stronę. Można się dowiedzieć, jak wielu ma się przyjaciół. Wyobraź sobie, że nawet pan Bell przyszedł mnie odwiedzić, a to naprawdę bardzo zacny człowiek. Oczywiście nie jest to pokrewna dusza, niemniej lubię go i strasznie mi przykro, że kiedyś krytykowałam jego modlitwy. Teraz wierzę, że naprawdę mówi to, co myśli, tylko wpadł w nawyk odmawiania modlitw tak, jakby wcale mu nie zależało. Mógłby to zmienić, gdyby tylko zadał sobie trochę trudu. Dałam mu dość wyraźną wskazówkę. Powiedziałam, jak bardzo staram się, by moje własne prywatne modlitwy były interesujące. A on opowiedział mi o tym, jak sam złamał kostkę, gdy był chłopcem. To takie dziwne myśleć o panu Bellu jako o chłopcu. Nawet moja wyobraźnia ma swoje granice, bo tego nie potrafię sobie wyobrazić. Kiedy próbuję sobie wyobrazić pana Bella jako chłopca, widzę go z siwymi bakami i w okularach, dokładnie tak jak wygląda w szkółce niedzielnej, tylko mniejszego. Za to tak łatwo jest wyobrazić sobie panią Allan jako małą dziewczynkę. Pani Allan odwiedziła mnie czternaście razy. Czy to nie powód do dumy, Marylo? Przecież żona pastora ma tyle obowiązków! Jest też taka radosna, gdy kogoś odwiedza. Nigdy nie mówi, że to moja wina i że ma nadzieję, iż stanę się przez to lepszą dziewczynką. Pani Linde zawsze mi to powtarzała, i to w taki sposób, że czułam, iż może ma nadzieję na moją poprawę, ale w nią nie wierzy. Nawet Josie Pye mnie odwiedziła. Przyjęłam ją tak uprzejmie, jak tylko umiałam, bo myślę, że było jej przykro, iż to ona rzuciła mi wyzwanie z chodzeniem po dachu. Gdybym zginęła, musiałaby dźwigać ciężkie brzemie wyrzutów sumienia przez całe życie. Diana była moją wierną towarzyszką. Przychodziła codziennie, by pocieszyć mnie w samotności na łożu boleści. Ale bardzo się ucieszę, kiedy będę mogła pójść do szkoły, bo słyszałam ekscytujące nowiny o nowej nauczycielce. Wszystkie dziewczęta uważają, że jest przemiła. Diana mówi, że ma cudowne, jasne, kręcone włosy i fascynujące oczy. Ubiera się przepięknie, a jej bufki przy rękawach nie mają sobie równych w całym Avonlea. W co drugi piątek popołudniu urządza recytacje i każdy musi wygłosić wiersz lub wziąć udział w dialogu. To jest takie wspaniałe. Josie Pye mówi, że tego nienawidzi, ale to dlatego, że ma tak słabą wyobraźnię. Diana, Ruby Gillis i Jane Andrews przygotowują na przyszły piątek dialog pod tytułem „Poranna wizyta”. A w piątkowe popołudnie, kiedy nie ma recytacji, panna Stacy zabiera wszystkich do lasu na „lekcje w terenie”, podczas których badają paprocie, kwiaty i ptaki. Do tego co rano i wieczorem mają ćwiczenia z kultury fizycznej. Pani Linde mówi, że nigdy nie słyszała o takich cudach i że to wszystko przez to, że nauczycielką jest kobieta. Ale ja myślę, że to musi być cudowne i wierzę, że panna Stacy okaże się moją pokrewną duszą.

— Jedno widać wyraźnie, Aniu — powiedziała Maryla. — Upadek z dachu Barrych w żaden sposób nie zaszkodził twojemu językowi.

ROZDZIAŁ XXIV

PANNA STACY I JEJ UCZNIOWIE PRZYGOTOWUJĄ KONCERT

Był znów październik, kiedy Ania mogła wreszcie wrócić do szkoły — wspaniały październik, cały w czerwieni i złocie, z łagodnymi porankami, podczas których doliny wypełniały się delikatnymi mgłami, jak gdyby duch jesieni nalał je tam, by napoić słońce — miały one kolory ametystu, pereł, srebra, różu i przydymionego błękitu. Rosy były tak obfite, że całe pola lśniły niczym srebrna tkanina, zaś w dolinach wielopiennych lasów ścieliły się takie dywany z szeleszczących liści, że aż miło było przez nie kroczyć. Brzozowa Ścieżka zamieniła się w żółty baldachim, a paprocie rosnące wzdłuż niej stały się rudawe i brązowe. W samym powietrzu czuć było mocne orzeźwienie, które dodawało skrzydeł młodym panienkom, pędzącym — bynajmniej nie ślimaczym tempem, lecz chyżo i chętnie — do szkoły. Jakże miło było znów zasiąść przy małym, brązowym pulpicie obok Diany — zobaczyć, jak Ruby Gillis kiwa głową zza przejścia między ławkami, jak Carrie Sloane przesyła liściki, a Julia Bell podaje z ostatniej ławki kawałek gumy do żucia. Ostrząc ołówek i układając obrazki w pulpicie, Ania westchnęła głęboko ze szczęścia. Życie z pewnością było niezwykle interesujące.

W nowej nauczycielce znalazła kolejną prawdziwą i pomocną przyjaciółkę. Panna Stacy była bystrą, pełną empatii, młodą kobietą, która posiadała rzadki dar zjednywania sobie

Jesień

i utrzymywania sympatii uczniów oraz wydobywania z nich tego, co najlepsze pod względem intelektualnym i moralnym. Pod jej zbawiennym wpływem Ania rozkwitała niczym kwiat i przynosiła do domu, wywołując zachwyty Mateusza i krytyczne uwagi Maryli, płomienne sprawozdania ze szkolnych zajęć i zamierzeń.

— Marylo, kocham pannę Stacy całym swym sercem. Jest wielce dystygowana i ma taki słodki głos. Kiedy zwraca się do mnie, czuję instynktownie, że powie „Aniu”. Dzisiaj recytowałyśmy poezję. Żałuję, że nie mogłaś tam być i usłyszeć, jak recytuję *Marię, królową Szkotów*. Włożyłam w to całą duszę. Ruby Gillis powiedziała mi w drodze do domu, że gdy wypowiadałam słowa: „Teraz po broń mojego ojca”, a potem: „Żegnaj, kobiecie moje serce”, przeszywał ją lodowaty dreszcz.

— Mogłabyś mi to kiedyś wyrecytować w stodole — zasugerował Mateusz.

— Oczywiście, że tak zrobię — odrzekła w zamyśleniu Ania — ale nie sądzę, bym mogła to zrobić równie dobrze. Trudno o równie wielką ekscytację, gdy masz przed sobą całą klasę, która z zapartym tchem łowi każde twoje słowo. Obawiam się, że ciebie żaden dreszcz nie przeszyje.

— Pani Linde wyznała, że jej także krew ścięła się w żyłach na widok chłopców wspinających się w ubiegły piątek na sam szczyt tych wielkich drzew na wzgórzu Bella w poszukiwaniu wronich gniazd — powiedziała Maryla. — Dziwię się pannie Stacy, że ich do tego zachęca.

— Wronie gniazdo było nam potrzebne na lekcję przyrody — wyjaśniła Ania. — To było podczas jednej z naszych popołudniowych wycieczek. Lekcje w terenie są wspinałe, Marylo. Panna Stacy tak pięknie wszystko tłumaczy. Musimy pisać sprawozdania z naszych wypraw i moje są najlepsze.

— To wielka próżność chwalić się w ten sposób. Pozwól lepiej, żeby to nauczycielka oceniła.

— Ależ to są jej słowa, Marylo. I doprawdy, wcale nie czyni mnie to próżną. Jakże mogłabym być próżna, skoro taki ze mnie osioł z geometrii? Choć prawdę mówiąc, zaczynam już z niej co nieco rozumieć. Panna Stacy tak dobrze tłumaczy. Mimo to nigdy nie będę dobra z geometrii i zapewniam cię, że ta myśl napędza mnie poczuciem upokorzenia. Za to uwielbiam pisać wypracowania. Przeważnie panna Stacy pozwala nam wybierać tematy, ale w przyszłym tygodniu mamy napisać o jakiejś wybitnej osobie. Trudno wybrać spośród tylu wybitnych ludzi, którzy żyli na świecie. Czyż to nie wspinałe: być wybitnym i mieć świadomość, że ktoś będzie pisał o tobie wypracowania po twojej śmierci? Och, bardzo chciałabym być wybitna. Myślę, że kiedy dorosnę, zostanę dyplomowaną pielęgniarką i wyruszę z Czerwonym Krzyżem na pole walki jako posłaniec miłosierdzia. To znaczy, jeśli nie zostanę misjonarką w dalekich krajach. Taka posługa byłaby niezwykle romantyczna: żeby być misjonarką, trzeba być bardzo dobrą, a to stanowi dla mnie pewną przeszkodę. Codziennie mamy też ćwiczenia z kultury fizycznej. Dodają one wdzięku i wspomagają trawienie.

— To kolejne bzdury! — fuknęła Maryla, która uważała to wszystko za szczyry nonsens.

Jednak te wszystkie zajęcia w terenie, piątkowe recytacje poezji oraz ćwiczenia natury fizycznej były niczym wobec projektu, który panna Stacy przedstawiła w listopadzie. Otóż uczniowie szkoły w Avonlea mieli za zadanie przygotować koncert i wystawić go w świetlicy w noc Bożego Narodzenia, z chwalebą intencją zebrania funduszy na sztandar dla szkoły. Uczniowie jednomyślnie przystali na ten plan i natychmiast rozpoczęły się przygotowania. A spośród wszystkich podekscytowanych wykonawców nikt nie był tak przejęty jak Ania Shirley, która oddała temu przedsięwzięciu całą duszę i ciało, mimo dezaprobaty Maryli. Maryla uważała to za czystą głupotę.

— To nic innego, jak tylko nabijanie wam głów głupstwami i zabieranie czasu, który powinniście poświęcić na naukę — zrzędziła. — Nie pochwalam tego, żeby dzieci urządziły koncerty i latały na próby. Przez to stają się próżne, zuchwałe i skore do włóczęgi.

— Ależ, Marylo, pomyśl o zbożnym celu — błagała Ania. — Sztandar będzie pielęgnował ducha patriotyzmu, Marylo.

— Brednie! Nie macie za grosz patriotyzmu w głowach. Chodzi wam tylko o zabawę.

— No cóż, skoro można połączyć patriotyzm z zabawą, to czy nie jest to właściwe? Oczywiście, że przygotowywanie koncertu jest bardzo miłe. Planujemy zaśpiewać sześć

pieśni chórem, a Diana wystąpi solo. Ja biorę udział w dwóch dialogach: „Towarzystwo na rzecz Zwalczenia Plotek” i „Królowa Elfów”. Chłopcy też będą mieli swój dialog. A ja swoje dwie recytacje, Marylo. Drzę na samą myśl o tym, ale to taki miły, ekscytujący dreszcz. A zwieńczeniem będzie żywy obraz: „Wiara, Nadzieja i Miłość”. Diana, Ruby i ja mamy w nim wystąpić, wszystkie spowite w biel, z rozpuszczonymi włosami. Ja mam być Nadzieją, z dłońmi splecionymi, o tak, i oczami wzniesionymi ku górze. Będę ćwiczyć poezję na poddaszu. Nie przeraż się, jeśli usłyszysz jęki. W jednej z nich muszę jęczeć rozdzierająco, a wydobyć z siebie naprawdę artystycznego jęku jest bardzo trudne, Marylo. Josie Pye dąsa się, bo nie dostała w dialogu roli, na której jej zależało. Chciała być królową elfów. To byłoby śmieszne, bo kto to słyszał, żeby królowa elfów była tak gruba jak Josie? Królowe elfów muszą być smukłe. Jane Andrews będzie królową, a ja jedną z jej dam dworu. Josie mówi, że rudowłosy elf jest tak samo śmieszny jak gruby, ale ja nie zważam na to, co mówi Josie. Będę miała wianek z białych róż we włosach, a Ruby Gillis pożyczy mi swoje pantofelki, bo nie mam własnych. Elfy koniecznie muszą mieć pantofelki, sama rozumiesz. Trudno byłoby sobie wyobrazić elfa w trzewikach, nieprawdaż? Zwłaszcza w takich, które mają miedziane noski. Zamierzamy udekorować salę świerkowymi i jodłowymi gałęziami, w które wpleciemy napisy z różami z różowej bibułki. A kiedy publiczność już usiadzie, wejdziemy na salę parami, przy akompaniamencie Emmy White, która będzie grać marsza na organach. Och, Marylo, wiem, że nie jesteś tym tak zachwycona jak ja, ale czy nie czujesz w głębi nadziei, że twoja mała Ania wyróżni się na tle innych dziewczyn?

— Mam tylko nadzieję, że będziesz się przyzwyczaić zachowywać. Będę szczęśliwa, gdy całe to zamieszanie się skończy, a ty wreszcie spoważniejesz. Jesteś teraz do niczego, z głową wypchaną dialogami, jękami i żywymi obrazami. A co do twojego języka, to cud, że jeszcze całkiem się nie zużył.

Ania westchnęła i wyszła na podwórze, nad którym młody nów świecił przez bezlistne gałęzie topoli na tle jabłkowo-zielonego zachodniego nieba. Mateusz rąbał tam drwa. Ania usadowiła się na kłocu drewna i zaczęła opowiadać mu o koncercie, pewna, że przynajmniej w tym przypadku znajdzie wdzięcznego i pełnego zrozumienia słuchacza.

— No cóż, myślę, że to będzie całkiem dobry koncert. I spodziewam się, że swoją rolę odegrasz wyśmienicie — powiedział, uśmiechając się do jej rozpromienionej, pełnej życia buzi. Ania odwzajemniła uśmiech. Byli najlepszymi przyjaciółmi i Mateusz nieraz dziękował losowi, że nie miał nic wspólnego z jej wychowaniem. To był wyłączny obowiązek Maryli; gdyby należał do niego, bez przerwy targałyby nim konflikty między sercem a wspomnianym obowiązkiem. W tej sytuacji mógł „psuć Anię”, jak mawiała Maryla, ile tylko dusza zapagnie. Nie był to wcale taki zły układ: odrobina uznania działa czasem równie dobrze, jak całe sumienne wychowanie tego świata.

ROZDZIAŁ XXV

MATEUSZ UPIERA SIĘ PRZY BUFIASTYCH RĘKAWACH

Mateusz przeżywał właśnie niezwykle trudne dziesięć minut. Wszedł do kuchni o zmierzchu pewnego zimnego, szarego, grudniowego wieczoru i usiadł w kącie przy skrzyni na drwa, by zdjąć ciężkie buty, nieświadomy faktu, że Ania wraz z gromadką koleżanek odbywa w salonie próbę „Królowej Elfów”. Po chwili dziewczęta przemaszerowały przez hol do kuchni, śmiejąc się i rozmawiając wesoło. Nie zauważyły Mateusza, który spłoszony usunął się w cień za skrzynię, z butem w jednej ręce i prawidłem w drugiej. Przez wspomniane dziesięć minut przyglądał im się nieśmiało, gdy wkładały czapki i kurtki, rozmawiając o dialogu i koncercie. Ania stała pośród nich, z roziskrzonymi oczami i równie ożywiona jak one. Lecz Mateusz nagle uświadomił sobie, że jest w niej coś, co odróżnia ją od rówieśniczek. Tym, co go zaniepokoiło, było wrażenie, że ta różnica nie powinna się w ogóle zdarzyć. Ania miała jaśniejszą twarz, większe, bardziej promienne oczy i delikatniejsze rysy niż pozostałe dziewczęta. Nawet nieśmiały, mało spostrzegawczy Mateusz nauczył się zwracać uwagę na takie rzeczy. Jednak różnica, która go trapiła, nie dotyczyła żadnej z tych rzeczy. W czym zatem tkwiła? Pytanie to prześladowało Mateusza długo po tym, jak koleżanki wyszły pod rękę długą, zamarzniętą aleją, zaś Ania zabrała się do książek. Nie mógł o to zapytać Maryli, gdyż wiedział, że ona z pewnością

prychnie pogardliwie i zauważy, iż jedyną różnicą między Anią a resztą dziewczyn jest to, że one czasem trzymają język za zębami, natomiast Ania nigdy. Mateusz czuł, że taka odpowiedź na niewiele się zda.

Tego wieczoru, ku wielkiemu niezadowoleniu Maryli, sięgnął po fajkę, żeby pomogła mu to rozważyć. Po dwóch godzinach palenia i głębokiego namysłu Mateusz znalazł rozwiązanie zagadki. Ania nie była ubrana tak jak inne dziewczęta! Im dłużej Mateusz o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Ania nigdy nie ubierała się jak inne dziewczęta — nigdy, odkąd przybyła na Zielone Wzgórze. Maryla ubierała ją w proste, ciemne sukienki, wszystkie szyte według tego samego, niezmiennego wzoru. Mateusz niemal wcale nie orientował się w modzie, był jednak pewien, że rękawy Ani nie wyglądały w ogóle tak jak te, które nosiły inne dziewczęta. Przypomniawszy sobie grupkę koleżanek zebranych wokół niej tego wieczoru — wszystkie w barwnych bluzkach: czerwonych, niebieskich, różowych i białych — i zastanawiał się, dlaczego Maryla ubiera ją tak prosto i skromnie. Oczywiście, na pewno tak było właściwie. Maryla wiedziała najlepiej, to ona ją wychowywała. Zapewne był w tym jakiś mądry, niezgłębiony motyw. Ale przecież nie byłoby nic złego w tym, gdyby dziecko miało choć jedną ładną sukienkę — taką jak te, które nosiła Diana Barry. Mateusz zdecydował, że sam jej taką sprawi — w tym przypadku nikt nie może mu zarzucić niepotrzebnego wtrącania się. Do Bożego Narodzenia zostały tylko dwa tygodnie. Nowa, ładna sukienka byłaby w sam raz na prezent. Mateusz z westchnieniem ulgi odłożył fajkę i poszedł spać, podczas gdy Maryla pootwierała wszystkie drzwi, by przewietrzyć dom.

Już następnego dnia Mateusz udał się do Carmody, by kupić materiał, zdecydowany przejść przez to, co najgorsze, i mieć to z głowy. Czuł, że czeka go niełatwa próba. Były takie rzeczy, które Mateusz potrafił kupować, okazując się wcale nienajgorszym klientem. Wiedział jednak, że w przypadku zakupu sukienki dla dziewczynki będzie zdany na łaskę i niełaskę sklepikarzy.

Po długim namyśle Mateusz postanowił pójść do sklepu Samuela Lawsons, zamiast do Williama Blaira. Co prawda Cuthbertowie od zawsze chodzili do Blaira; było to dla nich kwestią sumienia, niemal taką jak uczęszczanie do kościoła prezbiteriańskiego²⁴ i głosowanie na konserwatystów. Jednak w sklepie Blaira często obsługiwały jego dwie córki, a ich Mateusz bał się śmiertelnie. Potrafił sobie z nimi poradzić, kiedy dokładnie wiedział, czego potrzebuje i mógł to wskazać palcem, ale w takiej sprawie, wymagającej wyjaśnień i porady, Mateusz czuł, że musi mieć do czynienia z mężczyzną. Poszedł więc do Lawsons, gdzie obsługiwałby go Samuel lub jego syn.

Niestety! Mateusz nie wiedział, że Samuel, w związku z niedawnym rozwojem interesu, zatrudnił ekspedientkę. Była to siostrzenica jego żony, osoba niezwykle szykowna, z ogromną, opadającą fryzurą w stylu pompadour, wielkimi, rozbieganymi, brązowymi oczami i szerokim, wręcz oszalamiającym uśmiechem. Ubierała się z niezwykłą elegancją i nosiła mnóstwo brzęczących bransoletek, które lśniły i dzwoniły przy każdym ruchu jej dłoni. Mateusz na sam jej widok poczuł się doszczętnie zmieszany, a te bransoletki jednym zamachem ręki odebrały mu resztki rozsądku.

— Czym mogę panu dzisiaj służyć, panie Cuthbert? — zapytała dziarsko i z sympatią w głosie panna Lucilla Harris, stukając obiema dłońmi o ladę.

— Czy ma pani... no cóż... powiedzmy, jakieś grabie ogrodowe? — wydukał Mateusz.

Panna Harris wyglądała na nieco zaskoczoną — trudno było się zdziwić, słysząc, jak mężczyzna pyta o grabie ogrodowe w połowie grudnia.

— Sądę, że została nam jedna lub dwie sztuki — odparła — ale są na górze w magazynie. Pójdę sprawdzić.

Podczas jej nieobecności Mateusz zbierał rozproszone zmysły do kolejnego wysiłku.

Gdy panna Harris wróciła z grabiami i wesoło zapytała: „Czy coś jeszcze, panie Cuthbert?”, Mateusz zebrał się na odwagę i odpowiedział:

— No cóż, skoro pani pyta, mógłbym też... wziąć... to znaczy... obejrzeć... kupić trochę... nasion trawy.

²⁴prezbiterianie — protestantyzmu charakteryzujący się ustrojem opartym na kolegialnej władzy zgromadzeń prezbiterów, czyli starszych zborów; powstały w XVI w. w Szkocji w wyniku sprzeciwu wobec władzy biskupów w Kościele anglikańskim. [przypis edytorski]

Panna Harris wiedziała, że Mateusz Cuthbert uchodzi za dziwaka. Teraz doszła do wniosku, że jest kompletnym szaleńcem.

— Nasiona trawy mamy tylko na wiosnę — wyjaśniła wyniośle. — W tej chwili nie mamy ich na składzie.

— Och, oczywiście... oczywiście... tak jak pani mówi — wybąkał nieszczęsny Mateusz, chwytając grabie i ruszając do wyjścia. U progu przypomniał sobie, że nie zapłacił za nie i zawrócił strapiiony. Kiedy panna Harris wyliczała resztę, podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę.

— No cóż... jeśli to nie sprawi zbyt wielkiego kłopotu... mógłbym też... to znaczy... chciałbym obejrzeć... trochę cukru.

— Białego czy brązowego? — zapytała cierpliwie panna Harris.

— Aha... no tak... brązowego — odrzekł słabym głosem Mateusz.

— Tam stoi beczka — rzekła panna Harris, pobrzękując w jej stronę bransoletkami. — To jedyny rodzaj, jaki mamy.

— Wezmę... dziewięć kilogramów — poprosił Mateusz, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

Mateusz ujechał połowę drogi do domu, zanim odzyskał panowanie nad sobą. Było to makabryczne doświadczenie, ale pomyślał, że należało mu się za dopuszczenie się herezji i pójście do obcego sklepu. Po powrocie do domu schował grabie w szopie na narzędzia i zaniósł cukier siostrze.

— Brązowy cukier! — wykrzyknęła Maryla. — Co cię napadło, żeby kupować go aż tyle? Wiesz, że używam go tylko do owsianki dla parobka albo do ciemnego keksu. Jerry'ego już nie ma, a ciasto upiekłam dawno temu. W dodatku to niedobry cukier: gruby i ciemny, William Blair zazwyczaj takiego nie ma.

— Ja... myślałem, że może się kiedyś przydać — odparł Mateusz, salwując się²⁵ ucieczką.

Kiedy przemyślał sprawę raz jeszcze, uznał, że do uporania się z tą sytuacją potrzebna jest kobieta. Maryla nie wchodziła w rachubę. Mateusz był pewien, że natychmiast wyleje mu na głowę kubel zimnej wody. Została mu tylko pani Linde, żadnej innej kobiety w Avonlea Mateusz nie odważyłby się poprosić o przysługę. Udał się więc do pani Małgorzaty, a ta zacna dama niezwłocznie przejęła sprawę z rąk udręczonego mężczyzny.

— Mam wybrać sukienkę dla Ani od ciebie? Oczywiście, że to zrobię. Wybieram się jutro do Carmody i zajmę się tym. Masz coś konkretnego na myśli? Nie? Cóż, zdam się zatem na własny gust. Sądzę, że Ani będzie bardzo do twarzy w ładnym, głębokim brązie, a William Blair ma nową tkaninę o nazwie gloria, naprawdę śliczną. Może chciałbyś, żebym ją także uszyła? Gdyby miała to zrobić Maryla, Ania pewnie dowiedziałaby się o wszystkim przed czasem i z niespodzianki nici. Dobrze, zrobię to. Nie, to żaden kłopot. Lubie szyć. Uszyję ją na miarę mojej siostrzenicy, Jenny Gillis, bo ona i Ania są do siebie podobne jak dwie krople wody, jeśli chodzi o figurę.

— Jestem ci bardzo wdzięczny — rzekł Mateusz — i... sam nie wiem... ale chciałbym... zdaje mi się, że teraz robią rękawy inaczej niż kiedyś. Gdyby to nie był zbyt wielki kłopot, chciałbym... żeby były zrobione po nowemu.

— Bufki? Oczywiście. Nie musisz się już o nic martwić, Mateuszu. Uszyję ją według najnowszej mody — odrzekła pani Linde. A kiedy Mateusz wyszedł, dodała pod nosem:

— Z wielką chęcią zobaczę to biedne dziecko ubrane wreszcie w coś porządnego. To, w jaki sposób ubiera ją Maryla, jest po prostu niedorzeczne i dziesiątki razy świerzbił mnie język, żeby jej to prosto w oczy powiedzieć. Milczałam jednak, bo widzę, że Maryla nie chce rad i myśli, że wie o wychowywaniu dzieci więcej niż ja, choć jest starą panną. Ale tak to już jest. Ludzie, którzy wychowali dzieci, wiedzą, że nie ma na świecie jednej sztywnej metody, która pasowałaby do każdego dziecka. A ci, którzy ich nie mają, myślą, że wszystko jest proste jak reguła trzech: wystarczy podstawić trzy składniki w odpowiedni sposób i wynik wyjdzie poprawny. Ale krew i ciało nie podlegają arytmetyce, i tu właśnie Maryla Cuthbert popełnia błąd. Przypuszczam, że stara się pielęgnować w Ani ducha pokory tymi strojami, ale prędzej wywoła w niej zawiść i niezadowolenie. Jestem

²⁵salwować się — ratować się. [przypis edytorski]

pewna, że to dziecko widzi różnicę między swoimi ubraniami a ubraniami jej koleżanek. Ale że Mateusz to zauważył! Ten człowiek budzi się po ponad sześćdziesięciu latach snu.

Maryla przez kolejne dwa tygodnie wiedziała, że Mateusz ma czymś zaprzątniętą głowę, lecz nie była w stanie odgadnąć czym, aż do Wigilii, kiedy pani Linde przyniosła nową sukienkę. Maryla przyjęła to z godnością, choć zapewne nie dała wiary dyplomatycznym wyjaśnieniom Małgorzaty, że to ona uszyła sukienkę, bo Mateusz bał się, iż Ania zbyt wcześniej się dowie, gdyby zajęła się tym Maryla.

— Więc to dlatego Mateusz od dwóch tygodni był taki tajemniczy i uśmiechał się pod nosem? — rzekła nieco sztywno, lecz z wyrozumiałością. — Wiedziałam, że knuje jakąś głupotę. Moim zdaniem Ania nie potrzebuje więcej sukienek. Uszyłam jej na jesień trzy porządne, ciepłe i praktyczne sukienki, a wszystko ponad to, to czysta rozrzutność. W samych rękawach jest tyle materiału, że starczyłoby na całą bluzkę, słowo daję. Mateuszu, rozpieszczasz tylko próżność Ani, a ona i tak jest już dumna jak paw. Cóż, mam nadzieję, że wreszcie będzie zadowolona, bo wiem, że wzdychała do tych głupich rękawów, odkąd stały się modne, choć później nie pisała już słowa na ten temat. Te bufki robią się coraz większe i coraz bardziej niedorzeczne, teraz są wielkie jak balony. W przyszłym roku każdy, kto je nosi, będzie musiał przechodzić przez drzwi bokiem.

Bożonarodzeniowy poranek zaświtał nad pięknym, otulonym bielą światem. Grudzień był bardzo łagodny i ludzie spodziewali się zielonych świąt, lecz w nocy spadło akurat tyle śniegu, żeby skutecznie odmienić Avonlea. Ania wyjrzała przez oszronione okno na poddaszu z zachwytem w oczach. Jodły w Nawiedzonym Lesie wyglądały cudownie, całe pierzaste od śniegu. Kontury brzoź i dzikich wiśni zostały obrysowane perlową bielą, zaorane pola stały się połaciami śnieżnych doleczków, a w powietrzu czuć było wspaniałą rzeźkość. Ania zbiegła na dół, śpiewając, a jej głos odbijał się echem po całym Zielonym Wzgórzu.

Zima, Święto

— Wesołych Świąt, Marylo! Wesołych Świąt, Mateuszu! Czyż to nie cudowne Boże Narodzenie? Tak się cieszę, że jest białe. Każde inne święta zdają się nieprawdziwe, czyż nie? Nie lubię zielonych świąt. One wcale nie są zielone: są po prostu brzydkie, wyblakłe, brązowe i szare. Dlaczego ludzie nazywają je zielonymi? Och... Mateuszu, czy to dla mnie? Mateuszu!

Mateusz z zakłopotaniem odwinął sukienkę z papieru i wyciągnął ją przed siebie, rzucając przepraszające spojrzenie Maryli, która udawała, że z lekceważeniem napęnia imbryk, a tak naprawdę śledziła całą scenę kątem oka z dużym zainteresowaniem.

Ania wzięła sukienkę i wpatrywała się w nią w nabożnym milczeniu. Och, jaka była śliczna — z miękkiej, brązowej tkaniny gloria z połyskiem jedwabiu. Spódnica z wdzięcznymi falbankami i marszczeniami, bluzka kunsztownie plisowana według najnowszej mody, z małą falbanką z delikatnej koronki przy szyi. Ale rękawy — one były zwieńczeniem całości! Miały długie mankiety do łokci, a nad nimi dwie przepiękne bufki przedzielone rzędami marszczeń i kokardami z brązowej, jedwabnej wstążki.

— Aniu, to prezent pod choinkę dla ciebie — powiedział nieśmiało Mateusz. — O... Aniu, nie podoba ci się? No cóż... no cóż.

Oczy Ani nagle napętniły się łzami.

— Nie podoba się? Ach, Mateuszu! — odłożyła sukienkę na krzesło i spłotła dłonie. — Ona jest absolutnie zachwycająca. Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć. Spójrz na te rękawy! Och, mam wrażenie, że to tylko piękny sen.

— Dobrze, dobrze, jedzmy śniadanie — przerwała Maryla. — Moim zdaniem sukienka nie była ci wcale potrzebna, skoro jednak Mateusz ci ją sprawił, dbaj o nią należycie. Tu jest wstążka do włosów, którą zostawiła dla ciebie pani Linde. Jest brązowa, żeby pasowała do sukienki. No, siadajcie już.

— Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym teraz jeść — powiedziała uszczęśliwiona Ania. — W tak ekscytującej chwili śniadanie wydaje się takie pospolite. Wolalabym nasycić oczy tą sukienką. Tak się cieszę, że bufiaste rękawy są wciąż modne. Myślałam, że nigdy nie pogodzę się z tym, gdyby wyszły z mody, zanim zdążyłabym mieć taką sukienkę. Nie czułabym się do końca usatysfakcjonowana. To takie słodkie ze strony pani Linde, że dała mi też wstążkę. Czuję, że powinnam teraz być naprawdę bardzo dobrą dziewczynką. W takich chwilach żałuję, że nie jestem wzorowym dzieckiem i zawsze postanawiam,

że będę nim w przyszłości. Ale jakoś trudno dotrzymać postanowień, kiedy nadchodzą pokusy nie do odparcia. Niemniej, od teraz naprawdę będę się starać ze wszystkich sił.

Gdy pospolite śniadanie dobiegło końca, na białym mostku w dolinie pojawiła się Diana — radosna, mała istota w karmazynowym płaszczu. Ania zbiegła ze zbocza, żeby ją przywitać.

— Wesołych Świąt, Diano! Och, to cudowne święta. Muszę ci pokazać coś wspa-
niałego. Mateusz podarował mi najpiękniejszą sukienkę z bufiastymi rękawami. Nawet
w wyobraźni nie byłabym stworzyć ładniejszej.

— Mam coś jeszcze dla ciebie — odparła z zapartym tchem Diana. — Weź to pu-
delko. Ciotka Józefina przysłała nam wielką paczkę z mnóstwem rzeczy, a ten prezent
jest dla ciebie. Przyniosłabym ci go wczoraj wieczorem, ale przesyłka dotarła dopiero po
zmroku, a ja nie czuję się teraz zbyt pewnie, chodząc po ciemku przez Nawiedzony Las.

Ania otworzyła pudełko i zajrzała do środka. Na górze znajdowała się kartka z dedy-
kacją: „Dla Ani — Wesołych Świąt”; a pod nią para delikatnych, małych pantofelków
z koźlęcej skóry, z noskami obszytymi koralikami, satynowymi kokardami i błyszczą-
cymi sprzączkami.

— Och — rzekła Ania — Diano, to zbyt wiele. Ja na pewno śnię.

— Ja nazywam to opatrnością — odparła Diana. — Nie będziesz już musiała po-
życzać pantofelków od Ruby, co tylko wyjdzie ci na dobre, bo są o dwa numery za duże
i wszyscy słyszeliby człapiącego elfa. Josie Pye byłaby zachwycona. Wiesz, że Rob Wright
odprowadził przedwczoraj Gertie Pye do domu po próbie? Słyszałaś kiedyś coś podobne-
go?

Wszyscy uczniowie z Avonlea płonęli tego dnia z emocji, gdyż trzeba było udekoro-
wać salę i przeprowadzić ostatnią, wielką próbę. Koncert odbył się wieczorem i okazał
się wielkim sukcesem. Niewielka sala pękała w szwach, wszyscy wykonawcy spisali się
znakomicie, ale to gwiazda Ani świeciła najjaśniej tego wieczoru, czego nie była w stanie
zepsuć nawet zazdrość Josie Pye.

— Czyż to nie był genialny wieczór? — westchnęła Ania, gdy było już po wszystkim
i wracały z Dianą do domu pod ciemnym, rozgwieżdżonym niebem.

— Wszystko poszło zgodnie z planem — stwierdziła praktycznie Diana. — Sądzę,
że zarobiłyśmy co najmniej dziesięć dolarów. Wyobraź sobie, że pan Allan chce wysłać
relację z koncertu do gazet w Charlottetown.

— O, Diano, naprawdę ujrzymy nasze nazwiska w druku? Aż dreszcz mnie przechodzi
na samą myśl. Diano, twój solowy występ był kwintesencją elegancji. Kiedy wywoływali
cię na bis, byłam bardziej dumna niż ty. Powiedziałam sobie: „Moja droga przyjaciółka
od serca dostępuje takiego zaszczytu”.

— Aniu, twoje recytacje po prostu podbiły serca publiczności. Ta smutna była wprost
wspaniała.

— Och, byłam taka zdenerwowana, Diano. Kiedy pan Allan wywołał moje nazwisko,
doprawdy nie wiem, jak zdołałam wejść na tę scenę. Czułam się, jakby milion oczu patrzy-
ło na mnie i prześwieślało mnie na wskroś, i przez jedną, straszną chwilę byłam pewna,
że w ogóle nie zdołam otworzyć ust. Wtedy pomyślałam o moich ślicznych bufiastych
rękawach i nabrałam odwagi. Wiedziałam, że muszę sprostać tym rękawom. Zaczęłam
więc, a mój głos wydawał się dochodzić z bardzo daleka. Czułam się zupełnie jak papuga.
To opatrność sprawiła, że tyle razy deklamowałam poezję na poddaszu, inaczej nigdy
bym przez to nie przebrnęła. Czy jęknęłam we właściwy sposób?

— Tak, doprawdy, jęknęłaś prześlicznie — zapewniła Diana.

— Kiedy usiadłam, widziałam, jak stara pani Sloane ociera łzy. To wspaniałe uczucie,
gdy poruszysz czyjeś serce. Ależ to było romantyczne, brać udział w koncercie, prawda?
Och, to z pewnością wiekopomna chwila.

— Dialog chłopców też był świetny, zgodzisz się ze mną? — powiedziała Diana.
— Gilbert Blythe wypadł po prostu wspaniale. Aniu, uważam, że to naprawdę nieładne,
w jaki sposób go traktujesz. Muszę ci coś powiedzieć. Kiedy schodziłaś ze sceny po dialogu
elfów, z twoich włosów wypadła jedna z róż. Widziałam, jak Gilbert ją podniósł i schował

do kieszeni na piersi. Widzisz, jesteś tak romantyczna, że na pewno powinnaś się z tego cieszyć.

— Nie obchodzi mnie, co robi ta osoba — rzekła wyniosłe Ania. — Nigdy nie zmarnuję na niego ani jednej myśli, Diano.

Tej nocy Maryla i Mateusz, którzy po raz pierwszy od dwudziestu lat wybrali się na koncert, siedzieli chwilę przy kuchennym ogniu, gdy Ania poszła już spać.

— Uważam, że nasza Ania wypadła równie dobrze jak inni — rzekł z dumą Mateusz.

— Tak, to prawda — przyznała Maryla. — To bystre dziecko, Mateuszu. I wyglądała naprawdę ładnie. Byłam poniekąd przeciwna temu koncertowi, ale koniec końców nie było w tym nic złego. W każdym razie byłam dziś dumna z Ani, choć nie zamierzam jej tego mówić.

— No cóż, ja byłem z niej dumny i powiedziałem jej to, zanim poszła na górę — odrzekł Mateusz. — Marylo, musimy pomyśleć, co możemy dla niej zrobić w przyszłości. Sądzę, że z czasem będzie potrzebowała czegoś więcej niż szkoła w Avonlea.

— Jest dość czasu, żeby o tym myśleć — odparła Maryla. — W marcu skończy dopiero trzynaste lat. Choć dziś wieczorem dotarło do mnie, że Ania wyrasta na całkiem wysoką dziewczynkę. Pani Linde uszyła tę sukienkę odrobinę za długą, co sprawia, że Ania wydaje się taka wysoka. Szybko się uczy i myślę, że najlepsze, co będziemy mogli dla niej zrobić, to wysłać ją za jakiś czas do seminarium w Queen's. Ale nie musimy jeszcze o tym wspominać przez rok czy dwa.

— No cóż, nie zaszkodzi od czasu do czasu do tego wrócić — rzekł Mateusz. — Takim sprawom wychodzi tylko na dobre, gdy się je porządnie przemyśli.

ROZDZIAŁ XXVI POWSTANIE KLUBU POWIEŚCIOWEGO

Młodzieży w Avonlea trudno było powrócić do szarej codzienności. Ani w szczególności życie wydawało się okropnie mdłe, jałowe i nieciekawe po tym kielichu ekscytacji, z którego sączyła całymi tygodniami. Zastanawiała się, czy zdoła powrócić do dawnych, cichych przyjemności z odległych dni sprzed koncertu. Początkowo, jak wyznała Dianie, szczerze w to wątpiła.

— Diano, jestem absolutnie pewna, że życie nigdy nie będzie już takie samo jak w tamtych zamierzchłych czasach — mówiła z żalem, jakby odnosiła się do okresu sprzed co najmniej pół wieku. — Być może z czasem do tego przywyknę, ale obawiam się, że koncerty psują ludzi i zniechęcają ich do zwyczajnego życia. Przypuszczam, że właśnie dlatego Maryla ich nie pochwała. Maryla jest taką rozsądną kobietą. Na pewno o wiele lepiej jest być rozsądnym, a jednak nie sądzę, abym naprawdę chciała być osobą rozsądną, bo tacy ludzie są strasznie nieromantyczni. Pani Linde mówi, że raczej mi to nie grozi, ale nigdy nie wiadomo. Czuję teraz, że mogę jeszcze wyrosnąć na rozsądną osobę, ale może tylko dlatego, że jestem zmęczona. Wczoraj w nocy bardzo długo nie mogłam zasnąć. Leżałam i wyobrażałam sobie ten koncert niezliczoną ilość razy. To jedna ze wspaniałych cech takich wydarzeń: tak miło jest do nich wracać myślami.

Ostatecznie jednak życie szkolne w Avonlea wskoczyło w stare koleiny i Ania wróciła do dawnych spraw. Co prawda koncert zostawił po sobie pewne ślady — Ruby Gillis i Emma White, które pokłóciły się o pierwszeństwo miejsc na scenie, nie siedziały już w jednej ławce, a ich obiecująca, trzyletnia przyjaźń została zerwana. Josie Pye i Julia Bell nie rozmawiały ze sobą przez trzy miesiące, ponieważ Josie Pye powiedziała Bessie Wright, że Julia Bell, kłaniając się przed recytacją, przypominała według niej potrząsającą głową kurę, a Bessie powtórzyła to Julii. Nikt z rodziny Sloane'ów nie chciał mieć nic wspólnego z Bellami, ponieważ ci drudzy doszli do wniosku, że Sloane'owie mieli zbyt duży udział w programie, na co tamci odparowali, że Bellowie nie potrafili porządnie wywiązać się nawet z tego, o co ich poproszono. W końcu Charlie Sloane pobił się z Moodym Spurgeonem MacPhersonem, który powiedział, że Ania Shirley zadziera nosa z powodu swoich recytacji, za co dostał solidne baty. W konsekwencji siostra Moody'ego Spurgeona, Ella May, nie odzywała się do Ani Shirley przez resztę zimy. Poza tymi drobnymi tarciami praca w małym królestwie panny Stacy przebiegała regularnie i gładko.

Zimowe tygodnie mijały. Pora roku była wyjątkowo łagodna, z tak niewielką ilością śniegu, że Ania i Diana mogły niemal codziennie wędrować do szkoły Brzozową Ścieżką. W dniu urodzin Ani szły nią lekko, nadstawiając uszu i oczu pośród nieustannego szczebiotu, panna Stacy zapowiedziała im bowiem, że wkrótce będą musiały napisać wypracowanie na temat: „Zimowy spacer po lesie”, należało więc być spostrzegawczym.

— Pomyśl tylko, Diano, kończę dzisiaj trzynaście lat — rzekła Ania pełnym przejęcia głosem. — Ledwie mogę uwierzyć, że jestem już nastolatką. Kiedy obudziłam się rano, wydawało mi się, że wszystko musi być inne. Ty skończyłaś trzynaście lat już miesiąc temu, więc przypuszczam, że nie jest to dla ciebie taką nowością jak dla mnie. To sprawia, że życie wydaje się o wiele ciekawsze. Za dwa lata będę już całkiem dorosła. To wielka pociecha, że będę mogła wtedy używać trudnych słów i nikt nie będzie się ze mnie śmiał.

— Ruby Gillis twierdzi, że zamierza mieć adoratora, gdy tylko skończy piętnaście lat — odrzekła Diana.

— Ruby Gillis nie myśli o niczym innym, tylko o adoratorach — rzekła z pogardą Ania. — Jest wprost zachwycona, gdy ktoś wypisze jej nazwisko na tablicy obok kogoś innego, choć udaje wtedy strasznie rozgniewaną. Obawiam się, niestety, że to była mało chrześcijańska uwaga. Pani Allan mówi, że nigdy nie powinniśmy czynić złośliwych uwag, lecz one tak często wymykają się same, zanim człowiek pomyśli, prawda? Po prostu nie potrafię mówić o Josie Pye bez złośliwości, więc nie wspominam o niej wcale. Może to zauważyłaś. Staram się być tak bardzo podobna do pani Allan, jak to tylko możliwe, bo uważam ją za ideał. Pan Allan podziela tę opinię. Pani Linde mówi, że on wręcz ubóstwia ziemię, po której stąpa jego żona, ale jej zdaniem pastorowi nie przystoi tak bardzo przywiązywać serce do istoty śmiertelnej. Ale przecież, Diano, nawet pastory są ludźmi i popełniają grzechy główne, tak jak każdy z nas. Miałam taką ciekawą rozmowę z panią Allan o grzechach głównych w zeszłą niedzielę popołudniu. Jest tylko kilka tematów, o których wypada rozmawiać w niedzielę, i to jest jeden z nich. Moim głównym grzechem jest nadmierne bujanie w obłokach i zapominanie o obowiązkach. Bardzo się staram z nim walczyć, a teraz, gdy mam już trzynaście lat, być może uda mi się z tym uporać.

— Za cztery lata będziemy mogły upinać włosy — zauważyła Diana. — Alice Bell ma dopiero szesnaście lat i już je upina, ale moim zdaniem to śmieszne. Ja poczekam, aż skończę siedemnaście.

— Gdybym miała taki krzywy nos jak Alice Bell — stwierdziła stanowczo Ania — to bym nie... ojej! Nie powiem tego, co zamierzałam, bo byłoby to skrajnie nieuprzejme. Poza tym porównywałam go z moim własnym nosem, a to już próżność. Boję się, że za dużo myślę o swoim nosie, odkąd dawno temu usłyszałam komplement na jego temat. To dla mnie naprawdę wielka pociecha. O, Diano, patrz, tam jest królik! Trzeba to zapamiętać do naszego wypracowania o lesie. Naprawdę uważam, że lasy zimą wyglądają równie pięknie jak latem. Są takie białe i ciche, jakby spały i śniły piękne sny.

— Nie będę miała nic przeciwko napisaniu tego wypracowania, kiedy przyjdzie na nie czas — westchnęła Diana. — Za to praca, którą mamy oddać w poniedziałek, jest straszna. Kto by pomyślał, że panna Stacy każe nam napisać opowiadanie z głowy!

— Ależ to proste jak mrugnięcie okiem — rzekła Ania.

— Tobie łatwo mówić, bo masz wyobraźnię — odparowała Diana — ale co byś zrobiła, gdybyś urodziła się bez niej? Podejrzewam, że ty masz już swoje wypracowanie gotowe?

Ania przytaknęła, starając się z całych sił nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie, co zupełnie jej nie wyszło.

— Napisałam je w zeszły poniedziałek wieczorem. Nosi tytuł: „Zazdrosna rywalka, czyli śmierć ich nie rozłączy”. Przeczytałam je Maryli, a ona stwierdziła, że to stek bzdur. Potem przeczytałam je Mateuszowi, a on powiedział, że jest świetne. Oto typ krytyka, jakiego lubię. To smutna, piękna historia. Płakałam jak bóbr, kiedy ją pisałam. Opowiada o dwóch pięknych dziewczinach, Cordelii Montmorency i Geraldine Seymour, które mieszkały w tej samej wiosce i były do siebie dożgonnie przywiązane. Cordelia była posagową brunetką z koroną kruczoczarnych włosów i błyskającymi mrocznie oczami. Geraldine

z kolei wyglądała jak szlachetnie urodzona blondynka z włosami przypominającymi złotą nić i aksamitnymi, purpurowymi oczami.

— Nigdy nie widziałam nikogo z purpurowymi oczami — powiedziała powątpiewająco Diana.

— Ja też nie. Po prostu je sobie wyobraziłam. Zależało mi na czymś niepospolitym. Geraldine miała też alabastrowe czoło. Dowiedziałam się już, co to jest alabastrowe czoło. To jedna z zalet bycia trzynastolatką. Wie się o wiele więcej, niż gdy się miało tylko dwanaście lat.

— No i co się stało z Cordelią i Geraldine? — zapytała Diana, którą losy bohaterek zaczęły interesować.

— Dorastały razem, otoczone pięknem, aż skończyły szesnaście lat. Wówczas do ich wioski przybył Bertram DeVere i zakochał się w ślicznej Geraldine. Uratował jej życie, gdy koń poniósł ją w powozie; zemdląca w jego ramionach, a on niósł ją pięć kilometrów do domu, bo powóz, jak się pewnie domyślasz, został kompletnie roztrzaskany. Dość trudno było mi wyobrazić sobie oświadczyny, ponieważ nie mam tu żadnego własnego doświadczenia. Spytałam więc Ruby Gillis, czy wie coś na ten temat, jak mężczyźni się oświadczają, gdyż pomyślałam, że może być autorytetem w tej dziedzinie, mając tyle zamężnych siostr. Ruby powiedziała mi, że była schowana w spiżarni w holu, kiedy Malcolm Andrews oświadczał się jej siostrze Susan. Wiedziała tylko, iż Malcolm oznajmił Susan, że ojciec przepisał mu farmę na własność, a potem zapytał: „Co ty na to, skarbie, żebyśmy się pobrali tej jesieni?”. A Susan odrzekła: „Tak... nie... sama nie wiem... pomyślę”... i bach, już byli zaręczeni! Ale uznałam, że takie oświadczyny są mało romantyczne, więc w końcu musiałam je sobie wymyślić, najlepiej jak umiałam. Zrobiłam to bardzo kwieciste i poetycko. Bertram upadł na kolana, choć Ruby Gillis twierdzi, że dzisiaj już się tak nie robi. Geraldine przyjęła jego oświadczyny mową długą na całą stronę. Muszę ci powiedzieć, że włożyłam w tę mowę mnóstwo wysiłku. Przepisywałam ją pięć razy i uważam ją za swoje arcydzieło. Bertram dał jej pierścionek z brylantem oraz rubinowy naszyjnik i powiedział, że pojadą w podróż poślubną do Europy, bo był niezmiernie bogaty. Ale wtedy, niestety, cienie zaczęły kłaść się na ich ścieżce. Cordelia sama potajemnie kochała się w Bertramie i kiedy Geraldine opowiedziała jej o zaręczynach, wpadła w furję, zwłaszcza gdy zobaczyła naszyjnik i pierścionek. Całe jej przywiązanie do Geraldine zmieniło się w gorzką nienawiść i poprzysięgła, że ta nigdy nie poślubi Bertrama. Udawała jednak, że Geraldine nadal jest jej przyjaciółką. Pewnego wieczoru stały na moście nad rwącym, wzburzonym strumieniem i Cordelia, przekonana, że są same, pchnęła Geraldine w przepaść z dzikim, szyderczym: „Ha, ha, ha!”. Ale Bertram wszystko widział i natychmiast rzucił się w nurt, wołając: „Ocalę cię, moja bezcenna Geraldine!”. Niestety, zapomniał, że nie umie pływać i oboje utonęli, złączeni w uścisku. Ich ciała wkrótce potem zostały wyrzucone na brzeg. Pochowano ich w jednym grobie, a pogrzeb był niezwykle wystawny. Diano, znacznie bardziej romantycznie jest kończyć historię pogrzebem niż weselem. A jeśli chodzi o Cordelię, to pod wpływem wyrzutów sumienia postradała zmysły i została zamknięta w przytułku dla obłąkanych. Uznałam, że będzie to poetycka sprawiedliwość za jej zbrodnię.

— Jakie to cudowne! — westchnęła Diana, która należała do tej samej szkoły krytycznej co Mateusz. — Nie pojmuję, jak potrafisz wymyślać takie ekscytujące rzeczy z własnej głowy, Aniu. Chciałabym mieć taką wyobraźnię jak ty.

— Miałabyś ją, gdybyś tylko nad nią pracowała — pocieszyła ją przyjaciółka. — Diano, wpadłam właśnie na pewien pomysł. Załóżmy we dwie nasz prywatny klub powieściowy i zacznijmy pisać opowiadania dla wprawy. Będę ci pomagać, aż nauczysz się pisać sama. Wiesz o tym, że powinnaś ćwiczyć wyobraźnię. Panna Stacy tak mówi. Tylko musimy to robić we właściwy sposób. Opowiedziałam jej o Nawiedzonym Lesie, ale stwierdziła, że w tamtym przypadku zabrałyśmy się do tego od złej strony.

W ten oto sposób powstał klub powieściowy. Początkowo ograniczał się wyłącznie do Diany i Ani, lecz wkrótce został rozszerzony o Jane Andrews, Ruby Gillis i jeszcze jedną czy dwie inne koleżanki, które uznały, że ich wyobraźnia wymaga praktyki. Chłopców nie

przyjmowano (choć Ruby Gillis uważała, że ich obecność dodałaby klubowi pikanterii), a każda członkini musiała napisać jedno opowiadanie w tygodniu.

— To niezwykle interesujące — opowiadała Ania Maryli. — Każda dziewczyna musi przeczytać swoje opowiadanie na głos, a potem je omawiamy. Zamierzamy zachować je wszystkie jako świętość i czytać naszym dzieciom. Każda z nas pisze pod pseudonimem. Mój to Rosamond Montmorency. Wszystkie dziewczęta radzą sobie całkiem nieźle. Ruby Gillis jest nieco sentymentalna. Zamieszcza w swoich historiach zbyt wiele scen miłosnych, a przecież wiesz, że co za dużo, to niezdrowo. Jane nigdy tego nie robi, bo mówi, że czuje się głupio, czytając je na głos. Opowiadania Jane są nadzwyczaj rozsądne. Z kolei Diana wkłada do swoich opowieści zbyt wiele zabójstw. Mówi, że przez większość fabuły nie wie, co zrobić z bohaterami, więc ich zabija, żeby się ich pozbyć. Przeważnie to ja muszę im podpowiadać, o czym mają pisać, ale to nietrudne, bo mam miliony pomysłów.

— Myślę, że to całe pisanie to największa głupota ze wszystkich dotychczasowych — zadrwiła Maryla. — Nabijecie sobie głowy bzdurami i zmarnujecie czas, który powinniście poświęcić na naukę. Czytanie romansów jest już wystarczająco złe, ale pisanie ich jest jeszcze gorsze.

— Ależ Marylo, my bardzo dbamy o to, aby każde z opowiadań miało morał — wyjaśniła Ania. — Nalegam na to. Wszyscy dobrzy ludzie zostają nagrodzeni, a źli odpowiednio ukarani. Jestem pewna, że to musi mieć zbawienny wpływ. Morał jest najważniejszy. Pan Allan tak mówi. Przeczytałam jedno z moich opowiadań jemu i pani Allan: oboje zgodzili się, że morał jest doskonały. Tylko że śmiali się w niewłaściwych momentach. Ja wolę, kiedy ludzie płaczą. Jane i Ruby prawie zawsze płaczą, kiedy dochodzę do wzruszających fragmentów. Diana napisała o naszym klubie do ciotki Józefiny, która odpisała, żebyśmy przysłały jej kilka naszych tekstów. Przepisałyśmy więc cztery najlepsze i wysłałyśmy. Panna Józefina Barry odpisała, że nigdy w życiu nie czytała nic równie zabawnego. To nas trochę zdziwiło, bo te opowiadania były bardzo smutne i prawie wszyscy w nich poumierali. Ale cieszę się, że jej się podobały. To pokazuje, że nasz klub czyni jakieś dobro na świecie. Pani Allan mówi, że to powinno być naszym celem we wszystkim. Naprawdę staram się, by to był mój cel, ale tak często o tym zapominam, kiedy się dobrze bawię. Mam nadzieję, że gdy dorosnę, będę choć trochę podobna do pani Allan. Myślisz, że jest na to jakaś szansa, Marylo?

— Nie powiedziałabym, żeby była ona zbyt wielka — brzmiała zachęcająca odpowiedź. — Jestem pewna, że pani Allan nigdy nie była tak nieroztropną, roztargnioną dziewczynką jak ty.

— To prawda, ale nie zawsze też była tak dobra jak teraz — powiedziała poważnie Ania. — Sama mi to wyznała... to znaczy powiedziała, że w młodości była strasznym urwisem i wiecznie wpadała w tarapaty. Poczułam się taka podniesiona na duchu, gdy to usłyszałam. Czy to bardzo grzeszne z mojej strony, Marylo, czuć się pocieszoną, kiedy się słyszy, że inni ludzie też byli niegrzeczni i psocili? Pani Linde mówi, że tak i twierdzi, że zawsze czuje się wstrząśnięta, słysząc o czyimś złym zachowaniu, bez względu na to, jak małe było to dziecko. Pani Linde mówi, że słyszała raz, jak pewien pastor wyznał, iż będąc chłopcem, ukradł tartę truskawkową ze spiżarni swojej ciotki, i nigdy więcej nie miała już szacunku do tego duchownego. Ja bym tak nie potrafiła. Uznałabym, że przyznanie się do winy było naprawdę szlachetne z jego strony, i pomyślałabym, jaką pociechę mieliby z tego dzisiaj mali chłopcy, którzy robią złe rzeczy i tego żałują: że mimo wszystko mogą wyrosnąć na pastorów. Tak bym to czuła, Marylo.

— To, co ja czuję w tej chwili, Aniu — rzekła Maryla — to, że najwyższy czas pozmywać naczynia. Przez to całe gadanie zeszło ci pół godziny dłużej niż powinno. Naucz się najpierw pracować, a potem gadać.

ROZDZIAŁ XXVII

MARNOŚĆ I UTRAPIENIE DUCHA

Pewnego późnego kwietniowego wieczoru, w drodze powrotnej z zebrania koła pomocy, Marylę przeszył dreszcz rozkoszy, kiedy uświadomiła sobie, że zima bezpowrotnie minęła. Wiosna bowiem nigdy nie przestaje cieszyć zarówno ludzi najstarszych i najsmutniejszych, jak i tych najmłodszych oraz najbardziej radosnych. Maryla nie miała jednak

Wiosna

w zwyczaju analizować swoich myśli i uczuć. Prawdopodobnie wyobrażała sobie, że myśli o członkiniach koła, o skrzyni z datkami na misje i nowym dywanie do zakrystii, lecz pod tymi refleksjami kryła się harmonijna świadomość na widok czerwonych pól parujących bladą mgłą w świetle zachodzącego słońca, długich, ostrych cieni jodeł kładących się na łące za potokiem czy nieruchomych klonów o purpurowych pąkach skupionych wokół taflę leśnego stawu, gładkiej niczym lustro. Wiosna panowała w całym kraju, a dziarski krok niemłodej już Maryli był lepszy i szybszy za sprawą tej głębokiej, pierwotnej radości.

Jej wzrok spoczął z miłością na Zielonym Wzgórzu, które wyglądało z gęstwiny drzew. Słońce odbijało się w oknach kilkoma małymi, radosnymi błyskami. Maryla, stąpając ostrożnie po wilgotnej drodze, pomyślała, jakie to szczęście, móc wrócić do domu, w którym czeka na nią wesoło trzaskający ogień i stół estetycznie nakryty do herbaty — zamiast zimnego chłodu, który witał ją po wieczornych zebraniach, zanim Ania przybyła na Zielone Wzgórze.

Kiedy więc Maryla weszła do kuchni i zastała wygasły ogień oraz brak jakichkolwiek oznak obecności Ani, poczuła się słusznie rozczarowana i poirytowana. Poleciała Ani, aby herbata była gotowa na piątą, a teraz sama będzie musiała w pośpiechu zdjąć swoją drugą najlepszą sukienkę i przygotowywać posiłek przed powrotem Mateusza z pola.

— Policzę się z tą panną, jak tylko wróci — mruknęła srogo Maryla, strugając drzazgi nożem kuchennym z większym impetem, niż było to konieczne. Mateusz wszedł do domu i w swoim kącie czekał cierpliwie na herbatę. — Włóczy się gdzieś z Dianą, pisze opowiadania, ćwiczy dialogi albo zajmuje się innymi głupstwami, ale ani razu nie pomyśli o upływającym czasie czy obowiązkach. Muszę ją wreszcie zacząć trzymać krótko w takich sprawach. Nie obchodzi mnie, że pani Allan nazywa ją najzdolniejszym i najsłodszy dzieckiem, jakie zna. Może i jest zdolna i słodka, ale głowę ma pełną głupot i nigdy nie wiadomo, w jakiej postaci one znów zakielkują. Ledwie wyrośnie z jednego dziwactwa, zaraz bierze się za kolejne. Ale niech to! Przecież mówię dokładnie to samo, za co tak zgromiłam dziś Małgorzatę Linde na zebraniu koła. Naprawdę się ucieszyłam, gdy pani Allan ujęła się za Anią, bo gdyby tego nie zrobiła, sama powiedziałabym Małgorzacie przy wszystkich coś nieprzyjemnego. Bóg jeden wie, ile Ania ma wad, i daleka jestem od zaprzeczania temu. Ale to ja ją wychowuję, a nie Małgorzata Linde, która znalazłaby wady w samym archaniele Gabrielu, gdyby zamieszkał w Avonlea. Mimo to Ania nie miała prawa opuszczać domu, skoro kazałam jej zostać i pilnować gospodarstwa. Muszę przyznać, że przy wszystkich jej wadach nigdy wcześniej nie okazała się nieposłuszna ani niesumienna, dlatego naprawdę przykro mi to teraz stwierdzić.

— Cóż, ja tam nie wiem — odezwał się Mateusz, który będąc człowiekiem cierpliwym, mądrym, a przede wszystkim głodnym, uznał za stosowne pozwolić Maryli wyrzucić z siebie swój gniew, wiedział bowiem z doświadczenia, że jego siostra skończy każdą robotę znacznie szybciej, jeśli się jej nie sprzeciwiać. — Może oceniasz ją zbyt pochopnie, Marylo. Nie nazywaj jej niesumienną, dopóki nie będziesz pewna, że cię nie usłuchała. Może da się to jakoś wyjaśnić, Ania to przecież mistrzyni w wyjaśnianiu.

— Nie ma jej tutaj, choć kazałam jej zostać — odparowała Maryla. — Sądzę, że trudno jej będzie wyjaśnić to tak, abym była usatysfakcjonowana. Mateuszu, wiedziałam oczywiście, że weźmiesz jej stronę. Ale to ja ją wychowuję, nie ty.

Zrobiło się ciemno, kolacja była gotowa, a po Ani wciąż nie było śladu — nie nadbiegła przez mostek ani przez Aleję Kochanków, zdyszana i skruszona w poczuciu zaniedbania obowiązków. Maryla z surową miną pomyślała i odstawiła naczynia. Potem, szukając świecy, by zejść do piwnicy, poszła na wschodnie poddasze po tę, która zazwyczaj stała na stoliku Ani. Zapaliwszy ją, odwróciła się i zobaczyła Anię leżącą na łóżku z twarzą w poduszkach.

— O niebios! — wykrzyknęła zdumiona Maryla. — Obudziłam cię, Aniu?

— Nie — brzmiała stłumiona odpowiedź.

— Czyś ty chora? — zapytała z niepokojem Maryla, podchodząc do łóżka.

Ania wtuliła się jeszcze głębiej w poduszkę, jakby pragnęła na zawsze ukryć się przed wzrokiem całego świata.

— Nie. Ale proszę, Marylo, odejdz i nie patrz na mnie. Znajduję się w otchłani rozpacz i nic mnie już nie obchodzi: ani kto jest najlepszy w klasie, ani kto pisze najładniejsze wypracowania, ani kto śpiewa w chórze szkoły niedzielnej. Takie drobnostki nie

mają już dla mnie znaczenia, bo przypuszczam, że nigdy więcej nie będę mogła nigdzie wyjść. Moja kariera jest skończona. Proszę, Marylo, odejdz i nie patrz na mnie.

— Czy kto kiedy słyszał coś podobnego? — zdumiała się Maryla. — Aniu Shirley, co się z tobą dzieje? Coś ty znowu nabroiła? Wstawaj w tej chwili i mów mi wszystko. W tej chwili, powiadam. No już, co się stało?

Ania zsunęła się na podłogę w rozpaczliwym geście posłuszeństwa.

— Marylo, spójrz na moje włosy — szepnęła.

Maryla podniosła świecę i przyjrzała się uważnie włosom Ani, opadającym gęstymi lokami na plecy. Rzeczywiście, wyglądały nader osobliwie.

— Aniu Shirley, co zrobiłaś ze swoimi włosami? Przecież one są zielone!

Można by je było nazwać zielonymi, gdyby w ogóle był to jakiś naturalny kolor — była to jednak jakaś bliżej nieokreślona, matowa, brązowawo-zielona barwa, z gdzieś tam przesiwytującymi pasmami naturalnej czerwieni, co tylko potęgowało upiorny efekt. Nigdy w życiu Maryla nie widziała czegoś równie groteskowego jak włosy Ani w tym momencie.

— Tak, są zielone! — jęknęła Ania. — Myślałam, że nic nie może być gorsze niż rude włosy. Ale teraz wiem, że zielone włosy są po stokroć gorsze. Och, Marylo, nie masz pojęcia, jaka jestem nieszczęśliwa.

— Nie wiem też, jak wpakowałaś się w tę kabałę, ale zamierzam się tego dowiedzieć — rzekła Maryla. — Chodź zaraz do kuchni, tutaj jest za zimno, i powiedz mi dokładnie, co zrobiłaś. Spodziewałam się czegoś dziwnego od pewnego czasu. Od ponad dwóch miesięcy nie narobiłaś sobie żadnych kłopotów i byłam pewna, że święci się coś nowego. No więc, co zrobiłaś z włosami?

— Ufarbowałam je.

— Ufarbowałaś! Ufarbowałaś włosy? Aniu Shirley, czy ty nie wiedziałaś, że to grzech?

— Tak, wiedziałam, że to trochę grzeszne — przyznała Ania. — Ale uznałam, że warto odrobinę zgrzeszyć, żeby pozbyć się rudych włosów. Przeliczyłam się jednak, Marylo. Poza tym zamierzałam być wyjątkowo grzeczna w innych sprawach, żeby ci to wynagrodzić.

— No cóż — powiedziała sarkastycznie Maryla — gdybym to ja zdecydowała, że warto ufarbować włosy, wybrałabym przynajmniej jakiś przyzwoity kolor. Nie farbowałabym ich na zielono.

— Ale ja nie chciałam ufarbować ich na zielono, Marylo! — protestowała przygnębiona Ania. — Jeśli już miałam zgrzeszyć, to chciałam, by przyniosło to jakiś skutek. Ten człowiek powiedział, że moje włosy staną się piękne i kruczoczarne, solennie mnie o tym zapewniał. Marylo, jak mogłam wątpić w jego słowa? Wiem, jakie to uczucie, gdy ktoś wątpi w twoje słowo. A pani Allan mówi, że nigdy nie powinniśmy podejrzewać nikogo o kłamstwo, dopóki nie mamy dowodów. Teraz mam dowód: zielone włosy to wystarczający dowód dla każdego. Ale wtedy go nie miałam i bezgranicznie wierzyłam w każde jego słowo.

— Kto tak powiedział? O kim ty mówisz?

— O domokrażcy, który był tu dziś popołudniu. Kupiłam od niego farbę.

— Aniu Shirley, ile razy ci mówiłam, żebyś nigdy nie wpuszczała tych Włochów do domu! Nie należy ich w ogóle zachęcać, żeby kręcili się po okolicy.

— Nie wpuściłam go do domu. Pamiętałam, jak mnie przed nimi przestrzegałaś, więc wyszłam na zewnątrz, starannie zamknęłam drzwi i obejrzałam jego towary na progu. Poza tym to nie był Włoch, tylko niemiecki Żyd. Miał wielką skrzynię pełną ciekawych rzeczy i powiedział mi, że ciężko pracuje, by zarobić na sprowadzenie żony i dzieci z Niemiec. Mówił o nich tak czule, że wzruszyło to moje serce. Chciałam kupić coś od niego, by pomóc mu w tak szczytnym celu. Wtedy zobaczyłam buteleczkę farby do włosów. Sprzedawca powiedział, że daje gwarancję na to, iż farba ufarbuje każde włosy na piękny, kruczoczarny kolor i nie zmyje się. W mgnieniu oka ujrzałam samą siebie z pięknymi, czarnymi włosami i pokusa była nie do odparcia. Ale buteleczka kosztowała siedemdziesiąt pięć centów, a mi zostało tylko pięćdziesiąt centów ze sprzedaży kurczaków. Myślę, że ten domokrażca miał bardzo dobre serce, bo powiedział, że wyjątkowo dla mnie obniży cenę do pięćdziesięciu centów, co było niemal jak za darmo. Kupiłam ją więc, a gdy tylko odszedł, przyszedłam tutaj i nałożyłam farbę starą szczotką do włosów, zgodnie z instrukcją. Zużyłam całą butelkę, a kiedy zobaczyłam ten okropny kolor, jaki przybrały moje włosy, pożałowałam swojego grzechu, zapewniam cię, Marylo. I żałuję do teraz.

— Cóż, mam nadzieję, że przyniesie to dobry skutek — rzekła surowo Maryla — i że przejrzałaś na oczy, widząc, dokąd zaprowadziła cię próżność, Aniu. Bóg jeden wie, co teraz zrobić. Sądzę, że pierwszą rzeczą powinno być porządne umycie głowy, żeby zobaczyć, czy to coś pomoże.

Ania umyła włosy, szorując je energicznie mydłem i wodą, lecz nie dało to żadnego efektu — równie dobrze mogła próbować zmyć ich naturalną czerwień. Domokrażca faktycznie miał rację, mówiąc, że farba się nie zmyje, chociaż jego wiarygodność w innych względach mogła budzić uzasadnione zastrzeżenia.

— Och, Marylo, cóż ja teraz pocznę? — Ania utonęła we łzach. — Nigdy się z tego nie otrząsnę. Ludzie już prawie zapomnieli o moich innych błędach: o cieście z kroplami przeciwbólowymi, o upiciu Diany i o wybuchu gniewu na panią Linde. Ale o tym nigdy nie zapomnę. Pomyśl, że nie jestem porządną dziewczynką. Och, Marylo, „w jakże gęstą sieć się wikła ten, kto pierwszy raz oszukuje”. To poezja, ale jaka prawdziwa! Ależ Josie Pye będzie się ze mnie śmiać! Marylo, ja nie mogę spojrzeć w oczy Josie Pye. Jestem najniešťszeliwszą dziewczyną na całej Wyspie Księcia Edwarda.

Nieszczęście Ani trwało tydzień. Przez ten czas nigdzie nie wychodziła i codziennie szorowała włosy. Tylko Diana znała jej straszną tajemnicę, lecz uroczyście obiecała nikomu jej nie wyjawić — i trzeba tu zaznaczyć, że słowa dotrzymała. Pod koniec tygodnia Maryla powiedziała stanowczo:

— To nic nie daje, Aniu. Ta farba jest wyjątkowo trwała. Trzeba ściąć włosy, nie ma innego wyjścia. Nie możesz tak wyjść do ludzi.

Wargi Ani zadrżały, lecz zrozumiała gorzkie znaczenie słów wypowiedzianych przez Marylę. Z posępnym westchnieniem poszła po nożyczki.

— Proszę, Marylo, obetnij je natychmiast i miejmy to już z głowy. Och, czuję, jak pęka mi serce. To taka nieromantyczna udręka. Dziewczęta w książkach tracą włosy w chorobie albo sprzedają je, żeby zdobyć pieniądze na jakiś szlachetny cel. Jestem pewna, że ja też nie miałabym nic przeciwko utracie włosów w taki sposób. Ale nie ma nic pociesającego w strzyżeniu głowy dlatego, że ufarbowało się włosy na okropny kolor, prawda? Będę płakać przez cały czas, gdy będziesz je obcinać, jeśli nie będzie ci to przeszkadzać. To wydaje się tak tragiczne!

Ania rzeczywiście płakała, lecz później, gdy poszła na górę i z rozpaczą spojrzała w lustro, ogarnął ją dziwny spokój. Maryla wykonała swoją pracę dokładnie, gdyż trzeba było ostrzyć włosy tak krótko, jak to tylko możliwe. Rezultat, mówiąc najdelikatniej, nie był twarzowy. Ania natychmiast odwróciła lustro do ściany.

— Nigdy, przynigdy nie spojrzę na siebie, dopóki włosy mi nie odrosną! — wykrzyknęła z pasją. Zaraz jednak odwróciła lustro z powrotem. — Nie, właśnie że będę patrzeć. To będzie moja pokuta za grzech. Będę na siebie patrzeć za każdym razem, gdy wejdę do pokoju, żeby widzieć, jaka jestem brzydka. I absolutnie nie będę próbowała sobie wmówić, że jest inaczej. Nigdy bym nie pomyślała, że jestem próżna akurat na punkcie włosów, ale teraz widzę, że byłam, mimo ich rudego koloru: były takie długie, gęste i kręcone. Spodziewam się, że teraz pewnie coś stanie się z moim nosem.

W poniedziałek ostrzyżona głowa Ani wywołała sensację w szkole, lecz ku jej uldze nikt nie domyślił się prawdziwego powodu. Nawet Josie Pye, która jednak nie omieszczała poinformować Ani, że wygląda jak prawdziwy strach na wróble.

— Nic nie odpowiedziałam, gdy Josie mi to powiedziała — Ania zwierzyła się wieczorem Maryli, gdy ta leżała na sofie po jednym ze swoich napadów migreny — ponieważ uznałam, że to część mojej kary i powinnam znosić to cierpliwie. Trudno jest słuchać, że wygląda się jak strach na wróble, i bardzo chciałam jej coś odpowiedzieć. Ale tego nie zrobiłam. Posłałam jej tylko jedno pogardliwe spojrzenie, a potem jej wybaczyłam. Człowiek czuje się bardzo cnotliwy, gdy wybacz innym, prawda? Zamierzam od teraz poświęcić całą energię na bycie dobrą i nigdy więcej nie będę starała się być piękna. Oczywiście, lepiej jest być dobrą. Wiem o tym, ale czasem tak trudno jest w coś uwierzyć, nawet jeśli się o tym wie. Marylo, ja naprawdę chcę być dobra, tak jak ty, pani Allan czy panna Stacy, i dorosnąć tak, by przynieść wam zaszczyt. Diana mówi, że kiedy włosy zaczną mi odrastać, powinnam wiązać czarną, aksamitną wstążkę wokół głowy z kokardą z boku. Twierdzi, że będzie mi w tym bardzo do twarzy. Nazwę to czepek: wydaje mi

się to całkiem romantyczne. Ale czy nie mówię za dużo, Marylo? Czy nie boli cię od tego głowa?

— Ból już mi przechodzi. Ale po południu było strasznie. Te moje migreny robią się coraz gorsze. Będę musiała pójść z tym do lekarza. Jeśli zaś chodzi o twoje paplanie, to nie przeszkadza mi ono... już do niego przywykłam.

Był to sposób Maryli na powiedzenie, że lubi go słuchać.

ROZDZIAŁ XXVIII NIESZCZĘSNA PANNA LILIA

— Aniu, ma się rozumieć, że to ty musisz być Elaine — powiedziała Diana. — Ja nigdy nie zdobyłabym się na odwagę, by tak płynąć z prądem.

— Ja też nie — wzdrygnęła się Ruby Gillis. — Nie mam nic przeciwko pływaniu, gdy jest nas kilka w łodzi i możemy siedzieć. Wtedy to zabawa. Ale położyć się i udawać martwą... po prostu bym nie mogła. Umarłabym naprawdę, ze strachu.

— To byłoby bez wątpienia romantyczne — przyznała Jane Andrews — ale wiem, że nie wytrzymałabym w bezruchu. Podrywałabym się co chwilę, żeby sprawdzić, gdzie jestem i czy prąd nie znosi mnie zbyt daleko. A sama wiesz, Aniu, że to zepsułoby cały efekt.

— Ale to takie niedorzeczne mieć rudowłosą Elaine — ubolewała Ania. — Nie boję się płynąć i bardzo chciałabym być Elaine. Ale to i tak śmieszne. To Ruby powinna nią być, bo ma taką jasną cerę i piękne, długie, złote włosy... wiesz, Elaine miała „wszystkie swe jasne włosy spływające kaskadą”. I była Panną Lilią. A ruda dziewczyna nie może być Panną Lilią.

— Twoja cera jest równie jasna jak cera Ruby — zauważyła przytomnie Diana — a włosy masz teraz o wiele ciemniejsze niż przed obcięciem.

— Och, naprawdę tak myślisz? — wykrzyknęła uradowana Ania. — Mnie też się tak czasem wydawało, ale nie śmiałam nikogo zapytać w obawie, że usłyszę inną odpowiedź. Myślisz, Diano, że można je już nazwać kasztanowymi?

— Tak, i uważam, że są naprawdę ładne — odrzekła Diana, patrząc z podziwem na okalające głowę Ani krótkie, jedwabiste loki, które podtrzymywała niezwykle szykowna czarna, aksamitna wstążka z kokardą.

Stały na brzegu stawu poniżej Sosnowego Wzgórza, gdzie mały cypel otoczony brzo-
zami wrzynał się w wodę. Na jego końcu znajdował się niewielki, drewniany pomost,
zbudowany z myślą o rybakach i myśliwych. Ruby i Jane odwiedziły tego letniego popo-
łudnia Dianę, zaś Ania przyszła, by się z nimi pobawić.

Najlepsze przyjaciółki spędzały tego lata większość wolnego czasu nad stawem. „Za-
cisze Idalii” należało do przeszłości, gdyż na wiosnę pan Bell bezlitośnie wyciął zagajnik
na swoim pastwisku. Ania płakała z tego powodu, siedząc wśród nagich pniaków, jednak
nie zapominała o romantyzmie całej sytuacji. Szybko zresztą znalazła pocieszenie, uzna-
jąc wraz z Dianą, że trzynastoletnie dziewczęta, a właściwie niemal czternastolatki, są już
zbyt dorosłe na tak dziecinne zabawy jak domki, kiedy nad stawem czekają o wiele cie-
kawsze rozrywki. Wspaniałe było łowić pstrągi z mostu, dziewczynki nauczyły się także
wiosłować małą, płaskodenną łodzią, której pan Barry używał do polowań na kaczki.

To Ania wpadła na pomysł, żeby zainscenizować historię Elaine²⁶. Studiowały poemat
Tennysona²⁷ w szkole ubiegłej zimy, gdyż kurator oświaty wpisał go do programu szkół na
Wyspie Księcia Edwarda. Analizowały go, rozbrajały na części i wałkowały tak długo, aż
cudem było, że miał on jeszcze dla nich jakikolwiek sens. Mimo to Panna Lilia, Lancelot,

Teatr, Zabawa

²⁶historia Elaine — legenda o Elaine z Astolat, jedna z legend arturiańskich, opowiadająca o damie uwięzionej
klątwą w zamku na wyspie Shalott, zmuszonej tkąć nieustannie zaczarowaną sieć, a świat zewnętrzny oglądać
jedyńcnie za pomocą lustra. Ostatecznie Elaine zakochuje się w Lancelocie, jednym z Rycerzy Okrągłego Stołu,
przebywającym u boku króla Artura w zamku Camelot; opuszcza swoje więzienie i wsiada w łódź, by ujrzeć na
żywo swego ukochanego, jednak dosięga ją klątwa: w czasie podróży słabnie coraz bardziej i dobija do brzegu
u podnóża Camelotu martwa. [przypis edytorski]

²⁷Tennyson, Alfred (1809–1892) — poeta angielski, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli postromantyzmu
wiktoriańskiego. Na kanwie legend arturiańskich, szczególnie legendy o Elaine z Astolat, napisał poemat *Pani
z Shalott* (ang. *The Lady of Shalott*; 1842); lilia wodna jest symbolem głównej bohaterki, która nazywana jest
też Panną Lilią (*The Lily Maid of Astolat*). [przypis edytorski]

Ginewra²⁸ i król Artur²⁹ stali się dla nich bardzo realnymi postaciami, zaś Anię trawił skryty żal, że nie urodziła się w Camelocie. Tamte czasy, jak mówiła, były znacznie bardziej romantyczne niż teraźniejszość.

Plan Ani przyjęto z entuzjazmem. Dziewczęta odkryły, że jeśli odepchnie się łódź od przystani, prąd zniesie ją pod pomost i ostatecznie osadzi na innym, niżej położonym cyplu, w miejscu, gdzie linia brzegowa zakręcała. Często tak pływały i żadne inne miejsce nie wydawało się bardziej dogodne do odegrania sceny z Elaine.

— Dobrze, ja będę Elaine — ustąpiła niechętnie Ania, bo choć cieszyła się z głównej roli, jej zmysł artystyczny domagał się odpowiedniej prezencji, co, jak sądziła, w jej przypadku było niemożliwe. — Ruby, ty musisz być królem Arturem, Jane będzie Ginewrą, a Diana Lancelotem. Ale najpierw musicie być braćmi i ojcem. Nie możemy mieć starożytnego niemego sługi, bo w łodzi nie ma miejsca dla dwóch osób, gdy jedna leży. Musimy wyłożyć łódź na całej długości najczarniejszym aksamitem. Diano, ten stary czarny szal twojej matki będzie w sam raz.

Gdy szal został już przyniesiony, Ania rozścieliła go na dnie łodzi, a potem położyła się z zamkniętymi oczami i rękami splecionymi na piersi.

— Ona naprawdę wygląda jak martwa — szepnęła nerwowo Ruby Gillis, spoglądając na nieruchomą, bladą twarzyczkę w migotliwym cieniu brzoź. — Dziewczyny, aż mnie strach bierze. Myślicie, że wolno tak postępować? Pani Linde mówi, że wszelkie odgrywanie ról to obrzydliwy grzech.

— Ruby, nie powinnaś teraz mówić o pani Linde — skarciła ją surowo Ania. — To psuje efekt, bo dzieje się setki lat przed jej narodzinami. Jane, ulóż to wszystko. To głupie, żeby Elaine mówiła, kiedy nie żyje.

Jane stanęła na wysokości zadania. Choć nie miały złotogłowia na całun, stary, żółty szal z japońskiej krepy, służący jako narzuta na pianino, zastąpił je doskonale. Białej lilii nie udało się zdobyć, ale wysoki, niebieski irys włożony w splecione dłonie Ani dawał upragniony efekt.

— Teraz wszystko gotowe — ogłosiła Jane. — Musimy ucałować jej spokojne czoło, a ty, Diano, powiedz: „Siostrze, żegnaj na zawsze”, a ty, Ruby: „Żegnaj, słodka siostrze”, obie tak żałośnie, jak tylko potraficie. Aniu, na litość boską, uśmiechnij się trochę. Wiesz przecież, że Elaine „leżała, jakby się uśmiechała”. O, tak lepiej. A teraz odepchnijcie łódź.

Łódź odbiła od brzegu, szorując przy tym głośnie o stary, wbity w dno pal. Diana, Jane i Ruby zaczęły chwilę, by zobaczyć, jak nurt porywa łódź w stronę pomostu, po czym pędem pognały przez las, drogą i na dolny cypl, gdzie jako Lancelot, Ginewra i król miały oczekiwać na Pannę Lilię.

Przez kilka minut Ania, dryfując powoli, upajała się romantyzmem sytuacji. Wtem wydarzyło się coś zgoła nieromantycznego. Łódź zaczęła przeciekać. Po krótkiej chwili Elaine musiała zerwać się na równe nogi, zebrała swój „złoty całun” oraz „czarny aksamit” i z przerażeniem wpatrywała się w wielką szczelinę na dnie łodzi, przez którą wlewała się strumieniami. Ów ostry pal przy przystani zdarł pas uszczelniający nabity na dno łodzi. Ania o tym nie wiedziała, ale szybko zrozumiała, że jest w niebezpieczeństwie. W tym tempie łódź napęli się i zatonię na długo przed tym, zanim zdąży dopłynąć do celu. Gdzie były wiosła? Zostały na przystani!

Ania wydała z siebie krótki, zduszony krzyk, którego nikt nie usłyszał. Była blada jak ściana, lecz nie straciła zimnej krwi. Istniała jedna szansa — tylko jedna.

— Byłam przerażona — opowiadała następnego dnia pani Allan — i wydawało mi się, że minęły wieki, zanim łódź dopłynęła do pomostu, a woda podnosiła się z każdą chwilą. Modliłam się, pani Allan, najgoręcej jak potrafiłam, ale nie zamykałam oczu, bo wiedziałam, że Bóg może mnie ocalić tylko wtedy, gdy łódź przepłynie dość blisko jednego z filarów pomostu, bym mogła się na niego wspiąć. Wie pani, że filary to stare pnie drzew z mnóstwem sęków i pozostałości po gałęziach. Wypadało się modlić, ale musiałam się też ratować, pilnie przy tym uważając. Powtarzałam raz po raz: „Dobry Boże, spraw, aby łódź dopłynęła do filaru, a resztę zrobię sama”. W takich chwilach człowiek nie myśli o układaniu kwiecistych modlitw. Moja została wysłuchana, bo łódź uderzyła

²⁸ *Ginewra* — królowa, żona króla Artura. [przypis edytorski]

²⁹ *król Artur* — legendarny celtycki władca Brytów z przełomu V i VI w. [przypis edytorski]

o filar i na chwilę się przy nim zatrzymała. Przerzuciłam szal i krepę przez ramię, po czym wdrapałam się na wielki, opatrnościowy sęk. I tak tam trwałam, pani Allan, kurczowo trzymając się tego śliskiego pala. Nie mogłam ani wejść wyżej, ani z niego zejść. To była bardzo nieromantyczna pozycja, ale wtedy o tym nie myślałam. Człowiekowi nie w głowie romanse, gdy właśnie cudem uniknął śmierci w wodnej toni. Odmówiłam dziękczynną modlitwę i skupiłam się na utrzymaniu, bo wiedziałam, że teraz muszę liczyć na ludzką pomoc.

Łódź przepłynęła pod pomostem i natychmiast zatoneła na środku stawu. Ruby, Jane i Diana, czekające na drugim cyplu, widziały, jak znika im z oczu i były święcie przekonane, że Ania poszła na dno razem z nią. Przez chwilę stały nieruchomo, blade jak prześcieradła i sparaliżowane grozą. A potem, wrzeszcząc wniebogłosy, rzuciły się szaleńczym biegiem przez las, ani razu nie obracając się w stronę przystani, gdy przebiegały przez główną drogę. Ania, trzymając się desperacko niepewnego oparcia, widziała ich oddalające się sylwetki i słyszała krzyki. Pomoc powinna wkrótce nadejść, ale tymczasem znajdowała się w nader niewygodnym położeniu.

Minuty mijały, a każda wydawała się nieszczęsnej dziewczycy godziną. Dlaczego nikt nie nadchodzi z pomocą? Gdzie się podziały dziewczęta? A jeżeli wszystkie zemdlały? Jeśli nikt nigdy nie nadejdzie? Jeśli tak bardzo zdrętwieją jej ręce, że nie zdoła się już utrzymać? Ania spojrzała w złowrogą, zieloną głębię pod stopami, pełną długich, oleistych cieni, i zadrżała. Wyobraźnia zaczęła jej podsuwać najróżniejsze makabryczne wizje.

I właśnie wtedy, gdy już czuła, że ból w ramionach i nadgarstkach staje się nie do zniesienia, spod pomostu wynurzył się Gilbert Blythe w łodzi Harmona Andrews!a!

Gilbert spojrzał w górę i ku swemu ogromnemu zdumieniu ujrzał małą, bladą i dumną twarzyczkę, która patrzyła na niego wielkimi, wystraszonymi, ale i pełnymi pogardy szarymi oczami.

— Aniu Shirley! Jakim cudem się tam znalazłaś? — wykrzyknął.

Nie czekając na odpowiedź, podpłynął do filaru i wyciągnął rękę. Nie było wyjścia — Ania, chwytając dłoń Gilberta Blythe'a, zsunęła się do łodzi i usiadła na rufie, przemoczona i wściekła, z naręczem ociekających wodą szali. Doprawdy, w tych okolicznościach niezwykle trudno było zachować godność!

— Co się stało, Aniu? — zapytał Gilbert, chwytając za wiosła.

— Odgrywałyśmy scenę z Elaine — wyjaśniła lodowato Ania, nie patrząc nawet w stronę swojego wybawcy — i miałam dopłynąć do Camelotu w łodzi. Ta jednak zaczęła przeciekać, więc wspięłam się na filar mostu. Dziewczyny pobiegły po pomoc. Czy byłbyś łaskaw odwieźć mnie do przystani?

Gilbert usłużnie dopłynął do brzegu, a Ania, wzgardziwszy wszelką pomocą, zwinnie wyskoczyła na ląd.

— Jestem ci bardzo wdzięczna — rzekła wyniośle, odwracając się. Lecz Gilbert również wyskoczył z łodzi i zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

— Aniu — powiedział pośpiesznie — posłuchaj. Czy nie możemy zostać przyjaciółmi? Strasznie mi przykro, że wtedy naśmiewałem się z twoich włosów. Nie chciałem cię urazić, to miał być tylko żart. Poza tym, to było bardzo dawno. Uważam, że teraz masz naprawdę ładne włosy... szczerze. Zostańmy przyjaciółmi.

Ania zawahała się przez moment. Pod warstwą urażonej dumy poczuła dziwną, nową świadomość, że ten na wpół nieśmiały, na wpół gorliwy wyraz piwnych oczu Gilberta jest dla niej czymś bardzo miłym. Serce zabiło jej dziwnie szybciej. Jednak gorycz dawnej urazy szybko wyrwała ją z zamyślenia. Scena sprzed dwóch lat rozbłysnęła w jej pamięci tak żywo, jakby zdarzyła się wczoraj. Gilbert nazwał ją „marchewką” i naraził na wstyd przed całą szkołą. Ta uraza, która dla starszych ludzi mogła być równie śmieszna jak jej powód, wcale nie osłabła z upływem czasu. Nienawidziła Gilberta Blythe'a! Nigdy mu nie wybaczy!

— Nie — powiedziała chłodno — nigdy nie będę twoją przyjaciółką, Gilberte Blythe; i wcale tego nie chcę!

— W porządku! — Gilbert wskoczył do łodzi z gniewnym rumieńcem na policzkach. — Aniu Shirley, nigdy więcej nie poproszę cię o przyjaźń. I wcale mnie to nie obchodzi!

Odbił od brzegu szybkimi, butnymi pociągnięciami wiosła. Ania ruszyła stromą, porośniętą paprociami ścieżką u stóp rozłożystych klonów. Trzymała głowę bardzo wysoko,

ale czuła dziwny żal. Niemal żałowała, że nie odpowiedziała Gilbertowi inaczej. Oczywiście, strasznie ją obraził, ale mimo wszystko... Ania doszła do wniosku, że poczułaby ulgę, gdyby mogła teraz usiąść i porządnie się wypłakać. Była całkiem roztrzęsiona, emocje, które towarzyszyły strachowi i wysiłkowi związanemu z trzymaniem się kurczowo pala, zaczęły brać górę.

W połowie drogi spotkała Jane i Dianę, pędzące z powrotem nad staw w stanie bliskim obłądu. Na Sosnowym Wzgórzu nie zastały nikogo, państwo Barry wyjechali. Tam Ruby Gillis wpadła w histerię i zostawiły ją, żeby jakoś doszła do siebie, podczas gdy Jane i Diana pognały przez Nawiedzony Las i potok na Zielone Wzgórze. Tam również nikogo nie zastały, bo Maryla pojechała do Carmody, a Mateusz suszył siano na odległym polu.

— Och, Aniu — wykrztusiła Diana, niemal rzucając się jej na szyję i rozpłakała się z ulgi. — Myślałyśmy... że utonąłaś... czułyśmy się jak morderczynie... bo to my kazałyśmy ci wcielić się w rolę Elaine. A Ruby dostała hysterii... och, Aniu, jak się uratowałaś?

— Wdrapałam się na jeden z filarów pomostu — wyjaśniła znużona Ania — a potem nadpłynął Gilbert Blythe w łodzi pana Andrews i zabrał mnie na brzeg.

— Och, Aniu, jakie to wspaniałe z jego strony! To takie romantyczne! — przyznała Jane, odzyskawszy wreszcie oddech. — Oczywiście teraz będziesz już z nim rozmawiać.

— Oczywiście, że nie będę — syknęła Ania, odzyskując na moment dawny wigor. — I nie chcę już nigdy więcej słyszeć słowa „romantyczny”, Jane Andrews. Dziewczyny, strasznie mi przykro, że tak się wystraszyłyście. To wszystko moja wina. Jestem pewna, że urodziłam się pod pechową gwiazdą. Wszystko, co robię, wpędza mnie lub moich najdroższych przyjaciół w kłopoty. Diano, straciłyśmy łódź twojego ojca i mam przeczucie, że już nigdy nie pozwolą nam pływać po stawie.

Przeczucie Ani okazało się trafniejsze, niż zwykle. Kiedy wydarzenia minionego popołudnia wyszły na jaw, w domach Barrych i Cuthbertów zapanowała konsternacja.

— Aniu, czy ty kiedykolwiek zmądrzejesz? — jęknęła Maryla.

— Och, tak, myślę, że tak, Marylo — odrzekła z optymizmem Ania. Szczery płacz w zaciszu wschodniego pokoiku ukoił jej nerwy i przywrócił dawną pogodę ducha. — Sądzę, że moje szanse na bycie rozsądną są teraz większe niż kiedykolwiek.

— Nie widzę związku — mruknęła Maryla.

— Cóż — wyjaśniła Ania — odebrałam dziś nową i cenną lekcję. Odkąd przybyłam na Zielone Wzgórze, wciąż popełniam błędy, a każdy z nich pomaga mi uporać się z jakąś wielką wadą. Sytuacja z ametystową broszką wyleczyła mnie z dotykania rzeczy, które nie należą do mnie. Konfrontacja z Nawiedzonym Lasem wyleczyła mnie z dawania się ponieść wyobraźni. Ciasto z kroplami przeciwbólowymi było dla mnie nauczką, jak radzić sobie z roztargnieniem podczas gotowania. Ufarbowanie włosów na zielono wyleczyło mnie z próżności. Teraz już nie myślę o swoich włosach ani o nosie... a przynajmniej bardzo rzadko. Natomiast dzisiejszy błąd będzie dla mnie lekiem na nadmierny romantyzm. Doszłam do wniosku, że podejmowanie prób bycia romantyczną w Avonlea nie ma sensu. Co innego na zamku Camelot setki lat temu, ale dziś nikt nie docenia romantyzmu. Marylo, jestem pewna, że wkrótce dostrzeżesz u mnie ogromną poprawę pod tym względem.

— Mam taką szczerą nadzieję — odrzekła sceptycznie Maryla.

Gdy Maryla wyszła, Mateusz, który siedział milcząco w swoim kącie, położył dłoń na ramieniu Ani.

— Aniu, nie rezygnuj całkiem z romantyzmu — szepnął nieśmiało. — Trochę romantyzmu to dobra rzecz... oczywiście nie za dużo... ale zachowaj go sobie odrobinę, Aniu.

ROZDZIAŁ XXIX NOWA EPOKA W ŻYCIU ANI

Ania pędziła krowy z pastwiska przez Aleję Kochanków. Był wrześniey wieczór, a wszystkie leśne polany i szczeliny w gąszczu wypełniało rubinowe światło zachodzącego słońca. Gdzieś tam aleja była nim wprost zalana, lecz pod klonami w większości panował już mrok, a przestrzenie pod jodłami wypełniał przejrzysty, fioletowy zmierzch, lekki niczym eteryczne wino. Wiatr poruszał wierzchołkami drzew, a nie ma na ziemi słodszej muzyki

Wiatr, Muzyka

niż ta, którą wiatr wygrywa wieczorem na jodłach.

Krowy szły niespiesznie, Ania podążała za nimi rozmarzona, recytując na głos pieśń bitewną z poematu *Marmion*³⁰ — który również wchodził w zakres programu zeszej zimy. Panna Stacy kazała im się nauczyć go na pamięć. Dziewczynka napawała się rytmem wiersza i obrazami szczękających włóczyń. Gdy doszła do strofy:

„Niezlomni łucznicy wciąż wiernie stali,
Ciemny, nieprzebyty bór swój osłaniali...”,

zatrzymała się w zachwycie i zamknęła oczy, by lepiej wyobrazić sobie siebie w tym heroicznym kręgu. Kiedy je otworzyła, ujrzała Dianę przechodzącą przez furtkę, która prowadziła na pole Barrych. Diana miała tak poważną minę, że Ania natychmiast odgadła, iż przyjaciółka ma jej coś do powiedzenia. Nie chciała jednak zdradzić się ze zbytnią ciekawością.

— Diano, czy ten wieczór nie jest jak purpurowy sen? Tak się cieszę, że żyję. Rankami zawsze myślę, że to najlepsza część dnia, ale kiedy przychodzi wieczór, wydaje mi się jeszcze piękniejszy.

— Wieczór jest bardzo ładny — zgodziła się Diana. — Aniu, mam dla ciebie nie lada nowinę! Zgaduj. Masz trzy szanse.

— Charlotte Gillis jednak bierze ślub w kościele i pani Allan poprosiła, żebyśmy go udekorowały! — zawołała Ania.

— Nie. Narzeczony Charlotte nie chce się na to zgodzić, bo nikt jeszcze nie brał ślubu w kościele, a on uważa, że to by przypominało pogrzeb. To podłe, bo miałybyśmy prawdziwy ubaw. Zgaduj dalej.

— Mama Jane pozwoliła jej urządzić przyjęcie urodzinowe?

Diana potrząsnęła głową, a w jej czarnych oczach zatańczyła radość.

— Nie mam pojęcia, co to może być — poddała się Ania — chyba że Moody Spurgeon MacPherson odprowadził cię wczoraj z nabożeństwa do domu. Zrobił to?

— Wolne żarty! — oburzyła się Diana. — Nawet gdyby to zrobił, jest paskudnym stworzeniem, nie chwaliłabym się tym. Wiedziałam, że nie zgadniesz. Mama dostała dziś list od ciotki Józefiny. Ciotka chce, żebyśmy obie pojechały do miasta w przyszły wtorek i zostały u niej na czas wystawy. Tak!

— Och, Diano — szepnęła Ania, która z wrażenia musiała się oprzeć o pień klonu — czy ty mówisz poważnie? Boję się, że Maryla mnie nie puści. Na pewno stwierdzi, że nie popiera takiej włóczędzy. Tak powiedziała w zeszłym tygodniu, gdy Jane zaprosiła mnie na przejażdżkę ich dwukonnym powozem na koncert amerykański w hotelu w Białych Piaskach. Tak bardzo chciałam jechać, ale Maryla stwierdziła, że lepiej zrobię, zostając w domu i odrabiając lekcje i że Jane też to wyjdzie na dobre. Byłam strasznie rozczarowana, Diano. Czułam taką rozpacz, że kładąc się spać, nie odmówiłam pacierza. Ale potem pożałowałam tego, wstałam w środku nocy i się pomodliłam.

— Wiesz co — zaproponowała Diana — poprosimy moją mamę, żeby porozmawiała z Marylą. Wtedy prędkiej cię puści, a jeśli tak się stanie, Aniu, to będzie okazja naszego życia! Nigdy nie byłam na wystawie i tak mnie drażni, gdy inne dziewczyny opowiadają o swoich wycieczkach. Jane i Ruby były już dwa razy, a w tym roku jadą znowu.

— Nie będę o tym myśleć, dopóki nie będę miała pewności — stwierdziła rezolutnie Ania. — Gdybym się na to nastawiła, a potem spotkałoby mnie rozczarowanie, nie zniosłabym tego. Ale na wypadek, gdybym jednak pojechała, cieszę się, że mój nowy płaszcz będzie gotowy. Maryla uważała, że go nie potrzebuję. Mówiła, że stary wystarczy na kolejną zimę i powinnam być zadowolona z nowej sukienki. Ta sukienka jest bardzo ładna, Diano: granatowa i uszyta tak modnie. Maryla szyje mi teraz wszystko modnie, bo mówi, że nie chce, aby Mateusz chodził do Małgorzaty Linde i prosił ją o szycie. Tak się cieszę. O wiele łatwiej jest być dobrym, gdy ma się modne ubrania. Przynajmniej dla mnie. Przypuszczam, że dla ludzi dobrych z natury nie ma to znaczenia. Ale Mateusz uparł się, że muszę mieć nowy płaszcz, więc Maryla kupiła śliczny kawałek błękitnego

³⁰*Marmion* — poemat epicki Waltera Scotta (pełny tytuł ang. *Marmion. A Tale of Flodden Field*) z 1808, którego akcja osnuta została wokół wydarzeń historycznych, w tym wielkiej klęski Szkotów w bitwie pod Flodden Field w 1513 r. [przypis edytorski]

sukna i szyje go prawdziwa krawcowa w Carmody. Ma być gotowy w sobotę wieczorem i staram się nie wyobrażać sobie, jak idę w niedzielę do kościoła w nowym komplecie i czapeczce. Boję się, że nie powinnam tak o sobie myśleć, ale to samo pcha mi się do głowy. Moja czapeczka jest prześliczna. Mateusz kupił mi ją, kiedy byliśmy w Carmody. Jest z niebieskiego aksamitu, taka mała, jakie teraz są w modzie, ze złotym sznureczkiem i pomponami. Diano, twój nowy kapelusz też jest elegancki i bardzo ci w nim do twarzy. Kiedy zobaczyłam cię w kościele w ubiegłą niedzielę, serce urosło mi z dumy, że jesteś moją najdroższą przyjaciółką. Myślisz, że to źle, iż tak dużo myślimy o ubraniach? Maryla mówi, że to wielki grzech. Ale to taki interesujący temat, prawda?

Maryla zgodziła się na wyjazd Ani i ustalono, że pan Barry zawiezie dziewczęta do miasta w następny wtorek. Ponieważ Charlottetown leżało pięćdziesiąt kilometrów od Avonlea, a pan Barry chciał obrócić w jeden dzień, trzeba było wyruszyć bardzo wcześnie. Ale dla Ani to była sama radość — we wtorek wstała przed świtem. Jeden rzut oka za okno upewnił ją, że dzień będzie piękny, bo niebo na wschodzie za jodłami Nawiedzonego Lasu było srebrzyste i bezchmurne. Przez lukę między drzewami widziała światło w oknie zachodniego poddasza Sosnowego Wzgórza — to był znak, że Diana też już nie śpi.

Gdy Mateusz rozpałał ogień, Ania była już ubrana i przygotowała śniadanie, zanim Maryla zeszła na dół, choć sama była zbyt podekscytowana, żeby cokolwiek przełknąć. Po śniadaniu włożyła szykowną, nową czapczkę oraz żakiet i popędziła przez potok i jodłowy las do Diany. Pan Barry i Diana już na nią czekali i wkrótce ruszyli w drogę.

Jazda była długa, ale Ania i Diana cieszyły się każdą minutą. Cudownie było klekotać powozem po wilgotnych drogach w porannych, czerwonych promieniach słońca, które pełgały po skoszonych polach. Powietrze było rześkie i ostre, a przez doliny snuły się błękitne mgły. Czasem droga prowadziła przez lasy, gdzie klony zaczynały już wywieszać swoje szkarłatne sztandary. Czasem przecinała rzeki mostami, co sprawiało, że Ania drżała z owego dawnego, na wpół przyjemnego lęku. Niekiedy wiała się brzegiem zatoki, mijając skupiska poszarzałych od słońca i wiatru chat rybackich, by potem znów wspiąć się na wzgórze, skąd widać było dalekie pasma wyżyn lub mgliste, błękitne niebo. Gdziekolwiek jechali, zawsze było o czym dyskutować. Do miasta dotarli tuż przed południem i odnaleźli drogę do Beechwood — posiadłości panny Barry.

Była to okazała, stara rezydencja, położona z dala od ulicy, ukryta wśród zielonych wiązków i rozłożystych buków. Panna Barry przywitała ich w drzwiach z błyskiem w czarnych oczach.

— Moja Aniu, wreszcie do mnie zawitałaś — powiedziała. — Mój Boże, dziecko, jakżeś ty urosła! Jesteś wyższa ode mnie, słowo daję. I wyglądasz o wiele lepiej niż kiedyś. Ale pewnie już to wiesz i bez moich słów.

— Wcale nie — odrzekła rozpromieniona Ania. — Wiem, że nie mam już tylu piegów, za co jestem bardzo wdzięczna, ale nie śmiałam marzyć o innej poprawie. Tak się cieszę, że pani tak uważa, panno Barry.

Dom panny Barry był urządzony z wielkim przepychem, jak Ania opowiadała później Maryli. Dwie małe wiejskie dziewczynki były nieco onieśmiałe splendorem salonu, w którym panna Barry je zostawiła, podczas gdy sama poszła dopilnować obiadu.

— Czy to nie wygląda jak pałac? — szepnęła Diana. — Nigdy wcześniej nie byłam w domu ciotki Józefiny i nie miałam pojęcia, że tu jest tak wspaniale. Chciałabym, żeby Julia Bell to zobaczyła: tak się pyszni salonem swojej matki.

— Aksamitny dywan — westchnęła z podziwem Ania — i jedwabne zasłony! Śniłam o takich rzeczach, Diano. Ale wiesz, chyba nie czuję się tu zbyt swobodnie. W tym pokoju jest tyle rzeczy i wszystkie są tak wspaniałe, że nie ma tutaj miejsca na wyobraźnię. To jedna z pociech bycia biednym: zostaje więcej rzeczy, które można sobie wymarzyć.

Pobyt w mieście był dla Ani i Diany wydarzeniem, które na trwale zapisało się w ich pamięci. Od początku do końca wypełniały go same zachwyty.

W środę panna Barry zabrała je na teren wystawy i spędziły tam cały dzień.

— To było wspaniale — relacjonowała później Ania Maryli. — Nigdy nie wyobrażałam sobie nic równie ciekawego. Naprawdę nie mam pojęcia, który dział był najlepszy. Chyba najbardziej podobały mi się konie, kwiaty i robótki ręczne. Josie Pye zdobyła pierwszą nagrodę za koronkę robioną na drutach. Naprawdę się cieszyłam. Cieszyłam się

Bieda, Bogactwo,
Wyobraźnia

też z tego, że się cieszę, bo to dowód na to, że zmieniam się na lepsze, nie uważasz, Marylo? Że potrafię cieszyć się z sukcesu Josie. Pan Harmon Andrews zdobył drugą nagrodę za jabłka gatunku Gravenstein, a pan Bell pierwszą nagrodę za hodowlę świni. Diana uznała, że to śmieszne, by dyrektor szkoły niedzielnej odbierał nagrody za świnię, ale ja nie widzę w tym nic złego. A ty? Powiedziała, że zawsze będzie o tym myśleć, obserwując, jak pan Bell żarliwie się modli. Clara Louise MacPherson dostała nagrodę za malarstwo, a pani Linde pierwszą nagrodę za domowe masło i ser. Więc Avonlea było godnie reprezentowane, prawda? Pani Linde też tam była tego dnia i dopiero gdy zobaczyłam jej znajomą twarz wśród tych tysięcy obcych ludzi, zrozumiałam, jak bardzo ją lubię. Marylo, tam były prawdziwe tłumy! Czułam się strasznie nieistotna. Panna Barry zabrała nas na trybunę, żebyśmy obejrzały wyścigi konne. Pani Linde nie chciała iść. Powiedziała, że wyścigi to obrzydliwość i jako członkini kościoła uważa za swój święty obowiązek dawać dobry przykład i trzymać się z daleka od takich spraw. Ale było tam tyle osób, że nie sądzę, aby ktokolwiek zauważył nieobecność pani Linde. Myślę jednak, że nie powinnam za często chodzić na wyścigi, bo one są strasznie fascynujące. Diana tak się ekscytowała, że chciała się ze mną założyć o dziesięć centów, że wygra czerwony koń. Nie wierzyłam co prawda w jego zwycięstwo, ale odmówiłam zakładu, bo chciałam o wszystkim opowiedzieć pani Allan, a czułam, że nie wypada jej mówić o hazardzie. Zawsze źle jest robić coś, o czym nie można opowiedzieć żonie pastora. Mieć za przyjaciółkę żonę pastora to tak, jakby mieć dodatkowe sumienie. Bardzo się cieszyłam, że się nie założyłam, bo czerwony koń rzeczywiście wygrał i straciłabym dziesięć centów. Widzisz więc, że cnota została nagrodzona. Widziałyśmy też człowieka lecącego balonem. Chciałabym polecieć balonem, Marylo, to musi być niesamowite! Był tam też człowiek, który sprzedawał wróżby. Płaciło mu się dziesięć centów, a mały ptaszek wyciągał los. Panna Barry dała nam po dziesięć centów na wróżbę. Moja brzmiała tak, że wyjdę za mąż za bardzo bogatego bruneta i wyjadę za morze. Potem uważnie przyglądałam się wszystkim brunetom, których spotkałyśmy, ale żaden mi się nie spodobał, a zresztą chyba jest jeszcze za wcześnie, by się za nimi rozglądać. Och, Marylo, to był niezapomniany dzień. Byłam tak zmęczona, że w nocy nie mogłam zasnąć. Panna Barry, tak jak obiecała, położyła nas w pokoju gościnnym. To był elegancki pokój, Marylo, ale jakoś spanie w pokoju gościnnym nie jest już tym, czym kiedyś mi się wydawało. To najgorsza strona dorastania i zaczynam to rozumieć. Rzeczy, których tak bardzo pragnęło się w dzieciństwie, nie wydają się już w połowie tak cudowne, gdy się je wreszcie dostanie.

Sumienie, Zło

Dorosłość, Dzieciństwo

W czwartek dziewczęta pojechały na przejażdżkę do parku, a wieczorem panna Barry zabrała je na koncert do Akademii Muzycznej, gdzie miała śpiewać słynna primadonna. Dla Ani ten wieczór był spełnieniem olśniewającej wizji szczęścia.

— Och, Marylo, tego nie da się opisać. Byłam tak przejęta, że nie mogłam wykrzusić słowa. Siedziałam w pełnym zachwyty milczeniu. Madame Selitsky była przepiękna, miała na sobie białą satynę i diamenty. Ale kiedy zaczęła śpiewać, przestałam widzieć cokolwiek innego. Ach, nie potrafię opisać, co czułam. Wydawało mi się, że bycie dobrym już nigdy nie sprawi mi kłopotu. Czułam się tak, jak wtedy, gdy patrzyłam w gwiazdy. Łzy stanęły mi w oczach, ale to były łzy szczęścia. Tak mi było żal, gdy koncert się skończył. Powiedziałam pannie Barry, że nie wiem, jak mam teraz wrócić do zwykłego życia. Odpowiedziała, że może mi pomóc, jeśli pójdziemy do restauracji naprzeciwko na lody. To zabrzmiało tak prozaicznie, ale ku mojemu zdumieniu okazało się prawdą. Marylo, lody były pyszne, a jedzenie ich w restauracji o jedenastej w nocy było takie podniecające i... rozpustne! Diana stwierdziła, że urodziła się do życia w mieście. Panna Barry zapytała mnie o zdanie, ale odpowiedziałam, że muszę to bardzo poważnie rozważyć. Myślałam o tym w łóżku, bo to najlepsza pora na rozmyślanie. Doszłam do wniosku, Marylo, że nie urodziłam się do miejskiego życia, i cieszę się z tego. Dobrze jest zjeść lody w luksusowej restauracji o jedenastej w nocy raz na jakiś czas, ale na co dzień wolę być o jedenastej w moim pokoiku na poddaszu i smacznie spać, wiedząc, nawet przez sen, że na zewnątrz świecą gwiazdy, a wiatr wieje w koronach jodeł za potokiem. Powiedziałam to pannie Barry przy śniadaniu, a ona się roześmiała. Panna Barry śmieje się prawie ze wszystkiego, co mówię, nawet gdy są to najpoważniejsze rzeczy. Chyba mi się to nie spodobało, bo przecież nie starałam się być zabawna. Ale to bardzo gościnna dama i ugościła nas iście po królewsku.

W piątek nadszedł czas powrotu i pan Barry przyjechał po dziewczęta.

— No, mam nadzieję, że dobrze się bawiliście — rzekła panna Barry na pożegnanie.

— O tak! — odrzekła Diana.

— A ty, moja Aniu?

— Cieszyłam się każdą minutą — odparła Ania, rzucając się impulsywnie starszej damie na szyję i całując ją w pomarszczony policzek. Diana nigdy nie odważyłaby się na coś takiego i była nieco przerażona śmiałością Ani. Ale panna Barry była zadowolona; stała na werandzie i patrzyła w ślad za odjeżdżającym powozem, dopóki nie zniknął jej z oczu. Potem wróciła z westchnieniem do swojego wielkiego domu. Bez tych dwóch młodych dziewcząt zrobiło się w nim nagle bardzo pusto. Panna Barry była, prawdę mówiąc, dość samolubną starszą panią i rzadko dbała o kogoś poza sobą. Ceniła ludzi tylko o tyle, o ile mogli jej się przydać lub ją rozbawić. Ania ją bawiła, więc szybko znalazła się w jej łaskach. Jednak teraz panna Barry przyłapała się na tym, że myśli nie o zabawnych powiedzonkach Ani, lecz o jej świeżym entuzjazmie, szczerych emocjach oraz słodczy jej oczu i ust.

— Kiedy usłyszałam, że Maryla Cuthbert adoptowała dziewczynkę z sierocińca, pomyślałam, że to stara wariatka — przyznała sama przed sobą — ale chyba jednak nie popełniła wielkiego błędu. Gdybym cały czas miała w domu takie dziecko jak Ania, byłabym lepszą i szczęśliwszą kobietą.

Ania i Diana uznały, że droga powrotna była równie przyjemna jak ta do miasta — a nawet przyjemniejsza, ponieważ towarzyszyła im świadomość, że na końcu tej drogi czeka na nie dom. Słońce zachodziło, gdy mijali Białe Piaski i wjeżdżali na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Wzgórza Avonlea rysowały się ciemno na tle szafranowego nieba. Za nimi z morza wylaniał się księżyc, a w jego blasku cała okolica stawała się promienna i odmieniona. Każda zatoczka wzdłuż krętej drogi była cudownym tańcem skrzących się iskier. Fale rozbijały się o skały z miękkim szumem, a w rześkim powietrzu czuć było zapach soli.

— Och, jak dobrze jest żyć i wracać do domu — odetchnęła Ania.

Kiedy przejeżdżała przez mostek nad potokiem, światło w kuchni Zielonego Wzgórza mrugnęło do niej przyjaźnie, a przez otwarte drzwi bił ciepły, czerwony blask ognia, który rozpraszał chłód jesiennej nocy. Ania wbiegła szybko na wzgórze i wpadła do kuchni, gdzie na stole czekała gorąca kolacja.

— A więc wróciłaś? — zapytała Maryla, odkładając robótkę.

— Tak! Och, jak dobrze być z powrotem! — zawołała radośnie Ania. — Mogłabym ucałować wszystko, nawet zegar. Marylo, czy to pieczony kurczak? Chyba nie przyrządziłaś go specjalnie dla mnie?

— Owszem — odparła Maryla. — Pomyślałam, że będziesz głodna po tak długiej drodze i przyda ci się coś naprawdę pożywnego. Szybko, zdejmij ubrania, zjesz kolację, gdy tylko wróci Mateusz. Muszę przyznać, że cieszę się z twojego powrotu. Było tu okropnie cicho bez ciebie, nigdy mi się tak nie dłużyły cztery dni.

Po kolacji Ania usiadła przed kominkiem, między Mateuszem a Marylą i zdała im szczegółową relację z wycieczki.

— To był wspaniały czas — zakończyła szczęśliwa — i czuję, że to epokowe wydarzenie w moim życiu. Ale najlepszy z tego wszystkiego był powrót do domu.

ROZDZIAŁ XXX

KLASA PRZYGOTOWAWCZA DO SEMINARIUM

Maryla odłożyła robótkę na kolana i oparła się na krześle. Jej oczy były zmęczone, pomyślała jak przez mgłę, że przy najbliższej wizycie w mieście musi postarać się o zmianę okularów, bo ostatnio jej wzrok męczył się zbyt często.

Było już niemal ciemno, gdyż nad Zielonym Wzgierzem zapadł ponury, listopadowy zmierzch, a jedynym źródłem światła w kuchni były czerwone płomienie tańczące w piecu.

Ania siedziała po turecku na dywaniku przed kominkiem, wpatrując się w ten radosny blask, w którym z klonowych polan ulatywało słońce minionych lat. Przed chwilą czytała, lecz książka wysunęła się z jej rąk na podłogę. Teraz marzyła z uśmiechem na rozchyłonych ustach. Z mgieł i tęcz jej żywej wyobraźni rysowały się lśniące zamki w Hiszpanii;

Wieczór, Morze

Ogień, Drzewo

w krainie chmur przeżywała cudowne i porywające przygody, które zawsze kończyły się pomyślnie i nigdy nie wpędzały jej w kłopoty, jak to bywało w prawdziwym życiu.

Maryla patrzyła na nią z czułością, której nigdy nie pozwoliła sobie okazać w świetle wyraźniejszym niż to subtelne połączenie blasku ognia i cieni. Lekcji miłości, której z pozoru łatwo nauczyć się w słowach i spojrzeniach, Maryla nigdy nie zdołała pojąć. Nauczyła się jednak kochać tę smukłą, szarooką dziewczynkę uczuciem tym głębszym i silniejszym, im mniej było ono wylewne. Miłość ta sprawiała, że Maryla bała się zbyt niebezpieczeństwa. Miała niepokojące przeczucie, że jest w tym coś nieomal grzesznego — tak mocno przywiązać się sercem do jakiegokolwiek ludzkiej istoty, jak ona związała swoje serce z Anią. Może nieświadomie odbywała pokutę za to uczucie, będąc wobec dziewczynki surowszą i bardziej krytyczną, niż gdyby była jej ona mniej droga. Sama Ania z pewnością nie miała pojęcia, jak bardzo Maryla ją kocha. Czasami myślała z tęsknotą, że Maryli bardzo trudno dogodzić i że wyraźnie brakuje jej współczucia oraz zrozumienia. Zawsze jednak karmiła się w duchu za te myśli, pamiętając, jak wiele Maryli zawdzięcza.

— Aniu — odezwała się nagle Maryla — panna Stacy była tu popołudniu, kiedy wyszłaś do Diany.

Ania wróciła ze swego świata z drgnieniem i westchnęła.

— Naprawdę? Och, tak mi przykro, że mnie nie zastała! Dlaczego mnie nie zawołałaś, Marylo? Byłyśmy z Dianą tylko w Nawiedzonym Lesie. Jest tam teraz prześlicznie. Wszystkie małe leśne stworzenia: paprocie i jagody poszły spać, zupełnie jakby ktoś otulił je do wiosny kołderką z liści. Myślę, że to mała, szara wróżka w tęczowym szalu przyszła na paluszkach w ostatnią księżycową noc i to zrobiła. Diana nie chciała jednak o tym za dużo słuchać. Nigdy nie zapomniła bury, jaką dała jej matka za wyobrażanie sobie duchów w Nawiedzonym Lesie. To fatalnie wpłynęło na wyobraźnię Diany. Zniszczyło ją. Pani Linde mówi, że Myrtle Bell to „zniszczona istota”. Zapytałam Ruby Gillis, dlaczego Myrtle jest zniszczona, a Ruby odrzekła, iż pewnie dlatego, że kawaler ją rzucił. Ruby Gillis nie myśli o niczym innym, tylko o kawalerach, a im jest starsza, tym z nią gorzej. Młodzi mężczyźni są całkiem w porządku, kiedy zajmują się swoimi sprawami, ale nie wypada ich mieszać do wszystkiego, prawda? Diana i ja poważnie myślimy o złożeniu sobie obietnicy, że nigdy nie wyjdziemy za mąż, tylko zostaniemy miłymi starymi pannami i będziemy zawsze mieszkać razem. Diana nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji, bo myśli, że może szlachetniej byłoby wyjść za jakiegoś dzikiego, porywczego i złego młodzieńca, by go nawrócić. Wiesz, Marylo, Diana i ja rozmawiamy teraz dużo na poważne tematy. Czujemy, że jesteśmy o wiele starsze niż kiedyś i nie godzi się nam mówić o dziecięcych sprawach. To taka podniosła rzecz mieć prawie czternaście lat. Panna Stacy zabrała wszystkie nastoletnie dziewczęta w zeszlą środę nad potok i rozmawiała z nami o tym. Powiedziała, że musimy być wyjątkowo ostrożne w tym, jakie nawyki kształtujemy i które ideały przyjmujemy za swoje w wieku kilkunastu lat, bo zanim skończymy dwadzieścia lat, nasze charaktery będą już ukształtowane i fundament pod całe przyszłe życie zostanie położony. I powiedziała, że jeśli fundament będzie chwiejny, nigdy nie zbudujemy na nim niczego naprawdę wartościowego. Rozmawialiśmy o tym z Dianą w drodze powrotnej ze szkoły. Czuliśmy się bardzo podniośle i zdecydowałyśmy, że będziemy się bardzo pilnować, nabierać szlachetnych nawyków, uczyć się wszystkiego, co może się przydać, i być tak rozsądne, jak to tylko możliwe, tak aby do czasu, gdy skończymy dwadzieścia lat, nasze charaktery były już odpowiednio ukształtowane. Marylo, myśl o byciu dwudziestolatką jest wprost przerażająca. To brzmi tak strasznie staro i dorośle. Ale w jakim celu odwiedziła nas panna Stacy?

— Właśnie to chcę ci powiedzieć, Aniu, jeśli tylko dasz mi dojść do słowa. Rozmawiała o tobie.

— O mnie? — Ania sprawiała wrażenie nieco wystraszonej. Potem oblała się rumieńcem i zawołała: — Och, wiem, co mówiła! Naprawdę chciałam ci powiedzieć, Marylo, szczerze, ale zapomniałam. Panna Stacy przyłapała mnie wczoraj po południu w szkole na czytaniu *Ben Hura*³¹, kiedy powinnam była uczyć się historii Kanady. Jane Andrews mi go pożyczyła. Czytałam podczas przerwy obiadowej i akurat doszłam do wyścigu ry-

Kobieta, Mężczyzna,
Obyczaje

Podstęp, Dziecko,
Nauczycielka

³¹*Ben Hur* — powieść historyczno-przygodowa amerykańskiego pisarza Lewisa Wallace'a z 1880 r. (tytuł oryg. *Ben Hur, a Tale of the Christ*), której akcja rozgrywa się w Cesarstwie Rzymskim w I wieku n.e., w czasach Jezusa. [przypis edytorski]

dwanów, gdy zaczęły się lekcje. Strasznie chciałam wiedzieć, jak to się skończy (choć byłam pewna, że Ben Hur musi wygrać, bo gdyby nie wygrał, nie byłoby sprawiedliwości poetyckiej), więc otworzyłam podręcznik do historii na pulpicie, a *Ben Hura* wsunęłam między ławkę a kolano. Wyglądało to tak, jakbym studiowała historię Kanady, podczas gdy ja w rzeczywistości rozkoszowałam się lekturą. Byłam tak zaintrygowana, że nie zauważyłam panny Stacy idącej przejsiem. Nagle podniosłam wzrok, a ona stała nade mną z taką dezaprobatą w oczach! Nie potrafię ci opisać, Marylo, jak bardzo się zawstydyłam, zwłaszcza gdy usłyszałam chichot Josie Pye. Panna Stacy zabrała mi książkę, ale wtedy nie powiedziała ani słowa. Zostawiła mnie w klasie podczas przerwy i porozmawiała ze mną. Powiedziała, że postąpiłam źle pod dwoma względami. Po pierwsze, marnowałam czas, który powinnam poświęcić nauce. A po drugie, oszukiwałam nauczycielkę, udając, że czytam historię, gdy w rzeczywistości była to powieść. Dopiero w tamtej chwili, Marylo, zdałam sobie sprawę, że to, co zrobiłam, było oszustwem. Byłam wstrząśnięta. Gorzko zapłakałam i błagałam pannę Stacy o wybaczenie, obiecując, że nigdy więcej tego nie zrobię. Zaproponowałam nawet pokutę: przez cały tydzień nawet nie spojrzę na *Ben Hura*, żeby przeczytać, jak skończy się wyścig rydwanów. Ale panna Stacy powiedziała, że tego ode mnie nie wymaga i szczerze mi wybaczyła. Myślę więc, że nie było z jej strony zbyt ładnie przychodzić tutaj do ciebie z tą sprawą.

— Aniu, panna Stacy nie wspomniała o tym ani słowem. To tylko twoje nieczyste sumienie daje o sobie znać. Nie masz prawa zabierać do szkoły powieści. I tak czytasz ich za dużo. Kiedy ja byłam dziewczynką, nie pozwalano mi nawet spojrzeć na żadną powieść.

— Och, jak możesz nazywać *Ben Hura* powieścią, skoro to tak religijna książka? — zaprotestowała Ania. — Oczywiście jest trochę zbyt ekscytująca, żeby czytać ją w niedzielę, więc robię to wyłącznie w dni powszednie. I nie czytam teraz żadnej książki, której panna Stacy lub pani Allan nie uznałyby za odpowiednią dla dziewczynki w wieku lat trzynastu i trzech czwarte. Musiałam to obiecać pannie Stacy. Przylapała mnie pewnego dnia na lekturze książki zatytułowanej *Mroczna tajemnica nawiedzonego dworu*. Pożyczyłam ją od Ruby Gillis. Och, Marylo, ależ ona była fascynująca i przerażająca. Od czytania krew ścinała mi się w żyłach. Ale panna Stacy powiedziała, że to bardzo głupia, niezdrowa lektura i poprosiła, żebym nie czytała więcej nic podobnego. Nie chciałam złamać danego jej słowa, ale myśl o tym, że będę musiała oddać tę książkę, nie znając jej zakończenia, napawała mnie udęką. Jednak moja miłość do panny Stacy pokonała tę próbę i oddałam jej książkę. To naprawdę zdumiewające, Marylo, co można zrobić, gdy szczerze chce się kogoś zadowolić.

— No cóż, zapalę lampę i wezmę się do pracy — ucięła Maryla. — Widzę wyraźnie, że nie chcesz usłyszeć, co panna Stacy miała do powiedzenia. Bardziej interesuje cię brzmienie własnego głosu niż cokolwiek innego.

— Och, naprawdę chcę to usłyszeć, Marylo! — wykrzyknęła skruszona Ania. — Nie wypowiem już ani jednego słowa. Wiem, że za dużo mówię, ale staram się to przezwyciężyć. Gdybyś wiedziała, ile rzeczy chcę powiedzieć, a tego nie robię, z pewnością doceniłabyś moje wysiłki. Proszę, Marylo, powiedz mi!

— Otóż panna Stacy chce zorganizować klasę dla starszych uczniów, którzy zamierzają zdawać egzaminy wstępne do seminarium w Queen's. Zamierza dawać im dodatkowe lekcje przez godzinę po szkole. Przyszła zapytać Mateusza i mnie, czy chcielibyśmy, żebyś do nich dołączyła. Co ty o tym sądzisz, Aniu? Chciałabyś pójść do Queen's i zostać nauczycielką?

— Och, Marylo! — Ania wyprostowała się na kolanach i zacisnęła dłoń. — To było marzenie mojego życia... przynajmniej przez ostatnie pół roku, odkąd Ruby i Jane zaczęły rozmawiać o egzaminach wstępnych. Ale nic się nie odzywałam, bo byłam przekonana, że to niemożliwe. Bardzo chciałabym zostać nauczycielką! Ale czy to nie będzie strasznie drogie? Pan Andrews mówi, że wykształcenie Prissy kosztowało go sto pięćdziesiąt dolarów, a Prissy nie była przecież nogą z geometrii.

— O to się nie martw. Kiedy razem z Mateuszem wzięliśmy cię na wychowanie, postanowiliśmy, że zrobimy dla ciebie wszystko, co w naszej mocy i damy ci dobre wykształcenie. Uważam, że dziewczyna powinna umieć sama na siebie zarobić, bez względu na to, czy kiedykolwiek będzie musiała to robić. Dopóki Mateusz i ja tu jesteśmy, zawsze będziesz mieć dom na Zielonym Wzgórzu, ale nikt nie wie, co się może wydarzyć

na tym niepewnym świecie, dlatego dobrze jest być na to przygotowanym. Więc jeśli chcesz, możesz dołączyć do klasy przygotowawczej.

— Och, Maryło, dziękuję! — Ania objęła Marylę w talii i spojrzała jej prosto w twarz. — Jestem ogromnie wdzięczna tobie i Mateuszowi. Będę się uczyć tak pilnie, jak tylko potrafię, i zrobię wszystko, żebyście byli ze mnie dumni. Ostrzegam co prawda, byście nie spodziewali się zbyt wiele po geometrii, ale sądzę, że z resztą dam sobie radę, jeśli tylko będę ciężko pracować.

— Myślę, że poradzisz sobie wystarczająco dobrze. Panna Stacy mówi, że jesteś zdolna i pilna. — Maryla za nic na świecie nie powtórzyłaby Ani wszystkiego, co panna Stacy o niej mówiła, bo byłoby to karmienie jej próżności. — Nie musisz się jednak trudzić nad książkami już teraz. Nie ma pośpiechu. Do egzaminów zostało jeszcze półtora roku. Jednak panna Stacy twierdzi, że dobrze jest zacząć wcześniej i porządnie opanować podstawy.

— Teraz będę się uczyć z jeszcze większym zapalem — odparła uszczęśliwiona Ania — bo mam w życiu cel. Pan Allan mówi, że każdy powinien mieć w życiu cel i konsekwentnie do niego dążyć. Powiedział tylko, że musimy najpierw upewnić się, że jest to cel godny. Dla mnie takim godnym celem jest zostanie nauczycielką, tak jak panna Stacy. Prawda, Maryło? Myślę, że to bardzo szlachetny zawód.

Klasa przygotowawcza została zorganizowana w odpowiednim czasie. Dołączyli do niej: Gilbert Blythe, Ania Shirley, Ruby Gillis, Jane Andrews, Josie Pye, Charlie Sloane i Moody Spurgeon MacPherson. Diana Barry nie zapisała się, ponieważ rodzice nie zamierzali posyłać jej do Queen's. Dla Ani była to niemal katastrofa. Od pamiętnej nocy, kiedy Minnie May zachorowała na krup, ona i Diana zawsze były zgodne w każdej kwestii. Tego wieczoru, kiedy klasa przygotowawcza po raz pierwszy została w szkole na dodatkowe lekcje, Ania ujrzała Dianę wychodzącą powoli z innymi, by samotnie wrócić do domu przez Brzozową Ścieżkę i Dolinę Fiołków. Ania z trudem powstrzymała się, by nie zerwać się z miejsca i nie pobiec za przyjaciółką. Poczula dławienie w gardle i szybko skryła się za stronami gramatyki łacińskiej, żeby ukryć łzy napływające jej do oczu. Za nic na świecie nie chciała, aby Gilbert Blythe czy Josie Pye zobaczyli ją w tym stanie.

— Ach, Maryło, naprawdę poczułam, że „skosztowałam goryczy śmierci”, jak mówił pan Allan w niedzielnym kazaniu, kiedy zobaczyłam Dianę wychodzącą samą — opowiadała ze smutkiem tego wieczoru. — Myślałam, jak wspaniale byłoby, gdyby Diana też mogła się uczyć w Queen's. Ale na tym niedoskonałym świecie nie można mieć wszystkiego, jak mówi pani Linde. Pani Linde nie zawsze jest osobą niosącą pociechę, ale bez wątpienia mówi wiele bardzo prawdziwych rzeczy. Myślę też, że zajęcia będą niezwykle interesujące. Jane i Ruby chcą być po prostu nauczycielkami. To szczyt ich ambicji. Ruby mówi, że będzie uczyć tylko dwa lata, a potem zamierza wyjść za mąż. Jane z kolei twierdzi, że poświęci całe życie nauczaniu i nigdy, przenigdy nie wyjdzie za mąż, ponieważ za nauczanie dostaje się pensję, a mąż ci za nic nie płaci, tylko gdera, kiedy prosisz go o swoją część pieniędzy za jajka i masło. Podejrzewam, że Jane mówi to z własnego gorzkiego doświadczenia, bo pani Linde twierdzi, że jej ojciec to straszny dziwak i najgorszy sknera. Josie Pye mówi, że idzie do szkoły tylko dla wykształcenia, bo nie musi zarabiać na życie; twierdzi, że z sierotami żyjącymi z czyjejś łaski jest oczywiście inaczej: one muszą się uwiijać. Moody Spurgeon chce zostać pastorem. Pani Linde mówi, że z takim imieniem nie może być nikim innym. Mam nadzieję, że to nie jest grzeszne, Maryło, ale naprawdę myśl o Moodym Spurgeonie w roli pastora mnie śmieszy. To taki zabawny chłopak z tą wielką, tłusciutką twarzą, małymi, niebieskimi oczkami i uszami odstającymi jak klapki. Ale może kiedy dorośnie, będzie sprawiał wrażenie mądrzejszego. Charlie Sloane twierdzi, że zajmie się polityką i zostanie posłem do parlamentu, ale pani Linde wątpi, czy mu się to uda, bo wszyscy Sloane'owie to uczciwi ludzie, a w dzisiejszych czasach w polityce dobrze radzą sobie tylko łajdacy.

— A kim zamierza zostać Gilbert Blythe? — zapytała Maryla, widząc, że Ania otwiera *O wojnie galijskiej* Cezara.

Polityka

— Nie miałam okazji dowiedzieć się, jakie ambicje życiowe ma Gilbert Blythe, jeśli w ogóle jakieś ma — odrzekła pogardliwie Ania.

Między Anią a Gilbertem panowała teraz jawna rywalizacja. Wcześniej była ona raczej jednostronna, lecz teraz nie było wątpliwości, że Gilbert jest tak samo zdeterminowany, żeby być najlepszym w klasie, jak Ania. Był to przeciwnik godny jej wysiłków. Pozostali uczniowie milcząco uznawali ich wyższość i nawet nie marzyli o konkurowaniu z tą dwójką.

Od tamtego dnia nad stawem, gdy Ania odrzuciła jego prośbę o wybaczenie, Gilbert — poza wspomnianą rywalizacją — nie okazywał w żaden sposób atencji Ani Shirley. Rozmawiał i żartował z innymi dziewczynami, wymieniał się z nimi książkami i łami-główkami, dyskutował o lekcjach i planach, czasami odprowadzał którąś z nich do domu z nabożeństwa lub po spotkaniu klubu dyskusyjnego. Ale Anię Shirley po prostu ignorował, ona zaś odkryła, że bycie ignorowanym wcale nie jest przyjemne. Na próżno powtarzała sobie z dumnie uniesioną głową, że nic ją to nie obchodzi. Gdzieś głęboko w swoim przewrotnym, kobiecym serduszku wiedziała, że jednak jej zależy, i że gdyby znów miała tę szansę nad Jeziorem Lśniących Wód, odpowiedziałaby zupełnie inaczej. Nagle, ku swemu skrytemu przerażeniu, odkryła, że dawna uraza, którą w sobie pielęgnowała, zniknęła — zniknęła właśnie wtedy, gdy najbardziej potrzebowała jej wspierającej mocy. Na próżno przywoływała każdy szczegół i emocję tamtej pamiętnej chwili, starając się poczuć dawny, satysfakcjonujący gniew. Tamten dzień nad stawem był świadkiem ostatniego, spazmatycznego przeblýsku jej złości. Ania zrozumiała, że wybaczyła Gilbertowi i zapomniała, nie zdając sobie z tego nawet sprawy. Ale było już za późno.

Na szczęście ani Gilbert, ani nikt inny, nawet Diana, nigdy nie domyślił się, jak bardzo jest jej przykro i jak żałuje, że była taka dumna i okropna! Postanowiła „spowić swoje uczucia najgłębszą tajemnicą” i trzeba przyznać, że zrobiła to tak skutecznie, iż nawet Gilbert, który być może wcale nie był tak obojętny, na jakiego wyglądał, nie mógł pocieszyć się nadzieją, że Ania czuje się dotknięta z powodu obojętności, którą okazywał jej w odwecie. Jedyną marną pociechą dla niego było to, że Ania nieubłaganie, ciągle i niezastępowanie traktowała z góry Charliego Sloane’a.

Zima upłynęła na miłych obowiązkach i nauce. Ania miała wrażenie, że kolejne dni przesuwały się niczym paciorki różańca. Była szczęśliwa, pełna zapału i zainteresowana światem. Miała lekcje do odrobienia i sukcesy do osiągnięcia, wspaniałe książki do przeczytania, nowe utwory do przećwiczenia z chórem w szkółce niedzielnej, przyjemne sobotnie popołudnia na plebanii u pani Allan. Zanim Ania zdążyła się obejrzeć, na Zielone Wzgórze znów zawitała wiosna, a świat na nowo rozkwitł.

Nauka stała się wtedy odrobinę nużąca. Klasa przygotowawcza zostawała w szkole, gdy inni rozbiegali się po zielonych alejach, liściastych zagajnikach i ścieżkach pośród łąk. Ania, z tęsknotą spoglądając przez okna, odkryła, że czasowniki łacińskie i ćwiczenia z francuskiego straciły gdzieś swój wigor i smak, który miały podczas rzeńskich zimowych miesięcy. Nawet Ania i Gilbert stali się nieco obojętni. Zarówno nauczycielka, jak i uczniowie cieszyli się, gdy semestr dobiegł końca, a przed nimi rozciągały się różowe dni wakacji.

— W tym roku wykonaliście kawał solidnej roboty — powiedziała im ostatniego dnia panna Stacy — i zasługujecie na wspaniały odpoczynek. Bawcie się jak najlepiej na świeżym powietrzu, nabierzcie zdrowia, sił i ambicji na przyszły rok. To będzie decydujące starcie, ostatni rok przed egzaminami.

— Czy wróci pan do nas za rok, panno Stacy? — zapytała Josie Pye.

Josie Pye nigdy nie miała skrupułów, jeśli chodzi o zadawanie pytań, ale tym razem cała klasa była jej wdzięczna. Nikt inny nie odważyłby się o to zapytać, choć wszyscy chcieli znać odpowiedź, gdyż od jakiegoś czasu krążyły niepokojące plotki, że panna Stacy nie wróci — podobno zaoferowano jej posadę w szkole w jej rodzinnych stronach i zamierza ją przyjąć. Klasa przygotowawcza z zapałem tchem czekała na odpowiedź.

— Tak, myślę, że wrócę — odpowiedziała panna Stacy. — Myślałam co prawda o innej szkole, ale postanowiłam zostać w Avonlea. Prawdę mówiąc, tak bardzo zżyłam się tutaj z moimi uczniami, że nie mogłam ich porzucić. Zostanę więc i doprowadzę was do końca.

— Hurra! — zawołał Moody Spurgeon. Chłopiec nigdy wcześniej nie dał się tak ponieść emocjom i przez resztę tygodnia czerwienił się z zakłopotania na samą myśl o tym ekscesie.

— Och, tak się cieszyć! — powiedziała Ania z błyszczącymi oczami. — Kochana panno Stacy, to byłoby straszne, gdyby pani nie wróciła. Nie wiem, czy miałabym serce do nauki, gdyby przyszedł do nas inny nauczyciel na pani miejsce.

Kiedy Ania wróciła wieczorem do domu, schowała wszystkie podręczniki do starego kufra na strychu, zamknęła go na klucz, a klucz wrzuciła do skrzyni z pościelą.

— W wakacje nie zamierzam nawet spojrzeć na podręczniki — oznajmiła Maryli. — Uczyla się przez cały semestr tak pilnie, jak tylko umiały, i ślęczałam nad tą geometrią, dopóki nie nauczyłam się na pamięć każdego twierdzenia z pierwszej książki, nawet wtedy, gdy zmienia się litery na rysunkach. Jestem zmęczona wszystkim, co rozsądne, i zamierzam pozwolić mojej wyobraźni zaszaleć przez całe lato. Och, nie musisz się niepokoić, Marylo. Pozwolę jej zaleć tylko w granicach rozsądku. Chcę mieć naprawdę radosne wakacje, bo być może to ostatnie lato, kiedy jestem jeszcze dziewczynką. Pani Linde mówi, że jeśli w przyszłym roku będę rosła tak jak w tym, będę musiała włożyć dłuższe spódnice. Mówi, że składałam się tylko z nóg i oczu. A kiedy włożę dłuższe spódnice, poczuję, że muszę do nich dorosnąć i być ich godną. Boję się, że wtedy nie będzie mi już wypadało wierzyć we wróżki, więc tego lata zamierzam wierzyć w nie całym sercem. Myślę, że będziemy mieli bardzo wesołe wakacje. Ruby Gillis wkrótce urządza przyjęcie urodzinowe, w przyszłym miesiącu jest piknik szkółki niedzielnej i koncert misyjny. Pan Barry obiecał, że któregoś wieczoru zabierze mnie i Dianę na kolację do hotelu w Białych Piaskach. Wiesz, że tam podają wieczorem kolację? Jane Andrews była tam w zeszłe wakacje i mówi, że to olśniewający widok: te światła elektryczne, kwiaty i wszystkie kobiety w takich pięknych sukniach. Jane mówi, że to był jej pierwszy rzut oka na wielki świat i nie zapomni go do końca życia.

Dzieciństwo, Strój,
Wyobrażenia

Pani Linde przysłała następnego popołudnia, by dowiedzieć się, dlaczego Maryli nie było na czwartkowym spotkaniu koła pomocy. Nieobecność Maryli zawsze zwiastowała, że na Zielonym Wzgórzu dzieje się coś niedobrego.

— Mateusz miał w czwartek silny atak serca — wyjaśniła Maryla — i nie chciałam go zostawiać. O tak, teraz czuje się już dobrze, ale te ataki zdarzają mu się częściej niż kiedyś i martwię się o niego. Doktor mówi, że musi unikać emocji. To akurat łatwe, bo Mateusz nigdy nie szukał wrażeń, ale nie wolno mu też wykonywać żadnych ciężkich prac, a równie dobrze można by mu zabronić oddychać, co pracować. Zdejmij płaszcz, Małgorzato. Zostaniesz na herbatę?

— No cóż, skoro tak nalegasz, to chyba zostanę — odrzekła pani Małgorzata, która od początku nie miała innego zamiaru.

Pani Małgorzata i Maryla rozsiadły się w salonie, tymczasem Ania przygotowała herbatę i upiekła gorące biszkopty, które były tak lekkie i jasne, że niestraszna im była nawet krytyka pani Małgorzaty.

— Muszę przyznać, że Ania wyrosła na naprawdę bystrą dziewczynę — przyznała pani Małgorzata, gdy Maryla odprowadziła ją o zachodzie słońca do końca alei. — Musi być dla ciebie wielkim wsparciem.

— To prawda — zgodziła się Maryla — ustatkowała się i jest teraz naprawdę godna zaufania. Kiedyś bałam się, że nigdy nie wyrośnie ze swojego roztrzępiania, ale tak się stało i teraz nie bałabym się powierzyć jej czegokolwiek.

— Tamtego pierwszego dnia, trzy lata temu, nigdy bym nie pomyślała, że wyjdzie na ludzi — wspomniała pani Małgorzata. — Wielkie nieba, czy kiedykolwiek zapomnę ten jej wybuch! Kiedy wróciłam wieczorem do domu, powiedziałam Tomaszowi: „Wspomnisz moje słowa, Tomasz, Maryla Cuthbert pożałuje tej decyzji”. Ale myliłam się i naprawdę się z tego cieszę. Marylo, nie należę do ludzi, którzy nie potrafią przyznać się do błędu. Nie, to nigdy nie był mój sposób bycia, dzięki Bogu! Pomyliłam się w ocenie Ani, ale trudno się dziwić, bo drugiej tak niezwyklej, nieprzewidywalnej czarownicy w skórze dziecka świat nie widział. Nie dało się jej zrozumieć według żadnych reguł, które działały

w przypadku innych dzieci. To zdumiewające, jak się zmieniła przez te trzy lata, a zwłaszcza jak wypiękniała. Wyrosła na naprawdę ładną dziewczynę, choć sama nie przepadam za tym stylem: blada i wielkooka. Wolę więcej ikry i koloru, jak u Diany Barry czy Ruby Gillis. Ruby Gillis ma naprawdę atrakcyjną urodę. Ale jakoś tak... nie wiem, czemu tak się dzieje, ale kiedy Ania jest z nimi, mimo że nie jest nawet w połowie tak urodziwa, sprawia, że inne dziewczęta wyglądają przy niej pospolicie i przesadnie... zupełnie jak te białe czerwcowe lilie, które ona nazywa narcyzami, przy wielkich, czerwonych piwoniach, ot co.

ROZDZIAŁ XXXI

GDZIE POTOK SPOTYKA SIĘ Z RZEKĄ

Ania spędzała udane wakacje i cieszyła się nimi z całego serca. Wraz z Dianą niemal zamieszkały na świeżym powietrzu, upajając się urokami Alei Kochanków, Źródła Driad, Jeziora Wierzbowego i Wyspy Wiktorii. Maryla nie sprzeciwiała się temu koczowniczo-wemu trybowi życia. Lekarz ze Spencervale, który przyjechał tamtej pamiętnej nocy, kiedy Minnie May zachorowała na krup, na początku wakacji spotkał Anię w domu jednej ze swoich pacjentek. Przyjrzał się jej uważnie, wykrzywił usta, pokręcił głową i przekazał wiadomość Maryli Cuthbert: „Trzymajcie tę waszą rudowłosą dziewczynę na powietrzu przez całe lato i nie pozwalajcie jej czytać książek, dopóki jej krok nie nabierze większej sprężystości”.

Ta wiadomość wystraszyła Marylę nie na żarty. Odczytała ją jako wyrok śmierci z powodu suchot, o ile zalecenie nie zostanie skrupulatnie wykonane. W efekcie Ania przeżyła złote lato swojego życia — pełne wolności i swawoli. Spacerowała, wiosłowała, zbierała jagody i marzyła do woli. Gdy nadszedł wrzesień, miała bystre spojrzenie i sprężysty krok, który zadowoliłby lekarza ze Spencervale, a jej serce znów przepełniały ambicja i zapal.

— Czuję, że będę się uczyć z całych sił — oznajmiła, znosząc książki ze strychu. — Och, moi dobrzy, starzy przyjaciele, cieszę się, że znów widzę wasze znajome twarze: tak, nawet twoją, geometrio! Marylo, miałam idealne lato, a teraz „raduję się jak mocarz, mający biec w zawodach”, jak powiedział w zeszłą niedzielę pan Allan. Czy pan Allan nie głosi wspaniałych kazań? Pani Linde mówi, że z każdym dniem jest coraz lepszy i ani się obejrzymy, jak jakiś miejski kościół go nam podbierze, a my zostaniemy sami i będziemy musieli od nowa przyuczać jakiegoś niewprawionego pastora. Ale ja nie widzę sensu w wychodzeniu kłopotom naprzeciw, a ty, Marylo? Myślę, że lepiej cieszyć się panem Allanem, póki go mamy. Gdybym była mężczyzną, chyba zostałabym pastorem. Mogą mieć tak wielki wpływ na dobro, jeśli ich nauka jest właściwa, a głoszenie wspaniałych kazań i poruszanie serc wiernych musi być porywające. Marylo, dlaczego kobiety nie mogą być pastorami? Zapytałam o to panią Linde, lecz ona była wstrząśnięta i stwierdziła, że to byłaby skandaliczna rzecz. Powiedziała, że w Stanach Zjednoczonych kobiety mogą być duchownymi i wierzy nawet, że takie są, ale dzięki Bogu w Kanadzie jeszcze nie dojrzelismy do tej decyzji i ma nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Ale ja nie rozumiem dlaczego. Myślę, że kobiety byłyby świetnymi pastorami. Kiedy trzeba zorganizować spotkanie towarzyskie, herbatkę w kościele czy cokolwiek innego, żeby zebrać fundusze, to kobiety muszą zakasać rękawy i wykonać całą pracę. Jestem pewna, że pani Linde potrafi się modlić równie dobrze jak pan Bell, i nie wątpię, że gdyby się w tym trochę wprawiła, mogłaby też głosić kazania.

— Tak, ja też wierzę, że jest do tego zdolna — odrzekła sucho Maryla. — I tak wygłasza mnóstwo nieoficjalnych kazań. Nikt w Avonlea nie ma szans zejść na złą drogę, dopóki Małgorzata nad nimi czuwa.

— Marylo — powiedziała Ania w przypływie szczerości — chcę ci o czymś powiedzieć i zapytać, co ty o tym myślisz. Strasznie mnie to gryzło, to znaczy w niedzielne popołudnia, kiedy szczególnie rozmyślam o takich sprawach. Naprawdę chcę być dobra, a kiedy jestem z tobą, panią Allan albo panną Stacy, chcę tego bardziej niż kiedykolwiek i pragnę robić tylko to, co sprawiłoby wam przyjemność i co byście pochwalili. Ale przeważnie, gdy jestem z panią Linde, czuję się rozpaczliwie niegodziwa i mam ochotę zrobić dokładnie to, o czym ona mówi, że nie powinnam. Czuję nieodpartą pokusę, żeby

Religia, Kobieta,
Mężczyzna, Książd

Dobro, Słowo

to zrobić. Jak myślisz, jaki może być tego powód? Czy uważasz, że to dlatego, że jestem naprawdę zła i wyrodna?

Maryla zastanowiła się przez chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem.

— Aniu, jeśli ty jesteś niegodziwa, to ja chyba też, bo Małgorzata często wywiera na mnie dokładnie taki sam wpływ. Czasami myślę, że miałaby większy „wpływ na dobro”, jak sama mówisz, gdyby tak nie zrzędziła i nie pouczała ludzi, żeby postępowali właściwie. Powinno istnieć specjalne przykazanie przeciwko zrzęczeniu. Ale nie powinnam tak mówić. Małgorzata to dobra chrześcijanka i ma dobre intencje. Trudno o bardziej życzliwą duszę w Avonlea i nigdy nie uchyla się od pracy.

— Bardzo się cieszę, że czujesz to samo — stwierdziła zdecydowanie Ania. — To takie krzepiące. Nie będę się już tym tak martwić. Ale pewnie pojawią się inne zmartwienia. Ciągłe przychodzą nowe rzeczy, które wprowadzają w zakłopotanie. Rozwiązujesz jedną kwestię, a zaraz pojawia się następna. Jest tyle spraw do przemyślenia i rozstrzygnięcia, kiedy zaczyna się dorastać. Cały czas zajmuje mi rozważanie ich i decydowanie, co jest słuszne. Dorastanie to poważna sprawa, prawda, Marylo? Ale mając tak dobrych przyjaciół jak ty, Mateusz, pani Allan i panna Stacy, powinnam dorosnąć z sukcesem i jestem pewna, że to będzie moja wina, jeśli tak się nie stanie. Czuję, że to wielka odpowiedzialność, bo mam tylko jedną szansę. Jeśli nie dorosnę we właściwy sposób, nie mogę się cofnąć i zacząć od nowa. Marylo, urosłam tego lata pięć centymetrów. Pan Gillis zmierzył mnie na przyjęciu u Ruby. Tak się cieszę, że nowe sukienki, które mi uszyłaś, są dłuższe. Ta ciemnozielona jest taka ładna i to było piękne z twojej strony, że dodałaś falbanę. Oczywiście wiem, że nie była niezbędna, ale falbany są tej jesieni takie modne, a Josie Pye ma falbany przy wszystkich sukienkach. Wiem, że dzięki niej będę się lepiej uczyć. Będę mieć takie przyjemne uczucie głęboko w duszy dzięki tej falbanie.

— Warto mieć coś takiego — przyznała Maryla.

Panna Stacy wróciła do szkoły w Avonlea i zastała wszystkich uczniów chętnych do pracy. Szczególnie klasa przygotowawcza do Queen's „przepasała biodra do walki”, bo na końcu nadchodzącego roku, rzucając już cień na ich drogę, majaczyło doniosłe wydarzenie zwane „egzaminem wstępnym”. Wszystkim na samą myśl o nim serca uciekały w pięty. A co, jeśli nie zdadzą? Ta myśl miała prześladować Anię przez całą zimę, włączając w to niedzielne popołudnia, niemal całkowicie wypierając inne problemy moralne i teologiczne. Kiedy Ania miewała koszmary, widziała w nich siebie wpatrującą się z rozpaczą w listy przyjętych, gdzie nazwisko Gilberta Blythe'a widniało na samym szczycie, a jej nazwiska nie było wcale.

Mimo to ta wesoła i pracowita zima minęła jak z bicia strzelił. Nauka była równie ciekawa, a rywalizacja w klasie tak samo pochłaniająca jak dawniej. Przed głodnymi oczami Ani zdawały się otwierać nowe światy myśli, uczuć i ambicji, świeże, fascynujące pola niezbadanej wiedzy.

Wzgórza nad wzgórzem pną się, Alpy nad Alpami

Wiele z tego było zasługą taktownego, starannego i wszechstronnego prowadzenia panny Stacy. Skłaniała ona swoją klasę do samodzielnego myślenia, badania i odkrywania, zachęcając do zbaczania ze starych, utartych szlaków w stopniu, który szczerze szokował panią Linde i radę szkolną, patrzących na wszelkie innowacje dość sceptycznie.

Poza nauką, Ania rozwijała się towarzysko, gdyż Maryla, pomna słów lekarza ze Spencervale, nie zakazywała jej już sporadycznych wyjść. Klub dyskusyjny rozkwitał i dał kilka koncertów. Odbýło się parę przyjęć przypominających „dorosłe” bale; nie brakowało też kuligów i zabaw na lodzie.

W międzyczasie Ania rosła, strzelając w górę tak szybko, że pewnego dnia Maryla ze zdumieniem odkryła, stojąc ramię w ramię z dziewczyną, że ta jest od niej wyższa.

— Aniu, jak ty urosłaś! — powiedziała z niedowierzaniem. Po tych słowach nastąpiło westchnienie. Maryla poczuła dziwny żal z powodu tego nagłego wzrostu. Dziecko, które pokochała, gdzieś zniknęło, a na jego miejscu pojawiła się ta wysoka, szarooka piętnastolatka o zamyślnym czole i dumnie uniesionej głowce. Maryla kochała tę dziewczynę równie mocno jak tamto dziecko, ale była świadoma dziwnego, bolesnego poczucia straty. Tej nocy, kiedy Ania poszła z Dianą na nabożeństwo, Maryla siedziała sama w zimowym

Dzieciństwo, Dorosłość

zmierzchu i pozwalając sobie na chwilę słabości — rozplakała się. Mateusz, wchodząc z latarnią, zastał ją w tym stanie i wpatrywał się w nią z takim przerażeniem, że Maryla roześmiała się przez łzy.

— Myślałam o Ani — wyjaśniła. — Wyrosła na taką dużą pannę... i pewnie w przyszłym roku wyjedzie od nas. Będzie mi jej bardzo brakować!

— Będzie mogła często wracać do domu — pocieszył ją Mateusz, dla którego Ania wciąż była i zawsze miała pozostać tą małą, pełną zapału dziewczynką, którą przywiózł ze stacji Bright River pamiętnego czerwcowego wieczoru cztery lata temu. — Do tego czasu wybudują tor kolejowy do Carmody.

— To nie będzie to samo, co mieć ją tutaj cały czas — westchnęła posępnie Maryla, która zdecydowała się napawać swoim smutkiem bez pocieszenia. — Ale mniejsza z tym... mężczyźni nie rozumieją takich rzeczy!

W Ani zaszły też inne zmiany, nie mniej realne niż te fizyczne. Przede wszystkim stała się znacznie spokojniejsza. Być może myślała więcej i marzyła tak samo jak dawniej, ale z pewnością mówiła mniej. Maryla zauważyła to i skomentowała.

— Aniu, nie papłasz już nawet w połowie tyle co kiedyś, ani nie używasz tylu wyszukanych słów. Co w ciebie wstąpiło?

Ania zarumieniła się i zaśmiała lekko, odkładając książkę, po czym wyjrzała z rozmarzeniem przez okno, za którym wielkie, czerwone pąki dzikiego wina rozwijały się pod wpływem wiosennego słońca.

— Sama nie wiem... nie mam już takiej ochoty na mówienie — powiedziała, podpierając brodę palcem wskazującym. — Przyjemniej jest mieć piękne, kochane myśli i trzymać je w sercu jak skarby. Nie lubię, gdy ktoś się z nich śmieje albo się im dziwi. I jakoś nie chcę już używać wielkich słów. Chyba szkoda, prawda? Zwłaszcza teraz, gdy jestem już dość duża, by je wymawiać. W pewnym sensie dorastanie jest zabawne, ale to nie jest taka zabawa, jakiej się spodziewałam, Marylo. Jest tyle do nauki, zrobienia i przemyślenia, że nie ma już czasu na wielkie słowa. Poza tym panna Stacy mówi, że krótkie słowa są o wiele mocniejsze i lepsze. Każe nam pisać wypracowania tak prostym językiem, jak to tylko możliwe. Na początku sprawiało mi to trudność. Byłam tak przyzwyczajona do upychania wszystkich pięknych, wielkich słów, jakie przyszły mi do głowy, a przychodziło ich całe mnóstwo. Ale teraz już przywykłam i widzę, że tak jest o wiele lepiej.

— A co się stało z waszym klubem powieściowym? Dawno o nim nie wspominałaś.

— Klub już nie istnieje. Nie miałyśmy na niego czasu... zresztą, chyba nam się znudził. Pisanie o miłości, morderstwach, ucieczkach i tajemnicach było głupiotkie. Panna Stacy każe nam czasem napisać opowiadanie w ramach ćwiczeń stylistycznych, ale nie pozwala pisać o niczym innym niż o tym, co mogłoby się wydarzyć w naszym własnym życiu w Avonlea. Bardzo surowo nas krytykuje i zachęca, byśmy także były krytyczni wobec siebie. Nigdy nie sądziłam, że moje wypracowania mają tyle wad, dopóki sama nie zaczęłam ich szukać. Czułam się tak zawstydzona, że chciałam całkiem zrezygnować, ale panna Stacy powiedziała, że nauczę się dobrze pisać, gdy tylko wyćwiczę się w byciu swoim najsurowszym krytykiem. Więc próbuję.

— Zostały ci tylko dwa miesiące do egzaminów wstępnych — przypomniała Maryla. — Myślisz, że zdasz?

Ania zadrżała.

— Nie wiem. Czasem myślę, że będzie dobrze... a potem ogarnia mnie potworny lęk. Uczyliśmy się ciężko, a panna Stacy przygotowała nas solidnie, ale mimo to możemy nie zdać. Każdy z nas ma swoją piętę achillesową. Moją jest oczywiście geometria, Jane — łacina, Ruby i Charliego — algebra, a Josie — arytmetyka. Moody Spurgeon mówi, że czuje w kościach, że obleje historię Anglii. Panna Stacy zamierza nam zrobić w czerwcu egzaminy próbne, tak samo trudne jak te prawdziwe, i ocenić nas równie surowo, żebyśmy mieli jakiś punkt odniesienia. Marylo, chciałabym mieć to już za sobą. To mnie przesładowuje. Czasem budzę się w nocy i zastanawiam się, co zrobię, jeśli nie zdam.

— Jak to co? Pójdziesz do szkoły za rok i spróbujesz ponownie — odrzekła beztrudno Maryla.

— Och, chyba nie miałabym do tego serca. Oblać byłoby taką hańbą, zwłaszcza gdyby Gil... gdyby inni zdali. Na egzaminach stoję się taka nerwowa, że gotowa jestem wszystko

zepsuć. Chciałabym mieć takie nerwy jak Jane Andrews. Nic nie jest w stanie zbić jej z tropu.

Ania westchnęła i oderwawszy wzrok od cudów wiosennego świata, od kuszącego dnia pełnego błękitu i wiatru oraz zieleni wschodzącej w ogrodzie, pogрузzyła się z powrotem w lekturze. Będą jeszcze inne wiosny, ale Ania była przekonana, że jeśli nie zda egzaminów, nigdy nie dojdzie do siebie na tyle, by się nimi cieszyć.

ROZDZIAŁ XXXII

OGŁOSZENIE LISTY PRZYJĘTYCH

Z końcem czerwca nadszedł koniec semestru i koniec pracy panny Stacy w szkole w Avonlea. Ania i Diana wracały tego wieczoru do domu w bardzo uroczystym nastroju. Zaczernione oczy i wilgotne chusteczki stanowiły przekonujące świadectwo faktu, że pożegnane słowa panny Stacy musiały być równie wzruszające, jak słowa pana Phillipsa przed trzema laty. Diana spojrzała na budynek szkoły stojący u podnóża świerkowego wzgórza i westchnęła głęboko.

— Wydaje się, jakby to był koniec wszystkiego, prawda? — powiedziała posępnie.

— Nie powinnaś czuć się nawet w połowie tak źle jak ja — odrzekła Ania, szukając bez skutku suchego miejsca na chusteczce. — Ty wrócisz tu następnej zimy, a ja chyba opuszczam tę kochaną starą szkołę na zawsze... o ile dopisze mi szczęście.

— To nie będzie to samo. Nie będzie panny Stacy, ciebie, Jane, ani pewnie Ruby. Będę musiała siedzieć tu całkiem sama, bo nie zniósłabym innej koleżanki w ławce po tobie. Och, przeżyliśmy wspaniałe czasy, prawda, Aniu? Świadomość, że to już koniec, jest straszna!

Dwie wielkie łzy spłynęły po nosie Diany.

— Jeśli tylko przestaniesz płakać, to ja i zdołam — poprosiła Ania. — Jak tylko odkładam chusteczkę, widzę, że ty znów zalewasz się łzami, i znowu zbiera mi się na płacz. Jak mawia pani Linde: „Jeśli nie potrafisz być radosna, bądź na tyle radosna, na ile potrafisz”. W końcu całkiem możliwe, że wrócę tu za rok. To jeden z tych momentów, kiedy wiem, że nie zdam. One zdarzają się ostatnio niepokojąco często.

— Przecież na egzaminach próbnych u panny Stacy wypadłaś świetnie!

— Tak, ale tamte egzaminy mnie nie stresowały. Kiedy myślę o tym prawdziwym, nie wyobrażasz sobie, jakie okropne, zimne drżenie chwyta mnie za serce. No i mam numer trzynastcie, a Josie Pye mówi, że to pechowa liczba. Nie jestem przesądna i wiem, że to nie ma znaczenia, ale i tak wołałabym, żeby to nie było trzynastcie.

— Tak bym chciała pójść tam z tobą — westchnęła Diana. — Czyż nie bawiłybyśmy się wyśmienicie? Ale podejrzewam, że wieczorami musiałabyś wkuwać.

— Nie, panna Stacy kazała nam obiecać, że nie otworzymy żadnej książki. Mówi, że to by nas tylko zmęczyło i pomieszało nam w głowach. Mamy chodzić na spacer, w ogóle nie myśleć o egzaminach i wcześniej kłaść się spać. To dobra rada, ale podejrzewam, że trudna do wykonania: z dobrymi radami zwykle tak bywa. Prissy Andrews mówiła mi, że siedziała przez pół nocy w każdym dniu egzaminów i wkuwała ile sił, więc postanowiłam siedzieć nad książkami przynajmniej tak długo jak ona. To bardzo miłe ze strony twojej ciotki Józefiny, że zaprosiła mnie do Beechwood na czas pobytu w mieście.

Ania wyjechała w następny poniedziałek, a już w środę Diana, zgodnie z umową, poszła na pocztę i odebrała list.

„Najdroższa Dianio!”

— pisała Ania. —

Mamy wtorek wieczorem i piszę te słowa w bibliotece w Beechwood. Wczoraj wieczorem czułam się strasznie samotna w moim pokoju i tak bardzo chciałam, żebyś tu była. Nie mogłam się uczyć, bo obiecałam to pannie Stacy, ale powstrzymanie się od otwarcia podręcznika do historii było równie trudne, jak kiedyś powstrzymanie się od czytania powieści przed odrobieniem lekcji. Dziś rano przyszła po mnie panna Stacy i poszłyśmy do seminarium, wstępując po drodze po Jane, Ruby i Josie. Ruby kazała mi

dotknąć swoich rąk — były zimne jak lód. Josie powiedziała, że wyglądam, jakbym nie zmrużyła oka, i że nie wierzy, żebym była dość silna, aby wytrzymać rygor kursu nauczycielskiego, nawet jeśli zdam. Są takie chwile, kiedy wciąż nie czuję, żebym zrobiła jakiejkolwiek postępy na drodze do polubienia Josie Pye! Gdy dotarliśmy na miejsce, były tam dziesiątki uczniów z całej wyspy. Pierwszą osobą, którą zobaczyliśmy, był Moody Spurgeon, który siedział na schodach i mruczał coś pod nosem. Jane zapytała go, co u licha robi, a on odrzekł, że powtarza w kółko tabliczkę mnożenia, żeby opanować nerwy, i — na miłość boską! — żeby mu nie przerywać, bo jeśli przestanie choć na chwilę, zawładnie nim strach i zapomni wszystko, co kiedyś wiedział, a tabliczka mnożenia utrzymuje całą jego wiedzę na właściwym miejscu! Kiedy przydzielono nas do sal, panna Stacy musiała nas opuścić. Siedziałam z Jane, która była tak opanowana, że aż jej zazdrościłam. Dobrej, statecznej i rozsądnej Jane tabliczka mnożenia nie była potrzebna! Zastanawiałam się, czy wyglądam tak, jak się czuję, i czy słyszę bicie mojego serca na drugim końcu sali. Potem wszedł jakiś mężczyzna i zaczął rozdawać arkusze z języka angielskiego. Ręce mi zeszytywniały z zimna, a w głowie zawiroowało, kiedy podniosłam kartkę. Przez jedną straszną chwilę, Diano, czułam się dokładnie tak jak cztery lata temu, gdy spytałam Marylę, czy mogę zostać na Zielonym Wzgórzu — a potem wszystko rozjaśniło mi się w głowie i serce znowu zaczęło bić... Zapomniałam dodać, że wcześniej zupełnie stanęło! Wiedziałam bowiem, że z tym arkuszem sobie poradzę. Jutro czeka mnie egzamin z geometrii i na samą myśl o nim muszę użyć całej silnej woli, by nie zajrzeć do Euklidesa. Gdybym sądziła, że tabliczka mnożenia mi pomoże, recytowałabym ją do rana. Moody Spurgeon chodzi kompletnie roztrzęsiony. Twierdzi, że oblał historię i że urodził się po to, by przynieść zawód rodzicom. Mówi, że łatwiej być cieślą niż pastorem. Ruby wpadła w histerię, gdy odkryła błąd w angielskim, ale potem poszliśmy na lody. Och, Diano, chciałabym mieć już za sobą tę geometrię! Ale cóż, jak powiedziałaby pani Linde, słońce i tak będzie wschodzić i zachodzić, niezależnie od tego, czy obleję geometrię, czy nie. To prawda, choć niezbyt pocieszająca. Wolałabym, żeby słońce przestało wschodzić i zachodzić, jeśli mi się nie uda! Twoja oddana Ania”

Egzamin z geometrii oraz wszystkie pozostałe dobiegły wreszcie końca. Ania wróciła do domu w piątkowy wieczór, dość zmęczona, lecz z miną pełną powściągliwego triumfu. Diana czekała już na nią na Zielonym Wzgórzu. Przyjaciółki przywitały się tak, jakby nie widziały się całe lata.

— Moja najdroższa, wspaniale, że już wróciłaś! Wydaje mi się, że minęły wieki, odkąd pojechałaś do miasta. Mów, jak ci poszło?

— Myślę, że całkiem dobrze, ze wszystkiego prócz geometrii. Nie wiem, czy ją zdałam: mam to dziwne, mrowiące przeczucie, że jednak nie. Och, jak dobrze być z powrotem! Zielone Wzgórze to najdroższe, najpiękniejsze miejsce na świecie.

— A jak poradzili sobie inni?

— Dziewczęta mówią, że na pewno oblały, ale sądzę, że poszło im nieźle. Josie twierdzi, że geometria była tak prosta, że rozwiązałoby ją dziesięcioletnie dziecko! Moody Spurgeon wciąż myśli, że poległ na historii, a Charlie mówi, że oblał algebrę. Ale tak naprawdę nic nie wiemy i nie dowiemy się, póki nie ogłoszą listy przyjętych. A to potrwa jeszcze dwa tygodnie. Wyobraź sobie, żyć czternaście dni w takim zawieszeniu! Chciałabym zasnąć i nie obudzić się, póki nie będzie po wszystkim.

Diana wiedziała, że nie ma sensu pytać o losy Gilberta Blythe’a, rzekła więc tylko:

— Och, na pewno zdasz. Nie martw się.

— Wolałabym w ogóle nie zdać, niż znaleźć się gdzieś w ogonie listy — zachnęła się Ania. Miała na myśli (o czym Diana doskonale wiedziała), że sukces będzie połowiczny i gorzki, jeśli nie wyprzedzi Gilberta Blythe’a.

Z tą myślą Ania zmobilizowała wszystkie siły podczas egzaminów. Tak samo Gilbert. Mijali się na ulicy wiele razy, jakby byli sobie obcy, a za każdym razem Ania unosiła głowę

niedużej, żałując w duchu coraz mocniej, że nie przyjęła przyjaźni Gilberta, gdy o nią prosił — i coraz mocniej poprzysięgała sobie, że pokona go na egzaminach. Wiedziała, że cała młodzież z Avonlea zastanawia się, kto z nich będzie pierwszy; wiedziała nawet, że Jimmy Glover i Ned Wright założyli się o to, a Josie Pye stwierdziła, że nie ma cienia wątpliwości, iż Gilbert wygra. Czuła, że jej upokorzenie będzie nie do zniesienia, jeśli zawiedzie.

Miała jednak jeszcze inny, szlachetniejszy motyw. Chciała zająć wysokie miejsce dla Mateusza i Maryli — zwłaszcza dla Mateusza, który był głęboko przekonany, że Ania „pokona całą Wyspę”. Ania wiedziała, że szaleństwem byłoby o tym marzyć, nawet w najśmielszych snach. Żarliwie jednak pragnęła znaleźć się przynajmniej w pierwszej dziesiątce, żeby ujrzyć, jak łagodne, brązowe oczy Mateusza lśnią z dumy. To byłaby słodka nagroda za cały trud i cierpliwe ślęczenie nad pozbawionymi wszelkiej fantazji równaniami i odmianami.

Po upływie dwóch tygodni Ania zaczęła regularnie odwiedzać pocztę w towarzystwie rozgorączkowanych dziewczyn: Jane, Ruby i Josie. Trzęsącymi się rękami otwierała gazety z Charlottetown, z tym samym lodowatym uczuciem w żołądku, które towarzyszyło jej podczas egzaminów. Charlie i Gilbert też to robili, tylko Moody Spurgeon trzymał się z dala.

— Nie mam w sobie tyle hartu ducha, żeby iść tam i przeglądać gazetę z zimną krwią — wyznał Ani. — Poczekam, aż ktoś przyjdzie i powie mi nagle, czy zdałem.

Kiedy minęły trzy tygodnie, a listy przyjętych wciąż nie było, Ania poczuła, że dłużej nie znieśie tego napięcia. Straciła apetyt, a sprawy Avonlea przestały ją obchodzić. Pani Linde mawiała, że trudno spodziewać się czegoś lepszego, gdy u steru oświaty stoi kurator z partii konserwatystów. Mateusz zaś, widząc bladłość na twarzy Ani i jej spowolniony krok, gdy codziennie popołudniu wracała z poczty, zaczął się poważnie zastanawiać, czy w następnych wyborach nie zagłosować na liberałów.

Lecz pewnego wieczoru upragniona nowina wreszcie nadeszła. Ania siedziała przy otwartym oknie, zapominając na chwilę o troskach związanych z egzaminami, i napałała się pięknym letniego zmierzchu, wonią kwiatów z ogrodu i szelestem poruszanych przez wiatr topoli. Niebo na wschodzie nad jodłami płonęło delikatnym różem od odbitego zachodu. Rozmarzona Ania zastanawiała się właśnie, czy tak właśnie wygląda duch koloru, gdy nagle ujrzała Dianę pędzącą przez zagajnik, mostek z kłody i w górę zbocza, z powiewającą w dłoni gazetą.

Ania zerwała się na równe nogi, od razu wiedząc, co to oznacza. Wyniki egzaminów zostały ogłoszone! W głowie jej zawirowało, a serce waliło jak młotem. Nie mogła ruszyć się z miejsca. Wydawało jej się, że minęła godzina, zanim Diana wpadła na korytarz i bez pukania wbiegła do pokoju, tak wielka była jej ekscytacja.

— Aniu, zdałaś! — krzyknęła. — Jesteś pierwsza! Ty i Gilbert macie tyle samo punktów, ale twoje nazwisko jest pierwsze! Och, jestem z ciebie taka dumna!

Diana rzuciła gazetę na stół, a sama opadła na łóżko Ani, zupełnie bez tchu. Ania zapaliła lampę, przewracając pudełko z zapalnikami i zużyła ich pół tuzina, zanim udało jej się to zrobić drżącymi dłońmi. Wtedy wzięła do ręki gazetę. Rzeczywiście, zdała — jej nazwisko widniało na samym szczycie listy dwustu osób! Dla tej jednej chwili warto było żyć.

— Aniu, spisałaś się wspaniale — wydyszała Diana, gdy już odzyskała siły. Ania, z rozświetlonymi oczami i w zachwycie, nie wyrzekła ani słowa. — Ojciec przywiózł gazetę z Bright River zaledwie dziesięć minut temu. Przyjechała popołudniowym pociągami, pocztą dotarłaby dopiero jutro. Gdy zobaczyłam listę, przybiegłam tu jak szalona. Wszyscy zdaliście, wszyscy! Nawet Moody Spurgeon, choć ma poprawkę z historii. Jane i Ruby poradziły sobie nieźle, są w połowie listy, tak samo Charlie. Josie prześlizgnęła się, mając tylko trzy punkty zapasu, ale zobaczysz, będzie zadzierać nosa, jakby to ona była pierwsza. Czy panna Stacy nie będzie zachwycona? Och, Aniu, jak to jest widzieć swoje nazwisko na samym szczycie? Ja bym chyba oszalała z radości. Już teraz prawie odchodzę od zmysłów, a ty jesteś spokojna i chłodna jak wiosenny wieczór.

— W środku czuję się po prostu olśniona — odparła Ania. — Chciałabym powiedzieć sto rzeczy naraz, ale nie umiem znaleźć właściwych słów. Nigdy o tym nie marzyłam... to znaczy tak, marzyłam, raz jeden! Pozwoliłam sobie wtedy pomyśleć: „A co, jeśli będę

pierwsza?”, cała rozedrgana, bo wiesz, wydawało mi się to takie próżne i zuchwałe sądzić, że mogłabym być najlepsza z całej Wyspy. Wybacz mi na chwilę, Diano. Muszę pobiec na pole powiedzieć Mateuszowi. Potem pójdziemy drogą i przekażemy nowiny wszystkim pozostałym.

Razem pobiegły na łąkę poniżej stodoły, gdzie Mateusz układał kopy siana. Tak się złożyło, że pani Linde rozmawiała akurat z Marylą przy płocie.

— Och, Mateuszu! — zawołała Ania. — Zdałam i jestem pierwsza... albo jedna z pierwszych! Nie jestem próżna, po prostu czuję wdzięczność.

— No cóż, zawsze to mówiłem — rzekł Mateusz, z zachwytem spoglądając na listę. — Wiedziałem, że bez trudu ich wszystkich pokonasz.

— Aniu, muszę przyznać, że spałaś się całkiem dobrze — powiedziała Maryla, starając się ukryć ogromną dumę przed krytycznym okiem Małgorzaty. Lecz ta pocziwa kobieta rzekła serdecznie:

— Ja też uważam, że spałaś się na medal, a nie byłabym sobą, gdybym tego nie powiedziała. Aniu, przyniosłaś nam wielki zaszczyt i wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

Tej nocy Ania, zakończywszy ten uroczy wieczór poważną rozmową z panią Allan na plebanii, uklękła przy otwartym oknie w poświęcie wielkiego księżyca i wyszeptowała modlitwę pełną wdzięczności i aspiracji, która płynęła prosto z jej serca. Było w niej dziękczynienie za przeszłość i pokorna prośba o przyszłość; a gdy zasnęła na białej poduszce, miała sny tak jasne i piękne, jakie mogą się przyśnić tylko młodej dziewczynie.

ROZDZIAŁ XXXII KONCERT W HOTELU

— Koniecznie włóż sukienkę z białej organdy — doradziła tonem nieznoszącym sprzeciwu Diana.

Były razem w pokoiku na wschodnim poddaszu. Na zewnątrz panował zmierzch — uroczy, żółto-zielony, pod bezchmurnym, czystym niebem. Wielki, okrągły księżyc, powoli zmieniający swą bladą poświatę w lśniące srebro, wisiał nad Nawiedzonym Lasem. Powietrze wypełniały cudowne letnie dźwięki: senne świergotanie ptaków, figlarne powiewy wiatru, dobiegające z oddali głosy i śmiechy. Ale w pokoju Ani zasłony były zaciągnięte, a lampa zapalona, gdyż odbywały się tam przygotowania do ważnego występu.

Wschodnie poddasze wyglądało teraz całkiem inaczej niż owej nocy przed czterema laty, gdy Ania poczuła jego surowość aż do szpiku kości. Zmiany wkradły się tu za milczącą, choć pełną rezygnacji zgodą Maryli, aż w końcu pokój stał się tak wdzięcznym gniazdkiem, o jakim każda młoda dziewczyna mogła tylko pomarzyć.

Aksamitny dywan w róże i pasujące kolorystycznie jedwabne zasłony z dawnych wizji Ani nigdy się nie zmaterializowały, ale jej marzenia dorastały wraz z nią. Podłogę pokrywała ładna wykładzina, a zasłony w oknie były z jasnozielonego muszlinu. Ściany zdobiła delikatna tapeta w kwiaty jabłoni i kilka ciekawych obrazków, które Ania otrzymała od pani Allan. Honorowe miejsce zajmowała fotografia panny Stacy, pod którą Ania zawsze stawiała świeże kwiaty. Tej nocy białe lilie wypełniały pokój sennym zapachem. Zamiast mahoniowych mebli był tam biały regał wypełniony książkami, wiklinowy fotel bujany, toaletka obszyta falbaną z białego muszlinu, lustro w złoczonej ramie z pulchnymi, różowymi amorkami i fioletowymi winogronami namalowanymi nad zwieńczoną łukiem górną krawędzią, które kiedyś wisiało w pokoju gościnnym, a także niskie, białe łóżko.

Ania przygotowywała się do koncertu w Białych Piaskach. Goście zorganizowali go na rzecz szpitala w Charlottetown i przetrząsnęli całą okolicę w poszukiwaniu wszelakich dostępnych talentów amatorskich, które mogłyby uświetnić program. Bertha Sampson i Pearl Clay z chóru baptystów³² w Białych Piaskach zostały poproszone o zaśpiewanie w duecie. Milton Clark z Newbridge miał zagrać solo na skrzypcach, Winnie Adella Blair z Carmody — zaśpiewać szkocką balladę, zaś Laurze Spencer ze Spencervale i Ani Shirley z Avonlea przypadła w udziale recytacja.

³²baptysty — protestancka grupa wyznaniowa powstała na pocz. XVII w., akcentująca indywidualizm w relacji do Boga, uznająca Biblię za jedyny autorytet w sprawach wiary i ograniczająca praktykę chrztu (gr. *baptismos*) do osób świadomych tego aktu. [przypis edytorski]

Jak niegdyś mawiała Ania, była to „nowa epoka w jej życiu” i dziewczyna cała drżała z radosnego podniecenia. Mateusz znajdował się w siódmym niebie z powodu zaszczytu, jaki spotkał jego Anię, a Maryla niewiele mu ustępowała — choć wołałaby pewnie umrzeć, niż to przyznać. Twierdziła jedynie, że nie uważa za stosowne, aby gromada młodzieży włóczyła się po hotelach bez opieki żadnej odpowiedzialnej osoby.

Ania i Diana miały pojechać tam z Jane Andrews i jej bratem Billym ich dwuosobową bryczką. Na koncert wybierało się również kilkoro innych chłopców i dziewcząt z Avonlea. Spodziewano się też gości z miasta, a po koncercie miała odbyć się kolacja dla wykonawców.

— Czy naprawdę uważasz, że organdyna³³ będzie najlepsza? — spytała z niepokojem Ania. — Nie wydaje mi się tak ładna jak mój muślin³⁴ w niebieskie kwiaty, a na pewno nie jest tak modna.

— Ale pasuje ci o wiele lepiej — odparła Diana. — Jest taka miękka, pełna falbanek i lekka. Muślin jest sztywny i wyglądasz w nim na zbyt wystrojoną. Za to organdyna wygląda tak, jakbyś się w niej urodziła.

Ania westchnęła i ustąpiła. Diana cieszyła się opinią osoby o wyjątkowym guście w kwestii strojów, a jej rady były bardzo cenione. Sama wyglądała tego wieczoru prześlicznie w sukni w kolorze dzikiej róży, który dla Ani był na zawsze zakazany. Ponieważ jednak Diana nie brała udziału w koncercie, jej wygląd miał drugorzędne znaczenie. Całą uwagę skupiła na Ani, która — co sobie przysięgła — ze względu na honor Avonlea musiała być ubrana, uczesana i ozdobiona według najwyższych standardów.

— Wyciągnij tę falbankę odrobinę mocniej: o, tak! Czekaj, zawiążę ci szarfę. A teraz pantofelki. Zaplotę ci włosy w dwa grube warkocze i zawiążę je w połowie wysokości dużymi białymi kokardami... nie, nie wyciągaj ani jednego loka na czoło, niech zostanie tylko ta delikatna linia. Aniu, w żadnej fryzurze nie jest ci tak do twarzy. Pani Allan uważa, że z przedziałkiem na środku wyglądasz jak Madonna. Przypnę ci tę małą, białą różę tuż za uchem. Na moim krzewie była tylko jedna i zachowałam ją specjalnie dla ciebie.

— Czy powinnam założyć moje perłowe korale? — zapytała Ania. — Mateusz przywiózł mi je z miasta w zeszłym tygodniu i wiem, że bardzo chciałby je na mnie zobaczyć.

Diana wydeła wargi, przechyliła swoją czarną główkę i ostatecznie opowiedziała się za koralami, które niezwłocznie spoczęły na smukłej, mlecznobiałej szyi Ani.

— Jest w tobie coś tak szykownego, Aniu — powiedziała Diana z wolnym od zazdrości podziwem. — Unosisz głowę z taką godnością. Przypuszczam, że to zasługa twojej figury. Ja wyglądam przy tobie jak pączek. Zawsze się tego bałam, a teraz wiem to na pewno. Cóż, będę musiała się z tym pogodzić.

— Ale za to masz takie śliczne dołeczki — odrzekła Ania, uśmiechając się czule do swojej ładnej, ożywionej przyjaciółki. — Urocze dołeczki, niczym zagłębienia w śmietance. Ja straciłam już wszelką nadzieję na dołeczki. Moje marzenie o nich nigdy się nie spełni, ale tyle innych moich snów się ziściło, że nie powinnam narzekać. Czy jestem już gotowa?

— Owszem, jesteś gotowa — zapewniła ją Diana, gdy w drzwiach pojawiła się Maryla: postać kanciasta, o włosach bardziej siwych niż dawniej i niemniejszej liczbie ostrych rysów, lecz o twarzy znacznie łagodniejszej. — Wejdz i spójrz na naszą recytatorkę, Marylo. Czyż nie wygląda ślicznie?

Maryla wydała z siebie odgłos przypominający coś pomiędzy pociągnięciem nosem a chrząknięciem.

— Wygląda schludnie i przyzwoicie. Podoba mi się to uczesanie. Ale spodziewam się, że zniszczy tę suknię, jadąc tam w kurzu i rosie, a poza tym wydaje mi się ona zbyt cienka na te wilgotne noce. Organdyna to najbardziej niepraktyczna tkanina na świecie, mówiłam to Mateuszowi, gdy ją kupował. Ale z Mateuszem nie ma co teraz dyskutować. Był czas, gdy słuchał moich rad, ale teraz po prostu kupuje Ani co popadnie, a subiecki

³³organdyna — lekka, cienka i sztywna tkanina bawełniana, odmiana polyskliwego batystu. [przypis edytorski]

³⁴muślin — delikatna, cienka tkanina bawełniana lub jedwabna, lekka i miękka, znana w Europie od starożytności, przywożona m.in. z Indii, Bangladeszu, Iraku (nazwa pochodzi od miasta Mosul), ceniona jako towar luksusowy. [przypis edytorski]

w Carmody wiedzą, że mogą mu wcisnąć wszystko. Wystarczy, że powiedzą mu, iż coś jest ładne i modne, a Mateusz od razu wyklada pieniądze. Aniu, pamiętaj, żebyś trzymała spódnicę z dala od kół i załóż ciepły żakiet.

Potem Maryla zeszła na dół, myśląc z dumą o tym, jak słodko wyglądała Ania, z tym „jednym promieniem księżycza od czoła aż po czubek głowy”, i żałowała, że sama nie może pójść na koncert, by usłyszeć recytację swojej podopiecznej.

— Zastanawiam się, czy rzeczywiście nie jest zbyt wilgotno na moją suknię — rzekła z troską w głosie Ania.

— Ani trochę — ucięła Diana, podnosząc roletę. — Noc jest idealna i nie będzie rosy. Spójrz na ten blask księżycza.

— Tak się cieszę, że moje okno wychodzi na wschód — powiedziała Ania, podchodząc do Diany. — To wspaniały widok, kiedy poranek zbliża się nad tymi długimi wzgórzami i rozświetla ostre szczyty jodeł. Każdego ranka jest nowy, a ja czuję się tak, jakbym obmywała duszę w tej kąpieli z pierwszych promieni słońca. Och, Diano, tak bardzo kocham ten pokój. Nie wiem, jak sobie bez niego poradzę, gdy w przyszłym miesiącu wyjadę do miasta.

— Nie mów dziś o wyjeździe — poprosiła Diana. — Nie chcę o tym myśleć, to mnie unieszczęśliwia, a mam zamiar dobrze się dziś bawić. Co będziesz recytować, Aniu? I czy się denerwujesz?

— Ani trochę. Recytowałam publicznie tyle razy, że teraz w ogóle mi to nie przeszkadza. Zdecydowałam się na *Przysięgę dziewicy*. Jest taka patetyczna. Laura Spencer przygotowała recytację komiczną, ale ja wolę doprowadzać ludzi do łez niż do śmiechu.

— A co wyrecytujesz, jeśli poproszą o bis?

— Nawet nie przyjdzie nikomu na myśl bisowanie — parsknęła Ania, która jednak w głębi duszy żywiła taką nadzieję i już wyobrażała sobie, jak opowiada o tym Mateuszowi przy śniadaniu. — O, Billy i Jane już są: słyszę turkot kół. Chodźmy.

Billy Andrews uparł się, by Ania usiadła z nim na przednim siedzeniu, więc niechętnie się tam wdrapała. O wiele bardziej wolałaby siedzieć z tyłu z dziewczętami, gdzie mogłaby śmiać się i paplać do woli. W Billym nie było ani śmiechu, ani gadatliwości. Był to wielki, gruby i powolny dwudziestolatek o okrągłej twarzy bez wyrazu, pozbawiony całkowicie daru konwersacji. Podziwiał jednak Anię nieźmiernie i rozpierała go duma na samą myśl o tym, że jedzie do Białych Piasków z tą smukłą, wyprostowaną postacią u boku.

Ania, rozmawiając przez ramię z dziewczętami i od czasu do czasu rzucając ochłap uprzejmości Billy'emu — który szczyrzył zęby i chichotał, nigdy nie potrafiąc wymyślić odpowiedzi, dopóki nie było na to za późno — zdołała mimo wszystko cieszyć się jazdą. To była noc stworzona do radości. Droga była pełna bryczek zmierzających do hotelu, a śmiech, czysty jak srebro, niósł się gromkim echem. Gdy dotarli na miejsce, hotel płonął światłami od góry do dołu. Powitały ich panie z komitetu organizacyjnego, z których jedna zabrała Anię do garderoby dla wykonawców. Pomieszczenie było pełne członków orkiestry symfonicznej z Charlottetown, wśród których Ania nagle poczuła się nieśmiała, przerażona i okropnie prowincjonalna. Jej suknia, która w pokoju na wschodnim poddaszu wydawała się taka delikatna i ładna, teraz sprawiała wrażenie prostej i zwyczajnej — szczególnie wśród tych wszystkich jedwabi i koronek, które lśniły i szeleściły wokół niej. Czymże były jej perłowe koraliki wobec diamentów wysokiej, wytwornej damy stojącej obok? I jakże ubogo musiała wyglądać ta jedna mała biała róża przy tych wszystkich ciepłarnianych kwiatach, które nosiły inne kobiety! Ania odłożyła kapelusz i żakiet, po czym skuliła się nieszczęśliwa w kącie. Pragnęła znaleźć się z powrotem w swoim białym pokoju na Zielonym Wzgórzu.

Jeszcze gorzej było na scenie wielkiej sali koncertowej, gdzie po chwili się znalazła. Światła reflektorów raziły ją w oczy, a zapachy i gwar oszałamiały. Żałowała, że nie siedzi na widowni z Dianą i Jane, które pewnie świetnie się bawiły gdzieś z tyłu. Ania została wciśnięta między tęgą damę w różowym jedwabiu a wysoką, wyniosłą dziewczynę w białej, koronkowej sukni. Tęga dama co jakiś czas odwracała głowę i przez okulary uważnie przyglądała się Ani, aż ta, czując na sobie tak uporczywe spojrzenie, miała ochotę krzyknąć. Dziewczyna w koronkach z kolei mówiła na głos do swojej sąsiadki o „wiejskich głupkach” i „pięknościach z prowincji” siedzących na widowni, znużonym głosem zapo-

Świt

wiadając „niezłą zabawę” z występów lokalnych talentów. Ania uznała, że znienawidzi tę dziewczynę w koronkach do końca życia.

Nieszczęśliwie dla Ani, w hotelu przebywała zawodowa recytatorka, która zgodziła się wystąpić. Była to gibka, ciemnooka kobieta w cudownej sukni z mieniącego się szarego materiału, przypominającego utkane promienie księżyca, z klejnotami na szyi i o ciemnych włosach. Miała niesamowitą dykcję i cudowną siłę wyrazu; publiczność oszalała na punkcie jej występu. Ania, zapominając na chwilę o sobie i swoich kłopotach, słuchała z zachwytem i błyszczącymi oczami. Lecz gdy recytacja dobiegła końca, nagle skryła twarz w dłoniach. Po czymś takim nigdy nie zdoła wstać i recytować — przenigdy. Czy naprawdę kiedykolwiek sądziła, że potrafi recytować? Och, gdyby tylko mogła się znaleźć z powrotem na Zielonym Wzgórzu!

W tym niesprzyjającym momencie wywołano jej nazwisko. W jakiś sposób Ania — która nie zauważyła pełnego zaskoczenia wyrazu twarzy dziewczyny w koronkach, ani nie zrozumiałaby ukrytego w nim komplementu, nawet gdyby go dostrzegła — podniosła się i zamroczona wyszła na scenę. Była tak blada, że Diana i Jane, siedzące na widowni, ścisnęły się za ręce w geście nerwowego współczucia.

Ania padła ofiarą obezwładniającej tremy. Choć często recytowała publicznie, nigdy wcześniej nie stała przed taką publicznością, której widok całkowicie ją sparaliżował. Wszystko było tak obce, lśniące i oszalamiające — rzędy dam w wieczorowych sukniach, krytyczne twarze, cała ta atmosfera bogactwa i kultury. Jakże różniło się to od prostych ław w klubie dyskusyjnym, wypełnionych swojskimi, życzliwymi twarzami przyjaciół i sąsiadów. Pomyślała, że ci ludzie będą jej bezlitosnymi krytykami. Być może, tak jak dziewczyna w koronkach, spodziewali się dworowania z jej „wiejskich” wysiłków. Czuła beznadziejny wstyd, bezradność i nieszczęście. Kolana jej drżały, serce kołatało, ogarnęła ją potworna słabość. Nie mogła wydusić z siebie słowa i za chwilę uciekłyby ze sceny mimo upokorzenia, które — jak czuła — stanie się jej udziałem do końca życia.

Ale nagle, gdy rozejrzała się po widowni rozszerzonymi ze strachu oczami, dostrzegła z tyłu sali Gilberta Blythe’a, pochylonego do przodu z uśmiechem na twarzy — uśmiechem, który Ani wydał się jednocześnie triumfujący i drwiący. W rzeczywistości wcale taki nie był. Gilbert po prostu uśmiechał się z uznaniem dla całego wydarzenia, a w szczególności dla efektu, jaki smukła, biała postać Ani i jej uduchowiona twarz wywierała na tle palm. Josie Pye, którą przywiózł ze sobą, siedziała obok niego, a jej twarz z pewnością była i triumfująca, i drwiąca. Ale Ania nie widziała Josie i nie dbała o nią. Wzięła głęboki oddech i dumnie uniosła głowę, czując, jak odwaga i determinacja przeszywają ją niczym prąd elektryczny. Nie poniesie porażki przed Gilbertem Blythe’em — nigdy nie da mu okazji, by się z niej śmiał, nigdy, przenigdy! Jej strach i zdenerwowanie zniknęły. Zaczęła recytować, a jej czysty, słodki głos docierał do najdalszego kąta sali bez drżenia czy załamania. Odzyskała pełne panowanie nad sobą i w reakcji na tę potworną chwilę bezsilności recytowała tak, jak nigdy dotąd. Gdy skończyła, rozległy się salwy szczerych oklasków. Ania, wracając na miejsce z rumieńcem zawstydenia i zachwytu, poczuła, jak tęga dama w różowym jedwabiu mocno ściska jej dłoń.

— Moja droga, spisałaś się wspaniale! — wydyszała kobieta. — Plakałam jak dziecko, doprawdy. O, słuchaj, proszę o bis: nie odpuszczaj ci!

— Och, ja nie mogę — powiedziała Ania zmieszana. — A jednak... muszę, bo Mateusz będzie rozczarowany. Powiedział, że będą chcieli bisu.

— Więc nie rozczarowuj Mateusza — zaśmiała się różowa dama.

Uśmiechnięta, zarumieniona, z błyszczącymi oczami, Ania ponownie wybiegła na scenę i zaprezentowała krótki, zabawny utwór, który jeszcze bardziej podbił serca publiczności. Reszta wieczoru była dla niej wielkim triumfem.

Kiedy koncert się skończył, tęga różowa dama — która była żoną amerykańskiego milionera — wzięła ją pod swoją opiekę i przedstawiła wszystkim; a wszyscy byli dla niej bardzo mili. Zawodowa recytatorka, pani Evans, podeszła porozmawiać, mówiąc Ani, że ma uroczy głos i pięknie interpretuje swoje teksty. Nawet dziewczyna w koronkach rzuciła od niechcenia jakiś komplement. Kolację zjedli w wielkiej, pięknie udekorowanej jadalni; Diana i Jane również zostały zaproszone, skoro przyjechały z Anią, ale Billy’ego nigdzie nie można było znaleźć, gdyż uciekł w śmiertelnym strachu przed podobnym zaproszeniem. Czekał jednak na nie z końmi, gdy było już po wszystkim, i trzy dziewczęta wyszły wesoło

z hotelu skąpanego w dostojnym blasku księżycy. Ania odetchnęła głęboko i spojrzała w czyste niebo za ciemnymi konarami jodeł.

Och, jak dobrze było znów wyjść w tę czystą, cichą noc! Jak wielkie, spokojne i cudowne było wszystko dokoła, z morzem mruczącym w tle i mrocznymi klifami, które jak ponurzy giganci strzegli zaczarowanych brzegów.

— Czy to nie był wspaniały wieczór? — westchnęła Jane, kiedy ruszyły w drogę powrotną. — Chciałabym być bogatą Amerykanką, spędzać lato w hotelu, nosić klejnoty, suknie z dekoltem i jeść lody oraz sałatkę z kurczaka każdego Bożego dnia. Jestem pewna, że to o wiele lepsza zabawa niż uczenie w szkole. Aniu, twoja recytacja była po prostu świetna, choć z początku myślałam, że nigdy nie zaczniesz. Myślę, że była lepsza niż pani Evans.

— Och, Jane, nie, nie mów takich rzeczy — przerwała szybko Ania — ponieważ to brzmi niedorzecznie. Nie mogła być lepsza niż pani Evans, bo przecież ona jest profesjonalistką, a ja tylko uczennicą ze skromnym talentem do recytacji. Zupełnie mi wystarczy, że ludziom się podobało.

— Mam dla ciebie komplement, Aniu — powiedziała Diana. — Przynajmniej tak mi się wydaje, że to musiał być komplement, sądząc po tonie, w jakim został wypowiedziany. W każdym razie jego część. Za mną i Jane siedział pewien Amerykanin, taki romantyczny mężczyzna z kruczoczarnymi włosami i oczami. Josie Pye mówi, że to wybitny artysta, a kuzynka jej matki z Bostonu wyszła za mąż za człowieka, który chodził z nim do szkoły. A więc usłyszałyśmy... prawda, Jane?... jak mówi: „Kim jest ta dziewczyna na scenie, z tymi wspaniałymi tytjanowskimi włosami? Ma twarz, którą chciałbym namalować”. No proszę, Aniu. Ale co to znaczy: tytjanowskie włosy?

— W wolnym tłumaczeniu oznacza to po prostu rude, tak sędzę — zaśmiała się Ania. — Tytjan był bardzo sławnym malarzem, który lubił malować rudowłose kobiety.

— Czy widziałyście te wszystkie diamenty, które nosiły te kobiety? — westchnęła Jane. — Były po prostu olśniewające. Dziewczęta, czy nie chciałybyście być bogate?

— Jesteśmy bogate — oświadczyła stanowczo Ania. — Przecież mamy na koncie szesnaście lat życia, jesteśmy szczęśliwe jak królowe i wszystkie mamy mniej lub bardziej rozwiniętą wyobraźnię. Spójrzcie na to morze: całe w srebrze i migoczących cieniach, jak wizja czegoś niewidzialnego. Nie mogłybyśmy cieszyć się jego pięknnością bardziej, nawet gdybyśmy miały miliony dolarów i sznury diamentów. Nie zamieniłybyście się z żadną z tych kobiet, gdybyście mogły. Czy chciałabyś być tą dziewczyną w koronkach i chodzić z kwaśną miną przez całe życie, jakbyś urodziła się z świat pretensjami do całego świata? Albo różową damą (choć jest miła i dobra), tak tęgą i niską, że właściwie nie ma figury? Albo nawet panią Evans, z tym smutnym wzrokiem? Musiała być kiedyś strasznie nieszczęśliwa, skoro ma takie oczy. Przecież wiesz, że byś nie chciała, Jane Andrews!

— Sama nie wiem... tak naprawdę — odparła nieprzekonana Jane. — Myślę, że diamenty mogłyby człowieka mocno pocieszyć.

— Cóż, ja nie chcę być nikim innym niż sobą, nawet jeśli przez całe życie będę niepokieszona z powodu braku diamentów — zadeklarowała Ania. — Zupełnie mi wystarczy bycie Anią z Zielonego Wzgórza z moimi perłowymi koralami. Wiem, że Mateusz dał mi wraz z nimi tyle samo miłości, ile jej było w klejnotach pani w różu.

ROZDZIAŁ XXXIV UCZENNICZKA SEMINARIUM QUEEN'S

Następne trzy tygodnie na Zielonym Wzgórzu były bardzo pracowite. Ania przygotowywała się na wyjazd do seminarium. Trzeba było uszyć, omówić i zorganizować wiele rzeczy. Wyprawka Ani była zasobna i ładna, o co zadbał Mateusz, a Maryla tym razem nie zgłaszała żadnych sprzeciwów wobec tego, co kupował lub sugerował. Co więcej — pewnego wieczoru przyszła do pokoju na poddaszu ze sztuką delikatnego, bladozielonego materiału.

— Aniu, oto materiał na ładną, wizytową suknię dla ciebie. Nie sędzę, byś jej naprawdę potrzebowała, masz mnóstwo innych ładnych strojów, ale pomyślałam, że może chciałabyś mieć coś naprawdę eleganckiego, gdyby zaproszono cię gdzieś wieczorem w mieście, na jakieś przyjęcie czy coś w tym rodzaju. Słyszałam, że Jane, Ruby i Josie sprawiły sobie tak

Morze

zwane suknie wieczorowe i nie chcę, żebyś była od nich gorsza. Poprosiłam panią Allan, żeby pomogła mi wybrać materiał w mieście, zaś szcieniem zajmie się Emily Gillis. Emily ma gust, a jej suknie leżą niezrównanie.

— Och, Marylo, ta tkanina jest cudowna — uradowała się Ania. — Dziękuję ci bardzo. Nie powinnaś być dla mnie taka dobra. Przez to z każdym dniem coraz trudniej jest mi myśleć o wyjeździe.

Zielona suknia została wykończona tyłoma zakładkami, falbankami i marszczeniami, na ile pozwolił gust Emily. Ania włożyła ją pewnego wieczoru dla Mateusza i Maryli, po czym wyrecytowała dla nich w kuchni *Ślubowanie dziewczycy*. Gdy Maryla patrzyła na rozpromienioną twarz i pełne wdzięku ruchy, wróciła myślami do dnia, kiedy Ania przybyła na Zielone Wzgórze. Pamięć przywołała żywy obraz dziwnego, wystraszonego dziecka w niedorzecznej, żółto-brązowej sukience z barchanu, z rozpaczą malującą się w zapłakanych oczach. Coś w tym wspomnieniu sprawiło, że w oczach Maryli również pojawiły się łzy.

— Marylo, moja recytacja naprawdę cię wzruszyła — ucieszyła się Ania, pochylając się nad krzesłem Maryli, by ucałować ją delikatnie w policzek. — Oto właśnie prawdziwy triumf.

— Nie, nie płakałam nad twoją deklamacją — odparła Maryla, która wzgardziła-by taką słabością wywołaną przez jakąś poezję. — Nie mogłam przestać myśleć o małej dziewczynce, którą kiedyś byłaś i życzyłam sobie, żebyś mogła nią pozostać, nawet z tymi wszystkimi swoimi dziwactwami. Teraz dorosłaś i odchodzisz; wyglądasz tak dorosłe i elegancko w tej sukni, tak zupełnie inaczej, jakbyś w ogóle nie pasowała do Avonlea... i po prostu zrobiło mi się smutno, gdy o tym wszystkim pomyślałam.

— Marylo! — Ania usiadła na kolanach Maryli, ujęła jej pooraną zmarszczkami twarz w dłonie i spojrzała poważnie i czule w jej oczy. — Ja się wcale nie zmieniałam: nie naprawdę. Zostałam tylko przycięta i wypuściłam nowe gałązki. Ta prawdziwa „ja” w środku jest wciąż taka sama. Nie będzie miało znaczenia, dokąd pójdę ani jak bardzo zmienię się zewnętrznie. W głębi serca zawsze będę twoją małą Anią, która będzie kochać ciebie, Mateusza i drogie Zielone Wzgórze coraz mocniej z każdym dniem swojego życia.

Ania przyłożyła swój świeży, młody policzek do zwiędłej twarzy Maryli i wyciągnęła rękę, by poklepać Mateusza po ramieniu. Maryla oddałaby wtedy wiele, by posiadać dar Ani do ubierania uczuć w słowa, ale natura i nawyk zdecydowały inaczej, mogła tylko mocno przytulić swoją dziewczynkę do serca, w nadziei, że nigdy nie będzie musiała jej puścić.

Mateusz, z podejrzaną wilgocią w oczach, wstał i wyszedł na dwór. Pod gwiazdami niebieskiej, letniej nocy szedł wyraźnie poruszony przez podwórze do bramy pod topolami.

— No cóż, myślę, że nie została zbyt zepsuta — mruknął z dumą. — Myślę, że to moje okazjonalne wtrącanie się wcale nie zaszkodziło. Jest bystra i ładna, a do tego kochająca, co jest z tego wszystkiego najlepsze. Jest dla nas błogosławieństwem i nigdy nie było szczęśliwszej pomyłki niż ta, którą popełniła pani Spencer, jeśli to w ogóle był łut szczęścia. Ja tam nie wierzę w żaden przypadek. To była Opatrzność, bo Najwyższy widział, że jej potrzebujemy, tak sądzę.

W końcu nadszedł dzień pożegnania. W pewien piękny, wrześnieowy poranek, po pełnym łez pożegnaniu z Dianą i rzeczowym pożegnaniu z Marylą, które obyło się bez łez — przynajmniej z jednej strony, Ania ruszyła z Mateuszem do miasta. Lecz gdy odjechała, Diana osuszyła oczy i wybrała się na piknik do White Sands, gdzie bawiła się całkiem nieźle, natomiast Maryla rzuciła się gwałtownie w wir niepotrzebnej pracy, która zajęła jej cały dzień. Towarzyszył jej najgorszy rodzaj bólu serca — taki, który pali i gryzie, a którego nie da się wypłukać łatwymi łzami. Jednak tej nocy, gdy Maryla położyła się do łóżka, boleśnie świadoma, że mały pokój na końcu korytarza jest pusty, ukryła twarz w poduszce i zapłakała za swoją dziewczynką tak wielkim szlochem, który ją samą przeraził, gdy w końcu odzyskała spokój.

Ania i reszta uczniów z Avonlea dotarli do miasta w samą porę, żeby zdążyć na inaugurację roku w seminarium. Pierwszy dzień minął im całkiem przyjemnie, w wirze emocji: poznawanie nowych uczniów, profesorów i przydzielanie do klas. Ania zamie-

rzała podjąć naukę na drugim roku, do czego zachęcała ją panna Stacy; Gilbert Blythe wybrał to samo. Oznaczało to zdobycie licencji nauczycielskiej pierwszej klasy w rok zamiast dwóch, ale wiązało się z o wiele cięższą pracą. Jane, Ruby, Josie, Charlie i Moody Spurgeon zadowolili się kursem na licencję drugiej klasy.

Ania poczuła się nagle samotna, znalazłszy się w sali z pięćdziesięcioma innymi uczniami, z których nie знаła nikogo poza wysokim, brązowowłosym chłopcem po drugiej stronie sali. Cieszyła się jednak, że są w jednej klasie; stara rywalizacja mogła trwać nadal.

„Nie czułabym się komfortowo bez niej — pomyślała. — Gilbert wygląda na bardzo zdeterminowanego. Ma taki wspaniały podbródek! Nigdy wcześniej go nie zauważyłam”.

Wieczór w wynajętym pokoju okazał się jednak smutny. Posiadłość Beechwood ciotki Józefiny znajdowała się zbyt daleko od szkoły, więc Ania musiała zamieszkać w pensjonacie prowadzonym przez pewną zubożałą damę. Jej pokój był wąski, miał bure ściany, bez jakichkolwiek obrazków. Ania poczuła ucisk w gardle na myśl o swoim białym pokoiku w Avonlea, z którego widać było ogród i światło u Diany. Wiedziała, że lada chwila wybuchnie płaczem.

Potok łez powstrzymało pojawienie się Josie Pye. Z radości z zobaczenia znajomej twarzy Ania zapomniała o dawnych urazach. Nawet Pye była tu mile widziana jako część Avonlea. Josie, w swoim stylu, skrytykowała zapłakane oczy Ani i zaczęła opowiadać o tym, jak wspaniale bawi się w mieście. Potem przyszły Jane i Ruby, każda z przypiętymi dumnie barwami seminarium — fioletem i szkarłatem.

Jane przyznała się, że też płakała z tęsknoty, co poprawiło Ani humor. Ruby natomiast zapytała, czy Ania będzie się ubiegać o złoty medal. Wtedy Josie podzieliła się najważniejszą nowiną: seminarium otrzyma jedno ze stypendiów Avery’ego.

Stypendium Avery’ego! Serce Ani zabiło mocniej. Horyzonty jej ambicji przesunęły się w magiczny sposób. Przed chwilą szczytem jej marzeń była licencja nauczycielska, teraz ujrzała siebie zdobywającą stypendium, studiującą na Redmond College i kończącą studia w todze i birecie. Stypendium to 250 dolarów rocznie przez cztery lata studiów dla absolwenta z najlepszym wynikiem z języka angielskiego.

— Zdobędę to stypendium, jeśli tylko ciężka praca może to sprawić — postanowiła Ania. — Ależ Mateusz byłby dumny, gdybym została absolwentką z dyplomem nauk humanistycznych! To zachwycające mieć ambicje.

ROZDZIAŁ XXXV

ZIMA W SEMINARIUM

Tęsknota Ani za domem powoli mijała, w czym bardzo pomagały jej weekendowe wizyty na Zielonym Wzgórzu. Dopóki dopisywała pogoda, studenci z Avonlea w każdy piątkowy wieczór wracali do Carmody nową linią kolejową. Diana i kilkoro innych młodych ludzi z Avonlea zazwyczaj czekali na nich na stacji, po czym wszyscy razem szli do domu wesołą gromadką. Ania uważała, że te piątkowe wędrówki przez jesienne wzgórza w rześkim, złotym powietrzu, z lśniącymi w oddali światłami domów Avonlea, były najlepszymi i najdroższymi chwilami w całym tygodniu.

Gilbert Blythe prawie zawsze szedł z Ruby Gillis i niósł jej torbę. Ruby była bardzo atrakcyjną młodą damą, uważającą się za całkiem dorosłą; nosiła tak długie spódnice, na jakie pozwalała jej matka, a w mieście upinała włosy wysoko, choć musiała je rozpuszczać po powrocie do domu. Miała duże, jasnoniebieskie oczy, olśniewającą cerę i pełną, efektowną figurę. Dużo się śmiała, była radosna, pogodna i otwarcie cieszyła się przyjemnościami życia.

— Nie sądzę jednak, żeby była dziewczyną w typie Gilberta — szepnęła Jane do Ani. Ania również tak nie uważała, ale nie przyznałaby tego za żadne skarby świata. Nie mogła jednak odpędzić myśli, że byłoby bardzo miło mieć takiego przyjaciela jak Gilbert, z którym mogłaby żartować, rozmawiać i wymieniać poglądy o książkach, studiach czy ambicjach. Wiedziała, że Gilbert ma ambicje, a Ruby Gillis nie wydawała się osobą, z którą można by o nich pożytecznie dyskutować.

W rozmyślaniach Ani na temat Gilberta nie było żadnego niemądrego sentymentu. Chłopcy byli dla niej jedynie potencjalnie dobrymi kolegami. Gdyby ona i Gilbert byli przyjaciółmi, nie obchodziłoby jej, ilu ma innych znajomych, ani z kim spaceruje. Miała

dar nawiązywania przyjaźni, przyjaciółek nigdy jej nie brakowało, ale miała też mgliste przecucie, że męska przyjaźń mogłaby być dobrym dopełnieniem, dając szerszą perspektywę i możliwość porównania. Nie, żeby Ania potrafiła to tak precyzyjnie zdefiniować, ale myślała, że gdyby Gilbert kiedykolwiek odprowadził ją z pociągu przez pola, mogliby prowadzić wiele interesujących rozmów o nowym świecie, który się przed nimi otwierał. Gilbert był zdolnym młodzieńcem, miał własne przemyślenia i determinację, aby brać z życia to, co najlepsze, i dawać z siebie wszystko. Ruby Gillis powiedziała kiedyś Jane, że nie rozumie połowy rzeczy, które mówi Gilbert; twierdziła, że wysławia się zupełnie jak Ania Shirley, kiedy napadnie ją ochota na rozmyślanie, a według niej nie ma sensu zawracać sobie głowy książkami, kiedy się nie musi.

W seminarium Ania stopniowo zgromadziła wokół siebie krąg koleżanek — myślących, pełnych wyobraźni i ambitnych studentek, takich jak ona. Z „różowo-czerwoną” Stellą Maynard i „marzycielską” Priscillą Grant szybko się zaprzyjaźniła. Okazało się, że błada, uduchowiona Priscilla jest skora do psot i żartów, podczas gdy żywiołowa, czarnooka Stella miała serce pełne tęsknych marzeń, równie ulotnych i tęczyowych jak marzenia Ani.

Po przerwie bożonarodzeniowej studenci z Avonlea przestali wracać do domów w piątki i oddali się ciężkiej pracy. Do tego czasu wszyscy uczniowie w seminarium znaleźli już swoje miejsce w szeregu, a klasy nabrały wyraźnego charakteru. Pewne fakty stały się powszechnie akceptowane. Przyznano, że walka o złoty medal rozegra się praktycznie między trzema osobami: Gilbertem Blythe’em, Anią Shirley i Lewisem Wilsonem. Sprawa stypendium Avery’ego była bardziej otwarta — każdy z grupy sześciu uczniów mógł zostać zwycięzcą. Powszechnie uważano, że brązowy medal z matematyki niemal na pewno trafi w ręce grubego, zabawnego chłopca z prowincji o wysokim czole i w połatanym płaszczu.

Ania pracowała ciężko i systematycznie. Jej rywalizacja z Gilbertem była równie intensywna jak niegdyś, choć z ich relacji zniknęła dawna gorycz. Ania nie pragnęła już wygranej tylko po to, by pokonać Gilberta, lecz dla satysfakcji ze zwycięstwa nad godnym przeciwnikiem. Warto było wygrać, ale nie uważała już, że życie stanie się nie do zniesienia, jeśli jej się to nie uda.

Mimo wielu zajęć, studenci znajdowali czas na przyjemności. Ania spędzała wolne chwile w Beechwood, zazwyczaj jadając tam niedzielne obiady z panną Barry. Starsza dama, jak sama przyznała, starzała się, ale jej oczy nie straciły blasku, a język ciętości. Nigdy jednak nie była złośliwa wobec Ani, która pozostała jej ulubienicą.

— Ta dziewczyna poprawia się z każdym dniem — mówiła panna Barry. — Inne mnie nudzą, jest w nich jakaś wieczna jednostajność. Ania ma w sobie tyle odcieni co tęcza, a każdy z nich jest najpiękniejszy, dopóki trwa.

Nagle, zanim ktokolwiek zdał sobie z tego sprawę, nadeszła wiosna. W Avonlea różowe, majowe kwiaty wychylały się spod resztek śniegu, a doliny spowiła zielona mgiełka. Jednak w Charlottetown udręczeni studenci myśleli tylko o egzaminach.

— To wydaje się niemożliwe, że semestr dobiega końca — powiedziała Ania. — Jesienią perspektywa spędzenia całej zimy na nauce wydawała się tak odległa. A teraz egzaminy mającą na horyzoncie już w przyszłym tygodniu. Dziewczęta, czasem czuję, że te egzaminy oznaczają wszystko, ale kiedy patrzę na pęczniejące pąki kasztanowców, nie wydają mi się nawet w połowie tak ważne.

Jane, Ruby i Josie nie podzielały tego zdania. Dla nich egzaminy były sprawą najwyższej wagi. Łatwo było Ani, pewnej sukcesu, bagatelizować sprawę, ale gdy od tego zależała cała przyszłość, nie można było podchodzić do tego filozoficznie.

— Schudłam trzy kilogramy w ciągu ostatnich dwóch tygodni — westchnęła Jane. — Będę się martwić. Martwienie się trochę pomaga: wydaje ci się wtedy, że coś robisz. To byłoby straszne, gdybym nie dostała licencji po wydaniu tylu pieniędzy na naukę.

— Mnie jest wszystko jedno — rzuciła Josie Pye. — Jeżeli nie zdam teraz, wrócę za rok. Ojca na to stać. Aniu, Frank Stockley mówi, że profesor Tremaine jest pewien medalu dla Gilberta Blythe’a, a stypendium Avery’ego prawdopodobnie wygra Emily Clay.

— Może jutro poczuję się z tego powodu gorzej — zaśmiała się Ania — ale teraz czuję, że dopóki wiem, iż w dolinie pod Zielonym Wzgórzem kwitną fioletowe fiołki, nie ma wielkiej różnicy, czy zdobędę to stypendium, czy nie. Dałam z siebie wszystko

Wiosna, Szkoła

Szkoła, Pieniądz, Ambicja

i zaczynam rozumieć, co oznacza „radość z samej walki”. Następną rzeczą po zwycięstwie jest podjęcie wyzwania i porażka. Dziewczęta, nie rozmawiajmy o egzaminach! Spójrzcie na to zielonkawe niebo nad domami i wyobraźcie sobie, jak musi wyglądać nad lasami bukowymi w Avonlea.

Jane i Josie natychmiast zaczęły rozmawiać o modzie i sukniach na zakończenie roku. Ale Ania, wsparta łokciami o parapet, patrzyła ponad dachami miasta na zachód słońca i tknęła marzenia o przyszłości ze złotej przędzy optymizmu. Całe jutro należało do niej, a każdy rok był obietnicą, z której uplecie swój wieniec życia.

ROZDZIAŁ XXXVI CHWAŁA I MARZENIA

O poranku dnia, w którym ostateczne wyniki wszystkich egzaminów miały zostać wywieszone na tablicy ogłoszeń w seminarium, Ania i Jane szły razem ulicą. Jane była uśmiechnięta i szczęśliwa; egzaminy dobiegły końca i była niemal pewna, że przynajmniej je zdała. Dalsze rozważania wcale jej nie niepokoiły; nie miała wygórowanych ambicji, a co za tym idzie, nie dotyczyła jej towarzyszący im niepokój. Za wszystko bowiem, co otrzymujemy lub bierzemy na tym świecie, płacimy jakąś cenę; i choć warto mieć ambicje, nie zdobywa się ich tanio — wymagają one swojej należności w postaci pracy, wyrzeczeń, lęku i zniechęcenia. Ania była biała i cicha; za dziesięć minut miała się dowiedzieć, kto zdobył medal, a kto stypendium Avery’ego. Te dziesięć minut to był jedyny czas, który warto było nazwać Czasem.

— Oczywiście, że wygrasz jedno z nich, tak czy inaczej — powiedziała Jane, która nie dopuszczała do siebie myśli, że grono pedagogiczne mogłoby postąpić tak niesprawiedliwie i zadecydować inaczej.

— Nie mam nadziei na stypendium Avery’ego — odparła Ania. — Wszyscy mówią, że wygra je Emily Clay. Nie zamierzam też podchodzić do tej tablicy i studiować ją przy wszystkich. Nie mam na to wystarczającej odwagi cywilnej. Idę prosto do szatni dla dziewcząt. Jane, ty musisz przeczytać ogłoszenia i przyjść mi powiedzieć. Błagam cię w imię naszej dawnej przyjaźni, zrób to jak najszybciej. Jeśli poniosłam klęskę, po prostu mi to powiedz, bez próby łagodzenia ciosu. I cokolwiek zrobisz, nie współczuj mi. Obiecuj mi, Jane.

Jane obiecała uroczyście; ale jak się okazało, nie było to konieczne. Kiedy wchodziły po schodach seminarium, zastały hol pełen chłopców, którzy nieśli Gilberta Blythe’a na ramionach i wrzeszczeli na całe gardło: „Hip, hip, hurra dla Blythe’a, medalisty!”.

Przez chwilę Ania poczuła mdłe uczucie porażki i rozczarowania. A więc przegrała, a Gilbert wygrał! Cóż, Mateuszowi będzie przykro — był tak pewny jej zwycięstwa.

I wtedy ktoś krzyknął: „Trzykrotne hurra dla panny Shirley, zdobywczyni stypendium Avery’ego!”.

— Och, Aniu! — westchnęła Jane, gdy uciekały do szatni pośród serdecznych okrzyków. — Jestem taka dumna! Czyż to nie wspaniale?

Wkrótce otoczyły je pozostałe dziewczęta i Ania znalazła się w centrum śmiejącej się, gratulującej jej grupy. Klepano ją po plecach i energicznie potrząsano jej dłońmi. Popychano ją, ciągnięto i ściskano. W tym całym zamieszaniu udało jej się szepnąć do Jane:

— Och, ależ Mateusz i Maryla będą zadowoleni! Muszę natychmiast napisać o tym w liście do domu.

Kolejnym ważnym wydarzeniem było rozdanie dyplomów. Uroczystości odbyły się w wielkiej auli seminarium. Wygłaszano tam przemówienia, czytano wypracowania, śpiewano pieśni, publicznie wręczano dyplomy, nagrody i medale.

Mateusz i Maryla też tam byli, patrząc i słuchając tylko jednej studentki na scenie — wysokiej dziewczyny w bladzielonej sukni, z lekko rumianymi policzkami i roziskrzonymi oczami, która przeczytała najlepsze wypracowanie. Wskazywano ją palcami, szepcząc, że to laureatka stypendium Avery’ego.

— Marylo, chyba się cieszysz, że ją zatrzymaliśmy? — szepnął Mateusz, gdy Ania skończyła czytać, odzywając się po raz pierwszy od wejścia na salę.

— Nie pierwszy raz się cieszę — odcięła mu się Maryla. — Naprawdę lubisz mi to wypominać, Mateuszu Cuthbercie.

Panna Barry, która siedziała za nimi, pochyliła się i szturchnęła Marylę w plecy swoją parasolką.

— Czy nie jesteście dumni ze swojej Ani? Bo ja jestem — powiedziała.

Tego wieczoru Ania wróciła z Mateuszem i Marylą do Avonlea. Nie było jej w domu od kwietnia i czuła, że nie może czekać ani dnia dłużej. Kwitły jabłonie, a świat był świeży i młody. Diana czekała na nią na Zielonym Wzgórzu. W swoim własnym, białym pokoju, gdzie Maryla postawiła na parapecie kwitnącą różę w doniczce, Ania rozejrzała się wokół i odetchnęła głęboko z radością.

— Och, Diano, tak dobrze jest wrócić. Tak dobrze jest widzieć te strzeliste jodły na tle różowego nieba, i ten biały sad, i starą Królową Śniegu. Czyż zapach mięty nie jest rozkoszny? A ta herbaciana róża... to pieśń, nadzieja i modlitwa w jednym. I jak dobrze jest znów cię widzieć, Diano!

— Myślałam, że lubisz tę Stellę Maynard bardziej niż mnie — powiedziała z wyrzutem Diana. — Josie Pye powiedziała mi, że tak jest. Twierdziła, że jesteś nią oczarowana.

Ania zaśmiała się i obsypała Dianę zwiędłymi liliami ze swojego bukietu.

— Stella Maynard jest mi najdroższą dziewczyną na świecie za wyjątkiem jednej, a tą jedną jesteś ty, Diano — powiedziała. — Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek i mam ci tyle do opowiedzenia. Ale teraz czuję, że wystarczy mi już radości z siedzenia tutaj i patrzenia na ciebie. Chyba jestem zmęczona... zmęczona byciem pilną i ambitną. Zamierzam jutro spędzić przynajmniej dwie godziny, leżąc w trawie w sadzie, i nie myśleć absolutnie o niczym.

— Spisałaś się wspaniale, Aniu. Przypuszczam, że nie będziesz chciała teraz uczyć, skoro wygrałaś stypendium Avery'ego?

— Nie. We wrześniu idę do Redmond. Czyż to nie cudowne? Do tego czasu, po trzech wspaniałych, złotych miesiącach wakacji, zgromadzę zupełnie nowy zapas ambicji. Jane i Ruby idą uczyć. To wspaniale, że wszyscy daliśmy radę, nawet Moody Spurgeon i Josie Pye!

— Rada szkolna w Newbridge już zaproponowała Jane szkołę — powiedziała Diana. — Gilbert Blythe też będzie uczył. Musi. Jego ojca nie stać jednak na wysłanie go na studia w przyszłym roku, więc Gilbert zamierza sam zarobić na naukę. Myślę, że dostanie szkołę tutaj, jeżeli panna Ames zdecyduje się odejść.

Ania poczuła dziwne uczucie konsternacji i zaskoczenia. Nie wiedziała o tym; spodziewała się, że Gilbert również pojedzie do Redmond. Co pocnie bez ich inspirującej rywalizacji? Czy praca, nawet na koedukacyjnym uniwersytecie z perspektywą uzyskania prawdziwego stopnia naukowego, nie okaże się jednak nudna bez jej przyjaciela-wroga?

Następnego ranka przy śniadaniu Ania nagle zdała sobie sprawę, że Mateusz nie wygląda dobrze. Z pewnością miał dużo więcej siwych włosów niż rok wcześniej.

— Marylo — odezwała się z wahaniem, kiedy Mateusz wyszedł — czy ze zdrowiem Mateusza jest wszystko w porządku?

— Nie, nie jest — odparła Maryla zatroskanym tonem. — Miał tej wiosny kilka naprawdę silnych ataków serca, a nie chce się ani trochę oszczędzać. Naprawdę się o niego martwiłam, ale ostatnio czuje się nieco lepiej, a mamy dobrego parobka, więc ufam, że trochę odpocznie i nabierze sił. Może teraz tak się stanie, gdy jesteś w domu. Ty zawsze go rozweselasz.

Ania pochyliła się nad stołem i ujęła twarz Maryli w dłonie.

— Marylo, ty też nie wyglądasz tak dobrze, jak bym chciała. Sprawiasz wrażenie zmęczonej. Boję się, że pracowałaś zbyt ciężko. Teraz, gdy wróciłam, musisz odpocząć. Poświęć tylko ten jeden dzień na odwiedziny wszystkich dawnych, ukochanych miejsc i odszukanie moich dawnych marzeń, a potem przyjdzie twoja kolej na lenistwo, podczas gdy ja zajmę się pracą.

Maryla uśmiechnęła się do niej czule.

— Tu nie chodzi o pracę... to moja głowa. Tak często miewam teraz bóle: za oczami. Doktor Spencer przepisał mi okulary, ale one nic nie pomagają. Pod koniec czerwca na Wyspę przyjedzie pewien znany okulista i doktor mówi, że powinnam się do niego

udać. Chyba będę musiała. Nie mogę teraz swobodnie czytać ani szyć. Cóż, Aniu, muszę powiedzieć, że w seminarium spisałaś się naprawdę dobrze. Zdobyć świadectwo pierwszej klasy w rok i wygrać stypendium Avery'ego... no, no. Pani Linde mówi, że pycha kroczy przed upadkiem i w ogóle nie wierzy w wyższe wykształcenie kobiet. Twierdzi, że stają się przez to niezdolne do prawdziwych obowiązków kobiety. Nie wierzę w ani jedno jej słowo. Skoro mowa o Małgorzacie, to przypomniało mi się: czy słyszałaś ostatnio coś o banku Abbey?

— Słyszałam, że jego sytuacja jest niepewna — odpowiedziała Ania. — Dlaczego pytasz?

— To samo mówiła Rachel. Była tu któregoś dnia w zeszłym tygodniu i wspomniała, że krąży o tym słuchy. Mateusz bardzo się zmartwił. Wszystkie nasze oszczędności są w tym banku, co do grosza. Chciałam, żeby Mateusz wpłacił je do Banku Oszczędnościowego, ale stary pan Abbey był wielkim przyjacielem ojca, który zawsze trzymał u niego pieniądze. Mateusz powiedział, że każdy bank, na którego czele on stoi, jest wystarczająco dobry.

— Myślę, że od wielu lat jest on tylko tytularnym prezesem — powiedziała Ania. — To bardzo stary człowiek; faktycznie instytucją kierują jego bratankowie.

— No cóż, kiedy Rachel nam to powiedziała, chciałam, żeby Mateusz natychmiast wyciągnął nasze pieniądze, a on stwierdził, że o tym pomyśli. Ale pan Russell powiedział mu wczoraj, że z bankiem wszystko jest w porządku.

Ania spędziła piękny dzień w otoczeniu przyrody. Nigdy nie zapomniła tego dnia; był tak jasny, złoty i piękny, wolny od cienia i szczodry w kwiecie. Kilka z jego cennych godzin Ania spędziła w sadzie, poszła do Źródła Driady, nad Jezioro Wierzbowe i do Doliny Fiołków. Wstąpiła na plebanię i odbyła satysfakcjonującą rozmowę z panią Allan. Wreszcie wieczorem poszła z Mateuszem po krowy, przez Aleję Kochanków na tylne pastwisko. Lasy były całe skąpane w promieniach zachodzącego słońca, a jego ciepły blask strumieniami obmywał przełęczę wzgórz na zachodzie. Mateusz szedł powoli, ze spuszczoną głową. Ania, wysoka i wyprostowana, dostosowała swój sprężysty krok do jego chodu.

— Pracowałeś dziś zbyt ciężko, Mateuszu — powiedziała z wyrzutem. — Dlaczego nie dasz sobie pomóc?

— No cóż, chyba nie umiem — odparł Mateusz, otwierając bramę podwórza, by wpuścić krowy. — Chodzi o to, że się starzeję, Aniu, i ciągle o tym zapominam. Zawsze pracowałem ciężko i wolałbym paść w uprzęży.

— Gdybym była tym chłopcem, po którego posłałeś — powiedziała Ania z tęsknotą w głosie — mogłabym ci teraz tak bardzo pomóc i oszczędzać cię na sto sposobów. Potrafiłabym tego zapragnąć w głębi serca, tylko z tego powodu.

— Aniu, wolę ciebie od tuzina chłopców — powiedział Mateusz, poklepując ją po ręce. — Zapamiętaj to sobie: bardziej niż tuzin chłopców. W końcu to nie żaden chłopiec zdobył stypendium Avery'ego, co? To była dziewczynka... moja dziewczynka... z której jestem taki dumny.

Uśmiechnął się do niej swoim nieśmiałym uśmiechem i wszedł na podwórze. Ania zabrała wspomnienie tego uśmiechu ze sobą, gdy wróciła tej nocy do pokoju i siedziała długo przy otwartym oknie, myśląc o przeszłości i marząc o przyszłości. Na zewnątrz Królowa Śniegu biała mgliście w blasku księżyca; żaby śpiewały na bagnach za Sosnowym Wzgórzem. Ania na zawsze zapamiętała srebrzyste, pełne pokoju piękno i pachnący spokój tamtej nocy. Była to ostatnia noc, zanim smutek dotknął jej życia; a żadne życie nie jest już nigdy całkiem takie samo, gdy raz spocznie na nim ten chłodny, uświęcający dotyk.

ROZDZIAŁ XXXVII

ŻNIWIARZ, KTÓREMU NA IMIĘ ŚMIERĆ

— Mateuszu... Mateuszu... co się dzieje? Mateuszu, czy jesteś chory? — W każdym słowie, które Maryla gwałtownie wyrzucała z siebie, słychać było strach.

Ania pojawiła się w holu z naręczem białych narcyzów (minęło sporo czasu, zanim znów była w stanie polubić widok oraz zapach białych narcyzów) w samą porę, żeby usłyszeć te słowa i zobaczyć Mateusza stojącego w drzwiach werandy ze złożoną gazetą w dłoni. Jego twarz była dziwnie ściągnięta i szara. Ania upuściła kwiaty i podbiegła do niego w tym samym momencie co Maryla. Obie spóźniły się; zanim zdołały do niego dotrzeć, Mateusz osunął się na próg.

— Zemdlął — wykrztusiła Maryla. — Aniu, biegnij po Martina... szybko, szybko! Jest w stodole.

Martin, parobek, który właśnie wrócił z poczty, natychmiast wyruszył po lekarza, wstępując po drodze na Sosnowe Wzgórze, żeby powiadomić państwa Barrych. Przyszła też pani Linde, która była tam akurat z pewną sprawą. Wszyscy zastali Anię i Marylę desperacko próbujące przywrócić Mateuszowi świadomość.

Pani Linde odsunęła je delikatnie, sprawdziła puls, a potem przyłożyła ucho do jego piersi. Spojrzała smutno na ich przerażone twarze, a w jej oczach pojawiły się łzy.

— Och, Marylo — powiedziała poważnie. — Nie sądzę... żebyśmy mogli mu jeszcze pomóc.

— Pani Linde, pani chyba nie myśli... nie wolno pani myśleć, że Mateusz... — Ania nie potrafiła wypowiedzieć tego strasznego słowa. Zrobiło jej się słabo i pobladła na twarzy.

— Dziecko, tak, obawiam się, że tak. Spójrz na jego twarz. Kiedy widzisz ten wyraz tak często jak ja, wiesz, co on oznacza.

Ania spojrzała na nieruchomą twarz Mateusza i zobaczyła odcisnięte na niej piętno śmierci.

Wezwany na miejsce lekarz, stwierdził, że zgon nastąpił błyskawicznie i zapewne bezboleśnie, spowodowany prawdopodobnie nagłym udarem. Tajemnica tego wstrząsu kryła się w gazecie, którą trzymał Mateusz, a którą Martin przyniósł rano z poczty. Zawierała ona wiadomość o upadku banku Abbey.

Więć szybko rozeszła się po Avonlea i przez cały dzień przyjaciele oraz sąsiedzi tłumnie odwiedzali Zielone Wzgórze, przychodząc i odchodząc z posługą dla zmarłego i tych, którzy pozostali wśród żywych. Po raz pierwszy nieśmiały, cichy Mateusz Cuthbert stał się osobą o wielkim znaczeniu. Spoczął na nim biały majestat śmierci, który ukoronował jego skronie.

Gdy spokojna noc przykryła Zielone Wzgórzem miękkim całunem, w starym domu zapadła cisza i spokój. Mateusz Cuthbert spoczął w trumnie w salonie; długie, siwe włosy okalały jego łagodną twarz, na której błąkał się ledwie dostrzegalny, dobrotliwy uśmiech, jakby tylko zasnął, śniąc przyjemne sny. Otaczały go kwiaty — słodkie kwiaty, te same, które jego matka posadziła w ogrodzie w dniu swojego ślubu i do których Mateusz zawsze żywił skrytą, niemą miłość. Ania nazbierała ich i przyniosła mu je; jej udręczone, pozbawione łez oczy płonęły na białej twarzy. To była ostatnia rzecz, jaką mogła dla niego zrobić.

Państwo Barry i pani Linde zostali z nimi na noc. Diana, wchodząc do pokoju na poddaszu, gdzie Ania stała przy oknie, spytała łagodnie:

— Aniu kochana, czy chciałabyś, żebyśmy spała dziś z tobą?

— Dziękuję ci, Diano. — Ania spojrzała badawczo w twarz przyjaciółki. — Myślę, że nie zrozumiesz mnie źle, gdy powiem, że chcę być sama. Nie boję się. Od kiedy to się stało, ani przez chwilę nie byłam sama, a chcę być. Chcę być w zupełnej ciszy i spokoju, i spróbować to sobie poukładać. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Przez połowę czasu wydaje mi się, że Mateusz nie może nie żyć; a przez drugą połowę czuję, jakby nie żył od dawna, a ja od tamtej pory noszę w sobie ten straszny, tępy ból.

Diana nie do końca rozumiała. Gwałtowną rozpacz Maryli, łamiącą wszelkie bariery wrodzonej rezerwy i wieloletnich nawyków, potrafiła pojąć lepiej niż pozbawiony łez ból Ani. Odeszła jednak posłusznie, zostawiając Anię samą podczas jej pierwszego czuwania ze smutkiem.

Ania miała nadzieję, że łzy przyjdą w samotności. Wydawało jej się rzeczą straszną, że nie może uronić ani jednej łzy za Mateuszem, którego tak bardzo kochała i który był dla niej tak dobry; za Mateuszem, który jeszcze wczoraj wieczorem spacerował z nią

Śmierć

Śmierć, Żaloba

o zachodzie słońca, a teraz leżał w zaciemnionym pokoju na dole z tym strasliwym spokojem wypisanym na twarzy. Z początku łzy nie nadchodziły, nawet kiedy klęczała przy oknie w ciemności i modliła się, patrząc na gwiazdy nad wzgórzami — żadnych łez, tylko ten sam okropny, tępy ból nieszczęścia, który trwał, aż zasnęła, wyczerpana cierpieniem i emocjami dnia.

W nocy obudziła się w otaczającej ją ciszy i ciemności, a wspomnienie dnia spadło na nią falą smutku. Widziała twarz Mateusza uśmiechającego się do niej tak, jak uśmiechał się, gdy żegnali się przy bramie tamtego ostatniego wieczoru — słyszała jego głos mówiący: „Moja dziewczynka... moja dziewczynka, z której jestem dumny”. Wtedy pojawiły się łzy i Ania wypłakała całą gorycz serca. Maryla usłyszała ten płacz i wślizgnęła się do pokoju, żeby ją pocieszyć.

— Już dobrze... już dobrze... nie płacz tak, kochanie. To go nie wróci. Nie ma sensu tak rozpaczć. Wiedziałam to dzisiaj, ale wówczas nie mogłam się powstrzymać. Mateusz zawsze był dla mnie takim dobrym, pocziwym bratem... ale Bóg wie najlepiej.

— Och, Marylo, pozwól mi płakać — szlochała Ania. — Łzy nie bolą tak, jak ten ścisk w środku. Zostań tu ze mną przez chwilę i trzymaj mnie za rękę... właśnie tak. Nie mogłam pozwolić zostać Dianie. Ona jest dobra i kochana, ale to nie jest jej smutek: ona jest poza nim i nie mogłaby znaleźć się wystarczająco blisko mojego serca, żeby mi pomóc. To nasza żaloba: twoja i moja. Och, Marylo, co my bez niego pocniemy?

— Mamy siebie nawzajem, Aniu. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ciebie tu nie było... gdybyś nigdy nie pojawiła się w moim życiu. Och, Aniu, wiem, że może byłam dla ciebie zbyt surowa i sroga... ale nie myśl, że nie kochałam cię tak jak Mateusz, mimo wszystko. Chcę ci to powiedzieć teraz, kiedy potrafię. Nigdy nie było mi łatwo mówić o tym, co czuję w głębi serca, ale w takich chwilach jest łatwiej. Kocham cię tak mocno, jakbyś była moją własną krwią. Byłaś moją radością i pociechą, odkąd tylko pojawiłaś się na Zielonym Wzgórzu.

Dwa dni później Mateusza Cuthberta wyniesiono przez próg jego domostwa, z dala od pól, które uprawiał, sadów, które kochał i drzew, które posadził. Potem Avonlea powróciło do swojego zwykłego spokoju, nawet na Zielonym Wzgórzu sprawy wślizgnęły się z powrotem w stare koleiny. Wszystkie prace i obowiązki w domu były wykonywane tak jak dawniej, chociaż zawsze towarzyszyło im bolesne poczucie „znajomej straty”. Ania, nieoswojona z żałobą, uważała ten stan rzeczy za niemal przykry — że da się żyć po staremu bez Mateusza. Czuli coś na kształt wstydu i wyrzutów sumienia, kiedy odkryła, że wschody słońca za jodłami i białoróżowe pąki rozwijające się w ogrodzie dają jej ten sam dawny przypływ radości, gdy na nie patrzy; że wizyty Diany wciąż sprawiają jej przyjemność, a jej wesołe usposobienie nadal wywołuje uśmiech na twarzy — że, krótko mówiąc, piękny świat kwiatów, miłości i przyjaźni nie stracił nic ze swej mocy radowania jej wyobraźni i poruszania serca; że życie wciąż wołało do niej wieloma natarczywymi głosami.

— Teraz, gdy Mateusz odszedł, wydaje mi się to niełojalne wobec niego, by znajdować przyjemność w tych rzeczach — zwierzyła się pani Allan pewnego wieczoru, kiedy siedziały razem w ogrodzie na plebanii. — Tak bardzo mi go brakuje... przez cały czas... a jednak, pani Allan, świat i życie wydają mi się mimo wszystko bardzo piękne i interesujące. Dzisiaj Diana powiedziała coś zabawnego i złapałam się na tym, że się śmieję. Myślałam, kiedy to się stało, że już nigdy nie będę mogła się śmiać. I jakoś wydaje mi się, że nie powinnam.

— Kiedy Mateusz tu był, lubił słyszeć twój śmiech i wiedział, że znajdujesz radość w przyjemnych rzeczach wokół siebie — odparła łagodnie pani Allan. — On po prostu odszedł; i tak samo lubi to wiedzieć teraz. Jestem pewna, że nie powinniśmy zamykać naszych serc na uzdrawiający wpływ natury. Ale rozumiem twoje rozterki. Myślę, że wszyscy doświadczamy tego samego. Oburzamy się na myśl, że cokolwiek może nas cieszyć, gdy zabraknie kogoś, kogo kochamy, by mógł dzielić z nami tę przyjemność, i czujemy się niemal tak, jakbyśmy sprzeniewierzali się naszemu smutkowi, kiedy odkrywamy, że powraca nam zainteresowanie życiem.

— Byłam dziś po południu na cmentarzu, żeby posadzić krzak róży na grobie Mateusza — powiedziała sennym głosem Ania. — Wybrałam sadzonkę tej małej, białej szkockiej róży, którą jego matka przywozła ze Szkocji dawno temu. Mateusz zawsze najbardziej

Żaloba

Kwiaty, Grób, Zaświaty

lubił te róże: były takie małe i słodkie na swoich ciernistych łodyżkach. Ucieszyło mnie, że mogłam ją posadzić przy jego grobie, jakbym robiła coś, co z pewnością sprawi mu przyjemność. Mam nadzieję, że w niebie ma takie same róże. Może dusze wszystkich tych małych, białych róż, które kochał przez tyle lat, czekały tam na niego. Muszę już iść do domu. Maryla jest sama i o zmierzchu popada w melancholię.

— Obawiam się, że będzie jeszcze bardziej samotna, gdy znów wyjedziesz na studia — powiedziała pani Allan.

Ania nie odpowiedziała. Pożegnała się i powoli wróciła na Zielone Wzgórze. Maryla siedziała na schodach przed wejściem. Ania usiadła obok. Drzwi za ich plecami były otwarte, przytrzymywała je wielka, różowa muszla o gładkich brzegach, przypominających barwy morskich zachodów słońca.

Ania zerwała kilka gałązek bladożółtego wiciokrzewu i wpięła je we włosy. Lubiła ten delikatny zapach, unoszący się nad nią przy każdym ruchu. Czuła w powietrzu jego rozkoszne błogosławieństwo.

— Doktor Spencer był tu pod twoją nieobecność — powiedziała Maryla. — Mówi, że jutro będzie w mieście specjalista i nalega, żebym pojechała zbadać oczy. Chyba lepiej będzie, jeśli pojadę i będę miała to już z głowy. Będę więcej niż wdzięczna, jeśli ten człowiek dobierze mi odpowiednie okulary. Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli zostaniesz tu sama, kiedy mnie nie będzie? Martin musi mnie zawieźć, a jest pranie do wyprasowania i pieczenie.

— Wszystko będzie dobrze. Diana przyjdzie do mnie w odwiedziny. Po mistrzowsku zajmę się prasowaniem i pieczeniem: nie bój się, nie wykrochmalę chusteczek do nosa ani nie przypawię ciasta kroplami przeciwbólowymi.

Maryla zaśmiała się.

— Aniu, ale ty miałaś talent do robienia błędów w tamtych czasach. Bez przerwy pakowałaś się w kłopoty. Naprawdę myślałam kiedyś, że coś w ciebie wstąpiło. Pamiętasz, jak ufarbowałaś włosy?

— O tak, nigdy tego nie zapomnę — uśmiechnęła się Ania, dotykając grubego warzocha owiniętego wokół jej kształtnej głowy. — Teraz czasem trochę się śmieję, kiedy pomyślę, jak bardzo martwiłam się moimi włosami... ale staram się nie śmiać za bardzo, bo wtedy był to dla mnie naprawdę wielki problem. Strasznie cierpiałam z powodu moich włosów i piegów. Piegi właściwie zniknęły; a ludzie są na tyle uprzejmi, by mówić mi, że moje włosy są teraz kasztanowe... wszyscy oprócz Josie Pye. Wczoraj poinformowała mnie, że jej zdaniem są naprawdę czerwieniejsze niż kiedykolwiek, a przynajmniej moja czarna sukienka sprawia, że tak wyglądają, i zapytała mnie, czy ludzie o rudych włosach kiedykolwiek przyzwyczajają się do nich. Marylo, właściwie postanowiłam, że nie będę więcej próbować polubić Josie Pye. Podjęłam wysiłek, który niegdyś nazwałabym heroicznym, żeby ją polubić, ale Josie Pye po prostu nie chce dać się polubić.

— Josie to jedna z Pye'ów — powiedziała ostro Maryla — więc nie może powstrzymać się od bycia niemłą. Przypuszczam, że tacy ludzie służą jakiemuś użytecznemu celowi w społeczeństwie, ale muszę przyznać, że nie wiem jakiemu, podobnie jak nie znam pożytku z ostów. Czy Josie będzie uczyć?

— Nie, wraca do seminarium w przyszłym roku. Tak samo Moody Spurgeon i Charlie Sloane. Jane i Ruby zostaną nauczycielkami i obie dostały już posady: Jane w Newbridge, a Ruby gdzieś na zachodzie.

— Gilbert Blythe też będzie uczyć, prawda?

— Tak — odparła krótko Ania.

— Przystojny z niego chłopak — powiedziała nieobecny głosem Maryla. — Wiedziałam go w kościele w zeszłą niedzielę. Wydawał się taki wysoki i męski. Bardzo przypomina swojego ojca, kiedy był w tym samym wieku. John Blythe był miłym chłopcem. Byliśmy naprawdę dobrymi przyjaciółmi, on i ja. Ludzie nazywali go moim wielbiciele.

Ania spojrzała na nią z nagłym zainteresowaniem.

— Och, Marylo... i co się stało? Dlaczego nie...

— Pokłóciliśmy się. Nie chciałam mu wybaczyć, kiedy mnie o to prosił. Zamierzałam to zrobić po jakimś czasie... ale byłam nadęta i zła, i chciałam go najpierw ukarać. Nigdy nie wrócił... wszyscy Blythe'owie byli bardzo niezależni. Ale zawsze było mi... dość przykro. Zawsze jakoś żałowałam, że nie wybaczyłam mu, kiedy miałam okazję.

— Więc ty też miałaś w życiu odrobinę romansu — powiedziała cicho Ania.
— Tak, przypuszczam, że można to tak nazwać. Nie pomyślałabyś tego, patrząc na mnie, prawda? Ale nigdy nie można sądzić ludzi po wyglądzie. Wszyscy zapomnieli o mnie i Johnie. Sama o tym zapomniałam. Ale wszystko do mnie wróciło, kiedy zobaczyłam Gilberta w zeszłą niedzielę.

ROZDZIAŁ XXXVIII ZAKRĘT NA DRODZE

Maryla pojechała następnego dnia do miasta i wróciła wieczorem. Ania, która była u Diany na Sosnowym Wzgórzu, po powrocie zastała Marylę w kuchni; siedziała przy stole z głową wspartą na dłoni. Coś w jej przygnębionej postawie nappełniło serce Ani lękiem. Nigdy nie widziała Maryli siedzącej tak bezwładnie.

— Czy jesteś bardzo zmęczona, Marylo?

— Tak... nie... sama nie wiem — odparła znużona Maryla, podnosząc wzrok. — Pewnie jestem zmęczona, ale o tym nie myślałam. To nie to.

— Czy widziałas się z okulistą? Co powiedział? — zapytała z niepokojem Ania.

— Tak, widziałam go. Zbadał mi oczy. Mówi, że jeśli całkowicie zrezygnuję z czytania i szycia, oraz wszelkiej pracy męczącej wzrok, i jeśli będę uważać, by nie płakać, i będę nosić okulary, które mi przepisał, to myśli, że wzrok może się już nie pogorszyć, a bóle głowy ustaną. Ale jeśli tego nie zrobię, mówi, że za sześć miesięcy będę zupełnie ślepa. Ślepa! Aniu, pomyśl tylko!

Przez chwilę Ania, po pierwszym okrzyku przerażenia, milczała. Zdawało jej się, że nie może wydobyć z siebie głosu. Potem rzekła dzielnie, choć ze wzruszeniem:

— Marylo, nie myśl o tym. Przecież dał ci nadzieję. Jeśli będziesz ostrożna, nie stracisz wzroku całkowicie; a jeśli okulary ulecą twoje bóle głowy, to już będzie bardzo dużo.

— Nie nazywam tego wielką nadzieją — rzekła gorzko Maryla. — Po co mam żyć, jeśli nie mogę czytać, szyc ani robić niczego w tym rodzaju? Równie dobrze mogłabym być ślepa... albo martwa. A co do płaczu, nie poradzę na to, gdy ogarnia mnie samotność. Ale mniejsza z tym, nie ma sensu o tym mówić. Będę wdzięczna za filiżankę herbaty. Jestem całkiem wyczerpana. Nie mów o tym na razie nikomu. Nie zniosłabym, gdyby ludzie zaczęli tu przychodzić, wypytywać, współczuć i rozwodzić się nad tym.

Gdy Maryla zjadła posiłek, Ania namówiła ją, żeby położyła się do łóżka. Potem sama poszła do pokoiku na wschodnim poddaszu i usiadła przy oknie w ciemności, sama ze swoimi łzami i ciężarem na sercu. Jakże wszystko zmieniło się od tamtej nocy, kiedy siedziała tu po powrocie do domu! Była wtedy pełna nadziei i radości, a przyszłość malowała się w różowych barwach. Ania czuła, jakby od tamtej pory minęły całe lata, ale zanim położyła się spać, na jej ustach pojawił się uśmiech, a w sercu zagościł spokój. Z odwagą spojrzała w twarz nowym obowiązkom i uznała je za swojego przyjaciela — jak jest zawsze, gdy wychodzimy im naprzeciw z otwartością.

Kilka dni później, popołudniu, Maryla wróciła wolnym krokiem z podwórka, gdzie rozmawiała z kimś przyjezdnym — człowiekiem, którego Ania знаła z widzenia jako Sadlera z Carmody. Ania zastanawiała się, co takiego mógł powiedzieć Maryli, że wywołał taki wyraz na jej twarzy.

— Marylo, czego chciał pan Sadler?

Maryla usiadła przy oknie i spojrzała na Anię. W jej oczach, wbrew zakazom lekarza, lśniły łzy, a głos zadrżał, kiedy przemówiła:

— Dowiedział się, że zamierzam sprzedać Zielone Wzgórze, i chce je kupić.

— Kupić? Kupić Zielone Wzgórze? — Ania nie mogła uwierzyć własnym uszom. — Och, Marylo, ty chyba nie zamierzasz sprzedać Zielonego Wzgórza!

— Aniu, nie wiem, co innego mogłabym zrobić. Przemyślałam to wszystko. Gdybym miała zdrowe oczy, mogłabym tu zostać i jakoś sobie radzić z dobrym parobkiem. Ale teraz to niemożliwe. Mogę całkiem stracić wzrok, a już na pewno nie nadaję się do prowadzenia gospodarstwa. Nigdy nie przypuszczałam, że dożyję dnia, w którym będę musiała sprzedać swój dom. Ale byłoby coraz gorzej, aż nikt nie chciałby go kupić. Nasze oszczędności co do centa przepadły w tym banku, a są jeszcze weksle, które Mateusz wystawił jesienią. Pani Linde radzi mi sprzedać farmę i zamieszkać gdzieś na stancji... u niej, jak sądzę. Nie

dostanę za to dużo: gospodarstwo jest małe, a budynki stare. Ale wystarczy mi na życie. Ciesz się, Aniu, że ty masz zapewnioną przyszłość dzięki temu stypendium. Przykro mi tylko, że nie będziesz miała domu, do którego mogłabyś przyjechać na wakacje, ale jakoś sobie poradzisz.

Maryla załamała się i wybuchnęła gorzkim płaczem.

— Nie wolno ci sprzedawać Zielonego Wzgórza — powiedziała stanowczo Ania.

— Och, Aniu, chciałabym mieć taki wybór. Ale sama widzisz. Nie mogę tutaj zostać sama. Oszałamiałabym ze zmartwienia i samotności. A także straciłabym wzrok... wiem to.

— Marylo, nie będziesz tu musiała zostać sama. Ja będę z tobą. Nie jadę do Redmond.

— Nie jedziesz do Redmond! — Maryla podniosła znękaną twarz i spojrzała na Anię.
— Jak to? Co ty mówisz?

— To, co słyszysz. Nie przyjmę tego stypendium. Zdecydowałam tak w noc po twoim powrocie z miasta. Chyba nie myślałaś, że mogłabym cię zostawić samą w nieszczęściu, Marylo, po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś. Myślałam i planowałam. Pozwól, że przedstawię ci moje plany. Pan Barry chce wydzierżawić farmę na przyszły rok, więc nie będziesz miała z tym kłopotu. A ja będę uczyć. Złożyłam podanie o posadę tutaj, w szkole w Avonlea, ale nie spodziewam się jej dostać, bo słyszałam, że komisarze obiecali ją Gilbertowi Blythe'owi. Mogę za to dostać szkołę w Carmody: pan Blair powiedział mi o tym wczoraj w sklepie. Oczywiście nie będzie to tak wygodne, jak wtedy, gdybym uczyła w Avonlea, ale mogę mieszkać w domu i dojeżdżać do Carmody, przynajmniej dopóki będzie ciepło. A nawet zimą będę mogła wracać w piątki. Dlatego zatrzymamy konia. Wszystko już zaplanowałam, Marylo. Będę ci czytać i rozbawiać cię. Nie będziesz smutna ani samotna. Będzie nam tu razem bardzo przytulnie i szczęśliwie.

Maryla słuchała jej jak urzeczona.

— Och, Aniu, wiem, że z tobą u mojego boku świetnie bym sobie poradziła. Ale nie mogę pozwolić, żebyś tak się dla mnie poświęcała. To byłoby okropne.

— Głupstwa! — Ania zaśmiała się wesoło. — To żadne poświęcenie. Nic nie byłoby gorsze niż utrata Zielonego Wzgórza... nic nie zabolaloby mnie bardziej. Musimy zachować to nasze kochane miejsce. Klamka zapadła, Marylo. Nie jadę do Redmond. Zostaję tutaj i będę uczyć w szkole. Nie martw się o mnie ani trochę.

— Ale twoje ambicje... i...

— Jestem tak samo ambitna jak dawniej. Zmieniłam tylko przedmiot moich ambicji. Zamierzam być dobrą nauczycielką i uratować twój wzrok. Poza tym będę się uczyć w domu i przejdę kurs uniwersytecki zupełnie sama. Och, Marylo, mam dziesiątki planów! Myślałam nad nimi przez cały tydzień. Dam z siebie temu życiu wszystko, co najlepsze, i wierzę, że ono odwdzieczy mi się tym samym. Kiedy opuszczałam seminarium, moja przyszłość wydawała się prostą drogą. Myślałam, że widzę przed sobą wiele kamieni milowych. Teraz na tej drodze pojawił się zakręt. Nie wiem, co za nim leży, ale wierzę, że to, co najlepsze. Ten zakręt ma w sobie coś fascynującego, Marylo. Ciekawa jestem, jaka droga czeka mnie dalej... jakie ukażą się za nim blaski, a jakie cienie, jakie nowe krajobrazy, piękności, wzgórza i doliny.

— Czuję, że nie powinnam pozwolić ci z tego rezygnować — rzekła Maryla, mając na myśli stypendium.

— Ale nie możesz mi przeszkodzić. Mam szesnaście i pół roku i jestem „uparta jak osioł”, jak mi kiedyś powiedziała pani Linde — zaśmiała się Ania. — Och, Marylo, nie lituj się nade mną. Nie lubię, gdy ktoś mi współczuje, i nie ma ku temu powodu. Cieszę się z całego serca na samą myśl o pozostaniu na moim drogim Zielonym Wzgórzu. Nikt nie mógłby go kochać tak jak my, więc musimy je zatrzymać.

— Kochane dziecko! — rzekła Maryla, ulegając. — Czuję, jakbyś tchnęła we mnie nowe życie. Powinnam pewnie upierać się przy swoim i kazać ci jechać na studia, ale wiem, że nie potrafię, więc nie będę nawet próbować. Wynagrodzę ci to jednak, Aniu.

Kiedy w Avonlea rozeszła się wieść, że Ania Shirley zrezygnowała ze studiów i postanowiła zostać w domu, by uczyć, wywołało to wiele dyskusji. Większość mieszkańców, nie wiedząc o stanie wzroku Maryli, uważała to za głupotę. Pani Allan była innego zdania. Powiedziała to Ani w kilku zdaniach aprobaty, które wywołały łyzy radości w oczach młodej dziewczyny. Podobnie uważała pocziwa pani Linde. Pewnego wieczoru przyszła i zastała Anię siedzącą z Marylą na progu w ciepłym, wonnym, letnim zmierzchu. Lubily

Ambicja

tam siedzieć, gdy zapadał mrok, w ogrodzie latały białe ćmy, a mokre od rosy powietrze wypełniał zapach mięty.

Pani Małgorzata usadowiła swą okazałą postać na kamiennej ławie przed drzwiami, za którą rósł rząd wysokich, różowych i żółtych malw, wydając z siebie długie tchnienie, będące mieszaniną zmęczenia i ulgi.

— Doprawdy, cieszę się, że mogę usiąść. Cały dzień byłam na nogach, a dziewięćdziesiąt kilogramów to spory ciężar dla tych dwóch stóp. Marylo, ciesz się, że nie jesteś gruba. Mam nadzieję, że to doceniasz. Aniu, słyszałam, że porzuciłaś myśl o studiach na uniwersytecie. Bardzo mnie to cieszy. Masz już tyle wykształcenia, ile kobiecie wystarczy do wygodnego życia. Nie jestem za tym, aby dziewczęta chodziły na uniwersytety razem z mężczyznami i napychały sobie głowy łaciną, greką i tymi wszystkimi bzdurami.

— Ale ja i tak będę się uczyć łaciny i greki, pani Linde — zaśmiała się Ania. — Przejdę kurs nauk wyzwolonych tutaj, na Zielonym Wzgórzu, i będę studiować wszystko to, czego uczyłabym się na uniwersytecie.

Pani Linde podniosła ręce w geście świętego oburzenia.

— Aniu Shirley, ty się zamęczysz!

— Ani trochę. To mi tylko wyjdzie na zdrowie. Nie będę przesadzać. Będę zachowywać złoty środek. Będę mieć mnóstwo wolnego czasu w długie, zimowe wieczory, a do robótek ręcznych nie mam powołania. Będę przecież uczyć w Carmody.

— Nic podobnego. Będziesz uczyć tutaj, w Avonlea. Komisarze postanowili powierzyć ci szkołę.

— Pani Linde! — zawołała zaskoczona Ania, zrywając się z miejsca. — Byłam pewna, że obiecali ją Gilbertowi Blythe'owi!

— Faktycznie, obiecali. Ale gdy tylko Gilbert dowiedział się, że też złożyłaś podanie, poszedł do nich (mieli wczoraj zebranie w szkole) i powiedział, że wycofuje swoją prośbę, i zasugerował, by przyjęli twoją. Powiedział, że on będzie uczył w Białych Piaskach. Wiedział oczywiście, jak bardzo zależy ci na pozostaniu przy Maryli, i muszę przyznać, że postąpił bardzo ładnie i szlachetnie. To prawdziwe poświęcenie, bo w Białych Piaskach będzie musiał płacić za stancję, a każdy wie, że musi sam zarobić na studia. Więc komisarze postanowili przyjąć ciebie. Byłam wniebowzięta, kiedy Tomasz wrócił do domu i mi o tym opowiedział.

— Czuję, że nie powinnam przyjmować tej posady — szepnęła Ania. — To znaczy... sądzę, że nie powinnam pozwolić Gilbertowi na takie poświęcenie... dla mnie.

— Myślę, że teraz już mu nie przeszkodzisz. Podpisał już dokumenty z komisarzami z Białych Piasków, więc nawet gdybyś odmówiła, nic by to nie zmieniło. Oczywiście, że obejmiesz tę posadę. Poradzisz sobie świetnie, skoro nie ma tam już żadnych Pye'ów. Na całe szczęście Josie była ostatnią z nich. Przez ostatnie dwadzieścia lat w szkole w Avonlea zawsze był jakiś Pye i myślę, że ich życiową misją było przypominanie nauczycielom, że ta ziemia nie jest ich ojczyzną. A niech mnie! Co to za mruganie i błyskanie w oknie u Barrych?

— Diana daje mi znaki, żebyś przyszła — zaśmiała się Ania. — Wiesz, że praktykujemy ten stary zwyczaj? Wybaczcie, pobiegnę zobaczyć, o co jej chodzi.

Ania zbiegła po koniczynowym zboczach lekko jak sarna i zniknęła w cieniu jodeł Niewiedzonego Lasu. Pani Linde popatrzyła za nią z pobyłaniem.

— Pod wieloma względami jest w niej jeszcze dużo z dziecka.

— A pod innymi znacznie więcej z kobiety — odparła Maryla, wracając na chwilę do swojej dawnej szorstkości.

Lecz szorstkość nie była już główną cechą Maryli. Tego samego wieczoru pani Linde powiedziała swojemu Tomaszowi:

— Maryla Cuthbert złągodniała. Otóż to.

Następnego dnia Ania poszła na cmentarzyk w Avonlea, by położyć świeże kwiaty na grobie Mateusza i podlać krzak szkockiej róży. Została tam do zmroku, napawając się ciszą i spokojem tego miejsca. Słuchała szumu topoli, który przypominał cichą, serdeczną rozmowę, i szepców traw rosnących swobodnie między grobami. Kiedy w końcu zebrała się i zaczęła schodzić długim zboczem opadającym w stronę Jeziora Lśniących Wód, słońce już dawno zaszło, a całe Avonlea — „ostoja pradawnego pokoju” — leżało przed

nią w sennym powidoku. W powietrzu czuć było świeżość wiatru wiejącego nad słodkimi niczym miód polami koniczyzny. Tu i ówdzie między drzewami domostw zapalały się światła. Dalej znajdowało się morze, mgliste i purpurowe, z nieustającym, niespokojnym szumem. Zachód płonął feerią łagodnych barw, a tafla stawu odbijała je wszystkie w jeszcze delikatniejszych odcieniach. Piękno tych widoków poruszyło serce Ani, która z wdzięcznością otworzyła przed nimi drzwi swojej duszy.

— Kochany, stary świecie — szepnęła — jesteś taki piękny! Cieszę się, że przyszedł na świat, by cię ujrzeć.

W połowie drogi na wzgórze, z bramy posiadłości Blythe'ów wyszedł wysoki chłopak, gwizdząc pod nosem. To był Gilbert. Gwizd zamarł mu na ustach, gdy poznał Anię. Grzecznie uchylił czapki i chciał przejść obok niej w milczeniu, lecz Ania zatrzymała się i wyciągnęła do niego rękę.

— Gilbertcie — rzekła, rumieniąc się — chcę ci podziękować za to, że zrezygnowałeś dla mnie ze szkoły. To bardzo uprzejme z twojej strony... i chcę, byś wiedział, że to doceniam.

Gilbert ochoczo ujął podaną mu dłoń.

— Aniu, to nie było nic nadzwyczajnego. Cieszę się, że mogłem ci oddać tę drobną przysługę. Czy od tej pory będziemy przyjaciółmi? Czy naprawdę wybaczyłaś mi mój dawny błąd?

Ania zaśmiała się i bezskutecznie próbowała cofnąć rękę.

— Wybaczyłaś ci już wtedy nad stawem, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam. Ale ze mnie uparta gęś! Mogę ci się przyznać, że od tamtej pory było mi bardzo przykro.

— Będziemy najlepszymi przyjaciółmi — ucieszył się Gilbert. — Zostaliśmy do tego stworzeni, Aniu. Dość już stawiałaś opór przeznaczeniu. Wiem, że możemy sobie nawzajem pomóc na wiele sposobów. Będziesz się dalej uczyć, prawda? Ja też. Chodź, odprowadzę cię do domu.

Gdy Ania weszła do kuchni, Maryla spojrzała na nią z zainteresowaniem.

— Aniu, kto siedł razem z tobą aleją?

— Gilbert Blythe — odrzekła Ania, zirytowana tym, że znów oblewa się rumieńcem. — Spotkałam go na wzgórzu u Barrych.

— Nie wiedziałam, że ty i Gilbert Blythe jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi, żeby stać przez pół godziny przy bramie i rozmawiać — rzekła Maryla z sarkastycznym uśmiechem.

— Nie byliśmy... byliśmy dobrymi wrogami. Ale zdecydowaliśmy, że dużo rozsądniej będzie, jeśli zostaniemy w przyszłości dobrymi przyjaciółmi. Czy naprawdę staliśmy tam aż pół godziny? Zdawało mi się, że to tylko kilka minut. Ale widzisz, Marylo, musimy nadrobić rozmowy z pięciu straconych lat.

Tego wieczoru Ania długo siedziała przy oknie, ogarnięta radosnym spokojem. Wiatr gwizdał cicho wśród gałęzi czereśni, a z ogrodu dolatywał zapach mięty. Gwiazdy migotały nad strzelistymi jodłami w dolinie, a przez stary prześwit w drzewach widać było światło palące się u Diany.

Wizja jej przyszłości stała się jasna od dnia, w którym wróciła z seminarium. Lecz mimo iż ścieżka pod jej stopami zdawała się węższa niż do tej pory, Ania wiedziała, że zakwitną na niej kwiaty cichego szczęścia. Miała zaznać radości z uczciwej pracy, godnych aspiracji i szczerzej przyjaźni. Nic nie mogło jej odebrać dziedzictwa wyobraźni ani idealnego świata marzeń. A przed nią zawsze mógł znaleźć się kolejny zakręt na drodze.

— „Bóg jest na niebiosach, wszystko na świecie jest w porządku”³⁵ — szepnęła cicho Ania.

³⁵ *Bóg jest na niebiosach, wszystko na świecie jest w porządku* — cytat z dramatu poetyckiego Roberta Browninga *Pippa przechodzi* (*Pippa passes*) z 1841 r.; w oryg. „God's in his heaven / All's right with the world!”. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/montgomery-ania-z-zielonego-wzgorza/>

Tekst opracowany na podstawie: Lucy Maud Montgomery, *Ania z Zielonego Wzgórza*, wyd. Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2026.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Jacek Barański.

ISBN 978-83-288-8355-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.